Sarah MacLean
Nowy bestseller
Dzień Księżnej
AMBER
Romans historyczny

Sarah MacLean

Dzień Księżnej

Przekład
Barbara Kwiatkowska

AMBER

Korekta
Renata Kuk
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© katalinks/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Day of the Duchess

Copyright © 2017 by Sarah Trabucchi.
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7652-6

Warszawa 2021. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Bojowniczkom w halkach, wtedy i dzisiaj

Skandale i Nicponie

Rocznik 3/Numer 113 Sierpień 1836

ZAGINIONA KSIĘŻNA ODNALEZIONA!

Gmach parlamentu zatrząsł się dzisiaj w posadach od plotek, gdy Seraphina, zaginiona KSIĘŻNA HAVEN ku zaskoczeniu całej socjety powróciła ze swoich skandalicznych wojaży i w Izbie Lordów wdała się w kłótnię ze swym małżonkiem. Jaką petycję złożyła dawno zaginiona dama?

Chce ROZWODU!

Mówi się, że OGŁUPIAŁY HAVEN czmychnął do domu, ustępując pola (co jednak nie oznacza końca wojny) swojej byłej ukochanej, NIEBEZPIECZNEJ CÓRCE i wzgardzonej księżnej… a obecnie niechętnej mu żonie! Dama jednakże nie zamierza dać się lekceważyć. Wściekła, ruszyła za mężem, przysięgając, że doprowadzi do zakończenia małżeństwa bez względu na wszystko. Czyż istnieje coś smakowitszego od letnich skandali?

Wkrótce nowe wiadomości.

1. Porzucony książę zdyskwalifikowany!

19 sierpnia 1836
Parlament, Izba Lordów

Porzuciła go dwa lata i siedem miesięcy temu.

Malcolm Marcus Bevingstoke, książę Haven, siedział w swoim prywatnym gabinecie nad Izbą Lordów i patrzył na maleńkie drewniane pokrętła kalendarza zamontowanego w leżącej na biurku suszce do atramentu.

Dziewiętnasty sierpnia 1836. Ostatni dzień posiedzeń parlamentu, pełen pompy i jałowości. I nieprzemijających wspomnień. Pokręcił kółko z wytłoczoną na nim szóstką. Pięć. Cztery. Wziął głęboki wdech.

„Wyjdź". Usłyszał własne słowa, lodowate, przepełnione gniewem wywołanym zdradą, dźwięczące cichą groźbą. „I nigdy nie wracaj".

Znów dotknął pokrętła. Sierpień zamienił się w lipiec. Maj. Marzec.

Dziewiętnasty stycznia 1834. Dzień, w którym odeszła.

Jego palce poruszały się bez zastanowienia, znajdując pocieszenie w znajomym klikaniu pokręteł.

Siedemnasty kwietnia 1833.

„To, co do ciebie czuję…" Teraz mówiła ona – ciepło, kusząco. „Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego".

On też nie. Zupełnie jakby pokój zalały światło, powietrze i nadzieja i wypełniły wszystkie ciemne kąty. Wypełniły jego płuca i serce. A wszystko za jej przyczyną.

Dopóki nie odkrył prawdy. Prawdy, która znaczyła tak wiele, aż w końcu przestała znaczyć cokolwiek. Dokąd ona uciekła?

Zegar w rogu pokoju tykał, odliczał sekundy do momentu, w którym Haven miał zająć swoje miejsce w czcigodnej głównej sali obrad Izby Lordów. Mimo to jego palce nadal manipulowały pokrętłami kalendarza. Z wirtuozerią, jakby ten taniec tańczyły już setki razy. Tysiące.

Bo i tak było.

Pierwszy marca 1833. Dzień, w którym się poznali.

„A więc teraz pozwalają, żeby księciem zostawał byle kto, tak?” Najmniejszego szacunku. Drwiny, urok i czyste nieskazitelne piękno.

„Jeśli sądzisz, że książęta są źli, to wyobraź sobie, jakie muszą być księżne?”

Ten uśmiech. Jakby nigdy nie widziała żadnego innego mężczyzny. Jakby nigdy nie chciała widzieć. Zawojowała go tym uśmiechem do szczętu.

A potem wszystko się rozpadło. Stracił wszystko, łącznie z nią. A może było odwrotnie, stracił ją, a wraz z nią wszystko?

Czy był choć jeden moment, żeby o niej nie myślał? Czy była jakaś data, która by mu o niej nie przypominała? Która nie przypominałaby mu o czasie – o całej wieczności – jaki minął od jej odejścia?

Dokąd ona uciekła?

Zegar wybił jedenastą. W pokoju rozbrzmiały ciężkie kuranty powielone echem tuzina innych niosącym się po długim dębowym korytarzu. Kuranty wzywały szacownych mężów o rodowodowych nazwiskach do ich obowiązków nałożonych na nich, zanim jeszcze zaczerpnęli swój pierwszy oddech.

Haven podniósł się od biurka i ruszył do miejsca, w którym wisiała jego czerwona toga – jej grubość i waga miały oddawać reprezentowany przez nią ciężar odpowiedzialności. Zarzucił ją na siebie i z miejsca poczuł się przytłoczony mdlącym i duszącym gorącem czerwonego weluru. A to jeszcze zanim sięgnął po wypudrowaną perukę. Krzywiąc się na drapanie ostrych końskich włosów, z których była wykonana, mocno wcisnął ją na głowę, po czym, szarpnąwszy drzwi, wyszedł na korytarz i udał się do wejścia do głównej sali posiedzeń Izby Lordów.

Kiedy tam wszedł, wziął głęboki oddech i od razu tego pożałował. Był sierpień, gorący jak diabli, cały parlament przesiąknięty był odorem potu i perfum. Otwarte okna nie pomagały, bo wpływająca przez nie słaba bryza niosła ze sobą fetor Tamizy dokładający się do tego już obecnego w sali.

W domu było inaczej. W domu rzeka była chłodna i świeża, nieskażona brudami Londynu. W domu powietrze było czyste, przepełnione obietnicą letniej idylli, obietnicą na szczęśliwą przyszłość. A przynajmniej tak było kiedyś. Zanim został sam, bez niej. Żeby był dom, musi być ona. Dlatego też tego lata będzie robił to, co robił przez cały czas w ostatnich dwóch latach i siedmiu miesiącach. Będzie jej szukał.

Nie znalazł jej we Francji ani w Hiszpanii, gdzie spędził poprzednie lato, uganiając się za poszukującymi wrażeń angielskimi damami. Nie była żadną z tych słomianych wdówek, na które natknął się w Szkocji, ani żadną z guwernantek w imponującym dworze w Walii, ani nawet tą kobietą, którą śledził w Konstantynopolu, w miesiąc po jej odejściu, tą, która okazała się oszustką udającą arystokratkę. A potem była ta kobieta w Bostonie – był taki pewny, że to ona – ta, którą nazywali Gołębicą.

Ale to nie była Sera. Żadna z nich nie była Serą. Sera zniknęła tak, jakby nigdy nie istniała, i to akurat w chwili, w której sobie uświadomił, jak bardzo jej pragnie. Ale kiedyś skończą się jej pieniądze i nie będzie miała wyboru, będzie musiała przestać uciekać. A wtedy on, ponieważ jest bogaty i uprzywilejowany, ponieważ ma władzę i ogromny majątek, znajdzie ją.

Pogrążony w tych rozmyślaniach, wśliznął się do jednej z długich ław otaczających podium mówcy. Lord Kanclerz już przemawiał.

– Milordowie, jeśli nie ma więcej spraw formalnych, proponuję, byśmy zamknęli tegoroczną sesję.

Po sali rozszedł się chór okrzyków aprobaty, łoskot pięści walących w oparcia kanap.

Haven westchnął, powstrzymując chęć podrapania się w perukę. Wiedział, że jeśli ulegnie pokusie, nigdy nie przestanie się drapać.

– Milordowie! – zawołał Lord Kanclerz. – Czy istotnie nie ma już więcej formalnych zagadnień dotyczących obecnej sesji?

Przez pomieszczenie przelało się chóralne tubalne: „Nie, nie ma”, jakby odpowiedzi udzielała banda sztubaków marzących o wakacjach, o wyrwaniu się na wolność, a nie blisko dwusetka pompatycznych arystokratów.

Lord Kanclerz uśmiechnął się, jego rumiana twarz mieniła się potem pod peruką, gdy szeroko rozpostarł ręce.

– No cóż, ogłaszam zatem, że z woli Jego Królewskiej Mości…

W tym momencie rozległ się głośny łoskot otwieranych gwałtownie olbrzymich podwoi prowadzących do Izby. Głowy wszystkich odwróciły się w tamtą stronę. Wszystkich, oprócz Havena, który tak bardzo chciał już pozostawić za sobą Londyn i drapiącą perukę, że mało co poza tym go obchodziło.

Lord Kanclerz zebrał się w sobie, odchrząknął i dokończył:

– … obrady tej sesji parlamentu zostają odroczone do czwartku, siódmego października następnej…

Kanclerz znów musiał przerwać, bo drzwi Izby ponownie walnęły przy zamykaniu, a po sali rozeszły się pełne dezaprobaty pomruki. Haven podążył już wtedy wzrokiem za spojrzeniami innych, nie dostrzegł jednak przy drzwiach niczego interesującego.

– Ekhem! – odchrząknął z naganą Lord Kanclerz, po czym ze zdwojoną żarliwością powrócił do zamykania obrad. – …do czwartku, siódmego października następnej…

– Zanim dokończysz, Lordzie Kanclerzu…

Haven zesztywniał.

Głos miał mocne brzmienie, ale zarazem był miękki, melodyjny, przecudownie kobiecy – tak ogromnie nie na miejscu w Izbie Lordów niedostępnej dla płci pięknej. I to pewnie tylko dlatego tak mu zaparło dech. Dlatego tak zabiło serce. Dlatego nagle poderwał się, otoczony chórem okrzyków oburzenia.

– Co to ma znaczyć? – zagrzmiał Lord Kanclerz.

Haven już wtedy dojrzał powód całego zamieszania. Kobieta. Wyższa od jakiejkolwiek mu znanej, w najpiękniejszej lawendowej sukni, jaką kiedykolwiek widział, idealnie opanowana, jakby regularnie wkraczała na sesję parlamentu, jakby była samym premierem. Jakby była kimś więcej niż to. Jakby była królową.

Jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochał. Jedyna, której kiedykolwiek nienawidził.

Ta sama, a zarazem zupełnie inna.

Havena zamurowało.

– Przyznaję – usłyszał, jak mówi takim tonem, jakby była u kogoś na herbatce, i zobaczył, że przechodzi w głąb sali. – Obawiałam się, że nie zdążę i przegapię tę sesję. Ale jednak udało mi się tu wśliznąć, złapać was, szanowni panowie, jeszcze zanim uciekliście do swoich… cokolwiek tam robicie, żeby uprzyjemnić sobie czas. – Uśmiechnęła się szeroko do sędziwego hrabiego, który pod jej gorącym spojrzeniem spłonął rumieńcem i odwrócił wzrok. – Jednakże powiedziano mi, że to, na czym mi zależy, wymaga ustawy parlamentu. A wy, panowie… jak sami dobrze wiecie… jesteście parlamentem.

Jej spojrzenie odnalazło go. Oczy miała dokładnie takie, jak je zapamiętał, błękitne jak morze w lecie, ale zarazem były jakieś inne. Już nie takie otwarte i szczere, tylko ostrożne, niedostępne.

Chryste. Ona tu jest.

Tutaj. Szukał jej prawie trzy lata, a ona jest tutaj, zupełnie jakby zniknęła zaledwie na kilka godzin. Szok walczył w jego sercu z wściekłością, ale obie te emocje były niczym w porównaniu z trzecim uczuciem, jakie go ogarnęło. Ogromną, trudną do zniesienia radością.

Ona tu jest.

Wreszcie.

Znowu.

Ledwie mógł się powstrzymać, żeby do niej nie pobiec. Nie porwać w ramiona i nie wynieść. Przytulić. Odzyskać. Zacząć od nowa.

Tyle że nie sprawiała wrażenia, że przyszła tu w tym celu.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę, nie mrugając, zanim oznajmiła:

– Nazywam się Seraphina Bevingstoke. Jestem księżną Haven i chcę się rozwieść.

2. Księżna znika, książę jest załamany

Styczeń 1834
Dwa lata, siedem miesięcy wcześniej. Minus trzy dni.
Dwór Highley

Jeśli nie zapuka, umrze.

Nie powinna była przyjeżdżać. To było niewyobrażalnie nierozsądne z jej strony. Decyzję podejmowała w przypływie bolesnych emocji, chciała mieć jakiegoś rodzaju kontrolę w tym najmniej kontrolowanym okresie w jej życiu.

Gdyby nie była taka zziębnięta, roześmiałaby się z tego szalonego pomysłu, że mogłaby mieć jakąkolwiek kontrolę nad swoim światem, kiedykolwiek jeszcze.

Teraz jednak jedyne, co Seraphina Bevingstoke, księżna Haven, mogła zrobić, to tylko przekląć własną idiotyczną decyzję, pod wpływem której wynajęła dorożkę i zapłaciła woźnicy fortunę za to, żeby zabrał ją w długą przerażającą podróż nocą w mroźnym styczniowym deszczu i dowiózł tutaj, do Highley, dworku, którego – przynajmniej z nazwiska – była panią. Nazwisko jednak nie daje żadnych praw. Nie kobietom. W rzeczywistości była tu zaledwie gościem. A nawet i nie tym. I bardzo możliwe, że tak pozostanie.

Dorożka odjechała, znikając w strugach deszczu, który wkrótce prawdopodobnie zamieni się w ciężki mokry śnieg. Sera podniosła wzrok

na masywne drzwi pogrążonego w ciemności domu, zastanawiając się nad następnym krokiem. Był środek nocy, służba pewnie już dawno spała, nie miała jednak wyboru, musiała kogoś obudzić. Nie mogła zostać na dworze. Jeśliby to zrobiła, nie przeżyłaby do rana.

Przelała się przez nią fala straszliwego bólu. Przyłożyła dłoń do brzucha.

Oni by nie przeżyli.

Ból minął, znów mogła złapać oddech. Podniosła kunsztowną kołatkę i opuściła ją na drzwi. Łoskot, jaki się rozległ, był mroczny i złowieszczy jak trzask topora kata opadającego na powódź obaw. Co będzie, jeśli nikt jej nie otworzy? A nawet gorzej – co, jeśli przejechała taką drogę wbrew rozsądkowi, a okaże się, że w domu nikogo nie ma?

Te obawy okazały się jednak bezpodstawne. Highley to główna siedziba księcia Haven, służby było tu zawsze aż nadto. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich młody zaspany lokaj w liberii. Jego ciekawość natychmiast ustąpiła miejsca zaszokowaniu, gdy zobaczył, jak przez Serę ponownie przelewa się fala bólu.

Zanim lokaj zdążył się odezwać, zanim zdążyłby zamknąć przed nią drzwi, szybko dała krok za próg, jedną ręką trzymając się za brzuch, drugą zaciskając na ościeżnicy.

– Haven. – Tylko tyle zdołała wydusić, zanim zgięła się wpół.

– Ha… – Lokaj przerwał. – Jego Wysokość, to znaczy… jego tu nie ma.

Jakoś zdołała spojrzeć w górę, w przyćmionym świetle odnalazła oczy chłopaka.

– Znasz mnie?

Jego spojrzenie przeskoczyło do jej powiększonego obwodu. I z powrotem.

Rozłożyła szeroko palce dłoni spoczywającej na dziecku w jej łonie.

– Dziedzic.

Kiwnął głową, a ją zalała ulga, potem fala ciepła. Zachwiała się, a oczy młodego służącego, szeroko rozwarte, przeniosły się na posadzkę pod ich

stopami.

To nie ulga. To krew.

– Och… – zaczął i nie skończył, resztę zdania pochłonął szok.

Sera chwiała się w drzwiach, sięgając do lokaja, jeszcze tak naprawdę dziecka, które miało to nieszczęście, że stało dzisiaj na straży. Wziął ją za rękę.

– On jest na górze – szepnął.

A więc jest w domu. Potężny aż tak, że potrafił nawet słońce nagiąć do swojej woli.

To mogłaby być wdzięczność, gdyby nie ból. To mogłaby być radość, gdyby nie strach. I to mogłoby być życie, gdyby nie to, co nagle zrozumiała, że nastąpi.

„Wyjdź”, usłyszała w głowie. Oczami wyobraźni zobaczyła jego lodowaty wzrok, kiedy ją przepędzał sprzed swoich oczu przed miesiącami. A potem, w jakiś sposób…

„Chodź tu”. Znowu to spojrzenie, tym razem spod półprzymkniętych powiek. Zdesperowane. Gorące jak słońce. A potem jego szept, miękki i piękny, do jej ucha. „Jesteś dla mnie stworzona. Jesteśmy stworzeni dla siebie”.

Do teraźniejszości przywołał ją kolejny atak bólu, ostrego, kłującego, oznaczającego, że dzieje się coś bardzo złego. Jakby krew na jej sukni i na marmurowej posadzce nie była wystarczającym heroldem. Krzyknęła. Głośniej niż mogłaby się spodziewać. Bo nagle zobaczyła, że w przedsionku jest ktoś jeszcze. Jakaś kobieta.

Ona i lokaj rozmawiali, ale Sera nie słyszała słów. Potem kobieta zniknęła, Sera została w ciemności sama ze swoimi błędami i z tym chłopcem, drogim, słodkim chłopcem, który do niej przywarł. Albo ona do niego.

– Poszła po niego.

Oczywiście było już za późno. Pod tak wieloma względami.

Nie powinna była przyjeżdżać.

Sapiąc z bólu, osunęła się na kolana. Bezbrzeżny żal. Nigdy nie pozna ich dziecka. Ciemnowłosego, z szerokim uśmiechem, tak bystrego jak jego ojciec. I tak jak on osamotnionego.

Gdyby tylko dane jej było przeżyć, kochałaby ich. Może to by wystarczyło.

Ale ona umrze, tutaj, w tym miejscu. Zaledwie kilka kroków od jedynego mężczyzny, którego kochała. Nie powiedziawszy mu tego. Przez głowę przeleciało jej pytanie, czy on się przejmie jej śmiercią. Odpowiedź, jaką usłyszała, przeraziła ją bardziej niż cała reszta. Wiedziała, bez cienia wątpliwości, że odpowiedź podąży za nią w zaświaty.

Chwyciła dłoń chłopaka.

– Powiedz mi, jak masz na imię.

– Wasza Miłość?

Jeszcze mocniej wczepiła się w dłoń służącego.

– Sera – szepnęła. Umierała i chciała, żeby ktoś wymówił jej imię, a nie jej tytuł. Chciała czegoś prawdziwego. Czegoś, co by ją połączyło z normalnością. – Ja mam na imię Seraphina.

Drogi chłopak przywarł do niej. Kiwnął głową. Grdyka na jego zbyt chudej szyi podskakiwała z nerwów.

– Daniel – powiedział. – Co mam zrobić?

– Moje dziecko – szepnęła. – Jego dziecko.

Chłopak kiwnął głową. Nagle wydał się Serze o wiele doroślejszy.

– Czy jest coś, czego pani pragnie?

– Malcolma – odparła, bo już dłużej nie potrafiła ukrywać prawdy. Nie chciała jej już dłużej w sobie zatrzymywać, bała się, że ją pochłonie. Jeszcze tylko ten jeden raz. Tylko na tak długo, żeby zdążyła wszystko naprawić. – Pragnę Malcolma.

Książę Haven szarpnięciem otworzył drzwi pokoju, w którym leżała Sera – milcząca, nieruchoma i blada. Młoda pokojówka krzyknęła cicho z zaskoczenia, gospodyni, która trzymała szmatkę na czole Sery, spojrzała w górę.

Ale księcia nie interesował nikt poza żoną. Wbił wzrok w stojącego przy jej łóżku felczera.

– Ona ma żyć – warknął głosem przepełnionym emocjami, których nigdy wcześniej nie doświadczał. Z drugiej strony, przez Serę zawsze coś czuł. Nawet wtedy, kiedy bardzo tego nie chciał.

Felczer skinął głową.

– Żyje, wasza łaskawość, ale ledwie. Do zmierzchu zapewne umrze.

Te słowa go zmroziły. Zesztywniał, był bliski rozpadnięcia się. Niespełna godzinę temu trzymał w rękach swoje stracone dziecko, tak małe, że ledwie zajmowało mu całe dłonie, tak mu drogie, że nie chciał oddać córeczki pokojówce, która mu ją przyniosła.

Odesłał więc pokojówkę i siedział w ciszy, tuląc prawie nic nieważące ciałko córki, opłakując jej śmierć. A także jej życie. I wszystko, czym mogła być.

Rozpaczał, wiedząc, że pomimo jego praktycznie bezgranicznego bogactwa, władzy i pozycji nie mógł sprowadzić córki z powrotem. A gdy znów był w stanie myśleć o czymś innym niż rozpacz, pocieszenie odnalazł w furii.

Nie straci ich obu.

Popatrzył na felczera przez przymrużone oczy.

– Nie zrozumiałeś mnie pan. – Nie potrafiąc się powstrzymać, złapał mężczyznę za klapy surduta i zaczął grzmieć na tego starszego, mniejszego i słabszego człowieka: – Słyszysz pan? Ona ma żyć. – Felczer zaczął coś jąkać. Malcolma zalała fala wściekłości. Znowu potrząsnął lekarzem. – Moja żona ma żyć.

– Ja… ja nie mogę jej uratować, jeśli nie jest jej to pisane.

Puścił lekarza i nie zważając na to, że człowiek prawie zwalił się na ziemię, ruszył do Sery, uklęknął przy jej łóżku, wziął jej dłoń w swoją i nie mogą znieść tego, że jest taka zimna, mocno ją uścisnął, siłą woli pragnąc sprawić, żeby się rozgrzała. Przez chwilę przyglądał się żonie, zauważając to, czego wcześniej nigdy nie miał czasu zauważyć.

Jak to możliwe, że dopiero teraz, kiedy była taka blada i nieruchoma, na granicy śmierci, zdał sobie sprawę, jaka jest piękna? Te jej wysoko osadzone kości policzkowe, pełne wargi i te smoliste czarne rzęsy, niewiarygodnie długie, spoczywające na porcelanowej cerze.

Czego by nie oddał, żeby te rzęsy znowu zamrugały? Żeby żona popatrzyła na niego tymi oczami, których spojrzenie niezmiennie zapierało mu dech w piersiach, błękitnymi jak letnie niebo. Przyjąłby je ze wszystkim – wypełnione szczęściem, smutkiem, nienawiścią.

Tak wiele już stracił. I ona też. Czy coś mu jeszcze zostało? Czy ma coś jeszcze, co mógłby poświęcić? Nie, nie ma. Nie ma już nic. Zamknął oczy i przycisnął usta do zimnych palców, wiotkich, bezwładnych.

– Będziesz żyła, Sera. Nawet jeśli miałbym cię ściągnąć z samych niebios. Będziesz żyła.

– Wasza Książęca Mość.

Znieruchomiał na te słowa, wyraźne, wyprane z emocji, wypowiedziane od drzwi pokoju. Nie odwrócił twarzy do kobiety, która tam stała; nie potrafił znaleźć w sobie na to cierpliwości.

Suknia jego matki szeleściła, gdy matka się zbliżała.

– Haven.

Na dźwięk tytułu – tutaj, w tym momencie – ogarnęła go furia. Zawsze książę, nigdy człowiek. Ileż to razy przypominała mu jego miejsce? Jego pozycję? To, ile poświęciła, żeby mu ją zapewnić? Co zrobiło z niej jedną z najgroźniejszych kobiet w całej Anglii. Niechęć księżnej Haven mogła zrujnować każdą dziewczynę, zanim nawet jeszcze zdążyłaby mieć jakiekolwiek szanse.

Nie księżnej. Księżnej wdowy.

Malcolm wstał i odwrócił się do matki, zasłaniając jej widok Seraphiny. Nagle z całą żarliwością zapragnął, aby matka opuściła pokój. Żeby znalazła się jak najdalej od jego żony.

Wyminął starszą kobietę oraz felczera i wyszedł na korytarz, rozpędzając stojące tam ze spuszczonymi głowami, szepczące do siebie pokojówki. Przełknął chęć ryknięcia na nie. Chęć postąpienia wbrew dekadom treningu odpowiedniego dla tytułu i pozycji zachowania.

– Dramatyzujesz! – zawołała za nim matka. Największy ze wszystkich grzechów.

Serce zaczęło mu walić jak młotem.

– Moje dziecko nie żyje. Moja żona już prawie też. – Jej spojrzenie nie złagodniało. Nie powinien być zaskoczony tym faktem, a jednak był bliski wpadnięcia w szał. Tylko że książęta nie wpadają w szał. Zamiast tego popatrzył w zimne niebieskie oczy i rzekł: – Twój wnuk nie żyje.

– Dziewczynka.

Oblało go gorąco.

– Córka.

– Ale nie dziedzic – przypomniała mu z lodowatą dezaprobatą. – A teraz, jeśli ci się poszczęści, będziesz mógł zacząć od nowa.

Gorąco zamieniło się w pożar. Szalał w nim, czepiał się pazurami jego gardła. Dusił go.

– Jeśli mi się poszczęści?

– Jeśli dziewczyna Talbotów umrze. Lekarz mówi, że nawet jeśli przeżyje, będzie bezpłodna, a więc już na nic się nie przyda. Możesz znaleźć sobie następną. Spłodzisz dziedzica. Z lepszym pochodzeniem.

Przymrużył oczy. Z powodu łomotu w uszach ledwie co rozumiał.

– To Sera jest księżną Haven.

– Tytuł nie ma znaczenia, jeśli nie może urodzić następnego księcia. Po to się z nią ożeniłeś, czyż nie? Ona i jej matka zastawiły na ciebie pułapkę.

Złapały cię w nią. Trzymały cię w niej obietnicą dziedzica. Ale teraz to już przeszłość. Cóż by ze mnie była za matka, gdybym nie życzyła ci uwolnienia się od tej taniej kobiety?

Dobierał słowa starannie.

– W tej chwili nie jesteś żadną matką, tylko zimną, bezduszną suką. I kiedy wrócę, nie chcę cię widzieć w tym domu.

Uniosła w górę jedną elegancką brew.

– Taka emocjonalność ci nie przystoi.

Zostawił wtedy matkę, bo sobie nie ufał, bo bał się, że puszczą mu nerwy, że wszystkie wyładuje na niej.

Zostawił matkę i poszedł pochować córkę. W zimnej styczniowej ziemi. I cały czas się modlił, żeby jego żona przeżyła.

Kiedy się obudziła, była sama w pokoju zalanym oślepiającym światłem dnia. Bolało ją wszystko – kości, mięśnie i miejsca, których nie potrafiła nazwać. Łącznie z tym, które jeszcze niedawno tak cudownie wypełniało coś więcej niż nadzieja, a które teraz było druzgocąco puste.

Przeciągnęła dłonią po narzucie, palce po miękkiej czyściutkiej poszwie kołdry przesunęły się na brzuch – obolały, spuchnięty, opuszczony. Uroniła łzę, a ta, wyznaczając szlak osamotnienia, po skroni stoczyła się we włosy i zniknęła. A wraz z nią ostatnie okruchy jej szczęścia.

Za oknem, nieprzysłonięte niczym poza grubym szkłem szyb, niebo mieniło się jaskrawym błękitem. Naga gałąź drzewa w oddali wyglądała na zdeformowaną, pokrywały ją duże czarne plamy.

To żadna deformacja. To wrony.

Jedna na smutek. Dwie na radość.

Oddech uwiązł jej w gardle.

– Płacz go nie przywróci.

Sera szybko odwróciła głowę w stronę głosu. Ale to nie był jej mąż, tylko teściowa, zdająca się wprawiać w nawyku pojawiania się tam, gdzie

jej nie chciano. Bo i zaiste było tak, że owdowiała księżna Haven regularnie objawiała się w najgorszych miejscach. W takich, które niszczyły marzenia. Ta kobieta to zwiastunka nieszczęścia. Nawet jeśli Sera nie wiedziałaby jeszcze w głębi duszy, że jej dziecko umarło, to powiedziałaby jej o tym obecność wdowy.

Odwróciła twarz z powrotem do okna, do nieba za nim, jasnego, wypełnionego ukradzionymi obietnicami. Do wron.

Trzy na ślub. Cztery na narodziny.

Nie odezwała się. Nie potrafiła znaleźć słów, a nawet gdyby potrafiła, nie chciała dzielić się nimi z tą kobietą.

Ale wdowa znalazła słowa za nie obie. Zbliżała się i paplała, jakby opowiadała o pogodzie.

– Możesz mnie nie lubić, Seraphino, ale mnie wysłuchasz.

Sera się nie poruszyła.

– Wcale się aż tak nie różnimy, ty i ja – ciągnęła starsza kobieta. – Obie popełniłyśmy błąd i podstępem zmusiłyśmy mężczyznę do małżeństwa. Różnica między nami jest taka, że moje dziecko przeżyło. – Urwała, a Sera, nagle straszliwie wyczerpana samą obecnością wdowy, zapragnęła, żeby ta wyszła. – Gdyby było inaczej, uciekłabym.

Ucieczka to wspaniały pomysł.

Czy mogłaby przed tym uciec? Prześcignąć smutek? Prześcignąć ból? Prześcignąć jego?

– Miłość w naszym małżeństwie nie ucierpiałaby, bo jej nie było. Tak zresztą jak i w twoim.

Oczywiście myliła się. Jej całe małżeństwo było zaprzepaszczoną miłością. A teraz, gdy tak leżała sama, w tym oślepiająco białym łożu, w oślepiająco białym pokoju tego straszliwie przygnębiającego domu, wiedziała, że już jej nie wskrzesi.

Już nigdy nie będzie miłości. Ani dla Malcolma. Ani dla ich dziecka. Ani dla niej. Jest sama, w pokoju, w życiu.

Gdyby tylko mogła uciec. Ale on wykradł jej wolność, tak samo jak skradł jej serce. I szczęście. I przyszłość.

– Jesteś bezpłodna.

Nie poczuła nic, bo w tej chwili te słowa nie miały dla niej żadnego znaczenia. Nie obchodziła jej przyszłość, fantazje o dzieciach, myślami była wyłącznie przy tym, które straciła. Przy tym, które oni stracili.

– On będzie potrzebował dziedzica.

Nie życzył sobie dziedzica. Czyż nie wyraził się jasno w tej kwestii?

Jego matka albo o tym nie wiedziała, albo na to nie zważała.

– Ty nie możesz mu go dać. Będzie musiał zrobić to ktoś inny.

Odwróciła wzrok.

– Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

Spojrzała na teściową, w jej szaroniebieskie oczy, lodowate zupełnie jak jej dusza. Nie udawała, że nie zrozumiała. Wiedziała, że ta nienawistna kobieta od zawsze marzy o tym, żeby się jej pozbyć. Wdowa nienawidziła jej od samego początku – nie akceptowała jej pochodzenia, ojca plebejusza, który w grono arystokracji wkupił się majątkiem, matki, która dla uzyskania wyższego statusu zrobiłaby wszystko, która każdemu, kto chciał słuchać, przechwalała się, że jej najstarsza córka usidliła księcia.

Sera też tak myślała. Sądziła, że go usidliła, że Malcolm jest jej. Pragnęła tego całym sercem.

Ale ta kobieta – ta zimna starzejąca się kobieta – dopilnowała, żeby tak się nigdy nie stało. Pomimo ciąży. Z powodu ciąży.

Aż do tej chwili Sera planowała zostać. Zamierzała błagać męża o wybaczenie. Zamierzała walczyć z wrogością wdowy. Ale to było przedtem. Tak było, kiedy jeszcze jej się wydawało, że któregoś dnia mogą stać się rodziną.

Kiedy jeszcze wciąż żywiła nadzieje na szczęście.

Teraz już wiedziała lepiej.

Gruba materia jej sukni zaszeleściła, kiedy wdowa podeszła bliżej.

– Mogłabyś uciec. Zacząć od nowa. Pozwolić jemu na to samo.

To było szaleństwo. A mimo to nie potrafiła się powstrzymać i spytała:

– A co z naszym małżeństwem?

W kąciku warg wdowy drgnął mięsień. Wyczuwała zwycięstwo.

– Za pieniądze da się kupić wszystko. Także unieważnienie.

Sera popatrzyła w stronę wron za oknem. Pięć na srebro. Sześć na złoto.

Wdowa ciągnęła.

– Brak potomstwa ułatwi sprawę.

Te słowa były lodowatą cichą torturą.

Brak ich dziecka nigdy nie będzie niczym łatwym.

– Wymień swoją cenę – szepnęła wdowa.

Sera milczała. Patrzyła na drzwi za plecami starszej kobiety. Chciała, żeby się otworzyły. Chciała, żeby jej mąż wrócił. Żeby był tak samo zrozpaczony jak ona. Żeby chciał opłakiwać śmierć ich dziecka. Ich przeszłość. Ich przyszłość.

Żeby chciał jej przebaczyć.

I prosić o przebaczenie ją.

Ale mahoniowe drzwi pozostały zamknięte.

On tego nie chciał, więc dlaczego ona miałaby chcieć? Dlaczego ona miałaby nie zamknąć za sobą drzwi? Dlaczego miałaby nie wybrać nowej drogi?

Ile to ma kosztować? Jaka jest cena za przyszłość? Jaka za ucieczkę? Jaka za życie, samotne, blade w porównaniu z tym, które jej obiecywano?

Samotne, ale własne.

Wymieniła szeptem horrendalną sumę. Wystarczająco dużą, żeby mogła odejść. Zawsze zbyt małą, żeby mogła zapomnieć.

Siedem na tajemnicę, której nigdy nie wolno wyjawić.

3. Uciążliwa księżna żąda rozwodu!

19 sierpnia 1836
Parlament, Izba Lordów

Był tak przystojny jak zawsze. Nie wiedziała, dlaczego oczekiwała, że będzie inaczej – minęły trzy lata, a nie trzydzieści – ale tak było. A może nie oczekiwała, tylko miała nadzieję. Żywiła maleńką sekretną nadzieję, że będzie mniej idealny. Mniej przystojny. Mniej, kropka.

Ale on nie był „mniej". Jeśli już, był „bardziej".

Twarz bardziej kanciasta, spojrzenie bardziej pochłaniające, był jeszcze wyższy, niż zapamiętała. I taki przystojny, nawet gdy do niej podszedł w tych starodawnych parlamentarnych szatach i w tej idiotycznej wypudrowanej peruce, w której powinien wyglądać jak dziecko na balu przebierańców, a wyglądał jak ktoś ważny, zdeterminowany.

Zdeterminowany, żeby usunąć ją z sali posiedzeń Izby Lordów.

Zachęcany ich buczeniem i gwizdami, rozdzielił równie krzykliwie wystrojonych członków parlamentu. Tych arystokratów, których pogardę znała aż nadto dobrze z wcześniejszego życia. Mężczyzn, którzy potrafili zrujnować kobietę w czasie jednego uderzenia serca. Którzy potrafili zniszczyć rodzinę i przyszłość. I to wszystko bez chwili zastanowienia.

Nie cierpiała ich, a jego najbardziej.

Ale już niedługo.

Teraz, kiedy wróciła, planowała zostawić nienawiść za sobą, gotowa była mu wybaczyć. Wyobrażała sobie ten moment miesiącami, jeszcze zanim wróciła do Anglii. Jej plan miał na celu doprowadzić go do takiej wściekłości, że ostatecznie zgodzi się na rozwiązanie ich małżeństwa. Haven bowiem niczego nie nienawidził bardziej, niż gdy robiło się z niego głupca.

Czyż nie to właśnie było powodem ich porażki od samego początku?

Podszedł do niej, patrząc na nią groźnie tymi oczami, które nie były ani brązowe, ani zielone, nie złote i nie szare, tylko w jakiś dziwny sposób wszystko to naraz. Fascynujące i tajemnicze. Oczy z rodzaju tych, przez które kobieta może stracić głowę, jeśli nie będzie uważała.

Ale ona teraz uważała.

Uważała i była mądra. Powstrzymała impuls każący się jej odsunąć, jednocześnie jednak obawiała się, co się może stać, jeśli on jej dotknie. Niemniej była zdecydowana nie dać mu się zastraszyć. Już nigdy więcej nie będzie przed nim uciekać.

Bo już nie była tą samą kobietą, jaką była, gdy odchodziła. Wróciła z jedną daną samej sobie obietnicą; kiedy tym razem od niego odejdzie, zrobi to z podniesioną głową, dumnie. Z determinacją. Z nadzieją na przyszłość.

Miała na nią swoje plany i nie zamierzała pozwolić, żeby ten mężczyzna je pokrzyżował.

– Mężu – rzuciła z pewnym siebie uśmiechem, kiedy się przed nią zatrzymał.

Inna kobieta mogłaby nie zwrócić uwagi na nieznaczne przymrużenie oczu, leciutkie falowanie płatków nosa, prawie niedostrzegalne zaciśnięcie się kwadratowej szczęki. Ale nie Sera. Sera dobrze znała tego dumnego i opanowanego mężczyznę, doskonale wiedziała, że prawdziwe emocje zdradza ledwie widocznymi gestami. Był zły. I bardzo dobrze.

– A więc mnie pamiętasz. – Słowa były ciche, ostre. Oczywiście, że pamiętała. Nieważne, jak bardzo się starała, wydawało się, że nie jest w

stanie zapomnieć.

A starała się.

Doskonale świadoma przysłuchującej się im publiczności, uniosła hardo brodę i wypuściła własną strzałę.

– Nie obawiaj się, małżonku. Przewiduję, że już niedługo będziemy musieli oglądać się wzajemnie.

– Robisz z siebie widowisko.

Pozwoliła, by jej uśmiech stał się promienniejszy.

– Mówisz tak, jakby to było coś złego.

Jedna brew powędrowała w górę, wyniośle jak zawsze.

– Robisz widowisko ze mnie.

Nie dała się zbić z tropu.

– Mówisz tak, jakbyś na to nie zasługiwał.

Nie sądziła, że do niej sięgnie, inaczej przygotowałaby się na to, co się stało, gdy jego palce zamknęły się na jej łokciu, stanowcze, ciepłe i o dziwo zaskakująco delikatne. Przygotowałaby się na atak wspomnień ze zbyt odległej przeszłości.

Nigdy czegoś takiego nie czułam.

Oparła się tym wspomnieniom i zabrała rękę z jego uścisku, z gracją, ale stanowczo. Nie miał wyboru, musiał ją puścić, choć zarazem, zniżając głos do ledwie słyszalnego szeptu, zapytał:

– Kim ty jesteś?

Tym razem to jej brew poszybowała w górę.

– Nie rozpoznajesz mnie?

– Tej inkarnacji, nie.

Inkarnacja. Niezłe określenie, bo rzeczywiście się odrodziła. Tak się dzieje z tymi, którzy umarli i powrócili.

– Wcześniej nie znałam jeszcze smaku wolności.

Jego wargi rozciągnęły się i zacisnęły. Zanim zdążył odpowiedzieć, jakiś mężczyzna z tyłu zawołał:

– Ej! Haven! Tej dzierlatki nie powinno tu być!

Sera odwróciła się w stronę wołającego mężczyzny.

– Hrabio, milordzie, domyślam się, że miałeś zamiar nazwać mnie księżną.

Zebrani mężowie zaczęli buczeć i sarkać, hrabia, do którego zwróciła się Sera – teraz z uszami czerwonymi jak piwonia – znów krzyknął do Havena:

– Zapanuj nad swoją kobietą, chłopie!

Sera powróciła uwagą do męża, nie ściszyła jednak głosu.

– To imponujące, że jemu się wydaje, iż jesteś w stanie to zrobić.

Zobaczyła, że oczy męża się zwężają, serce zabiło jej mocniej. Rozpoznawała to spojrzenie. Spojrzenie zwierzęcia, zaatakowanego.

Niech się na nią rzuci, proszę bardzo. Ona też ma kły.

– Mój gabinet. Natychmiast.

– A jeśli odmówię? – Chyba zdał sobie sprawę z jej siły. Widziała to w jego oczach. No bo jakie inne żony potrafiłyby tak stać, przed Bogiem i całą Izbą Lordów, nie tracąc opanowania, nie przejmując się reperkusjami?

Ale w tym właśnie tkwiła cała tajemnica. Jeśli ktoś nie obawia się ruiny, takiemu komuś nie można nią grozić. A ponieważ Sera doświadczyła zniszczenia w każdej postaci, zmierzyła się z nią i przeżyła, nie bała się jej, a on nie mógł jej nic zrobić. Zniknęła z Londynu na prawie trzy lata, jej reputacja legła w gruzach na długo, zanim postawiła stopę w powozie, który wywiózł ją z posiadłości Havena tamtego dawno minionego zimowego dnia. To zadziwiające, jaką się ma władzę, gdy nie ma się już nic do stracenia.

A przynajmniej kiedy wszystkim innym się wydaje, że się nie ma.

Tak więc stała teraz przed tym najpotężniejszym zgromadzeniem w Wielkiej Brytanii, twarzą w twarz ze swoim mężem, który zawsze władał nią, jej sercem, jej ciałem i tożsamością, i wreszcie mu równa, czekała na jego reakcję.

Nie spodziewała się, że się uśmiechnie.

– Nie odmówisz.

– A skąd ta pewność? – spytała, nagle zaniepokojona, chociaż wolałaby sczeznąć niż to po sobie pokazać.

– Bo jeśli chcesz rozwodu, to żeby go otrzymać, będziesz potrzebowała mojej asysty.

Serce zaczęło jej walić jak młotem. Zgodzi się? Da jej rozwód? Uwolni ją? Czy to może być aż tak łatwe? Zalała ją ekscytacja. I poczucie zwycięstwa. I coś jeszcze, coś, w co nie chciała się zagłębiać. Zamiast tego więc z przesadną fantazją machnęła dłonią.

– Ależ jak najbardziej, Wasza Książęca Mość. Proszę prowadzić.

Przy wtórze kakofonii pomruków zgorszenia i prychnięć niesmaku opuścili salę obrad i wyszli na spowity w ciszy korytarz na zewnątrz. Tam Haven wyrównał z nią krok i spytał miękko:

– I co? Naprawdę warte to było tego całego wstydu? Tego skandalu?

– Błędnie mnie oceniasz, jeśli uważasz, że mogę się czuć skrępowana opiniami tych ludzi – odparła. – Doświadczyłam ich krytyki w przeszłości i spotkam się z nią w przyszłości.

– I to zapewne nie raz, jeśli uda ci się uzyskać to, czego chcesz.

Miał na myśli rozwód. I to, że już nigdy nie odzyska aprobaty socjety. Cóż, nie wiedział, że jej na niej nie zależało.

– Chciałeś powiedzieć, kiedy mi się uda.

Zatrzymał się przed masywnymi drzwiami i je otworzył, odsłaniając mieszczący się za nimi imponujący pokój, jeden z tych zarezerwowanych dla książąt, którzy chcieli mieć w Izbie własne gabinety. Pokój był przestronny i onieśmielający, mahoń, skóra i złocenia, każda powierzchnia wygrawerowana uprzywilejowaniem i władzą.

Sera weszła do środka, wbrew sobie zmuszona lekko otrzeć się w drzwiach o męża, co z miejsca podziałało na nią elektryzująco. A to było, jeszcze zanim przypłynęły wspomnienia.

Bo ona już tu kiedyś była. Zakradła się do tego pokoju potajemnie, żeby spotkać się z Havenem. Żeby go zaskoczyć. Tak jak zaskoczyła go dzisiaj.

Nie, to nieprawda. Tamten dzień zupełnie nie przypominał dzisiejszego. Był jego przeciwieństwem.

Tamtego dnia przyszła po miłość.

Zignorowała tę myśl i odwróciła się do męża, lekko skrępowana, gdy drzwi za nią zamknęły się z cichym kliknięciem. Haven zdarł z głowy perukę i lekceważącym gestem, zadającym kłam jego zewnętrznemu spokojowi, rzucił ją na najbliższe krzesło, po czym zabrał się do rozpinania togi. Ona zaś przekonała się, że nie potrafi odwrócić oczu i nie patrzeć na tę dużą i pewną dłoń, opaloną, silną, kuszącą. Kiedy już odwiesił togę na miejsce, przeszedł w głąb pokoju.

– Gdzie byłaś?

Podeszła do dużego okna wychodzącego na wschód, tam, gdzie w oddali polśniewała kopuła katedry Świętego Pawła. Krzyżując ręce na piersi z afektowaną nonszalancją, odparła:

– A czy to istotne?

– Skoro uciekłaś i pół Londynu myśli, że popełniłem jakiś nikczemny czyn, to i owszem, istotne.

– Myślą, że nie żyję?

– Nie mówią tego, ale wyobrażam sobie, że tak właśnie myślą. Twoje siostry też nie pomagają, bombardując mnie nienawistnymi spojrzeniami wszędzie, gdzie się spotkamy.

Ostro wciągnęła powietrze, zła na to, że jej serce zacisnęło się mocno na wzmiankę o czterech młodszych siostrach. Kolejne stracone miłości.

– A pozostała połowa Londynu? Co ona myśli?

– Pewnie podobnie, tylko nie obwiniają mnie.

– Uważają, że sobie zasłużyłam. No, oczywiście. – Nie odpowiedział, ale ona domyślała się, co mówiono. Zasłużyła sobie na swój los, bo biednego szacownego księcia podstępem zmusiła do małżeństwa i jeszcze nie była na

tyle przyzwoita, żeby obdarzyć go dziedzicem. Ignorując ukłucie bólu na niesprawiedliwość takiego oglądu, powiedziała:

– A ja tu jednak jestem, i to jak najbardziej żywa. Wyobrażam sobie, że dopiero teraz języki naprawdę pójdą w ruch.

– Gdzie byłaś? – Pytanie było wypowiedziane ciepło i gdyby go nie znała, pomyślałaby, że w jego tonie pobrzmiewa coś innego niż frustracja.

Jej uwagę przyciągnął rządek czarnych wron, które przysiadły na dachu przeciwległego skrzydła budynku. Pióra ptaków migotały w sierpniowym słońcu. Zanim odpowiedziała, policzyła wrony. Siedem.

– Daleko.

– I to cała odpowiedź, jaką otrzymam? Ja…

Zastanowiło ją, że się zawahał. Odwróciła się.

– Ty?

Przez chwilę wyglądał, jakby zamierzał coś dodać, ale ostatecznie pokręcił głową.

– A więc wróciłaś.

– I jestem jeszcze większym kłopotem, czyż nie?

Oparł się o wielkie dębowe biurko, w palcach dłoni trzymał kryształową szklaneczkę.

– Nie zaproponujesz żonie drinka?

Przechylił lekko głowę, jedyny dowód jego zaskoczenia, potem się wyprostował i podszedł do pobliskiego stolika, na którym stała karafka i trzy kryształowe szklaneczki. Nalał do jednej odrobinę bursztynowego płynu i podał jej szklaneczkę – ruchy miał takie jak zawsze, wyniosłe i pełne gracji.

Odebrała szklaneczkę, upiła z niej łyk, a potem stali w milczeniu do momentu, aż dłużej nie mogła tego znieść.

– Mój powrót powinien cię cieszyć – oznajmiła.

– Doprawdy?

Oddałaby wszystko, żeby wiedzieć, o czym myśli.

– Dzięki rozwodowi będziesz miał wszystko, czego zawsze chciałeś.

Pociągnął ze szklaneczki.

– Jak na to wpadłaś, że zawsze marzyłem o tym, żeby pisały o mnie wszystkie londyńskie gazety?

– Ożeniłeś się z jedną z sióstr Talbot, Wasza Książęca Mość. – Pięć dziewcząt, okrytych złą sławą, które brukowce nazywały Smoluchami, córki hrabiego Wighta, niegdyś handlarza węglem, z talentem do wynajdowania drogocennych złóż. Handlarza na tyle utalentowanego, że kupił sobie tytuł. Hrabia czy nie hrabia, reszta arystokracji nie mogła strawić rodziny, nienawidząc jej za imponującą umiejętność wspinania się po szczeblach drabiny towarzyskiej, przypinając jej łatkę ludzi goniących za blichtrem. Ironia oczywiście tkwiła w tym, że ich ojciec dorobił się majątku pracą, a nie odziedziczył go po przodkach.

Jakże ten świat potrafi być postawiony na głowie.

– Zatem moje przeznaczenie to Niebezpieczna Córka.

Powstrzymała grymas odrazy na dźwięk tego przezwiska. Przezwiska, którego się dorobiła w imieniu wszystkich sióstr.

„Zastawiłaś na mnie pułapkę”.

„Tak”.

„Wyjdź”.

– Ale nie jakaś byle jaka – zakpiła, nie zamierzając się poddać. – Tylko ta najgroźniejsza ze wszystkich.

Przez chwilę przyglądał się jej, patrząc tak, jakby potrafił czytać jej w myślach. Powstrzymała chęć przestąpienia z nogi na nogę.

– Jeśli nie chcesz powiedzieć, gdzie byłaś, to może przynajmniej wyjaśnisz, dlaczego wróciłaś?

Znowu upiła łyk alkoholu. Chciała kupić sobie czas, zanim skłamie.

– Czyż nie wyraziłam się już dostatecznie jasno?

– Sądzisz, że rozwód tak łatwo uzyskać?

– Wiem, że nie, ale czy wolisz… to?

Nie odwrócił oczu, jego spojrzenie ją krępowało, miała wrażenie, że przeszywa ją nim na wskroś.

– Nie będziemy pierwsi, którzy cierpią w pozbawionym miłości małżeństwie.

Ono nie zawsze było takie.

– Ja już się wystarczająco nacierpiałam. – Rozłożyła szeroko ręce. – I w przeciwieństwie do ludzi z arystokracji nie muszę tego nieszczęsnego związku ciągnąć. Nie mam nic do stracenia.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Każdy ma coś do stracenia.

Odpowiedziała mu równie wyniosłym spojrzeniem.

– Zapominasz, mężu, że ja straciłam już wszystko.

Odwrócił oczy.

– Nie zapominam. – Pociągnął ze szklaneczki, mocniej zaciskając na niej palce. To ją zastanowiło, ale zaraz zdecydowała, że nie będzie tego roztrząsała. Nie obchodzi jej, co takiego nosi w swojej pamięci.

Obchodziło ją jedynie to, że jest człowiekiem o potężnej władzy, z imponującymi koneksjami, i że rozwiązanie ich małżeństwa to podstawa w życiu, które dla siebie wybrała. Tego, które odbudowała z popiołów poprzedniego.

– Pozwól, że będę z tobą całkowicie szczera, Haven – zaczęła, przybierając formalny ton. – To nasza jedyna szansa na pozbycie się siebie nawzajem. Na pozbycie się naszej przeszłości. – Przerwała. – Czy może miałeś inne plany na przepędzenie demonów naszego małżeństwa?

Westchnął ciężko, wyprostował się i obszedł biurko z miną taką, jakby miał dość tej rozmowy. Obserwowała go, zastanawiając się, co powinna zrobić. Zastanawiając się, o czym myśli.

– Miałeś?

– Prawdę mówiąc tak, miałem.

Zaskoczył ją. Istniały tylko trzy sposoby na rozwiązanie małżeństwa. Jej był jednym z nich. Pozostałe…

– Unieważnienie nie wchodzi w grę – powiedziała szybko, nienawidząc nutki smutku w swoim głosie. Smutku na myśl, że mógłby chcieć się przy tym upierać. W ich małżeństwie było…

Było dziecko.

Popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie myślałem o unieważnieniu.

– W takim razie zamierzałeś doprowadzić do uznania mnie za zmarłą. – To też oczywiście przyszło jej do głowy. W nocy, kiedy zastanawiała się nad możliwością tego, że mógłby chcieć mieć dziedzica. Że być może zmienił zdanie. Że mógł uznać, że nowa kobieta i nowa rodzina to coś godnego pożądania.

Istniał tylko jeden sposób na oczyszczenie drogi dla nowego dziedzica. Kłopot jednak tkwił w tym, że ona żyła. No i w jeszcze jednej pomniejszej kwestii.

– Od teraz za cztery lata? – Prawo wymagało, żeby minęło siedem, zanim jakąś osobę można było uznać za zmarłą. Odwrócił wzrok. – Ach, ale ty masz pieniądze i władzę, możesz więc obejść tak nieistotną rzecz jak upływ czasu, prawda, książę?

Przymrużył oczy.

– Mówisz tak, jakbyś sama nie planowała wykorzystać tych samych pieniędzy do przekonania parlamentu, żeby zgodził się na nasz rozwód… na coś tak niewyobrażalnie kosztownego, że takich zgód wydano ile? Dwieście pięćdziesiąt? W całej historii?

– Trzysta czternaście – poprawiła. – Ale przynajmniej na końcu mojego planu oboje pozostajemy przy życiu. Miałam umrzeć niedługo? Mam szczęście, że pojawiłam się przed letnią przerwą, a nie po niej? Kiedy parlament wróciłby z wakacji, wypoczęty i gotowy do usunięcia jednej księżnej, żeby zrobić miejsce dla następnej?

– To już chyba bez znaczenia, nie uważasz? – odparł tak spokojnie, że ogarnęła ją straszna złość.

A nie powinna. Miała tylko jeden cel. Śpiewającego Wróbla, jej tawernę. Oraz z zyskami z niej osiąganymi – wolność i przyszłość. Ale nic z tego nie będzie jej udziałem, jeśli nie przetnie więzów, jeśli nie uwolni się od małżeństwa.

– No więc, przejdź już do sedna, Sera. Jaki ma być powód rozwiązania naszego niegdyś legendarnego związku? Masz ograniczone możliwości. Zatem, co to ma być? Poskarżysz się moim kolegom, że byłem okrutny? Oświadczysz całemu Londynowi, że jestem szaleńcem? A może, że cię zmusiłem do wyjścia za mnie? Nie – sarknął. – Wszyscy wiedzą, że uczyniłaś to całkiem chętnie. Prawie biegłaś do ołtarza, żeby dać się do mnie przykuć.

– Jakaż ja byłam wtedy głupiutka – warknęła. – Ale to tylko dlatego, że jeszcze nie znałam prawdy.

Przymrużył oczy.

– To znaczy? Cóż to za prawda?

Że nigdy mnie nie chciałeś. Że bardziej zależało ci na tytule niż na naszej przyszłości. Że nigdy nie będziemy niczym więcej, a tylko ulotną chwilą. Że zupełnie się nie przejąłeś, gdy się okazało, że nie mamy szansy stworzyć rodziny.

– To bez znaczenia.

– Nigdy cię nie okłamałem – oznajmił.

Te słowa to było echo słów sprzed lat. „Skłamałaś”. Wciąż je słyszała, jakby wypowiedział je wczoraj, a nie trzy lata temu, kiedy nie chciał jej wysłuchać. Kiedy nie chciał jej uwierzyć.

Bo ona nie skłamała. Nie wtedy, gdy to było ważne. Podniosła brodę, hardo, obronnie.

– W tym przypadku, mężu, pamięć jednak cię zawodzi.

Odstawił swoją szklaneczkę z głośnym i złowieszczym stukiem na biurko i ruszył ku niej, jedyną oznaką jego wzburzenia był drgający na policzku mięsień.

Na ten widok serce Sery zabiło szybciej, ale je uspokoiła siłą woli. Chciała rozwścieczyć męża. Chciała wyprowadzić go z równowagi. Aż tak, żeby zapragnął, aby sobie poszła. Żeby dał jej to, czego chciała. Żeby ją uwolnił. Przyszła tu, bo tak sobie zaplanowała. Miała go zirytować, na resztę lata zostawić z dręczącym niesmakiem.

Tylko że nie spodziewała się, że tak ją usidlą wspomnienia.

– Nie zawodzi, Seraphino. Nie zapomniałem niczego. I ty też nie zapomniałaś. – Podszedł do niej jeszcze bliżej, a ona nie mogła się powstrzymać i dała krok w tył. Szybko jednak wzięła głęboki wdech, nie godząc się na to, żeby ją onieśmielił.

Ale on tego nie zrobił, zrobił coś o wiele gorszego.

Wyciągnął do niej rękę i położył ją na jej szyi. Delikatnie, lekko, tak że prawie tego nie czuła.

– Myślisz, że nie pamiętam cię na tyle dobrze, żeby tego nie widzieć? Myślisz, że nie wiedziałem, jak opadły cię wspomnienia, kiedy przekraczałaś te drzwi? Kiedy wchodziłaś do tego pokoju? Myślisz, że nie mam tych samych wspomnień? O ostatnim razie, gdy tu byłaś? W tym pokoju?

Przełknęła ślinę, nie podobało jej się, że tak się do niej przysunął.

– Nie przypominam sobie, żebym tu wcześniej była.

– Okłamuj całą resztę świata, Sera – rzucił, przesuwając palce z szyi na ramię. Nie odsunie się. Nie da mu wygrać. – Okłamuj nawet mnie. Kłam na temat swojej przeszłości, na temat planów na przyszłość. O tym, gdzie byłaś i dokąd planujesz się udać. Ale nie wyobrażaj sobie, nigdy, przenigdy, że nie wiem, co się gnieździ w twojej pamięci.

Znów przesunął palce na szyję, a potem na brodę, którą lekko uniósł.

– Nie wyobrażaj sobie – ciągnął jedwabistym głosem – że nie wiem, iż przyglądałaś się, jak zdejmuję togę, i myślałaś przy tym o jej grubości. O tym, jaka była miękka w zetknięciu z twoją skórą. O tym, jak kiedyś leżałaś na niej nago, tutaj, na tej podłodze. O tym, jak ja leżałem obok ciebie.

Stał teraz bardzo blisko, na tyle, że czuła jego zapach – skóry i ziemi, jakby przyszedł z pól, a nie z izby parlamentarnej – odurzona jego bliskością, mimo że jego słowa kłuły.

Mimo że powtarzała sobie, że nic ją one nie obchodzą.

– Pamiętam, Sero. Pamiętam, jak smakowałaś, jak blask słońca i jak spokój. Pamiętam, jaka była twoja skóra, rozgrzana, jedwabista. Pamiętam twój zdyszany oddech, którym wykradałaś mój własny. Którym wykradałaś mnie samego. Pamiętam, jak mi się oddałaś, jak w nagrodę. Sprawiłaś, że w ciebie uwierzyłem. Uwierzyłem w nas. Zanim upadłem, a ty zatriumfowałaś.

Insynuacja, że to ona zniszczyła ich związek, że to przez nią nie mieli tego, co mogliby mieć, nie powinna jej zaskoczyć, a jednak zaskoczyła. Sprawiła, że odnalazła własne słowa i zadała własny cios.

– Nigdy nie triumfowałam. To był największy błąd mojego życia.

Trafiła celnie. Puścił ją. Dzięki Bogu.

– Zdobyłaś swój wymarzony tytuł, czyż nie? A twoje siostry zdobyły możliwość dalszego wspinania się po szczeblach arystokratycznej drabiny. Twoja matka mogła się chwalić swoim zwycięstwem przed całym światem. Jej najstarsza córka złapała księcia.

Tylko dlatego, że nigdy niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak pragnęłam ciebie.

Pokręciła głową, nienawidząc tego, że Haven stoi tak blisko. Nienawidząc siebie za to, że go pożąda, chociaż nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

– Ale teraz już go nie chcę.

Przysunął się, wbił w nią oczy, zmusił, żeby podniosła głowę, żeby na niego patrzyła.

– Trzeba się było nad tym zastanawiać, zanim go przyjęłaś. – Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że poczuła na sobie jego miękki ciepły oddech. Na ustach. – Myślisz, że nie zniszczyłaś tego miejsca? Tego gabinetu, który jest przeznaczony dla ludzi z misją? Dla ludzi poważnych, szanowanych, wprowadzających porządek. Sądzisz, że nie przypomina mi on stale o tobie? O przyszłości, którą moglibyśmy mieć?

To było kłamstwo, oczywiście. Wcale nie myślał o ich przyszłości. A jeśli nawet, to z gniewem, z niczym więcej. A mimo to bawił się nią nawet teraz, rozbudzał emocje. Zawsze była dla niego zabawką. Nigdy kimś, kto jest mu równy. Pokręciła głową, nie zgadzając się na to, żeby zachwiał jej determinacją. Nie zgadzając się na odciągnięcie jej od celu, jaki sobie wyznaczyła.

– Już wystarczy – rzuciła krótko. – To wszystko to zamierzchła przeszłość.

Roześmiał się na te słowa, ale to był ponury śmiech.

– Przeszłość to tylko prolog, Aniele. Myślę o niej codziennie.

Rozchyliła wargi i sapnęła bezdźwięcznie. Stał teraz tak blisko, że mógłby ją pocałować, i nagle ona też to sobie przypomniała. Jego dotyk. Jego smak. To, jak sprawiał, że umierała z pożądania za nim.

Nachylił się do niej, leciutko, niemal niezauważalnie. Ale ona to zauważyła. I poczuła, że zwycięża. Po pokoju rozszedł się jej szept:

– Twoja pamięć cię zawodzi, mężu, jeśli uważasz, że sama zasiałam to spustoszenie. Na tej todze było nas dwoje. Tamtego dnia w Highley, kiedy złapałam cię w pułapkę, też byliśmy oboje. I w Londynie, w dniu, gdy cię błagałam, żebyś oddał mi wolność, w dniu, w którym przysiągłeś, że się na mnie zemścisz za moje grzechy, i odmówiłeś mi jedynej rzeczy, której kiedykolwiek pragnęłam. – Była dumna ze stali w swoim głosie. Z tego, że potrafi wypowiadać te słowa i głos się jej nie załamuje, choć przywoływała

pamięć dziecka, które straciła, a wraz z nim całą nadzieję. Była dumna, że potrafi utrzymać się w postanowieniu i wyłuszczyć swoje racje do końca. – No ale być może nie masz tak dobrej pamięci do szczegółów, jak ci się wydaje. Bo też trudno jest spamiętać te wszystkie chwile spędzone ze mną, zwłaszcza że od tamtego czasu w twoim życiu przewinęło się tyle innych kobiet.

Rozkoszowała się jego reakcją, tym, jak jego głowa poderwała się w górę, tym, jak jego oczy – te piękne, tajemnicze oczy – odszukały spojrzenie jej oczu. Patrzył na nią, było oczywiste, że jest wściekły, a ona czekała na jego następny ruch. I pożądała go, chociaż zarazem się za to nienawidziła.

Tylko że z nimi tak było zawsze. Intensywnie, niewyobrażalnie kusząco, nawet jeśli to bolało.

– A więc mamy już powód rozwodu. Zdradę. – Odwracając wzrok, potarł dłonią kark, po czym cicho się roześmiał. – Na nieszczęście to Londyn i rok 1836, i choć ty możesz się uważać za wielce skrzywdzoną, prawo tak tego nie widzi. Moje czyny, których się dopuściłem poza naszą sypialnią, nie stanowią podstawy do rozwodu. Będziesz musiała poszukać czegoś innego.

Udając znudzoną, strzepnęła z rękawa sukni niewidzialny pyłek.

– Bez obaw, książę. Zawsze pozostaje jeszcze impotencja.

Jego usta ułożyły się w cienką prostą linijkę, a Sera z mocno bijącym sercem – na skutek jego bliskości, na skutek wspomnień, paniki i czegoś jeszcze, czego nie chciała nazwać – przepchnąwszy się obok męża, skierowała się do drzwi. Sięgając do klamki, wolno wypuściła długo wstrzymywany oddech i się odwróciła.

Haven stał przy oknie i przez nie wyglądał. Płynna złota słoneczna poświata mieniła się wokół niego niczym aureola, podkreślając jego szerokie barki, proste plecy, silne ramiona i wąskie biodra. Nienawidziła się za to, że to wszystko zauważa. Że pamięta, jaki był w dotyku. Że pamięta jego ciepło.

– Malcolm – rzuciła, chociaż już naciskała na klamkę. Znieruchomiał na dźwięk swojego imienia, nie obejrzał się jednak nawet wtedy, gdy dumnie i wyraźnie dokończyła: – Chyba powinnam zwrócić ci uwagę, że choć niewierność męża to być może niewystarczająca podstawa do uzyskania rozwodu, ale już żony to zupełnie inna historia.

I z tą zamykającą temat salwą księżna Haven opuściła budynek parlamentu, pozostawiając za sobą smugę skandalu.

Smugę skandalu oraz męża tak poirytowanego, że Sera wyobrażała sobie, iż rozwód otrzyma szybko i bez wahania.

4. Taka piękna Seraphina! Książę o sarnich oczach spotyka swoją połówkę

Trzy lata, cztery miesiące i dwa tygodnie wcześniej.
Mayfair, Londyn, 1 marca 1833

To pewne, że na świecie nie ma nic gorszego od pierwszego balu sezonu. – Haven przez tłum gości przepchnął się na mały balkon w Worthington House, z radością witając zimne i świeże marcowe powietrze – mile widziana odskocznia od mdlącego gorąca i smrodu pomieszczeń wewnątrz domu załadowanego trudną do wyobrażenia liczbą arystokratów, po przepełnionych nudą miesiącach spędzonych na wsi desperacko spragnionych miejskiego życia.

– Aż tak źle chyba nie jest – odparł markiz Mayweather, zamykając za sobą drzwi balkonu.

Haven posłał przyjacielowi sceptyczne spojrzenie.

– Z tymi wszystkimi debiutantkami i swatkami nie da się tam poruszać. Uganiają się za nami i ślinią na nasz widok, jakbyśmy byli jakimś pieczystym.

Mayweather parsknął śmiechem.

– Jeśli się nie mylę, w tym sezonie do złapania jest jakieś pół tuzina tytułów. Mówię oczywiście o tych młodych i sprawnych fizycznie. A

markiz i książę, zbliżający się do granicy wieku średniego, to najlepsze kąski ze wszystkich, Haven.

– Trzydziestka to przecież jeszcze nie śmierć.

Markiz podszedł do balustrady balkonu, postawił tam swojego drinka i popatrzył na rozległy teren ogrodów na tyłach Worthington House.

– Ale to już jednak taki wiek, że należałoby zacząć myśleć o małżeństwie.

Połowa mężczyzn z arystokracji czekała z ożenkiem aż do trzydziestki. Wielu nawet prawie do czterdziestki. Haven nie był głupcem, zdawał sobie sprawę, że dni jego kawalerskiego życia są policzone. Wkrótce będzie się musiał ożenić, będzie musiał począć dziedzica, Bóg mu jednak świadkiem, że nie miał zamiaru osiągać tego celu, chadzając na bale i na spacery w Hyde Parku.

Mayweather gada bzdury. Sam przecież nieraz twierdził, że dziedzica można sobie zrobić w każdej chwili. Chyba że…

– Chryste – rzucił cicho w mrok nocy. – Dałeś się usidlić. – Czy to był rumieniec? – Jakaś ślicznotka złapała cię na haczyk swoich wdzięków?

Markiz odwrócił wzrok.

– Nie musisz mówić tego tak, jakby chodziło o jakiś podstępny wyrachowany czyn.

– Sam powiedziałeś, że nasze tytuły czynią z nas zwierzynę łowną.

– Ona tak o tym nie myśli.

Haven założyłby się o wszystko, że jest dokładnie odwrotnie. Wygiął brwi.

– Nie, oczywiście, że nie. Jestem przekonany, że w twoim przypadku chodzi o prawdziwą miłość.

Mayweather się skrzywił.

– A to aż takie niewiarygodne?

Nie niewiarygodne. Niemożliwe. Być może inni mogli zakładać, że ich żony były w nich zakochane. Że ich pożądały. Ale jeśli to w ogóle była

prawda, to jedynie w przypadku szczęściarzy. Mężczyzn urodzonych bez jarzma tytułu, majątku i odpowiedzialności. Woźnice dorożek i uliczni zamiatacze, marynarze mogą się żenić z namiętności, nawet z miłości. Ale mężczyźni tacy jak on i Mayweather? Książęta i markizowie, młodzi, bogaci, utytułowani? Dla nich nie ma czegoś takiego jak miłość.

Był tylko obowiązek, który wymagał małżeństwa, ale jeśli Haven w ogóle coś wiedział, to było to to, że mężczyzna musi się żenić, mając oczy szeroko otwarte, musi mieć świadomość, że instytucja małżeństwa bezapelacyjnie go rozczaruje.

Malcolm, książę Haven, nie miał co do tego cienia wątpliwości, ponieważ sam był efektem takiego rozczarowania. Ileż to razy jego ojciec patrzył na niego z wyrazem porażki i czegoś jeszcze gorszego w oczach? Nie żalu, choć on też tam był. To było coś jak odraza, tak jakby ojciec z wielką chęcią wymazał syna z czasu i przestrzeni, gdyby to tylko mogło zwrócić mu życie, jakie wiódł niegdyś. Malcolm zawsze sobie wyobrażał, że jego ojciec był wdzięczny, gdy nadeszła pora odejść z tego świata, uwolnić się od ciążącej mu przebrzydłej rzeczywistości.

I była jeszcze ta kobieta, którą książę był obarczony. Matka Havena. Choć urodzona bez tytułu i majątku, zdołała się wspiąć na najwyższy w kraju szczebel drabiny towarzyskiej. Księżna. I to, jak patrzyła na swojego syna, zimno i wyniośle, z cieniem dumy. Dumy nie z dziecka, które urodziła, ani z tego, jak ono wyrosło, tylko dumy z wielkiego oszustwa, jej legendarnego zwycięstwa. Dumy z tytułu, który ukradła.

Zatem nie. Haven za dobrze znał historię własnego życia, żeby wierzyć, że u innych dzieje się inaczej. A w przyszłość patrzył ze świadomością, że jeśli ktoś się spodziewa rozczarowania, to takiego kogoś nie da się rozczarować.

Podszedł do swojego przyjaciela, odwrócił się tyłem do balustrady i zapatrzył w złote światło wypływające z wnętrza budynku.

– Ja tylko mówię, że miłość to jedna wielka ułuda – rzekł. – Kobiety szukają zabezpieczenia i wygody, niczego więcej. A gdy któraś się za tobą ugania, to tak naprawdę poluje na twój tytuł, przyjacielu. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

Mayweather odwrócił się do niego.

– To prawda, co o tobie mówią, wiesz?

– A co takiego mówią?

– Że bezduszny zimny drań z ciebie.

Haven kiwnął głową i pociągnął solidny łyk.

– Co nie oznacza, że się mylę.

– Nie, ale oznacza, że jesteś pan dupkiem. – Te słowa przypłynęły od strony spowitych w ciemności kamiennych schodków prowadzących do ogrodu w dole. Wyraźne i pewne, jakby kobiecie, która je wypowiedziała, często się zdarzało czekać w ukryciu, aż jakiś arystokrata powie coś, co będzie mogła skrytykować.

Mayweather nie był w stanie pohamować śmiechu zaskoczenia.

– Prawda z mroków.

Tajemnicza nieznajoma odpowiedziała markizowi:

– Gdyby któryś z moich przyjaciół powiedział mi coś takiego, milordzie, poszukałabym sobie innego przyjaciela. Z lepszymi manierami.

Mayweather wyszczerzył się do Havena.

– Całkiem niezły pomysł.

Haven przymrużył oczy, żeby móc się lepiej przyjrzeć stojącej w połowie ciemnych schodów i opierającej się o mur domu kobiecie. Jak długo przysłuchiwała się ich rozmowie?

– Zważywszy na to, że się tam pani przyczaiłaś i podsłuchujesz rozmowę, do której nikt cię nie zapraszał, wątpię, czy pani ocenie moich bieżących manier można zaufać.

– Ja nikogo nie podsłuchiwałam.

– Nie?

– Nie. Słuchałam. I się nie przyczaiłam. Po prostu tu stoję. Fakt, że wybrał pan akurat ten moment na ucieczkę na balkon i wygłoszenie swojego wiekopomnego wykładu na temat podłości kobiet, jest jedynie sprawą mojego okropnego pecha. Zapewniam pana, sir, że z tego prostego powodu, iż żyję na tym świecie, już nie raz byłam świadkiem oczerniania żeńskiej połowy populacji. Żeby coś takiego usłyszeć, naprawdę nie muszę nikogo podsłuchiwać.

Haven ledwie się powstrzymał przed rozdziawieniem ust. Kiedy ostatnio ktoś miał czelność tak do niego mówić?

Mayweather znów parsknął śmiechem.

– Kimkolwiek pani jest, sprawiła pani, że Haven oniemiał i zabrakło mu słów. A ja pierwszy przyznam, iż sądziłem, że to zwyczajnie niemożliwe.

– Cóż, to wielka szkoda – zaszydziła dama z ciemności. – Miałam nadzieję, że będzie kontynuował swoją budującą rozprawę: Wyrachowane manipulatorki, rozważania na temat roli kobiety w świecie. To tak bardzo w stylu Mary Wollstonecraft[1].

Haven w końcu odzyskał mowę.

– Mężczyźni z Londynu wyszliby na tym o wiele lepiej, gdyby poświęcali większą uwagę mojej opinii na ten konkretny temat.

– Nie wątpię – zakpiła kobieta, a on się przekonał, że podoba mu się ciepło, jakie go zalało na jej słowa. – Ale powiedz, proszę, sir, jak to możliwe, że jesteś takim ekspertem w sprawie… jak ty to ująłeś?… haczyków wdzięcznych ślicznotek?

Przez chwilę wyobraził sobie haczyki wbite w niego przez tę kobietę… paznokcie drapiące skórę. Odepchnął te myśli. Nawet nie wie, jak ona wygląda. Nie będzie fantazjował o kobiecie w mroku. Posłał w jej stronę swoje najbardziej wzgardliwe spojrzenie.

– Mam w tej dziedzinie pewne własne doświadczenia.

Roześmiała się i ten śmiech oplótł się wokół niego niczym grzech. Wyprostował się. Kim ona jest?

– Ach, rozumiem. Jest pan aż tak rozrywany? Ma pan aż takie doświadczenie, że nawet na odległość potrafi wyczuć złodziejkę tytułów?

Mówiąc, zaczęła się wspinać po schodach. Zbliżała się.

Serce zabiło mu mocniej.

A to było, jeszcze zanim wkroczyła w plamę światła, błyszcząc jak jakaś cholerna bogini.

Oderwał się od balustrady. Bez chwili zastanowienia, jak jakiś śliniący się pies, który wyczuł trop. Nie rozpoznawał jej, co wydawało się niemożliwe, bo była ciemnowłosa, bladolica, z oczami jak szafiry. Trudno było uwierzyć, że kobieta tak idealna – i tak wygadana – umknęła uwadze socjety. A jednak ta tajemnicza dama stała tam, oblewana złotym blaskiem światła świec. Patrzyła na Mayweathera, co widząc, Haven zapragnął, żeby przyjaciel sobie poszedł.

Ogarnęła go straszliwa zazdrość.

– Milordzie, jeśli pan pozwoli, na pana miejscu nie słuchałabym swojego bezdusznego przyjaciela. Jeśli ta dama twierdzi, że jej na panu zależy, proszę jej uwierzyć.

Mayweather zapomniał o drinku na balustradzie i podszedł do kobiety.

– Ona rzeczywiście tak twierdzi.

– A panu na niej zależy, sir?

– Tak, jak najbardziej – zapewnił gorliwie. Haven wtedy zaczął się zastanawiać, czy jego przyjaciel nie skonsumował przypadkiem czegoś trującego.

Kobieta kiwnęła głową.

– No więc świetnie. Miłość to wszystko, czego potrzeba. – A potem się uśmiechnęła, a Haven nagle zaczął mieć problemy z nabraniem oddechu.

Mayweather jednak nie miał podobnych kłopotów. Westchnął przeciągle, dramatycznie, idiotycznie.

– Tak też właśnie mówią.

– Ale nie wszyscy. Pański przyjaciel jest zdania, że kobietom zależy wyłącznie na podstępnym pozyskaniu tytułu.

Mayweather prychnął.

– Pewnie dlatego, że sam posiada wyjątkowo pożądany.

Lazurowe spojrzenie przeniosło się na Havena, zaciekawione, wyrażające brak rozpoznania i tak szczere, że wydawało się, iż ta kobieta faktycznie widzi go po raz pierwszy w życiu.

– Doprawdy? Cóż, w takim razie dama, która go złowi na swój powabny haczyk, będzie miała wyjątkowe szczęście.

Z tymi słowami tajemnicza dama odwróciła się do niego plecami, jakby nie istniał, i ruszyła do drzwi, jakby zupełnie o niego nie dbała. Jakby go nie rozpoznała.

Ale to oczywiście było niemożliwe. Grała z nim w jakąś podstępną grę, żeby go kusić. I mimo że o tym wiedział, przekonał się, że to działa, że czuje się skuszony.

– Mam dać wiarę, że pani mnie nie zna?

Znieruchomiała i się odwróciła. W jej tonie pobrzmiewało rozbawienie, co już do końca wytrąciło go z równowagi.

– Ryzykując, że to zabrzmi niegrzecznie, milordzie, odpowiem, że niewiele mnie obchodzi, w co pan wierzy. Zaś co do tego, czy pana znam, skoro się nigdy wcześniej nie spotkaliśmy, skąd mogłabym pana znać?

Mayweather parsknął głośnym śmiechem, a Haven ledwie się powtrzymał, żeby nie zrzucić przyjaciela przez balustradę w żywopłot poniżej.

– I tu cię ma.

Wcale go nie miała. Nie jest do wzięcia.

– Wasza wysokość – burknął.

Zamrugała.

– Co proszę?

– Zwróciłaś się do mnie pani „milordzie”. A powinno być „wasza wysokość”.

Prychnęła.

– Skąd pan wiedział, że kobiety uwielbiają być poprawiane przez mężczyzn? Zwłaszcza w kwestii form tytułowania. To zaprawdę wielce zaskakujące, że żadna z nas się w panu jeszcze nie zakochała. – Po tych słowach dama lekko się skłoniła, sprawiając tym, że poczuł się jak skończony dureń. – Żegnam panów, szanowni dżentelmeni.

Nie potrafił się powstrzymać. Mimo wszystko.

– Proszę zaczekać.

Odwróciła się, piękna i opanowana.

– Proszę uważać, książę, zaczynam bowiem podejrzewać, że to pan próbuje wbić swój powabny haczyk we mnie.

Ten pomysł był absurdalny. Czyż nie?

– Pani znajomi.

Uniosła jedną brew.

– Cóż z nimi?

– Nigdy nie rozmawiała pani o mnie z nimi? – Czy to naprawdę możliwe, że nie miała pojęcia, kim on jest?

Jej wargi z rozbawienia drgnęły. Robiła z niego głupka. Nie, sam go z siebie robił. Dla niej. Jak jakiś imbecyl.

– Nie mam znajomych; mam siostry. I wątpię, żeby one pana znały lub żeby się zajmowały pańską osobą.

Na te słowa Mayweather znowu wybuchnął śmiechem. Wyraźnie mu się podobało obserwowanie, jak Haven robi z siebie idiotę. Ale on mimo to nadal nie potrafił się powstrzymać. Szeroko rozpostarł ręce.

– Jestem Haven.

Roześmiała się, teraz już na cały głos.

– Cóż, widzę, że ma pan o sobie naprawdę wygórowane mniemanie, Heaven[2].

Mayweather zaśmiał się, Malcolm poczuł ukłucie irytacji.

– Haven. Książę Haven.

Z jej odpowiedzi wynikało, że nadal nie wie, z kim rozmawia.

– Ach, teraz rozumiem. W takim razie cofam wszystko, co powiedziałam. Bez wątpienia, jako młody i dość przystojny przedstawiciel płci męskiej, noszący tytuł o całkiem odpowiednim brzmieniu, musi pan uważać. Kobiety zapewne uganiają się za panem tabunami.

No i już. W końcu zrozumiała. Ale zaraz. Zamrugał. Dość przystojny?

Kim ona jest? Pomijając bycie jedną z najbardziej irytujących kobiet na całym świecie, oczywiście. Ponownie, lekceważąc Malcolma, nieznajoma przeniosła uwagę na Mayweathera.

– Dobrej nocy, milordzie. I jeśli wolno mi powiedzieć, powodzenia?

Markiz nisko się pokłonił.

– Dziękuję, panno… – nie dokończył, Haven zaś pomyślał, że Mayweather może jednak nie jest aż tak zupełnie bezużyteczny… jeśli, oczywiście, uda mu się wyciągnąć od tej kobiety jej nazwisko.

Zobaczył, że na jej twarz wypłynął szeroki, zachęcający uśmiech, i poczuł się, jakby oblało go światło słońca.

– Szokujące. Wygląda na to, że teraz to panowie nie wiecie, kim jestem ja.

Zamrugał.

– A powinniśmy?

– Nie – wypaliła szybko. – W końcu nie jestem taka „niebiańska” jak pan. – Tyle że, do diaska, tak właśnie wyglądała. Jak niebo. Ale już naciskała na klamkę. Opuszczała go.

– Chwila! – zawołał, nienawidząc desperacji w swoim głosie. Praktycznie usłyszał trzask w szyi Mayweathera, który gwałtownie przekręcił głowę w jego stronę, żeby na niego spojrzeć. Havena nic to jednak nie obeszło. Bo ona się zatrzymała, a tylko to się liczyło. – Nie może pani odejść, nie zdradziwszy nam wcześniej, jak się nazywa.

Jej oczy zamigotały w blasku świecy.

– Och, myślę, że jednak mogę.

– Myli się pani – upierał się przy swoim. – Jak inaczej przybity Mayweather panią odnajdzie, gdy jego związek z Heloisą okaże się kompletną klęską?

– Helen – poprawił Mayweather.

Haven machnął lekceważąco dłonią.

– Racja. Wydaje się, że to wspaniała osoba. O wiele za dobra dla tego imbecyla. Będzie potrzebował pani porady, jeśli będzie chciał zatrzymać przy sobie swoją ukochaną.

– Co proszę? Wypraszam sobie – zaprotestował markiz, ale to nie miało znaczenia. Bo nieznajoma się śmiała, promiennie, odważnie, pięknie, a Malcolm nie chciał niczego innego, tylko pławić się w tym dźwięku. W jego cieple.

Zamiast tego przywołał na usta swój najbardziej czarujący uśmiech i powiedział:

– Zacznijmy od nowa. Na imię mam Malcolm.

Nawet gdyby grożono mu śmiercią, nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego uznał, że powinien podać swoje imię, którym nikt się do niego nie zwracał już od ponad dwudziestu lat.

Jej brew uniosła się w górę.

– Nie wiem, z jakiej przyczyny uważa pan, że powinien podawać mi swoje imię, wasza wysokość, skoro jestem kobietą i w związku z tym już pozyskałam wszelkie istotne dla mnie dotyczące pana informacje. – Przeszła do przepełnionego podziwem szeptu: – Mianowicie, że jest pan księciem.

Dogryzanie powróciło, a on był tym zachwycony. Ta kobieta była niesamowita.

– Tak czy owak, jest zwyczajem, że damy się przedstawiają, gdy się na kogoś natkną.

Przekrzywiła głowę na bok.

– Przyznaję, że nie zawsze poruszałam się w tak wysokich kręgach, ale jestem prawie pewna, że to wcale nie aż tak typowe, żeby kobieta przedstawiała się dwóm dziwnym obcym mężczyznom na pustym balkonie.

– Wcale nie aż takim dziwnym – odparł. – No, Mayweather może i jest nieco dziwaczny. Zwłaszcza z tą obsesją na punkcie Hester.

– Helen! – poprawił ponownie Mayweather, otrzymując za to następny uśmiech od tajemniczej piękności.

– Wygląda na to, że w tym gronie wszyscy raczej mało dbamy o imiona – zauważyła.

– Jeśli takie będzie pani życzenie, to zapamiętam wszystko, co się tyczy wybranki Mayweathera! – zawołał gorliwie Haven. – Mayweather, powiedz mi coś jeszcze o tej swojej Helen.

– Trzyma koty.

Haven odwrócił się do przyjaciela.

– Liczba mnoga?

Mayweather przytaknął.

– Ma ich sześć.

– Dobry Boże. Tej informacji raczej na pewno nigdy nie zapomnę.

– A ja tam lubię koty – oznajmiła anielica. – Uważam, że są inteligentne i miłe.

Mayweather się uśmiechnął.

– Helen też tak myśli.

– Wygląda na to, że pańska Helen to bardzo słodka osóbka – rzuciła piękność tonem dopasowanym do tonu głosu Mayweathera.

– Tak, zaiste jest słodka. I tak naprawdę…

Nie, nie, ani słowa więcej o Helen.

– Tak naprawdę to powinieneś iść do niej i jej to powiedzieć – przerwał przyjacielowi Haven. W tym momencie na balkon z wnętrza domu przypłynęła muzyka, więc dodał: – I z nią zatańczyć. Kobiety lubią tańczyć.

– Brew anielicy uniosła się w górę w wyrazie rozbawienia, gdy nalegał. – No, idź, Mayweather, idź.

Po raz pierwszy w swoim życiu markiz Mayweather zrozumiał podtekst i zostawił ich wreszcie samych.

– Nie jest pani zimno? – spytał Haven, podchodząc do uroczej rozmówczyni. Mówił niskim głosem, chciał ją uwieść, tak jak ona uwiodła jego. Chciał, żeby go pożądała, tak jak on jej.

Ale przede wszystkim chciał, żeby została.

Kobieta przełknęła, a on, kiedy zobaczył, jak porusza się jej gardło, poczuł, że do ust napływa mu ślina, tak bardzo chciałby je przytknąć do tej cudownej szyi. Kiedy podniósł oczy na jej twarz, zorientował się, że mogłaby na to pozwolić, że też jest poruszona.

– Czas już na mnie – oznajmiła szeptem.

Myśl, że mogłaby odejść, że mógłby jej już nigdy nie zobaczyć, że mógłby jej nigdy bliżej nie poznać… działała na niego w sposób, który mu się nie podobał. Więc zamiast tego spytał cicho:

– Lubi pani?

Przekrzywiła głowę.

– Lubię co? Tańczyć? Tak. – Skinęła głową. – Tak się składa, że nawet lubię.

– A miałaby pani ochotę zatańczyć teraz? Ze mną?

W ciemności pojawił się błysk jej idealnych ząbków. Oczywiście, że jej zęby były idealne. Wszystko w niej takie było.

– Nie możemy tego zrobić, sir. Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni.

– Proszę więc zatańczyć ze mną tutaj. Po kryjomu.

– Nie.

To była gra. Czuł to w swojej piersi, rozpoznawał po tym, jak bardzo brakowało mu tchu.

– Dlaczego?

Podszedł jeszcze bliżej, aż tak, że mógłby przyciągnąć ją w swoje objęcia.

– Nie zszargam pani reputacji. Nigdy pani nie skrzywdzę.

To miał być flirt. Nic nieznaczące przekomarzanie się. Coś, co mężczyźni mówią kobietom, kiedy chcą je uwieść. Ale tak nie było. Zabrzmiało to bardziej jak obietnica. A nawet więcej – jakby mówił prawdę. Nie skrzywdzi jej. Nie zszarga jej reputacji, bo się z nią ożeni.

Znieruchomiał. Chryste. Ożeni się z nią.

Zamierzał się ożenić z tą kobietą.

Ta myśl, to uzmysłowienie, powinno go przerazić. Niespełna dziesięć minut temu zdyskredytował całą instytucję małżeństwa, sugerując, że wszystkie kobiety to manipulatorki, a mężczyznom, którzy sądzą inaczej, brakuje zdrowego rozsądku. Ale teraz nie przepełniało go przerażenie. Teraz czuł coś zupełnie innego. Coś jak radość. Jak nadzieja.

I w następstwie tego objawienia faktycznie wziął ją w objęcia, tę kobietę, której imienia nadal nie znał. Sapnęła wtedy, tak jak i on sam zresztą, bo odkrył, jakie to wspaniałe uczucie trzymać w ramionach kobietę, która jest mu pisana.

Zaczęli tańczyć w takt muzyki – cichej, dalekiej, intymnej.

– O ile sobie przypominam, książę, to chyba nie wyraziłam zgody na taniec z panem.

– Malcolm – rzucił jej do ucha, zachwycony, że zadrżała na dźwięk jego imienia. – Powtórz to jeszcze raz, teraz, gdy jesteś w moich ramionach. Teraz, gdy ja jestem twój. A natychmiast cię puszczę.

Jej usta ułożyły się do leciutkiego pięknego uśmiechu.

– Jest pan bardzo upartą osobą.

– Już mi to kiedyś mówiono – odparł, zauroczony jej miną.

– Sądziłam, że arystokraci są bardziej ustępliwi.

– Ale nie książęta. Nie słyszałaś, że jesteśmy najgorsi z całego tego towarzystwa?

– Poza tym teraz byle kto może zostać księciem, czyż nie?

Odwrócił ją w stronę światła, żeby lepiej widzieć jej piękną twarz.

– Jeśli uważasz, że książęta są źli, to wyobraź sobie, aniele, jakie są księżne?

Jej oczy na te słowa zrobiły się okrągłe jak spodki. Wargi, pełne i grzeszne, wygięły się w uśmiechu.

– Wyobrażam sobie, i owszem.

Nie mógł się powstrzymać. Nie chciał. Przecież ostatecznie miał się z nią ożenić. Będą się całowali całe życie, więc dlaczego nie mieliby zacząć już teraz? Tylko krótki całus.

Westchnęła, kiedy się do niej nachylił, i na jej ustach usłyszał własne myśli:

– Tylko maleńki całus.

Była idealna.

Przycisnął wargi do jej warg, a ona wstrzymała oddech.

– Tylko całus – obiecał sobie. Jej. – Rozchyl dla mnie usta, kochanie.

I uczyniła to, wpuszczając go do środka, jej wargi, miękkie, ciepłe i zachęcające, język, testujący, kuszący, idealnie nęcący, jakby po to się urodzili. Jakby całe życie czekali, aż spotkają się na tym ciemnym balkonie i postawią się nawzajem w ogniu pożądania.

W tej pięknej kobiecie nie było cienia niepewności, nieśmiałości, obaw. Była dzika i namiętna. Wspięła się na palce, jedną osłoniętą rękawiczką dłoń położyła mu czule na karku, sięgnęła do niego, przyciągnęła go do siebie, zaoferowała mu siebie, a on uświadomił sobie, że to nie jej grozi zniszczenie, tylko jemu.

Na tę myśl oderwał się od ust kobiety, przekręcił jej twarz do światła i popatrzył na jej zamknięte oczy, na rozchylone wargi, na rumieniec na policzkach, który schodził już w dół na blade wzniesienie biustu. Była obrazem rozkoszy.

A potem jej ciemne rzęsy podniosły się w górę i on wtedy w jej oczach obok pożądania i zaskoczenia ujrzał swoją przyszłość. Ujrzał swoją żonę.

5. Seraphina wypływa na powierzchnię uzbrojona w Amerykanina!

21 sierpnia 1836
Śpiewający Wróbel. Covent Garden

Czyli, dla jasności? Powiedziałaś mu, że masz romans?

Sera odstawiła pudełko stożkowych świec i spojrzała na Amerykanina opierającego się o bar w Śpiewającym Wróblu, najnowszej tawernie w dzielnicy Covent Garden. Caleba Calhouna odkryła w podobnej tawernie w Bostonie w stanie Massachusetts pół dnia po tym, jak statek, którym płynęła z Londynu, dobił do docelowego portu.

Poszukiwała prawdziwego ciepłego jedzenia – czegoś lepszego od peklowanych mięs i marynowanych warzyw, którymi była żywiona przez cały miesiąc transatlantyckiej podróży – i pokierowano ją do tawerny Dzwonek w Dłoni, kilka drzwi dalej od pokojów, które wynajęła na czas zastanawiania się nad swoim następnym ruchem.

Kiedy weszła do tawerny, Amerykanin, górujący wzrostem pośród garstki innych, mniej okazałych, za to groźniejszych charakterów, podniósł się ze swojego krzesła i na ten dzień został jej protektorem. A potem na następny i następny.

Wkrótce był nie tylko Amerykaninem, ale też jej pracodawcą, potem partnerem w interesach, a jeszcze później najdroższym przyjacielem ze

wszystkich, jakich kiedykolwiek miała. Stał się jedyną osobą na świecie, która wiedziała o niej wszystko i która niczego się od niej nie domagała.

Poza całkowitą szczerością, co w tym momencie Sera uważała za wadę przyjaciela. Mimo to dzielnie kontynuowała.

– Nic takiego nie powiedziałam.

Nie spodobało jej się spojrzenie, jakie jej posłał, jakby zadał proste pytanie, a ona udzieliła nieakceptowalnej odpowiedzi.

– Nie powiedziałam! – upierała się. – A przynajmniej nie do końca tymi słowami.

– Nie tymi słowami – powtórzył. – Sera, nie bardzo podoba mi się myśl, że przyjdzie tu jakiś arystokrata i bez ostrzeżenia mnie zamorduje.

– Mało komu podobałaby się myśl o byciu zamordowanym, nie sądzisz?

Znów obrzucił ją złym spojrzeniem, z rodzaju tych, jakie jej zdaniem bracia rezerwują dla najnieznośniejszych z grona ich sióstr.

– Bywają chwile, że naprawdę nie miałbym nic przeciwko myśli o zamordowaniu ciebie. A już zwłaszcza teraz, gdy zagraża mi ten twój usychający z miłości książę.

– Zapewniam cię, on wcale nie usycha z żadnej miłości. – Trzy dni temu sprawiał wręcz przeciwne wrażenie. Zupełnie go nie poruszyło, że się pojawiła.

Caleb prychnął.

Ignorując ten niemy sprzeciw, Sera mówiła dalej:

– Nie było tak, że podałam mu nazwisko kochanka i opisałam jego wygląd. Zasugerowałam jedynie, że jeśli chciałby się rozwieść, powołując się na zdradę z mojej strony, nie będę się temu przeciwstawiała.

– Tylko Angielka mogłaby powiedzieć coś takiego, żeby pozbyć się niechcianego jarzma.

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– Przecież jestem Angielką.

– Jesteś, ale mogłabyś się jednak postarać trochę bardziej, kochanie.

– No litości. Przecież wszyscy doskonale wiedzą, że połowa rozwodów udzielanych przez parlament to rozwody dogadane między mężem a żoną. Bardzo chętnie odegram rolę cudzołożnicy, jeśli tylko pomoże mi to w przejęciu na własność tej gospody.

A wiedziała, że tak się właśnie stanie. Z chwilą gdy jej małżeństwo zostanie rozwiązane, Śpiewający Wróbel stanie się jej własnością i będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Bez przeszłości i jej duchów, które ją prześladowały.

– Wystarczy, że cię zobaczą, jak wlewasz w siebie drinka czy dwa, i już nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości, że stoczyłaś się na samo dno – odparł Caleb.

– Pomarzyć zawsze można. – Wzniosła toast w stronę przyjaciela i pociągnęła ze szklaneczki. – Nie najlepsza ze mnie księżna, co?

– Nie znam się na księżnych, ale mogę ci powiedzieć, że zupełnie się zmieniłaś od czasu, gdy weszłaś do mnie z ulicy, wyglądając jak zagubiona owieczka, jest więc jeszcze dla ciebie nadzieja – stwierdził Caleb i skrzyżował ramiona na swej szerokiej piersi. – Ale powracając do bieżącego tematu. Zasugerowałaś, że masz romans.

– Nic takiego nie zrobiłam. Po prostu przedstawiłam fakty. Jeśli wyciągnął z nich taki wniosek, to cóż…

Caleb się roześmiał.

– To zrobił to, na co liczyłaś. A kiedy odkryje, kto wylądował w porcie obok ciebie… cała jego wściekłość skupi się na mnie i wtedy będziemy musieli walczyć, a to się może skończyć… – Machnął dramatycznie ręką. – Nie będziemy mieli wyboru, znowu między naszymi krajami wybuchnie wojna.

– Mam nadzieję, że chyba wiesz, że nie jesteś nikim w rodzaju ambasadora, prawda? – Sera podniosła pudełko ze świecami, ruszyła przez salę i klucząc między rozstawionymi na niej stolikami, zaczęła ustawiać prosto krzesła. – Nie mogę odpowiadać za to, co ten człowiek sobie

wymyśli, Calebie – dodała, mówiąc na tyle głośno, by było ją słychać w pustym pomieszczeniu. – Ale wyobrażam sobie, że ponieważ nie interesowało go, co się ze mną dzieje przez te minione trzy lata, raczej nie będzie z nim problemów.

Caleb sarknął cicho z powątpiewaniem.

– Gówno prawda, o czym sama dobrze wiesz.

Zignorowała wulgarną odzywkę.

– Jeśli jest zły, to nie na ciebie, tylko na mnie, za to, że zrujnowałam jego drogocenny książęcy wizerunek. Kolejny raz. Na twoim miejscu nie martwiłabym się, że cię napadnie. Nie musisz się bać, że przyjdzie i rozkwasi ci nos. Zresztą już i tak jest połamany, więc i tak niezbyt piękny – droczyła się.

– Co ty opowiadasz? Mój nos jest cudowny, kochanie. Kobiety za nim przepadają. A poza tym dam sobie radę z każdym elegancikiem, który mi się postawi.

Sera uśmiechnęła się, słysząc ten opis męża, który, chociaż Haven był najbardziej arystokratycznym człowiekiem, jakiego znała, zdecydowanie nie kojarzył jej się z elegancikiem.

Caleb kontynuował, gdy wspięła się na małą scenę w odległym końcu sali.

– W sumie to nawet nie mogę się doczekać spotkania z tym łajdakiem. Chętnie dałbym mu nauczkę.

Sera sięgnęła w górę, żeby z olbrzymiego świecznika powyjmować resztki spalonych świec.

– Niestety, panie Calhoun, szczerze wątpię, żeby miał pan okazję go spotkać.

– Przyjdzie tu cię szukać.

– Chcesz się założyć? – rzuciła z przekorą. – Stawiam pięćdziesiąt dolarów na to, że wyjedzie z całą resztą Londynu, i to ja będę musiała szukać jego, żeby zdobyć moją tawernę.

– Z całą resztą Londynu, czyli z tą całą zepsutą bogatą zgrają, tak? – Caleb otworzył mały tajemny schowek w barze i wyciągnął z niego pudełko tytoniu i liście, po czym popisując się, zaczął skręcać cygaro. – Panowie na włościach udadzą się do swoich domostw, sprawdzić, jak sobie radzą poddani?

Sera cicho się roześmiała.

– Coś w tym stylu. Chociaż chyba lepszym opisem tego, co się dzieje, jest ucieczka od londyńskiego smrodu.

– Ba – sarknął Caleb. – Smród miasta to smród, który ci mówi, że wciąż jeszcze żyjesz.

Ruszyła ku drugiemu świecznikowi po przeciwnej stronie sceny i tu też ze starannością wymieniła wypalone świece na świeże.

– Byłby z ciebie tragiczny członek arystokracji.

Po sali rozszedł się gromki śmiech mężczyzny.

– W to nie wątpię, kochanie. A nasz zakład stoi. Postawię pięćdziesiąt dolarów na to, że twój mężczyzna pojawi się w tych drzwiach najpóźniej do końca tygodnia.

Nie spodobała jej się pewność w głosie przyjaciela. Jakby już wygrał zakład. A jeszcze mniej spodobało jej się to, co powiedział następnie.

– Tak czy siak, księżno, czas, byśmy się wzięli do roboty, nie sądzisz? Potrzebujesz zgody tego gogusia i potrzebujesz doprowadzić do tego, żeby to miejsce stało się najlepszym w całym Covent Garden, tak żeby w chwili, gdy zostaniesz jego właścicielką, było już legendą. Dlatego gadaj, jak zamierzasz zdobyć zgodę swojego księcia?

Będzie musiała znów się z nim spotkać, nawet jeśli tego nie chciała. Nawet jeśli nie chciała oglądać jego twarzy, przystojnej jak zawsze i o dziwo zarazem zupełnie zmienionej.

Caleb dodał:

– Jesteśmy tu już siedem tygodni i powoli zaczyna mnie korcić, żeby wrócić na amerykańską ziemię.

Spojrzała w stronę przyjaciela, mrużąc oczy, żeby móc go dojrzeć w mroku.

– Jeśli chcesz jechać, możesz to zrobić, wiesz. Nie musisz…

Przerwała, bo nie wiedziała, jak ma dokończyć. Caleb zrobił tak wiele. Opiekował się nią, kiedy ją znalazł, załamaną i samą w mieście – kraju – na kontynencie – którego nie znała. I pomógł jej z powrotem stanąć na nogach. Odzyskać siły. Dał jej powód, dla którego znowu chciało jej się uśmiechać. Dał jej też cel. A kiedy uznała, że najwyższa pora wracać do Anglii i zacząć od początku, spakował się bez wahania.

Pokręciła głową i powtórzyła własne słowa.

– Nie musisz.

Caleb zapalił cygaro, w słabo oświetlonej sali zamigotał jego pomarańczowy koniuszek.

– A jednak tu jestem. Nadzwyczajny ze mnie człek, nieprawdaż?

Uniosła brew.

– Na pewno bardzo skromny.

– No to mów, kiedy temu twojemu mężulkowi podamy na tacy jego własne dupsko?

Roześmiała się na te przekorne słowa.

– Obawiam się, że możesz nie mieć takiej okazji.

– Myślisz, że nie da ci rozwodu? – Nawet z daleka widziała, że zmarszczył z niepokojem te swoje szerokie i gęste brwi. – Jeśli tak, to wrócisz ze mną i rozpoczniesz od nowa w Bostonie.

Gdyby tylko to było takie łatwe. Gdyby tylko czuła związek z tym miastem po drugiej stronie oceanu – tętniącym świeżością i obietnicą, jakie daje młody kraj. Pokochała Boston za jego nadzieje, za jego ludzi, za Caleba, ale to jednak nie był Londyn.

W Bostonie nigdy nie czuła się jak w domu.

Zaczęła ugniatać ogarek świecy w palcach, brudząc je sobie na czarno spalonym knotem.

– Da – oznajmiła, wiedząc, że Malcolm prawdopodobnie niczego nie pragnie bardziej, niż się jej pozbyć. – Ale wyobrażam sobie, że będzie mnie chciał przy okazji porządnie ukarać.

Caleb oderwał się od baru i zaczął iść w jej stronę. Szerokie ramiona i mocna szczęka zdradzały jego kolonialne pochodzenie, jeszcze zanim zdążył otworzyć usta. Był tu jak zwierz w klatce, w tym świecie rządzonym zasadami, które w najlepszym razie uważał za głupie, w najgorszym za wołające o pomstę do nieba.

– Nie zasłużyłaś sobie na żadną karę z jego strony.

Wygięła brew.

– Porzuciłam go, Caleb.

– On to zrobił pierwszy.

Uśmiechnęła się.

– Nie w żaden znaczący sposób.

– W każdy znaczący – sarknął.

Westchnęła.

– Księżne nie odchodzą – wyjaśniła po raz dziesiąty, a może nawet setny. – A już na pewno nie bez zapewnienia dziedzica.

Nawet gdy zapewnienie dziedzica jest niemożliwe.

– Powinny, jeśli ich mężowie je wyrzucili – odparł. – Pozostanie to idiotyzm.

– Nie, to brytyjskość.

Zaklął ostro i soczyście.

– Kolejny dowód na to, że zasłużyliście sobie na łomot, jaki od nas dostaliście.

– Powinieneś wsiąść na następny odpływający statek. Masz życie, do którego powinieneś wracać. – Spróbowała trochę zażartować. – Nie jesteś coraz młodszy, przyjacielu. Pora poszukać sobie kobiety, która by z tobą wytrzymała.

– Jakby to się miało kiedykolwiek zdarzyć. – Oczywiście, że miało. Caleb Calhoun był jednym z najbardziej czarujących mężczyzn wśród tych, których Sera znała. Zatrzymał się przy skraju sceny i popatrzył na nią poważnie zielonymi oczami. – Ja dotrzymuję swoich obietnic, Gołębico. Pomogę ci przejść przez rozwód. Dopilnuję, żeby to miejsce odniosło sukces i było twoje. A potem wyjadę i z radością będę przyjmował swoją miesięczną część zysków.

Znów się uśmiechnęła.

– Będę dobrze spała, wiedząc, że moje pieniądze będą dla ciebie pociechą.

– Nasze pieniądze, partnerko.

W miesiąc po spotkaniu Sera i Caleb kupili razem drugi pub w Bostonie, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Dzięki świetnemu wyczuciu Caleba co do lokalizacji i talentom Sery, które sprawiały, że z ich tawern nie chciało się wychodzić, zanim zdecydowali, że następnym miejscem ich podbojów będzie Londyn, zdążyli wypchnąć z rynku co najmniej kilka bostońskich naprawdę długo działających knajp.

Pub w Londynie kupili już po dwóch dniach po dobiciu do nabrzeży Tamizy. Upatrzyli sobie dzielnicę Covent Garden zdominowaną przez dwóch braci i serię niskich ciemnych tawern, w których piwnicach ponoć odbywały się walki pięściarskie. I chociaż Sera i Caleb nie byli zainteresowani konkurowaniem z klubami bokserskimi, to jednak widzieli w tej okolicy miejsce na porządny pub. Taki w rodzaju tych, które robiły furorę w Bostonie i w Nowym Jorku. Coś z rozrywką.

Śpiewający Wróbel był oczywistą odpowiedzią oraz równym partnerstwem między nimi albo tak równym, jak mogło być, dopóki Sera pozostawała mężatką. W gruncie rzeczy bowiem do momentu rozwodu partnerem Caleba był mąż Sery, choć książę oczywiście nie miał zielonego pojęcia o swoim udziale w tym konkretnym przedsięwzięciu. Prawo obowiązujące w Anglii nie pozwalało zamężnej kobiecie być właścicielką

posiadłości czy przedsiębiorstwa. Właścicielem wszystkiego był jej mąż… łącznie z nią samą.

Rozwód więc był jedynym sposobem na to, żeby Sera mogła przejąć na własność tawernę – jedyna rzecz, na jakiej jej zależało w tych ostatnich trzech latach – oraz żeby stała się samowystarczalna. Żeby była wolna.

Rozwód był jedynym sposobem na odzyskanie życia, które Haven jej ukradł.

Życia, z którego ją przepędził.

„Wyjdź”.

Nieproszone, do oczu napłynęły jej łzy. Jakże często przypominała sobie jego słowa – okrutne odrzucenie, wyniosła pogarda, jakby była dla niego niczym – i czerpała z nich siłę?

Jakże często przysięgała sobie, że będzie właścicielką własnej przyszłości, nawet jeśli jej przeszłość należała do niego?

A jednak pół godziny z nim odebrało jej całą siłę, którą z takim trudem odbudowywała. Wzięła głęboki wdech i odwróciła wzrok, spoglądając w odległy zaciemniony kąt pubu.

– Niech sczeznę, jeśli dam mu znowu odebrać sobie siłę i się osłabić.

Caleb skomentował te jej słowa bez zawahania. Taką już miał wadę jako Amerykanin.

– Może cię osłabić tylko wtedy, jeśli mu na to pozwolisz. – Popatrzyła na niego. – Masz być silna i masz pamiętać, po co tu przyjechałaś. A jeśli cię ukarze, masz mu się zrewanżować. Ale powiem ci jedno, jeśli jest taki, jak go opisywałaś, nie da ci tego rozwodu bez walki.

Mimo że Caleb wiedział wszystko o jej przeszłości, to jednak nie był jej świadkiem. Pokręciła głową.

– On mnie nienawidzi. – Te słowa były szczere i prawdziwe, słowa, do których w minionych trzech latach przywierała zawsze wtedy, kiedy zaczynała w siebie wątpić. A to zdarzało się bardzo często.

– To nie znaczy, że cię nie pragnie.

Nagły przebłysk wspomnień. Palce Malcolma prześlizgujące się po jej szyi, drżenie wyczekiwania, które się pojawiło wraz z tym dotykiem, to, jak chciała mu ulec. Wspomnienie, jak kiedyś ulegała. To, jak się czuła przez tę pieszczotę po raz pierwszy od lat.

Chociaż nie o uczucia jej przecież chodziło.

– Pożądanie to za mało, żeby zadawać sobie trud.

– Bóg wie, że to święta prawda – zgodził się Caleb oschle. – Ale nikt nigdy nie powiedział, że ludzie kierują się prawdą. – Choć dobrze to ukrywał, Caleb sam nosił w sercu ranę. Po utraconej miłości, już nie do odzyskania. – Nie jestem jakimś mędrcem, kochanie, wiem niewiele, ale jedno wiem na pewno, że zasługujesz na coś lepszego niż cokolwiek mógł ci dać ten gogusiowaty arystokrata.

Jakimż dobrym człowiekiem był ten Caleb. Porządnym i dumnym, z sercem większym niż można sobie wyobrazić. Westchnęła.

– Dlaczego to nie mogłeś być ty?

Wzruszył ramionami i znowu mocno zaciągnął się swoim cygarem.

– Złe zgranie w czasie.

Uśmiechnęła się.

– Gdybyś tylko był tutaj przed trzema laty.

Roześmiał się.

– Przed pięcioma. Wtedy na pewno nie mogłabyś się ode mnie opędzić.

Dotknęła jego twarzy i zajrzała mu w oczy.

– Gdybyś mógł to usunąć z pamięci, wszystko, ją. Zrobiłbyś to?

Odpowiedział bez zastanowienia.

– Tak, do diabła. A ty?

Kiedy myślała nad odpowiedzią, dotknął jej dłoni nadal spoczywającej na jego policzku. Tak wiele straciła. Miłość, życie, obietnicę szczęśliwej przyszłości. To tak ogromna strata, że serce bolało ją nawet przy najmniejszej myśli o niej.

Gdyby mogła to wszystko odwrócić, zrobiłaby to. Bez wątpienia.

Caleb zobaczył odpowiedź w jej oczach i jak prawdziwy towarzysz w cierpieniach, mocno uścisnął jej dłoń. Kiwnął głową w stronę sceny.

– Pokaż mi, jak to czujesz, Wróbelku.

Okręciła się na pustej scenie, próbując usunąć z głowy wydarzenia ostatniego dnia, pragnąc zagubić się w miejscu, w którym była.

– Nie jestem umalowana. – Nigdy nie śpiewała bez maskującego makijażu. Nawet w Covent Garden ktoś mógłby rozpoznać Niebezpieczną Córkę.

– Nie jesteś, ale nie ma publiczności.

– Kolejny powód, żeby nie śpiewać.

– Och – sarknął. – Ty do tego nie potrzebujesz publiczności.

Uśmiechnęła się.

– Ale to pomaga.

– W takim razie zaśpiewaj dla mnie.

– Tak się składa, że nawet mam piosenkę w sam raz dla ciebie. – Jedną dłoń zaciśniętą w pięść położyła sobie na biodrze i przechyliwszy się na bok, na cały głos zaśpiewała hałaśliwy wers piosenki. Nauczyła się jej od marynarzy ze statku, który przywiózł ją do Londynu.

– *Niech każdy z nas wychyli swój puchar. Niech każdy opróżni pełną szklanicę.*

Przerwała, ale Caleb się nie śmiał. Zamiast tego, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach czekał, aż skończy. Wyprostowała się.

– *Radujmy się i topiąc smutki, wypijmy za zdrowie wszystkich pięknych i wiernych panien.*

Caleb kiwnął głową.

– Podbijesz serce Londynu w mniej niż kilka tygodni. Co masz jeszcze?

Nie planowała, że będzie śpiewała. Przynajmniej nie tak naprawdę, szczerze i od serca. Ale teraz zmieniła zdanie i z szant przerzuciła się na inną, mniej radosną melodię, wolniejszą, przepełnioną smutkiem, tym, który przed chwilą obiecywała utopić w alkoholu.

– *Często w środku nocy tkliwe wspomnienia przynoszą światło innych dni.*

Ta pieśń była ulubioną Caleba, ale też i jej – hołd dla wspomnień, dzieciństwa, miłości i straty. Kiedy ją śpiewała, zawsze myślała o życiu, które mogła mieć, gdyby tylko wszystko ułożyło się inaczej. Życiu, o którym pozwalała sobie marzyć jedynie wieczorami, tuż przed zaśnięciem.

Teraz też zamknęła oczy i pozwoliła, aby jej głos dotarł do najdalszych zakątków sali. I przez kilka krótkich chwil była wolna. Była wróblem.

Kiedy skończyła, Caleb nie klaskał. Zaczekał po prostu, aż powróci do rzeczywistości, a potem powiedział:

– Łajdak, który rozpowiada te bzdury, że lepiej kochać i stracić miłość, chyba nigdy nie kochał i nigdy nie stracił miłości.

Roześmiała się na te ostre słowa i podeszła do przyjaciela.

– Wypijemy za to?

– Z przyjemnością.

Chwycił ją w pasie i zestawił ze sceny.

Ledwie jej stopy zdążyły dotknąć podłogi, kiedy główne drzwi do tawerny otworzyły się z hukiem, wpuszczając do środka powódź popołudniowego światła, i odkryły stojącą w wejściu imponującą postać.

Sera wstrzymała oddech, kiedy wielki cień warknął:

– Zabieraj te łapska od mojej żony.

6. Calhoun znokautowany; torysowski elegancik wyrzucony z tawerny

Styczeń 1835
Rok i siedem miesięcy wcześniej.
Boston, Massachusetts

Książę Haven zaraz po postawieniu stopy na amerykańskiej ziemi swoje pierwsze kroki skierował do przybrzeżnych tawern. Powietrze było słone i zimne, czepiało się jego niewygodnego wełnianego palta, ciężkiego i przesiąkniętego zapachami wielotygodniowej podróży morskiej.

Niegdyś po wielu nieprzespanych nocach spędzonych na niewygodnej koi szedł prosto do jakiejś gospody albo odwrotnie – szukał od razu ciepłej kąpieli, kominka i łóżka.

Ale tak było, zanim zaczął jej szukać.

Zanim tuż po jej odejściu poświęcił miesiące na przeszukiwanie północy Europy, przekonany, że z Highley uciekła statkiem do Kopenhagi, wierząc jej siostrom, które sugerowały, co może być celem jej podróży. Oslo, Amsterdam, Brugia…

Zapomniał, że siostry żony nienawidziły go jeszcze bardziej niż ona sama. Ale jedna z nich, ta, którą prawie zniszczył, w końcu się nad nim ulitowała i powiedziała prawdę.

– Ona nas opuściła, książę, choć najpierw opuściła ciebie. A my zamierzamy uszanować jej wybór.

Przeklęte kobiety i ich lojalność. Przecież one też zapewne pragnęły ją odnaleźć. Czyż nie rozumiały, że może jej grozić niebezpieczeństwo? Czyż nie widzą, jak to się może skończyć? Ona może już…

Zatrzymał tę myśl. Sera żyje. Gdyby było inaczej, wiedziałby to. Nawet teraz, po wszystkim, przez co przeszli, po tym całym smutku i nienawiści, wiedziałby, że umarła. Ale ucieczka to było prawie to samo. Może nawet gorsze, bo pozwalało mieć nadzieję. Bo wspomnienia, jakie towarzyszyły nadziei, sprawiały, że nie mógł o żonie zapomnieć. Nie mógł zapomnieć ani jednej chwili z nią spędzonej. Od tamtej nocy, gdy z zatłoczonej sali balowej wyszedł na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza, a ona tam była. Jakby na niego czekała.

I tak rzeczywiście było. Czekała na niego.

To nie była pułapka. To było szczere.

Jej słowa niosły się echem w lodowatym wietrze. Nie uwierzył im. A teraz… teraz już go nie obchodziło, czy wtedy na niego czekała. Mógł mieć tyko nadzieję, że czeka na niego teraz. Tutaj.

Od jej odejścia minął rok, prawie co do dnia, a on się przekonał, że wraz z upływającym czasem tylko jeszcze bardziej chciał ją odnaleźć. Nie pomagało wcale, że rocznica jej odejścia była też rocznicą czegoś innego – czegoś, co wywoływało ból w jego piersi, na który nie było żadnej ulgi. Ból, który ona też odczuwała, wiedział to. Ale on nie mógł wrócić im ich dziecka. To też Haven wiedział, tak jak wiedział, że już nigdy nie będzie kolejnego.

Ale on i tak będzie ją kochał. Naprawi to, co zniszczył. I to może wystarczyć.

Może? To wystarczy.

Znalezienie tawerny Dzwonek w Dłoni w labiryncie uliczek nieznanego miasta zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Nie pomagało też, że

jego akcent i ubranie zdradzały, skąd przybywał; wyglądało na to, że wielu tubylców nie było zainteresowanych pomaganiu Anglikowi.

Ale on dla niej zjechał cały świat – był w starszych i czcigodniejszych krajach – nie zamierzał więc dać się zniechęcić Amerykanom.

Wszedł do zadymionej tawerny, mrocznej i pełnej popijających ze swoich kielichów mężczyzn. Ale nie tylko. Były tam też kobiety, śmiejące się, też pijące. Haven uważnie się im przyglądał, szukając wśród nich tej jednej, konkretnej. Jego kobiety. Swojej żony.

Sala była pełna po brzegi, słabo oświetlona, nie potrafił ustalić od razu, że jej tam nie ma. Mówiono mu o pewnej kobiecie. Z głosem jak głos słowika. Ciemne włosy i idealna twarz. Podobno Francuzka – bo przecież wszystkie Francuzki są piękne, czyż nie? – ale całkiem możliwe, że to jednak Angielka. Pojawiła się znikąd trzy miesiące po tym, jak Sera od niego odeszła. Nazywali ją Gołębicą.

Wyobrażał sobie, że znajdzie ją zaraz po wejściu, samą, zastygniętą w czasie i przestrzeni. Tak blisko niego, że chwyci ją w pasie, zarzuci sobie na ramię, wróci z nią na statek i całą drogę powrotną poświęci na przepraszanie jej. Na ponowne jej zdobywanie. Kochanie jej do szaleństwa.

Ale marzenia to nie rzeczywistość. Seraphiny tam nie było. Kupił piwo i odwróciwszy się plecami do baru, przyglądał się tłumowi. Moment był odpowiedni. Może był zdesperowany. Może szalony. Ale moment był dobry i wydawało się, że dobrze trafił. Mówili, że ta kobieta ma ciemne włosy, że jest piękna, wysoka i elegancka i że śpiewa jak anioł.

Jego spojrzenie padło na drzwi na końcu sali. Wyglądało, że są tam kolejne pomieszczenia, a w nich jeszcze więcej gości. Możliwe, że i ona. Ruszył ku tym drzwiom i może by i do nich dotarł, gdyby nie ciężka dłoń, która nagle opadła na jego ramię.

– Zdaje się, że się zgubiłeś, eleganciku.

Haven strząsnął dłoń i się odwrócił, pięść zaciśnięta przy boku, gotowa do walki. Amerykanin stał cale od niego, był trochę niższy, ale za to szerszy

w barach. Od czasu, gdy Haven bił się z kimś tych rozmiarów, minęło już dobrych kilka lat, ale w Oksfordzie był jednym z najlepszych bokserów. Nie wątpił, że jeśli zajdzie taka potrzeba, zręczność powróci.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Amerykanin dodał:

– Nie jesteś tu mile widziany.

Haven wygiął brwi.

– Wyganiasz zamożnych gości? Nie zależy ci na zysku?

Coś zabłysło na twarzy Amerykanina. Coś jak rozpoznanie, zabarwione czymś jak odraza.

– Wyganiam Brytoli, którzy nie wiedzą, gdzie jest ich miejsce. – Kiwnął głową w stronę drzwi. – Znajdź sobie inne, w którym się napijesz.

Haven opróżnił swój kufel i odstawił na bar, potem wyciągnął trzos i wyjął z niego kilka monet. Podając je nieznajomemu, powiedział:

– Daj mi wejść na pięć minut do tej drugiej sali. Niczego nie zniszczę.

Amerykanin długo i twardo patrzył na monety, zanim je zabrał. Haven powstrzymał uśmieszek satysfakcji. Każdy ma cenę i wyglądało, że cena tego człowieka była dość niska. Amerykanin błysnął rzędem równych białych zębów.

– No, skoro płacisz. Czego szukasz?

Spojrzał w stronę drzwi.

– Kobiety.

Amerykanin sarknął.

– My tu nie prowadzimy burdelu.

– Szukam konkretnej – wyjaśni Haven. – Pieśniarki. Mówiono mi, że tu występuje.

Tamten kiwnął głową.

– Chodzi ci o Gołębicę.

– Ona tu jest. – Słowa popłynęły na fali westchnienia ulgi. Serce zabiło Havenowi szybciej i mocniej. To była ona. Nie miał już żadnych

wątpliwości. Odwrócił się w stronę drzwi, myślał tylko o tym, żeby się do niej dostać.

Znowu dłoń, na tym samym ramieniu. Tym razem zaciśnięta mocniej.

I tym razem Haven strzepnął ją z większą siłą i znowu się odwrócił.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a nie zawaham się i też to zrobię.

– Skoro tak do mnie mówisz, to cię do niej nie dopuszczę.

Malcolm wziął głęboki wdech. Żeby się uspokoić. Ale to nie zadziałało.

– Gdzie ona jest?

– Czego od niej chcesz?

– Za… – Przerwał. Chciał ją zabrać do domu. Zacząć od nowa. Znaleźć to, co już kiedyś udało im się znaleźć. I więcej. – Porozmawiać.

– Kim jesteś?

Jej mężem. Kiedy ostatnio to mówił? Zawahał się przed odpowiedzią

Ale Amerykanin się nie wahał.

– Język ci urwało, buraku?

Haven wiedział, że się go obraża. Chciał krzyknąć, że jest cholernym księciem, ale miał świadomość, że tutaj to mu na pewno nie pomoże. Takie oświadczenie w Anglii otwierało niemal każde drzwi, ale tu mogło jedynie pogorszyć sytuację.

– Przyjacielem.

Groźnie spoglądające zielone oczy Amerykanina przymrużyły się.

– Większego cholernego kłamstwa w życiu nie słyszałem.

Oskarżenie zostało wypowiedziane cicho, tak że powinien je usłyszeć jedynie Haven, a jednak zaraz po tych słowach zamilkła cała sala.

I to wtedy Haven ją usłyszał.

– *Kiedy wspominam wszystkich przyjaciół, tak ze sobą złączonych, padających wokół mnie jak liście w zimowym wietrze, czuję się, jakbym szła przez życie sama.*

Rozpoznałby ten głos wszędzie. Sposób, w jaki prześlizgiwał się przez salę, niczym płynny dym, smutny i błogi, dotykający umysłów i serc,

każący ludziom się prostować i dyszeć z braku tchu. Pamiętał, jak kiedyś śpiewała tak w jego objęciach. Zanim ją zdradził. Zanim ona zdradziła jego.

Napotkał spojrzenie Amerykanina, ale ten szybko odwrócił wzrok. Spojrzał poza niego. Na drzwi do sali z tyłu. Haven w zielonych oczach mężczyzny dostrzegł zdenerwowanie, zobaczył, że lekko pokręcił głową.

Ona tam jest.

Z przekleństwem na ustach odwrócił się i ruszył do drzwi, ale tłum nagle zgęstniał, stał się mniej płynny. Usuwał ludzi ze swojej drogi, rozpychając się ramionami i łokciami.

– Zaczekaj! – zawołał za nim Amerykanin, łapiąc go za rękaw, potem za ramię, nie pozostawiając mu wyboru.

Haven się okręcił, cios już leciał. Przy wtórze złowróżbnego trzasku nos drugiego mężczyzny ustąpił pod uderzeniem jego pięści.

– Chryste! – Amerykanin zachwiał się i złapał za nos, na dłoni natychmiast pojawiła się krew.

Haven złamał mężczyźnie nos, ale nie żałował tego. Nic go to nie obchodziło. Otrząsając pięść, powiedział głośno, tak żeby usłyszała go cała sala:

– Każdy, kto mi stanie na drodze, może liczyć na to samo.

Okręcił się na pięcie, ludzie rozstąpili się, zwalniając mu drogę do drzwi. Musiał się do niej dostać. Będzie ją przepraszał, przekona ją, żeby mu uwierzyła. Zmusi, żeby uwierzyła, że mogą zacząć od nowa.

Ale najpierw musi do niej dotrzeć.

Przepchnął się przez drzwi, przymrużył oczy, żeby dostosować wzrok do ciemniejszego światła. W samym końcu pomieszczenia dostrzegł słabo oświetloną scenę, w uszach rozbrzmiały mu oklaski i gwizdy. Potrwało chwilę, zanim wyraźniej zobaczył stojącą na scenie kobietę – ładną, jasnowłosą, promiennie uśmiechniętą.

Nie Sera.

Blondynka dała znak skrzypkowi stojącemu po jednej stronie sceny i ten zaczął grać jakąś skoczną melodię. Kobieta ku uciesze publiczności podciągnęła wtedy spódnicę sukni i odsłoniła zakryte czerwonymi pończoszkami kostki.

Haven wpatrywał się w tę scenę, zdawało się, że wieczność, nie wierząc.

Mógłby przysiąc, że słyszał Serę. Wszędzie rozpoznałby jej głos. Obok przeszła kelnerka z tacą załadowaną kuflami z piwem. Zatrzymał ją.

– Tamta kobieta. Tancerka. Kto to?

Wzrok dziewczyny powędrował za jego wzrokiem.

– To Gołębica.

Ta pozbawiona emocji prosta odpowiedź była jak nóż wbity w jego serce.

Gołębica to nie Sera.

To nigdy nie była Sera.

7. Wróbelek śpiewa dla duszy miasta

A jednak była wtedy w Bostonie.

Przejechał pół świata, żeby ją znaleźć – echo tamtej piosenki oplatającej się wokół niego w tamtej zapomnianej przez Boga tawernie, w zapomnianym przez Boga mieście było bolesnym przypomnieniem jego porażki.

Przelała się przez niego fala żalu.

Powinien był szukać dalej. Powinien był rozetrzeć tamto miejsce w pył. Ale był tak głęboko zawiedziony, tak bardzo przytłoczony daremnością swoich poszukiwań, gniewem. Na Serę za to, że tak dobrze się ukryła, na jej siostry i na własną matkę za to, że pomogła uciec jego żonie. Był też zły na siebie, zły, że nie potrafił jej odnaleźć.

Tylko że ją odnalazł.

Tam, w tamtej tawernie – to od początku była ona.

I ten przeklęty Amerykanin.

Spojrzenie Havena padło na krzywy nos drugiego mężczyzny. Radość, jaką mógłby odczuwać na myśl, że to on się przyczynił do zrujnowania wyglądu Amerykanina, przyćmiewała furia. Bo ten bydlak dotykał Sery. Śmiejącej się, szczęśliwej Sery. Doskonale się czującej we własnej skórze.

Kiedy ostatnio widział ją taką?

Jakże często wspominał ją właśnie taką?

Niezliczone razy. Zawsze, kiedy przypominał sobie jej śpiew, tak niepasujący do tej mrocznej pustej tawerny przy jakiejś zapadłej brudnej

uliczce w Covent Garden. Dlatego że ona śpiewała jak anioł, boleśnie pięknie, głosem przepełnionym smutkiem i tęsknotą za prawdą. I kiedy tak tam stał w tych drzwiach i słuchał jej śpiewu, sam poczuł ból. Ból tęsknoty za nią, ból, który trawił go od tak wielu lat.

A potem ona się odwróciła i się roześmiała – dźwięcznie, pięknie, swobodnie – do innego mężczyzny, nie do niego. I to było jeszcze gorszym ciosem niż piosenka. Pamiętał każdy raz, gdy się tak śmiała przy nim, sprawiając, że czuł się po dwakroć mężczyzną. Po dziesięćkroć. Sprawiając, że czuł się jak król. Jak bóg.

Na całym wielkim świecie nie było czegoś tak wspaniałego jak śmiech jego żony.

Nie mógł znieść tego, że teraz ten śmiech oddawała innemu.

A potem Amerykanin ją dotknął. Podniósł ze sceny z taką śmiałością, że nie ulegało wątpliwości, iż robił to już wcześniej. Że dotykał jej wcześniej. Że ona mu na to pozwalała.

Przez Havena, ścigana furią, przelała się fala zazdrości.

Nie ma takiej możliwości, żeby Sera zostawiła go dla tego Amerykanina.

Nie ma możliwości, żeby go zostawiła, kropka – choć obecność Amerykanina dolewała oliwy do ognia. Zwłaszcza wziąwszy pod uwagę, że był szerszy w barach, potężniejszy i pomimo złamanego nosa prawdopodobnie przystojniejszy od Havena.

Oczywiście to wszystko nie miało większego znaczenia. Sera to jego żona. Nie będzie stał i patrzył spokojnie, jak obłapuje ją inny mężczyzna. W gruncie rzeczy, jeśli ten Jankes nie zabierze natychmiast swoich wielkich jak bochny łap, Haven szybko mu przypomni, jak ładnie potrafi rozkwaszać nosy.

Jakby słyszała jego myśli, Sera wysunęła się przed Amerykanina. Widok, jak jego żona broni innego, straszliwie go zabolał. Smagany biczami zazdrości patrzył, jak mężczyzna kładzie Serze ręce na pasie. To mogło oznaczać tylko jedno. Namiętność.

Gdyby wiedział, że Sera tu jest, z tym Amerykaninem, przygotowałby się na ewentualność, że są kochankami. A tak, ich widok razem, był dla niego jak cios poniżej pasa.

– Ach – zapiał Amerykanin. – Oto i nasz książę.

– Mąż – odparł Haven, nie potrafiąc ukryć gniewu w głosie. Potem zwrócił się do żony: – Wciąż jeszcze jesteśmy małżeństwem, Seraphino.

Jak to możliwe, że potrafiła zachować taki stoicki spokój?

– Ale w żaden sposób, który miałby jakiekolwiek znaczenie.

W każdy cholerny sposób.

– Głupie prawo tego kraju może i czyni ze mnie twoją niewolnicę, książę, ale ja nie zamierzam odgrywać tej roli. Sądziłam, że minione trzy lata dowiodły tego wystarczająco jasno.

Pohamował chęć porwania jej w objęcia i udowodnienia, że jest inaczej, niż mówi. Że wciąż należy do niego. Że wciąż tego pragnie.

Nie zrobił tego jednak, tylko usiadł przy niskim stoliku w ciemnym rogu, żeby nie mogła widzieć jego twarzy wyraźnie. Koniecznie chcąc odzyskać kontrolę nad sytuacją, siłą zmusił się do zachowania spokoju, choć najchętniej zrównałby tę budę z ziemią.

– Nie dam robić z siebie rogacza – oznajmił.

Wyprostowała się.

– Gdybym tylko mogła powiedzieć to samo.

Zalała go fala wstydu, gorącego, nieprzyjemnego. Oparł się jej i jeszcze bardziej utwierdzony w swoim przekonaniu, przeniósł spojrzenie na Amerykanina.

– Już raz powiedziałem: zabieraj te łapska.

Przez chwilę nie był pewien, czy mężczyzna zareaguje w jakikolwiek inny sposób niż tylko zmierzenie go pogardliwym spojrzeniem. Po kilku sekundach puścił jednak Serę i śmiejąc się głośno, szeroko rozłożył ręce.

– Daleki jestem od tego, żeby wzbudzać gniew wzgardzonego męża.

– Te akurat drzwi już dawno powinny być zamknięte – mruknęła Sera, po czym odeszła w odległy róg tawerny, pozornie obojętna wobec faktu pojawienia się wzburzonego małżonka.

Haven tymczasem z powrotem przeniósł swoją pogardę na Amerykanina. Był przekonany, że on i Sera są ze sobą blisko, że Sera go z nim zdradza. Co nie powinno mu przeszkadzać. Nie powinno go zaskoczyć. W końcu minęły lata.

A on też ją zdradził.

Ale tylko raz. I nie było w tym uczucia.

Kłamstwo.

Uczucia były. Cały akt był przepełniony wściekłością. Chęcią ukarania. Ukarania Sery. Była jedyną kobietą, do której kiedykolwiek żywił jakiekolwiek uczucia. Tylko że ona pewnie by w to nie uwierzyła.

Pewnie by jej to nie obeszło.

– Nie obawiaj się, Caleb – mówiła teraz. – Malcolm nie ma się za wzgardzonego. Żeby tak było, najpierw musiałby chcieć tego małżeństwa.

Chciał go. Chciał jej.

Milczał, kiedy przeszła za bar, postawiła na nim małą szklaneczkę i nalała do niej sporą porcję alkoholu. Zamiast odpowiedzieć, zadał własne pytanie:

– Co ty tutaj, do diabła, robisz?

Uniosła brew.

– Tutaj, w Londynie?

Był czas, gdy lubił, jak udawała słodką i niewinną. Kiedy czuł się przez to po tysiąckroć męski. Ale teraz już tak nie było.

– Tutaj, w tym przeklętym pubie.

– Wolimy określenie „tawerna”.

My.

– Nazywajcie to sobie, jak chcecie, ale dla mnie to pub w samym sercu Covent Garden, zamieszkany przez księżną ze świeżo odkrytym talentem

do picia.

Amerykanin parsknął śmiechem, a Malcolm poczuł, że nienawidzi go trochę mniej.

– Powinien się nazywać Pod Pijaną Księżną!

Teraz śmiała się już także Sera, a on zapragnął spalić to miejsce, żeby zostały po nim same zgliszcza.

– Mówię śmiertelnie poważnie, Seraphino. Dlaczego tu jesteś?

Oparła się o tylną ścianę, ręce skrzyżowała na piersiach, w jednej dłoni ściskała szklaneczkę.

– Bo to miejsce w sam raz dla mnie.

– Przecież to nieprawda.

Wzruszyła jednym ramieniem.

– Urodziłam się w miasteczku kopalnianym na północy kraju, a odrodziłam w Bostonie. Covent Garden to doskonałe trzecie miejsce w tym trio, nie uważasz?

Spojrzał na nią przez przymrużone oczy.

– Jesteś córką hrabiego.

Prychnęła.

– A ty bardzo się postarałeś, żeby tytuł mojego ojca nie miał żadnego znaczenia, wasza wysokość. Tytuł wygrany w karty nie zapewni niebieskiej krwi, nawet taki wygrany od samego księcia.

Te słowa kłuły wspomnieniami.

– Ja nigdy…

Powstrzymała to kłamstwo machnięciem dłoni ze szklaneczką.

– Ważniejsze jest to, co ty tutaj robisz, Haven?

Przyszedłem cię ratować.

Kolejne kłamstwo. Ta kobieta go nie potrzebowała. Przez cały czas, gdy jej szukał, wyobrażał sobie, że jest przerażona. Słaba. Zrujnowana. Ale tak nie było. Nie wyczuł w niej nawet odrobiny strachu ani słabości. Wręcz przeciwnie, emanowała od niej siła.

Nie zostało w niej nic z tamtej kobiety, którą dawno temu spotkał na balkonie podczas balu w Worthington House. Chociaż… Może jednak coś zostało. Tamta kobieta była odważna i zuchwała. Postawiła mu się. Przyciągnęła go do siebie jak ciepły płomień w lodowatą noc. A przez wiele tygodni potem jej wygadana buzia kusiła go tak samo mocno jak jej gorące ciało.

A jeszcze później odkrył prawdę – że nic w tych zalotach nie było szczere – a ona się zmieniła. Przycichła. Przygasła. Wyblakła.

Stała się zupełnie kimś innym. Przez niego.

Ale teraz, tutaj, po latach rozłąki, ta cicha panna młoda zniknęła i znowu pojawiła się silna odważna kobieta, taka, jaka była niegdyś. A nawet silniejsza. Zuchwalsza.

Piękniejsza.

Nie dzięki niemu. Pomimo niego.

Szukał żony, bo chciał ją uratować, ale prawda była taka, że ona nie potrzebowała jego ratunku.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała.

Odpowiedź była prosta.

– Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

Jej brwi wystrzeliły w górę, zaskoczenie malujące się na twarzy kontrastowało ze spokojem w jej głosie.

– Skończyliśmy. Zrobiliśmy to dwa lata i siedem miesięcy temu. A nawet wcześniej. Czy może już nie pamiętasz, jak się ode mnie odwróciłeś zaraz po tym, jak padły słowa naszej przysięgi? Mam ci to przypomnieć? Mam ci przypomnieć, że zrobiłeś to ponownie na oczach całego tłumu na przyjęciu w ogrodach? Mam ci przypomnieć, co zrobiłeś później? Z inną?

Oczywiście, że pamiętał.

Przypominało mu się to co wieczór, kiedy próbował zasnąć, kiedy marzył o tym, by mógł cofnąć czas i postąpić inaczej. By mógł powiedzieć jej prawdę, zamiast kłamać wiedziony podszeptami dumy. Gdyby to zrobił,

czy wszystko ułożyłoby się inaczej? Gdyby tak zrobił, czy teraz byliby szczęśliwi?

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znajdziesz, Haven?

– Nie wiedziałem – odparł.

– Krążyłeś po londyńskich tawernach i akurat przypadkiem zajrzałeś do tej?

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że świat zignorował spektakl, jaki odstawiłaś w parlamencie. Widziano cię, jak odjeżdżasz spod Izby Lordów w powozie należącym do jakiegoś Amerykanina. – Wstał, udając spokój, którego nie czuł od trzech dni, i ruszył ku niej, rzucając zarazem spojrzenie na mężczyznę, o którym była mowa. – Caleb Calhoun z Bostonu. Znany właściciel pubów, hazardzista, generalnie łajdak.

Amerykanin, jak jakiś idiota, pokłonił mu się.

– Lubię o sobie myśleć, że jestem łajdakiem specyficznego rodzaju.

Malcom uniósł brew.

– Tak, a jakiegoż to?

– Takiego, który uwielbiają damy.

Malcolm mocno zacisnął pięści, świerzbiły go, żeby jeszcze raz nawiązać kontakt z twarzą Amerykanina.

– Uważaj, Calhoun, bo zaraz będziesz miał połamane coś więcej niż tylko nos.

W oczach drugiego mężczyzny pojawił się błysk rozpoznania. Zerknął szybko na Serę, potem z powrotem na Havena. Wtedy ten zrozumiał, że Sera nie wiedziała, że po nią przyjechał. Amerykanin jej nie powiedział. Gdyby to zrobił, wyszłaby do niego? Dałaby mu się odzyskać?

Otworzył usta, żeby wszystko powiedzieć. Podbić ją, tu i teraz

Ale ona zwróciła się nagle do Amerykanina po imieniu.

– Caleb. – Choć w tonie pobrzmiewała nagana, to zabrzmiało to ciepło… z miłością.

Przez Havena przelało się rozczarowanie i zwątpienie. To niemożliwe, żeby Sera kochała tego mężczyznę. Nie, skoro kiedyś kochała jego. Bo kiedyś kochała, prawda?

Zły na siebie, odepchnął tę myśl i zmienił temat.

– Calhoun ma w Londynie dwie nieruchomości. Jedna to dom. Pojechałem tam w pierwszej kolejności, ale powiedziano mi, że księżnej nie ma. – Spojrzał ostro na Amerykanina. – Przy okazji, Seraphina nie będzie dłużej mieszkała z innym mężczyzną.

Calhoun uniósł brwi, jego spojrzenie przeniosło się na Serę, ale ona dalej spokojnie popijała swojego drinka.

– Ogromnie bawi mnie fakt, że sądzisz, iż ty czy Caleb macie cokolwiek do powiedzenia w kwestii tego, co będę robiła.

– Druga nieruchomość to tawerna, otwarta zaledwie przed tygodniem, ale już chwalona za wieczorną rozrywkę, cokolwiek to znaczy. Powiedziano mi, że Calhoun spędza tu całe dnie, z jakąś kobietą. Wysoką, ciemnowłosą, piękną. – Zbliżył się, nienawidząc się za to, że tu przyszedł. – Chodziło o ciebie. Mam nadzieję, że występujesz w masce.

– Dlaczego? Boisz się, że zrujnuję ci reputację? – Przerwała, ale zaraz potem dodała: – Wracaj do domu, książę. Nie masz tu po co zostawać.

Nie, nie miał, oprócz tego, że przez dwa lata i siedem miesięcy nie mógł oddychać pełną piersią, a teraz powietrze powróciło, świeże i przyjemne. Jedyne, czego pragnął, to dalej nim oddychać.

– Nic w tym zaskakującego, że się o ciebie martwię.

Patrząc mu w oczy, przymrużyła swoje.

– Oczywiście zrozumiesz, kiedy powiem, że nic a nic nie wierzę w twój niepokój o mnie.

Amerykanin prychnął na to z rozbawieniem, Haven zacisnął zęby. Poirytowany, że muszą rozmawiać w obecności osób trzecich, podszedł jeszcze bliżej, prawie dotykając wąskiego baru, który go odgradzał od żony. Powtórzył cicho:

– Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, Sera.

Obejrzała się przez ramię.

– Caleb.

Nienawidził, gdy wypowiadała to imię, z takim zaufaniem. Zaufaniem, którym nigdy nie obdarzyła jego.

Zaufaniem, na które nigdy sobie nie zasłużył.

Odwrócił się do Amerykanina, świadomy, że ten człowiek dla Sery byłby gotów nawet zabić. Ale Calhoun się nie poruszył. Stał w pewnej odległości, ręce trzymał na biodrach jak żołnierz przyszykowany do ataku.

– Zostaw nas samych – dokończyła Sera.

Przez chwilę Haven myślał, że mówi do niego.

Że to on ma wyjść. Powinien. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Ale nagle poczuł, że nie chce się poddawać bez walki. Tylko że oczywiście nie było o co walczyć, bo Sera patrzyła nie na niego, lecz na Calhouna.

Brwi mężczyzny powędrowały w górę.

Sera kiwnęła głową.

I to wystarczyło. Calhoun odwrócił się i wyszedł z sali jak głupiec. Nie, nie jak głupiec. Jak król. Bo w tej decyzji, żeby wyjść bez oglądania się za siebie, zawierało się niewyobrażalne zaufanie. Wiara, że kiedy wróci, ona tam będzie, będzie na niego czekała.

Kolejna rzecz, którą Malcolm też kiedyś znał z własnego doświadczenia.

Calhoun wyszedł, zasłona, za którą zniknął, jeszcze przez chwilę się kołysała.

– A więc Amerykanin to twój potulny piesek? Idzie tam, gdzie mu każesz? – rzucił Haven.

– Ufa mi – odparła. – I jest to bardzo przyjemne.

Te słowa natychmiast go zawstydziły i jednocześnie rozwścieczyły.

– Czego chcesz? – spytała. – Covent Garden to nie twoje rejony. A nawet jeśli, to zawsze dokładałeś starań, żeby omijać miejsca, w których i ja mogę

się znajdować.

– To nieprawda – zaprzeczył. Chciałby, żeby byli wszędzie, tylko nie tutaj. – Pamiętam te kilka razy, kiedy nie chciałem być nigdzie indziej, tylko z tobą.

– Tak było, zanim zdecydowałeś, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego – wytknęła mu.

Okłamałaś mnie, chciał powiedzieć. Skłamałaś, a potem odeszłaś. Ale to nie było takie proste. Prawda kończyła się na: przepędziłem cię.

Powinien ją zostawić. Uwolnić od siebie, a siebie od niej. Ileż to razy powtarzał sobie, że musi przestać jej szukać? Ileż razy potem się okazywało, że nie jest w stanie tego zrobić?

A teraz, kiedy już ją w końcu znalazł, wiedział, że nigdy nie będzie potrafił od niej odejść.

– Po co tu przyszedłeś, Malcolm?

Zadrżał. Tylko ona ze wszystkich kobiet zwracała się do niego po imieniu. Nawet dla matki nie był Malcolmem. Dla matki był jedynie zwycięstwem – przyszłym księciem. Ale Sery nigdy nie interesowały tytuły.

Nawet wtedy, gdy się wydawało, że zależy jej wyłącznie na tytule.

Zacisnął zęby. A potem odpowiedział na jej pytanie.

– Przyszedłem po ciebie, żeby cię stąd zabrać.

– Nie interesuje mnie żadne zabieranie – oznajmiła twardo.

– W takim razie trzeba było nie wracać.

– Wróciłam, żeby zwrócić wolność nam obojgu. – Podniosła do ust szklaneczkę z bursztynowym płynem i opróżniła ją do samego dna. – Mam swoje plany. Chcę żyć. Pamiętaj, że mogłam zniknąć na zawsze.

– Dlaczego więc tego nie zrobiłaś?

Przez chwilę myślał, że odpowie. Prawdę miała wypisaną na twarzy. Ale już nie potrafił czytać z niej tak jak kiedyś.

– Chyba dlatego, bo uznałam, że zasługujesz na coś lepszego.

To było kłamstwo.

Nie zasługiwał na nic lepszego; zasłużył sobie na coś o wiele gorszego.

A to oznaczało tylko jedno: coś ukrywała.

Przymrużył oczy.

– Lepszego niż publiczne zawstydzenie, niż zrobienie ze mnie rogacza? Lepszego niż żona, która gardzi mną aż tak, że woli rozwód niż tytuł księżnej?

Prychnęła.

– Mówisz tak, jakbym miała do niego jakiekolwiek prawa. Bardzo jasno dałeś mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziana w twoim świecie, wasza wysokość.

– Odeszłaś, zanim… – Przerwał, nie kończąc myśli.

Zapadła chwila ciszy, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Odeszłam, zanim miałbyś okazję mnie wyrzucić, jak niechciany przedmiot.

– Nie zrobiłbym…

– Ależ zrobiłbyś. A ja tego nie chciałam. Nie chciałam oglądać twojego gniewu. Miałam dość własnego. I nie chciałam smutku. Wystarczał mi własny. Co tam jeszcze było? Litość? Nie, dziękuję bardzo. Chciałam przyszłości wolnej od tego wszystkiego. I ty też powinieneś tego chcieć.

Te słowa nim wstrząsnęły. Nie zamierzał jej wyrzucać. Chciał ją zatrzymać przy sobie na zawsze. Rozpaczał po jej odejściu, do jasnej cholery. Przez lata. Nie mógł odżałować tego, co mogliby mieć. A kiedy odeszła… choć nigdy nikomu tego nie mówił… zaczął się roztkliwiać nad samym sobą.

Sięgnęła po krzemień, obeszła bar i ruszyła w stronę sceny.

– Skończyliśmy już tę rozmowę, książę. Wracaj do siebie i zacznij planować swoją szczęśliwą przyszłość. Zostaw mnie w spokoju i dziękuj losowi, że zaoferował ci drugą szansę. Znajdź sobie nową księżną! – zawołała, jakby to był naprawdę wspaniały pomysł. – A kiedy nadejdzie

październik, zjaw się w parlamencie z wnioskiem o rozwód. Przedstaw mnie w nim jako niewierną żonę. I miejmy tę sprawę wreszcie z głowy.

Tam do diabła, nie chciał nowej przyszłości. Chciał tej, która go kusiła przed tymi wszystkimi latami. Z nią. Ich przyszłości. Szukał jej, do cholery, po całym świecie. Chciał to wykrzyczeć. Że był w Bostonie. Że przeszukał cały kontynent. Że nie spał od dwóch lat i siedmiu miesięcy. Że zawsze chciał i pragnął tylko jej.

I mógłby ją mieć, gdyby nie wyglądało na to, że ona nie chciała mieć jego.

– Chcesz, żeby twoja niewierność została ogłoszona publicznie? – spytał z niedowierzaniem.

– Izba Lordów nie zgodzi się na rozwiązanie naszego małżeństwa z powodu twoich uczynków, a ja nie będę pierwszą żoną, która, żeby uzyskać to, na czym jej zależy, przejmie na siebie winę za rozpad związku.

Tylko że to nie było to, na czym jemu zależało. On chciał czegoś przeciwnego. Prawdziwego małżeństwa.

– Tak, książę, spisek. Żony knują i manipulują, żeby uzyskać to, czego chcą. – Spojrzała na niego, wyraz jej twarzy był nieodgadniony. – A dowodem na to jest to, że o manipulację podejrzewają wszystkich wokół nich.

Nie obchodziło go, czy coś knuje. Już nie.

– Chcę rozwodu – oznajmiła. – Mam przed sobą nową przyszłość.

– Z tym swoim Amerykaninem?

Nie odpowiedziała, a on patrzył, jak zapala świece, złote światło rozsiewało się po jej mahoniowych lokach jak blask gwiazd.

Chciał, żeby to on był jej przyszłością. A to oznaczało, że musi ją zdobyć.

„Znajdź sobie nową księżną”.

Lawirując między stolikami, podszedł do niej jeszcze raz.

Popatrzyła na niego. Bez strachu. Dumna.

– Wyjdź, Haven. Caleb nie będzie szczęśliwy, kiedy otworzy te drzwi i zobaczy, że wciąż tu jesteś. Nie ma nic gorszego dla biznesu niż obecność księcia.

„Znajdź nową księżną”.

– Odejdę pod jednym warunkiem – rzekł, mówiąc to, co dopiero formowało mu się w głowie.

Uniosła brew.

– Że pójdziesz ze mną.

Roześmiała się, nisko i przeciągle. Jakby wiedziała, co on chce zrobić, zanim on sam to wiedział. Ale z drugiej strony między nimi tak było zawsze.

– A potem co?

– Przyjedź na wieś. Daj mi sześć tygodni. Do czasu wznowienia prac parlamentu.

Odwróciła się do świec.

– Co to jest? Jakiś podstępny plan uwiedzenia mnie na nowo? Jakbyśmy byli w jakiejś powieści romantycznej?

Tak.

Starczyło mu rozsądku, żeby nie powiedzieć tego głośno.

– Nie jesteśmy z powieści, Haven.

– Bo jesteś już w innej z tym swoim Amerykaninem?

– Bo nie chcę być w żadnej. Nigdy więcej.

„Nigdy więcej”.

– No dobrze – odparł. – Ale jesteśmy małżeństwem, przysięgałaś mi posłuszeństwo.

Zmierzyła go wzrokiem.

– A ty przysięgałeś mnie szanować.

– Oto moja propozycja. Sześć tygodni i dostaniesz swój rozwód. – Kłamał, lecz trudno, taka była konieczność.

Sera przymrużyła oczy.

– I co ma się wydarzyć przez te sześć tygodni?

– Zamierzam je dobrze wykorzystać – odpowiedział bez zastanowienia. – Chcę, abyś w tym czasie znalazła mi swoją zastępczynię.

Usłyszał, że ostro wciągnęła powietrze, i tym razem to on poczuł satysfakcję. Poczuł się tak, jakby wygrał. Teraz to on się uśmiechał.

– A co to ma dokładnie znaczyć?

– To, co właśnie powiedziałem. Przyjedziesz na wieś i przez sześć tygodni będziesz szukała dla mnie swojej zastępczyni.

– Chcesz, żebym cię wyswatała?

Cieszyło go zdumienie w jej głosie, pomogło mu odzyskać pewność siebie.

– Musisz przyznać, że oszczędzi mi to wiele wysiłku.

Znów przymrużyła oczy.

– Nie sądzisz, że taki układ jest trochę… niepraktyczny?

– Nie, wcale.

– Och, no tak. Jestem przekonana, że to w ogóle nie będzie krępujące, kiedy te biedne słodkie pretendentki, pożądające uwagi księcia, będą zmuszone odgrywać kabaret w jego wiejskim domu z jego pierwszą żoną, z którą za chwilę będzie się rozwodził.

– Myślę, że przyjmą tę sytuację z ulgą. W końcu jeśli się okaże, że potrafimy ze sobą koegzystować, może uda mi się uniknąć najgorszego z całego rozwodu.

Jedna zgrabna brew powędrowała w górę.

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że twój tytuł wystarczy, żeby przymknęły oko na twoją paskudną reputację.

– Chciałbym, żeby miały naoczny dowód, że się nad tobą nie znęcam.

– Znęcanie to nie tylko akt fizyczny.

Zalało go poczucie winy, przypomniał mu się trzask zamykających się drzwi powozu, kiedy ją odesłał. Jej płacz w dniu, gdy wróciła. Cisza, jaka zapadła, kiedy porzuciła go na dobre.

Ale jednak nie na dobre.

Jednak wróciła.

Przełknął silne emocje i napotkał jej spojrzenie.

– Chcesz tego rozwodu czy nie?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Tak, chcę.

– To znajdź mi swoją zastępczynię, Sero. Wtedy go dostaniesz.

To był plan szaleńca. Czysty obłęd. Wcale by się nie zdziwił, gdyby mu to wytknęła. Mimo to na odpowiedź czekał z zapartym tchem. I ją otrzymał. Zamiast skrytykować jego ofertę, kiwnęła głową i powiedziała:

– A teraz już idź.

Uczynił to bez słowa więcej. Wyszedł, by się przygotować na ponowne uwiedzenie żony.

8. Najpowolniejszy skandal sezonu; coraz mniej czasu dla Tykającej Talbot!

Trzy lata i cztery miesiące wcześniej.
Kwiecień 1833

Beethoven?

Seraphina, odrywając oczy od klawiszy fortepianu, spojrzała w górę. W drugim końcu pokoju muzycznego ujrzała Sophię, swoją siostrę, z nutami w jednej ręce i wyczekującą miną na twarzy.

Sera zmarszczyła nos.

– Zbyt pompatyczny.

Sophie odwróciła się do stosiku z nutami.

– Hymny?

– Zbyt pobożne.

– Ballady dla dzieci?

Sera pokręciła głową.

– Mozart?

– Zbyt… mozartowy – westchnęła.

Sophie posłała jej wymowne spojrzenie.

– No, tak. Nikt nie lubi Mozarta.

Sera się roześmiała i zagrała jakąś spontaniczną melodię.

– Thomas Moore.

Sophie przewróciła oczami.

– Ty zawsze tylko ten Moore i Moore. Słowo daję, gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że chciałabyś za niego wyjść. – Podniosła dość sfatygowany zeszycik nut, przeszła przez pokój, usiadła na wyścielanej ławeczce obok Sery i położyła nuty na rzeźbionej podstawce.

Sera z czułością wygładziła strony zeszyciku.

– Gdyby nie był dwa razy starszy i ożeniony z aktorką, z chęcią bym to zrobiła, przysięgam. – Zaczęła grać, do tego kawałka nie potrzebując nut. Do utworów Thomasa Moore'a nigdy nie potrzebowała z nich korzystać.

Zamknęła oczy i grała z pamięci, a w tym czasie jej siostra odpowiedziała:

– Nonsens. Nigdy nie zrezygnowałabyś ze swojego idealnego księcia.

Zdenerwowały ją te słowa, pomyliła klawisze.

– On nie jest żadnym moim księciem.

Tyle że był. Chociaż nigdy nie myślała o nim jako o księciu. Nie był księciem. Był Malcolmem. Jej Malcolmem. Całym składającym się z uśmiechów, pieszczot, pocałunków jak obietnice. I to wszystko było dla niej. Przez te sześć tygodni od dnia, w którym się poznali, widzieli się z tuzin razy, publicznie i prywatnie, i za każdym razem odnosiła wrażenie, jakby byli tylko oni. Jakby żyła w jakiejś baśni.

– Ale chciałabym, żeby był – dodała cicho.

– W takim razie będzie. – Sophie przełożyła stronę w zeszycie, mimo że Sera nie potrzebowała nut, żeby grać dalej.

Zaśpiewała:

– *Ostatniej róży lata, samotny płonie kwiat; odeszły ją towarzyszki, zagasł ich wdzięk i zbladł…* – Ta pieśń zawsze wywoływała w niej ból. – *Żadna się nie nachyli, by ją całować w skroń, zrumienić się jej rumieńcem, oddać jej woń za woń*[3].

– Lady Seraphino Eleanor Talbot!

Przestała grać.

Sophie spojrzała na nią.

– Zdaje się, że czekają cię kłopoty.

Drzwi do konserwatorium otworzyły się z hukiem, waląc w ścianę za nimi i odsłaniając hrabinę Wight, wcześniej panią Talbot. Ich matkę.

Hrabina w jednej ręce ściskała gazetę. Trzymała ją nad głową jak jakiś heraldyczny sztandar, choć panika w jej oczach wskazywała, że rzeczony sztandar w żaden sposób nie jest znakiem zwycięstwa.

Zaraz za hrabiną szły pozostałe trzy siostry Sery, ich szeroko otwarte oczy jasno dawały do zrozumienia, że coś się stało i to nic dobrego. Sesily, siostra najbardziej zbliżona wiekiem do wieku Seraphiny, z przejęciem kręciła głową ponad prawym ramieniem matki, podczas gdy Seleste i Seline, numer trzy i cztery z kwintetu, rzucały siostrze wymowne i ostrzegawcze spojrzenia.

Ale Sera nie miała najmniejszego pojęcia, co one mogą oznaczać.

A potem hrabina zaczęła mówić, roztrzęsionym z oburzenia głosem.

– Czy on cię miał?

Sera poczuła, że opada jej szczęka.

– Co proszę?

Seline i Seleste, zaszokowane, sapnęły, Sesily wybałuszyła oczy. Jeśli chodzi o Sophię, to zesztywniała i natychmiast sięgnęła po dłoń najstarszej siostry.

– Matko!

Hrabina nie zaszczyciła spojrzeniem najmłodszej córki, jej wzrok był utkwiony w najstarszej.

– Nie pora teraz na skromność. Odpowiedz na pytanie.

Sera była tak zaskoczona, że zaniemówiła.

Sesily… kochana, lojalna Sesily… rzuciła się jej na pomoc.

– Czyś ty oszalała, matko? I w ogóle, kogo ty masz na myśli?

Hrabina się nie zawahała.

– Księcia Haven. I skoro już to sobie wyjaśniłyśmy, zapytam powtórnie, i lepiej, żebyś odpowiedziała, Seraphino. Miał cię?

Sera zamknęła buzię.

– Nie.

Hrabina przyglądała się jej długo, aż w końcu ciszę przerwała Sophie.

– Oni się kochają.

Hrabina się roześmiała, wysoko i piskliwie, nieprzyjemnie.

– Tak ci powiedział? – Pytanie padło jak cios. Sera zacisnęła usta, a jej matka domyśliła się odpowiedzi, nie potrzebowała jej usłyszeć. – Oczywiście, że nie powiedział.

Hrabina gwałtownie się odwróciła.

– Do jasnej cholery, Sera. Coś ty nawyrabiała?

Sera pokręciła głową.

– Nic!

Jej matka obejrzała się przez ramię, na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

– Sądzisz, że nigdy nie byłam młoda? Myślisz, że nie potrafię rozpoznać kłamstwa?

Sera wstała z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Jemu na mnie zależy.

– Zależy mu na tym, co mu dajesz.

– Matko. – To Seline. – Nie musisz być okrutna.

– Wygląda na to, że jednak muszę – odwarknęła hrabina. – Bo chyba żadna z was nie rozumie prostej rzeczy, a mianowicie, że można was wykorzystać. – Ponownie zwróciła się do Sery, przemierzając pokój, szybko i z furią. – Minęło pół sezonu, a on się o ciebie nie ubiega.

Ale właśnie tak było, czyż nie?

Zanim zdążyła przedstawić swój punkt widzenia, matka podjęła swoją przemowę.

– Nie rozmawiał z twoim ojcem.

Sera otworzyła usta.

– Zrobi to.

– Nie, Sero. Nie zrobi. Miał na to sześć tygodni. Miał na to sześć lat. Oczekujesz, że uwierzę, że po sześciu sezonach, po sześciu latach wzgardy pompatycznych bogatych jak krezusy arystokratów, po sześciu latach ubiegania się o zaproszenia i uwagę, książę Haven nagle zainteresował się jedną z Sióstr Smoluchów?

Tak.

Nie liczyło się, że one wszystkie usiłowały znaleźć zalotników, którzy nie byliby zubożali czy bez tytułu. Nie miało znaczenia, że ona i Malcolm nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Tamtej pierwszej nocy na balkonie obiecał jej, że jej nie skrzywdzi.

On jej pragnął. Wiedziała to.

Ona pragnęła jego.

– Ale tak właśnie jest.

Hrabina pokręciła głową. Sera przez chwilę widziała smutek w jej oczach. Smutek i coś jeszcze, coś jak politowanie.

– Nie, Sero. Nikt nie ma aż takiego szczęścia. – Pauza. I potem: – W gazetach piszą, że zachowałaś się nieskromnie.

– Nie zachowałam się. Nie zachowaliśmy.

Tyle że to była prawda. Była ta scena w powozie. I wykradzione chwile na balu w Beaufetherstone. I ten dzień, kiedy zakradła się do jego gabinetu w parlamencie – ale do niczego nie doszło.

Cóż, do niczego poważnego. Niczego nieodwracalnego.

Matka jej nie uwierzyła.

– Pozwól, że zapytam jasno. Czy nadal jesteś dziewicą?

Siostry sapnęły, a ona zawołała:

– Mamo!

– Zachowaj swoje zaszokowanie dla innych, Seraphino. Jesteś?

– Tak. Ale – dodała po chwili wahania – było bardzo blisko.

– Seraphina! – warknęła matka.

– Tak, jestem dziewicą! – krzyknęła. – I żałuję tego. Żałuję, że tak pozostało.

Oczy lady Wight zrobiły się wielkie jak spodki, siostry Sery wstrzymały oddechy.

– On się z tobą nie ożeni.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że cała wasza piątka jest do wzięcia od lat i na żadną nigdy nie spojrzał żaden książę. Oni nas mają za tanie. Uważają, że nie jesteśmy godne ich nazwisk i tytułów. – Machnęła ręką, pokazując na siostry. – Seleste mogła zostać hrabiną Clare, ale tylko dlatego że hrabia jest praktycznie bez grosza, a pieniądze waszego ojca są warte więcej niż wstyd, jakim okryłyśmy tytuł. Ale zapamiętaj sobie moje słowa, żadna z nich nie znajdzie męża, jeśli pozwolisz się zrujnować księciu.

Twarz Selesty zrobiła się szara na te słowa. Sera nienawidziła w tej chwili swojej matki. Tym bardziej że ta jeszcze nie skończyła.

– Haven jest dla was jak gwiazda na niebie, możecie do niej wyciągać ręce, ale nigdy jej nie dosięgniecie. Sezon trwa już sześć tygodni, a ty widziałaś się z nim ile razy? Dwanaście?

Dwadzieścia sześć. Ale Sera nie powiedziała tego głośno. Nie musiała.

– Pewnie częściej, bo wszystkie macie zwyczaj wykradać się po kryjomu, kiedy nie patrzę. – Hrabina podniosła gazetę wysoko. – Ale szmatławce nie były ślepe. Widziały wszystko, Seraphino. Wiesz, co o tobie piszą?

Serce waliło jej jak młotem.

– Nie mają o czym pisać. Byłam ostrożna.

Hrabina się roześmiała ponuro.

– Niewystarczająco, Tykająca Talbotówno.

Rzuciła gazetę na podpórkę do nut.

– „Marzenia o zostaniu księżną skazane na rozczarowanie… Czas upływa nieubłaganie, pomimo dziesiątków wolnych arystokratów…

Tykająca Talbot nie ma szans na złowienie Havena… choć z niej kuszący kąsek (nawet trochę taki spod latarni)”.

Policzki Sery płonęły.

Nie byli ostrożni. Rzucali sobie wymowne spojrzenia w tłumie na balach, on do niej mrugał, ona się uśmiechała, nie rozmawiając, mówili sobie wszystko. I były jeszcze lekkie dotknięcia dłonią, muśnięcia łokciem, palce wędrujące po jej ramieniu, trochę dłużej niż powinny zaciskające się na jej palcach, gdy się witali w miejscu publicznym. Ten ciepły dzień w zeszłym tygodniu, gdy spacerowali w Hyde Parku, a on pomagał jej przechodzić nad każdym kamyczkiem, każdym patyczkiem.

Nie uważali.

– Spod latarni – powtórzyła matka. – Nazwali cię ladacznicą. Ale to nie to jest najgorsze.

Absolutnie to, chciała oznajmić Sera. Tyle że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

W przeciwieństwie do matki.

– Najgorsze jest to okropne przezwisko.

– Siostry Smoluchy? – spytała Sesily ze swojego miejsca w rogu pokoju. – Tu chodzi o tatkę. O węgiel. Nie ma żadnego związku z Serą.

– Teraz już jak najbardziej ma. Ale nie o tym przezwisku mówię – zaprzeczyła hrabina. – Sera wie, o którym mowa.

Sera, zszokowana, zła, zawstydzona, kiwnęła głową.

– Tykająca Talbotówna – powiedziała szeptem.

– Oni sobie z ciebie kpią. Z tego, jak na niego czekasz, a czas mija. Mija kolejny sezon, a ty wciąż nie znalazłaś odpowiedniego kandydata. Takiego, który by cię zechciał. Tykająca Talbotówna. – Hrabina wyrzuciła ręce w górę. – I wiedzą, że oddałaś mu wszystko.

Sera popatrzyła na matkę.

– Nie wszystko.

– Och, Seraphino – westchnęła księżna, wyraźnie zniecierpliwiona. – Nie ma znaczenia, czy to zrobiłaś. Oni uważają, że tak. Jesteś zrujnowana, dziewczyno. A on jest jednym z najbogatszych książąt w Anglii.

– My… – zaczęła. – On mnie pożąda.

– Wcale w to nie wątpię. – Matka pokręciła głową, jej ton nieco złagodniał. – Ale gdyby planował się z tobą ożenić, kochanie, przyszedłby porozmawiać z twoim ojcem. Lecz on zamiast tego cię wykorzystał. Przez niego przyklejono ci to straszne przezwisko. I przy okazji zniszczył też reputację twoich sióstr. – Przerwała, potem przeszła do sedna. – Ty ją zniszczyłaś.

Sera spojrzała na siostry… na Smoluchy, niechętnie widziane w towarzystwie, zawsze będące obiektami pogardy i spekulacji. Seleste i jej zubożały hrabia. Seline, zbyt mądra, żeby to jej wyszło na dobre. Sesily, zbyt arogancka jak na prawdziwą arystokratyczną damę. I Sophie, biedna, spokojna Sophie, którą wszyscy mieli za nijaką, pospolitą. Tylko kto by się nimi przejmował?

Z rozmyślań wyrwał ją głos matki, która mówiła:

– Jest pewien mężczyzna. Taki, który będzie chciał się z tobą ożenić. Który zechce cię uratować przed tymi straszliwymi plotkami. Może, jeśli szybko za niego wyjdziesz, ludzie zapomną o Tykającej Talbotównie. I o Smoluchach. Może, jeśli za niego wyjdziesz, oszczędzisz siostrom wstydu.

– To nie może być jedyne wyjście – wypaliła Sesily.

– Nie! – zawołała Seline.

– Matko… – zaczęła Sophie. – Sera nie powinna wychodzić za mąż tylko ze względu na nas.

Jedyną, która milczała, była Seleste. Seleste, o którą ubiegał się zubożały hrabia. Najlepszy tytuł, na jaki siostry Talbot mogły mieć nadzieję. O wiele gorszy niż tytuł bogatego, idealnego księcia.

Bogatego księcia, który nigdy nawet jednym słowem nie wspomniał o małżeństwie.

Matka znowu się odezwała, chłodno i poważnie, zwracając się tylko do Sery.

– Zatrzymasz to krępujące polowanie na ciebie. Znajdziesz mężczyznę, który się z tobą ożeni. I wyjdziesz za niego, żeby zabezpieczyć przyszłość sióstr i swoją. Jeszcze w tym sezonie, zanim plotki na zawsze zniszczą ci reputację. Bo kobiety zwyciężają przez małżeństwo. – Odwróciła się do reszty córek. – Czas, dziewczęta, żebyście to zrozumiały. Tytuł waszego ojca nigdy nie zapewni wam takiego szacunku, na jaki zasługujecie. A nie macie brata, który by się wami zaopiekował. Któregoś dnia tatko odejdzie, a wy będziecie musiały same o siebie zadbać, i żeby to było możliwe, musicie wyjść za mąż. A jedynym sposobem na to, żebyście znalazły dobrych partnerów, jest to, że wasza siostra posprząta bałagan, którego sama narobiła.

Narobiła bałaganu? Czy tak właśnie wyglądała prawda?

Sera popatrzyła po kolei na każdą siostrę, wszystkie były przygnębione. I coś jeszcze. Wszystkie wyglądały na wystraszone.

Jakże ona nienawidziła tego świata i tego, jak żerował na kobietach.

Do oczu napłynęły jej łzy, gorące, przepełnione gniewem. Ich też nienawidziła, bo zdradzały jej słabość. Jak to jest, że gniew mężczyzny wyraża się zaciśniętymi pięściami, a kobiety płaczem?

Hrabina przyglądała się jej dłuższą chwilę, potem, nie patrząc na pozostałe córki, powiedziała:

– A teraz wyjdźcie. Wszystkie. Zostawcie nas same.

Jej kochane siostry zawahały się. Patrzyły na nią, czekając na jej zgodę. Kiwnęła głową. Kochała je, wiedziała już, co zrobi. Była przygotowana odejść dla nich od mężczyzny, którego kochała. Przygotowana na, jak to ujęła jej matka, posprzątanie bałaganu, jakiego narobiła.

Kiedy siostry wyszły, jakby w nich spodziewała się znaleźć siłę, dotknęła klawiszy fortepianu i po wzięciu głębokiego wdechu spytała:

– Zatem, kim jest ten mężczyzna, który pragnie się ze mną ożenić?

Matka podeszła do niej i położyła jej czule dłoń na policzku.

– Chciałabym, żebyś wyszła za takiego, którego sama sobie wybierzesz, Sero. Ale książę…

Znowu poczuła napływające łzy i tym razem nie zdołała ich powstrzymać.

– Nie obchodzi mnie, że on jest księciem. Nigdy mnie to nie obchodziło.

– Wiem.

– Dla mnie on zawsze był Malcolmem. Chcę Malcolma.

Hrabina pokręciła głową.

– Ale ten Malcolm jest przede wszystkim księciem Haven, moja droga.

Sera zamknęła oczy. Nagle wszystko stało się szokująco i boleśnie jasne.

– On się ze mną nie ożeni, prawda?

– Nie – przytaknęła jej matka. Sera otworzyła oczy i spojrzała na nią. – Nie, nie ożeni.

Im dłużej będzie się opierała prawdzie, tym dłużej będzie wystawiała siostry na zagrożenie. Bez małżeństwa wszystkie będą stracone. To był jej obowiązek, jako najstarszej córki, dopilnować, żeby to się nigdy nie zdarzyło.

I wtedy jej matka dodała cicho:

– Chyba że…

Sera poczuła, jak jej serce wykonuje salto. Zrobi to. Cokolwiek to jest.

Jeśli ma się to skończyć tym, że jej siostry będą bezpieczne, a Malcolm jej, to gotowa jest zrobić wszystko.

9. Siostry Smoluchy rozpoczynają oblężenie!

Dzięki Bogu! Przyniosła jedzenie.

Seraphina odwróciła się od okna powozu, kiedy jej najmłodsza siostra, Sophie, markiza Eversley, obwieściła, że właśnie przybyły do domu ich dzieciństwa. Uśmiechnęła się – Sophie zawsze lubiła jeść – i miło było wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Do Highley to tylko dwie godziny drogi, Sophie.

– Trzeba być przezornym – odparła Sophie; drzwi otworzyły się, ukazując środkową siostrę, Sesily, wyposażoną w wiklinowy kosz. – Masz paszteciki?

– Prawdę mówiąc, nie mam – odparła Sesily, stawiając kosz na podłodze i popychając go w głąb powozu, zanim sama zebrała spódnice i postawiła nogę na stopniu. – Posuńcie się, dziewczęta.

Sera wcisnęła się w najodleglejszy kąt największego powozu Caleba, który tenże z chęcią wypożyczył, że przewieźć ją i jej siostry na wieś. Do Havena.

Odsuwała podróż wiele dni, w płonnej nadziei, że może Haven zapomni o ich umowie. Zwlekałaby dłużej, gdyby mogła, ale Haven przysłał wiadomość do Śpiewającego Wróbelka, że jeśli Seraphina nie zjawi się dzisiaj – dziesięć dni po swoim występie parlamentarnym, jak to określał – to sam po nią przyjedzie.

Wielu rzeczy Seraphina Bevingstoke poprzysięgła nigdy więcej nie robić – reagowanie na komendę „do nogi” ze strony mężczyzny z pewnością figurowało na czele listy. Tak więc porozmawiała z Calebem, ustalając, że nie będzie jej we Wróbelku przez parę tygodni. Potem spakowała walizy. Ale wcześniej wezwała posiłki.

– Auć! – Druga z kolei siostra, Seleste, wystawiła groźnie łokieć. – Nie ma miejsca, Sesily!

Wydawało się, że nawet największy powóz, jaki dało się znaleźć, nie zapewniał wygodnej podróży. Nawet przy szeroko otwartych oknach, żeby ulżyć duchocie.

Sera westchnęła.

– Musimy się jakoś ścieśnić. Sesily musi wejść.

– Niech sobie siada na podłodze – odezwała się Seline, czwarta z piątki sióstr, z ławki naprzeciwko, machając wściekle wachlarzem. – Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi, czyż nie?

Sera parsknęła śmiechem, słysząc echo mądrości, jakimi raczył je ojciec, kiedy podróżowały w dzieciństwie. Niepodobna, żeby piątka dzieci i dwoje rodziców podróżowało wygodnie, ale jakoś im się udawało.

– Z tym wiążą się dwa problemy. Po pierwsze, jesteśmy znacząco większe niż kiedyś, za duże, żeby siedzieć na podłodze. I…

– I siedzenie Sesily jest znacząco większe niż kiedyś? – wtrąciła słodkim głosikiem Seleste.

Cała piątka roześmiała się, kiedy Sesily mrugnęła, mówiąc:

– Rzadko ktoś się skarży na rozmiary mojego siedzenia.

W to Sera wierzyła bez zastrzeżeń. Sesily była, z pewnością, najbardziej zmysłową i ponętną kobietą z piątki sióstr Talbot, tą, która budziła największe pożądanie. Sesily jednak mniej się bała skandalu niż reszta sióstr, robiła i mówiła to, co jej się podobało, i dlatego pozostawała samotna – choć mężczyźni rutynowo słali się u jej stóp.

– Nic dziwnego, że męska połowa Londynu boi się, żeby na nich nie usiąść – odparła Seleste, wskazując Sophie i Seline.

– Nie. Sophie musi mieć dużo miejsca. Jej brzuch się powiększa.

– Wiedziałam, że dobrze wybrałam – odezwała się Seline ze swojego miejsca.

– Nie powiększy się w ciągu najbliższych trzech godzin! – sprzeciwiła się Seleste, rozpychając się jednak i przesuwając Serę bliżej drzwi.

– Tego nie wiemy!

Sera wciągnęła głęboko powietrze, usiłując się skurczyć, ale i tak nie odczuwała niewygody. Jeśli coś na szerokim świecie mogło odwrócić jej myśli od następnych sześciu tygodni jej życia, to tylko wirujący derwisze w postaci jej czterech nieco stukniętych, doprowadzających ją do szaleństwa, wspaniałych sióstr.

Seleste jęknęła cicho.

– Zamknij drzwi, William! – zawołała Sesily do lokaja na zewnątrz. – Szybko, zanim stąd powypadamy i zrobimy scenę!

– O, tak – powiedziała Seline głosem suchym jak pieprz. – Nikt by się po nas tego nie spodziewał.

Drzwi zamknięto i pasażerki wydały zbiorowo przeciągłe westchnienie.

– Czy można zostać zgniecionym na śmierć w ciągu trzech godzin? – odezwała się Seleste.

– Och, proszę. Jesteś gruba jak witka wierzbowa – stwierdziła Sesily. – Nie sposób cię zgnieść. Usiądź swobodnie.

– Nie. Ma. Miejsca – zaprotestowała Seleste.

Sesily westchnęła.

– Czy muszę ci przypominać, co się dzieje, kiedy w powozie źle się czuję?

Pasażerki jęknęły, a Sera wybuchnęła śmiechem.

– To drugi powód, dla którego ona nie może siedzieć na podłodze.

– Jeśli zwymiotujesz na mnie… – ostrzegła Seleste.

– Mówię tylko, żebyście pamiętały, że wasza życzliwość może oznaczać różnicę w trajektorii. A wobec tego, że Sophie spodziewa się dziecka… skąd można wiedzieć, co by nastąpiło, na zasadzie podobieństw, po moim nieszczęsnym… wybuchu.

Seline spojrzała na Sophie, marszcząc nos.

– Ani mi się waż.

Sophie, z błyskiem w oku, wzruszyła ramionami, wymachując wachlarzem.

– Nigdy nie wiadomo.

Seleste wydała groźny pomruk.

– Przypomnijcie mi, co my robimy w tym powozie, podczas gdy wszystkie mamy mężów i własne powozy?

Sophie, Seline i Sesily odezwały się zgodnym chórem:

– Pomagamy Serze.

Seleste kiwnęła głową, wzdychając.

– Czego się nie robi dla sióstr.

Sera spojrzała w okno, nie byłaby w stanie wydusić słowa przez zaciśnięte nagle gardło. Zniknęła na trzy lata. Odeszła bez słowa, nie mówiąc rodzinie – którą zawsze kochała ponad wszelką miarę – co się stało. Naskrobała tylko wiadomość przez łzy w dokach Bristolu: „Ona nie przeżyła. Wyjeżdżam do Ameryki”.

A znalazłszy się w Bostonie, nie pisała, bojąc się tego, co mogłoby w niej wyzwolić pióro w zetknięciu z papierem. Smutek. Żal. Wyrzuty sumienia. Trzymała się z daleka, a oni żyli swoim życiem. Ale kiedy wróciła, nie wahali się. Okazali jej oddanie, jakby nigdy ich nie porzuciła.

Choć tyle straciła. Dwa małżeństwa. Czwórkę dzieci. Urodziny, bale i skandale i tyle więcej rzeczy, które wydawały się mniej ważne i niezmiernie ważne. Serce jej się ścisnęło. Wciągnęła gwałtownie powietrze; w cichym powozie jedynie turkot kół na bruku zagłuszył ten dźwięk.

Sophie pochyliła się, kładąc dłoń na spódnicy Sery.

– Sera.

Sera potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Nie musisz nic mówić. Jesteśmy przy tobie.

Sera spojrzała na siostrę, tę, o której pamiętała, jak nosiła ją kiedyś na rękach. Droga Sophie, zawsze taka cicha. Skromna. Jakby nie na miejscu. Tyle że nigdy nie za skromna. Jeśli należało okazać lojalność, to Sophie zawsze była gotowa do walki.

To Sophie popchnęła Havena tak, że wylądował na siedzeniu w stawie rybnym, kiedy przyłapały go na przyjęciu w ogrodzie z inną kobietą. Wierząc, że Sera go zdradziła. Wierząc, że kłamała, i to nie tylko przez przemilczenie.

To była właśnie Sophie, która jej broniła, nawet jeśli ona nie broniła samej siebie.

Reputacja Sophie ucierpiała poważnie. Nie można uderzyć księcia bez konsekwencji, nawet jeśli jest się z nim spowinowaconym. A jednak siostra się nie zawahała.

No i prawdę mówiąc, obraz Havena stojącego po pas w stawie rybnym osładzał gorycz Sery w mroczną noc.

Ale Sophie była w błędzie. Sera musiała teraz przemówić. Choćby po to, żeby powiedzieć:

– Jestem szczęśliwa, że jestem… – Urwała, niepewna, jak skończyć. Możliwe, że zakończenie zdania mogłoby brzmieć: w domu.

Z pewnością taka scena, jak ta – siostry stłoczone w powozie – siostry, które kiedyś znały ją najlepiej na świecie – to był dom. Ale wiele się zmieniło. A wcześniej – przelotnie, z katastrofalnymi skutkami – dom był tam, gdzie był Haven. A potem znowu pojawiła się nadzieja na dom, stracona wraz z dzieckiem, które było jedną wielką obietnicą. A prawda, w istocie, była taka: dom to coś dziwnego, efemerycznego. Czy to możliwe, żeby inni też tak czuli, jedynie udając co innego?

Nie. To nie dom ją w tej chwili uszczęśliwiał.

Zmusiła się do uśmiechu. Spojrzała na każdą z sióstr po kolei.

– Jestem bardzo szczęśliwa, że jestem z wami.

Mówiła prawdę. Nawet jeśli zmierzały do Highley, gdzie miała wyswatać własnego męża z inną kobietą. Jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, żeby żona szukała następczyni. Jakby jej nie bolało, że widocznie zamierzał zastąpić ją kimś innym.

To nie powinno mieć znaczenia. Nie miało. Naprawdę nie. To tylko duma.

No właśnie.

Znowu spojrzała w okno.

– Więc… – zaczęła Sesily i Sera przygotowała się na pytanie, wiedząc, że pewnie czeka ją cała lawina pytań. I tak powinno być, czyż nie? Stłoczyły się w pojeździe, nie wiedząc dlaczego i po co, tylko dlatego, że o to poprosiła. Z pewnością zasługiwały na parę odpowiedzi.

Spojrzała na Sesily, która, naturalnie, nie omieszkała pierwsza skorzystać ze sposobności. Sesily nigdy w życiu nie siedziałaby cicho, kiedy mogły paść jakieś ważne słowa.

– Tak?

– Czy Caleb jest bardzo przystojny?

Pytanie zaskoczyło wszystkich. Seleste uśmiechnęła się szeroko.

– A zatem dość masz angielskich mężczyzn? Niech żyje Ameryka?

– Nie myślę z niechęcią o takiej możliwości.

– Mama się wścieknie, jeśli poślubisz Amerykanina! – zauważyła Sophie. – Pamiętasz, w jaką furię wpadła, kiedy Seline poślubiła „tego hodowcę koni”?

– Po pierwsze – odezwała się zdesperowana Seline – Mark nie jest jakimś tam hodowcą koni. Jest bogatszy niż połowa arystokracji.

– Co absolutnie nic nie znaczy – wtrąciła Sesily. – Wszyscy wiedzą, że połowa arystokracji jest biedna jak myszy kościelne.

– Po drugie… – ciągnęła Seline. – Mama ma dość rozumu, żeby nie wtrącać się w kolejne małżeństwo. W przeszłości niezbyt jej się w tej dziedzinie powiodło. I, na Boga, jedziemy na wieś, żeby zapewnić Serze rozwód. – Trudno byłoby temu zaprzeczyć. – A to prowadzi do trzeciej kwestii. Mama byłaby niewymownie szczęśliwa, gdyby Sesily wyszła za mąż za kogokolwiek. Nawet barmana. Z Ameryki. – Ostatnie słowo wymówiła, jakby to była nazwa strasznej choroby. Jak dżuma. Albo trąd.

– Nie barman per se – szepnęła Sera.

Jednak wszystkie ją usłyszały, a szeroki uśmiech Sesily wskazywał, że wszystkie dowiedziałyby się chętnie czegoś więcej.

– A to każe mi wspomnieć o czymś niezmiernie, w tej chwili, istotnym.

– Zatem właściciel pubu – odezwała się Seline w tym samym czasie.

– My wolimy tawernę – powiedziała Sera.

Sophie pochyliła się naprzód.

– My. – Popatrzyła na pozostałe. – Powiedziała: my.

– Bzdura. – Sesily popchnęła uchylone okno tak, żeby otworzyło się jak najszerzej, niestety, nie aż tak, żeby pozwolić na wymianę powietrza w pojeździe. – Przypuszczam, że istotniejszą kwestią jest nie to, czy pan Calhoun jest przystojny, tylko czy nie jest zajęty.

Sera pokręciła głową.

– Nie jest.

– Przystojny? – zapytała kpiąco Sesily. – Szkoda.

– Zajęty. – Sera, rozbawiona, roześmiała się, zachwycona rzadkim i tak miłym odczuciem. – I w istocie, jest dość przystojny.

Oczy Sesily rozbłysły.

– Doskonale!

– Jesteś pewna, że nie jest zajęty? – zapytała Sesily w zadumie. – Ty nie…

Sera pokręciła głową.

– Ja nie.

– Wcale? – zapytała niedowierzająco Seline.

– Wcale.

– Wiesz, żadna z nas by cię nie osądzała, gdyby było inaczej – zauważyła pośpiesznie Seleste.

– Oczywiście, że nie. Zwłaszcza że Haven musiał być okropny, skoro… – Seleste urwała raptownie pod wpływem znaczących spojrzeń sióstr. – Nieważne.

Tylko że nie był okropny.

Nie powiedziała tego głośno. Była wściekła, że w ogóle tak pomyślała. Ale przez wszystkie lata, z dala od niego, nie wzięła kochanka. Dlaczego? Bo myślała o nim.

– Cóż – powiedziała Sesily. – Czy jest wielki i brutalny? Taki wielki jak Warnick? Nie odrzuciłabym kogoś tych rozmiarów.

Pełne oburzenia westchnienia i szyderczy chichot wyrwał Serę z zamyślenia.

– Książę Warnick? – O ile dobrze pamiętała, Szkot odziedziczył księstwo przed laty i nigdy nie pojawił się w Londynie. – Czy pokazuje się teraz w towarzystwie?

– Rzadko. To najdroższy przyjaciel króla – powiedziała Sophie. – I ożeniony z jedną z naszych najlepszych przyjaciółek. Wkrótce poznasz Lily. Obiecali, że będą w mieście jesienią.

– Och – westchnęła Sera, nie będąc w stanie znaleźć słów, nienawidząc tego, że jakaś osoba wkroczyła w ich życie, podczas gdy ona przebywała daleko. Niemądra myśl, oczywiście. Z pewnością zrobiły to dziesiątki osób. Poza tym ona miała Caleba, czyż nie?

– Pokochasz ją – powiedziała Sesily. – Wszyscy ją kochają.

– Wszyscy uważają, że to skandalistka – stwierdziła Seline, zerkając na Serę. – Pozowała nago do obrazu, kiedy cię tu nie było. Wyczyny Sesily wypadają przy niej blado.

– Cóż. My ją kochamy. Kochamy każdego o skandalicznej przeszłości. – Uśmiechnęła się szeroko. – To dlatego ciebie lubimy tak bardzo, Sera. A teraz, do rzeczy. Jest wielki?

Sera uśmiechnęła się.

– Bardzo.

Nie taki wysoki jak Haven. Zignorowała tę myśl.

– Doskonale.

– I wyjątkowo arogancki. Nie znosi Anglików.

Sesily uśmiechnęła się kpiąco.

– No, to znienawidzi Havena.

– Już go nienawidzi. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – To dobry przyjaciel.

Sesily wpatrywała się w nią dłuższą chwilę.

– Zasługujesz na kogoś takiego.

Szczerze mówiąc, nie była tego wcale pewna.

– A zatem świetnie się dogadamy – powiedziała Sesily. – Czy on się do nas przyłączy?

– Nie – odparła Sera zbyt szybko, niemal ujawniając kłamstwo w prawdzie. Caleb nie miał się do nich przyłączyć. Miał zostać w Londynie i pilnować porządku we Wróbelku. Ale to nie znaczyło, że Sera zamierzała całkiem zrezygnować z tawerny. – Nie przyłączy się.

– Sera, my wierzymy, że tego nie zrobiłaś. – Sesily wykonała kilka, niezwykle wymownych, ruchów ręki, wywołując chichot sióstr. – Ale czy jest możliwe, że… byś chciała?

Cały świat tak bardzo się interesuje jej erotycznymi podbojami. I nikt nie chce zrozumieć, że żadnych nie było. Że ich nie pragnęła. Nigdy więcej.

– To niemożliwe. Caleba ze mną nie będzie. Wy będziecie. I to wszystko.

Znowu cisza, a potem:

– Czy Haven wie, że będziemy z tobą?

Sera zawahała się, w powozie zapadła cisza.

– Nie… dokładnie?

– Cóż. A zatem to tak wygląda – powiedziała Sophie rzeczowym tonem. – Zastanawiałam się, dlaczego tak chętnie otwiera przede mną drzwi. Biorąc pod uwagę…

Seline parsknęła śmiechem.

– Biorąc pod uwagę, że ostatnim razem, kiedy się spotkaliście, pchnęłaś go na siedzenie do jeziora.

– To był staw – zauważyła Sophie wyniośle. – Ogrodowy staw.

– Och, tak – stwierdziła Seleste. – To dużo lepiej.

Sophie machnęła ręką, ucinając żarty, i spojrzała na Serę.

– A więc możliwe, że zawrócimy natychmiast, jak tylko tam dotrzemy?

– Nie spędzę w tym powozie ani minuty dłużej, niż potrzeba – jęknęła Sesily. – Tu jest gorąco i okropnie.

Seleste przycisnęła się bliżej do Sery.

– Och, nie.

– Robi mi się niedobrze – oznajmiła Sesily.

– Nie muszę więc wyglądać przez okno, żeby wiedzieć, że wyjechałyśmy z miasta. To tylko kwestia czasu, kiedy Sesily zwróci śniadanie. – Seleste popatrzyła na Serę. – Czy ktoś uprzedził woźnicę, że najpewniej będziemy chciały się zatrzymać i wypchnąć ją z powozu?

– Nie byłam taka wyzuta z uczuć, ale tak.

– Wyzuta z uczuć. Jest dorosłą, dojrzałą kobietą i nie może jechać powozem bez wymiotowania.

Sesily jęknęła, a Sera pomyślała, że wydaje się odrobinę zielonkawa.

– Nie mam pojęcia, jak twój hrabia cię znosi.

Seleste uśmiechnęła się.

– Lubi wyzwania.

– Nie wyglądaj przez okno, Sesily – poprosiła Sera.

– Eee…

– Uczciwie mówiąc, Ses… – Sophie zmieniła temat, sięgając po koszyk, który Sesily przyniosła ze sobą. – Jeśli nie paszteciki, to co tam jest?

– Nic do jedzenia.

Sophie westchnęła.

– Nie jadłaś śniadania? – zapytała Seline.

– Jadłam. Ale teraz jest już z pewnością pora na lunch.

– Jest wpół do dziesiątej.

– Och.

– Mój Boże, twój stan sprawia, że jesteś ciągle głodna, czy tak?

Sophie kiwnęła głową, sięgając po koszyk.

– Jem za dwoje i tak dalej. Jesteś pewna, że nie ma tam żadnych ciasteczek? Owoców? Chleba? Ooch! A może ser?

– Fuuj. Nie mów ser.

– Nieważne. Sama sprawdzę. – Nie zwracając uwagi na jęki Sesily, Sophie zaczęła otwierać koszyk.

Sesily wyprostowała się.

– Czekaj! Nie…

Z koszyka wydobyło się dzikie miauknięcie, Sophie krzyknęła zaskoczona, cofając się gwałtownie, a zbita kula białego futra wskoczyła na kolana Seleste. Seleste także krzyknęła, zasłaniając twarz rękami, podczas gdy stworzenie wspięło się po jej ciele na oparcie ławki, wyginając grzbiet i przyjmując postawę zaczepno-obronną na wąskiej przestrzeni.

– Co to jest? Co to jest? – Seleste rzuciła się przez powóz, z dłonią na oczach i usadowiła się między Seline a Sophie, wywołując chóralny pomruk niezadowolenia ze strony siedzących dotąd wygodnie sióstr.

– Na Boga, Seleste – powiedziała Seline. – Przestań krzyczeć.

Seleste przestała krzyczeć.

Sophie odzyskała głos.

– Cóż. To nie jest ser.

Kot mruknął groźnie.

– Teraz nigdy nie zdołamy wsadzić go z powrotem do koszyka – jęknęła Seline.

Sera zaczęła się śmiać. Śmiała się długo, głośno, z ulgą. Zaraziła śmiechem Seline, potem Sophie. I wkrótce cała trójka nie była w stanie przestać, fale śmiechu następowały jedna po drugiej, bez wytchnienia, aż siostry zupełnie straciły panowanie nad sobą.

– To nie jest zabawne! – oburzyła się Seleste. – To mnie zaatakowało!

„To” zasyczało gniewnie.

Powóz zwolnił, woźnica zapukał w dach.

– Jaśnie panie? Czy wszystko w porządku?

– Teraz woźnica myśli, że postradałyśmy rozum!

Sera odzyskała oddech na tyle, żeby zawołać:

– Wszystko dobrze, dziękuję! – A Seline i Sophie znowu parsknęły śmiechem, porywając ją za sobą.

Kiedy uspokoiły się nieco, odezwała się Sesily, wciąż zasłaniając ręką oczy.

– Jakbym nie czuła się tak, jakby to, co w środku, miało się wkrótce znaleźć na zewnątrz, uznałabym pewnie tę sytuację za zabawną.

Sera przełknęła niestosowny chichot. Wzmianka nie była zabawna.

– Sesily – powiedziała, siląc się na spokój. – Dlaczego zabrałaś – uśmiechnęła się, nie mogąc opanować rozbawienia – kota?

– Dlaczego nie? Zabiera się zwierzęta na wieś – odparła, machnąwszy lekko dłonią.

– Ze wszystkich głu… – wtrąciła Seleste. – Zwierzęta takie jak konie! Jak psy! Nie koty!

– Dlaczego nie koty? – zapytała Sesily.

– Ponieważ nie możesz go osiodłać i pojeździć sobie na nim po południu albo rzucić mu patyka. Są straszliwie aspołeczne.

– Nie Brummell. – Wszystkie zamrugały, kiedy ogromny, biały kot, o którym była mowa, miauknął i trącił łebkiem brodę Sesily. – Brummell jest

czarujący.

– O tak. To pierwsze określenie, jakie przyszłoby mi do głowy.

Brummell zmrużył zielone oczy, patrząc na Seleste, i mruknął w sposób, który dałoby się jedynie opisać jako wyraz kociego oburzenia.

– Brummell – powiedziała Sera.

– Tak jest.

– Ja osobiście sądzę, że jego imiennik może być dumny – zauważyła Sophie.

– Dziękuję – powiedziała Sesily. – Wszystkie macie pary, więc pomyślałam, że sprawiedliwość nakazuje, żebym ja także miała przystojnego dżentelmena przy sobie. – Przerwała.

– Żadna z nas nie ma pary – zauważyła Seleste.

– Nie w tej właśnie chwili, ale przez resztę czasu zachowujecie się jak ptaki w okresie godowym. Jak skrzeczące gołębice.

– Gołębice gruchają – sprostowała Sophie.

– Wszystko jedno. – Sesily machnęła ręką. – Każda ma parę. Jak na jakimś obrazie olejnym.

– Wydaje się, że to strasznie nudny obraz – powiedziała Seline.

– Dość. Wiecie, co mam na myśli.

Sera wiedziała.

– Ja nie mam pary jak gołębica.

– To dlaczego jedziemy do twojego męża?

– Bo on mnie do tego zmusza.

– Tak jak zmusił cię, żebyś wróciła do Londynu? Tak jak zmusił cię, żebyś wdarła się do parlamentu i zażądała rozwodu?

– Sesily. – Łagodne ostrzeżenie Sophie przeszło bez echa.

– Tak jak zmusił cię, żebyś odeszła?

Sera spojrzała na siostrę spod na wpół przymkniętych powiek.

– Co ty mówisz?

Przez chwilę wydawało się, że Sesily odpowie na to pytanie uczciwie. Że, być może, powie to wszystko, co myśli. Co one wszystkie myślały. Zamiast tego westchnęła, opierając głowę o ławkę. Brummell wykorzystał tę chwilę, żeby opuścić swoje stanowisko i ułożyć się jej na kolanach.

– Tylko że ma się wrażenie, że drażnisz niedźwiedzia. Po co inaczej zbroiłabyś się po zęby?

– A w jaki sposób się uzbroiłam?

– A jak zbroi się Niebezpieczna Córka? – To padło ze strony Sophie. – Przy pomocy reszty z nas.

I tak, rozbawienie minęło i Sera wróciła do rzeczywistości. Do tego, że to nie jest zwykła letnia eskapada. Że udaje się na wieś, do miejsca, które kiedyś kochała tak mocno, jak jego właściciela.

Miejsca, gdzie się zatraciła. Gdzie część jej samej została. Z którego uciekła, żeby zacząć życie na nowo.

Nie na nowo. Znowu.

– No i kota, jak się wydaje – dodała Seleste.

Sera zignorowała próbę złagodzenia nastroju.

– Jestem wam winna tyle odpowiedzi.

Sophie pokręciła głową.

– Nic nam nie jesteś winna. Ale gdybyś chciała powiedzieć nam, czego pragniesz, wszystkie jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc to osiągnąć.

Tyle że nie mogły dać jej tego, czego pragnęła. Nie mogły odesłać jej w przeszłość ani katapultować w przyszłość.

Nie mogły przywrócić tego, co straciła, ani darować jedynej rzeczy, która, jak sądziła, mogłaby uleczyć jej rany. Ani sprawić, żeby zapomniała, że w ogóle była kiedyś zamężna.

Jedyną osobą, która mogłaby to zrobić – o ironio – był jej mąż. Tak więc jechała do niego. Żeby dać mu następczynię. I uzyskać rozwód.

Dostanie swoją wolność. Będzie właścicielką Wróbelka. Będzie śpiewać i stworzy sobie nowe życie. Pójdzie naprzód.

Nie przeczyła, że to wszystko wydawało się nieco łatwiejsze z siostrami u boku, dzięki ich lojalnemu wsparciu. I tutaj, w rozklekotanym powozie, w którym panowała męcząca duchota i gdzie grasował koci drapieżnik, postanowiła powiedzieć im prawdę.

– Nie byłam z Calebem. – Bogu jedynemu wiadomo, dlaczego od tego zaczęła. Ale wydawało się, że to istotne. – Nie byłam z nikim, odkąd…

Siostry skinęły głowami. Rozumiejąc.

Nie rozumiały, rzecz jasna. Ale doceniała ich wysiłek.

– Cóż – odezwała się Seleste. – Kiedy dostaniesz rozwód, znajdziesz innego i zaczniesz nowe życie. Mąż, dzieci i to wszystko.

Nie wiedziały. To była tajemnica, którą zachowała dla siebie. Ta, z którą uciekła i o której nigdy nie miała zapomnieć.

– Kiedy wyjechałam, dzień, w którym wyjechałam… – Urwała. Spróbowała znowu. – Nie mogę mieć drugiego dziecka.

Cisza, jaka zapadła w powozie, była ogłuszająca. Sera znienawidziła tę ciszę. Nienawidziła tego, że siostry, którym zwykle nie brakowało języka w gębie, nagle wydawały się niezdolne wydusić z siebie słowa.

Podniosła głowę, nie chcąc się kulić ze strachu. Oczy Sophie błyszczały. Seleste uchyliła usta, najwyraźniej w szoku. Nawet Seline, najmniej uczuciowa spośród nich, wydawała się przerażona tym wyznaniem.

Sera kiwnęła głową.

– Teraz wiecie. Moja przyszłość to nie jest rodzina. – Wciąż panowało milczenie. Sera spojrzała na Sesily, mając nadzieję na jakąś reakcję. – No, dalej, Ses. Nawet ty nie masz nic do powiedzenia?

Sesily spojrzała jej w oczy bez wahania.

– Nie zasłużyłaś na nic z tego, co cię spotkało.

Parę słów, a jakoś nikt ich wcześniej nie powiedział. Serze nigdy nawet nie przyszły do głowy. I oto padły: raniły i przyniosły ulgę, pozbawiały tchu. Zacisnęła usta, odzyskując panowanie nad sobą.

– Nikt nie zasługuje.

Sesily kiwnęła głową.

– Bóg wie, że to prawda. Ale ty też nie. I powinnaś o tym pamiętać.

Nie odpowiadając, Sera wyjrzała przez okno; zaskoczył ją widok kominów Highley nad horyzontem.

– Prawie jesteśmy na miejscu.

Serce zabiło jej gwałtownie.

Ostatnim razem, kiedy zbliżała się do Highley w powozie, ledwie zwróciła uwagę na budowlę, która wznosiła się majestatycznie, zaświadczając o wspaniałości księstwa, do którego należała. Była rozległa – obszerny dwór na ziemiach ciągnących się setkami akrów wiejskiej zieleni.

Miała robić wrażenie. Onieśmielać. Oddzielać posiadaczy od tych, którzy nie mają nic. Zarazem kochała i nienawidziła tego miejsca, ponieważ to ono zrodziło jej męża, jakby nie pochodził od człowieka, ale od dworu.

Kiedy udawało jej się skłonić tutaj Malcolma do uśmiechu, czuła się wyjątkowo silna.

Dotknęła palcami okna, pochylając się, wyobrażając sobie, że zdoła poczuć słodki zapach ziemi na zewnątrz. Że może odnaleźć przeszłość. A nawet przyszłość, którą jej kiedyś los obiecał.

Pokręciła głową.

Przyszłość była niemożliwa. Ale to nie znaczy, że nie może mieć zupełnie nowej.

Nowej, w której będzie wolna. W której zadba o samą siebie. Gdzie sukces będzie jej zasługą, a nie kaprysem arystokratycznego męża. Niezależnie od tego, jak bardzo się wydawał odmieniony. A wydawał się inny, tylko nie mogła zrozumieć, w jaki sposób.

Przypuszczała, że ona też jest inna.

Na tyle inna, żeby wiedzieć, że nie może zejść z drogi, którą obrała.

Powóz zwolnił, żeby skręcić w ciągnący się na mile podjazd, kołysząc się mocno na mniej ubitym gruncie, a Sera zwróciła uwagę na siostry, które

wpatrywały się w nią wyczekująco – oddział żołnierzy w gorsetach i halkach. Gotowych na rozkazy.

Powiodła wzrokiem od jednej do drugiej, dumnych i walecznych. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Będzie wściekły, jak wszystkie się wysypiemy z powozu.

– Dobrze – powiedziała Sophie, a Sera zachwyciła się na nowo swoją silną, dumną, najmłodszą siostrą. Tym, jak dorosła i rozkwitła. – Nie zdarzało mi się uprzyjemniać życia księcia Havena i nie zamierzam teraz zacząć. Ma ogromny dług do spłacenia.

W polu widzenia pojawił się dom; natychmiast go zauważyła – stał samotnie na szczycie schodów wiodących do głównego wejścia. Znieruchomiała, a Sophie wyjrzała przez okno.

– Dobry Boże, czy on na ciebie czeka?

– Z pewnością bał się, że nie posłucham jego wezwania.

– Jest doprawdy okropny – stwierdziła Seline.

– Wciąż mamy czas, żeby zawrócić – zauważyła Seleste.

Sera zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Myślisz, że stał tam całe przedpołudnie? – zapytała Sophie.

– Być może – jęknęła Sesily. – Bez wątpienia zawarł pakt z diabłem, żeby mieć niewyczerpane siły.

Seraphina mogłaby pomyśleć, żeby podziękować Bogu za oddanie sióstr, z których każda chętnie nadziałaby Havena na rożen. Ona jednak nie mogła oderwać od niego oczu.

Wydawało się całkiem rozsądne, że stoi na schodach całe rano, nieruchomy i silny – nienagannie ubrany w świeżą marynarkę i spodnie, w butach lśniących jak szkło – jakby miał tam pozostać, aż zapadnie noc. A w razie potrzeby dłużej. Sera nie mogła znieść tego jego spokoju – jakby książęta na co dzień wyczekiwali gości, stojąc na progu swoich pałaców i dworów.

Nie gości.

Żony.

Pani tego domu.

Kiedyś czekał tam z innych powodów. Bo nie mógł znieść kolejnej minuty bez niej.

Zaśmiała się cicho na tę myśl.

Powóz wtoczył się na kolisty podjazd przed domem, a ich spojrzenia się spotkały poprzez małe, zaplamione okno. Oparła się odruchowi, żeby odwrócić wzrok. Kiedy powóz stanął, książę ruszył w jego stronę, a Sera zmarszczyła brwi. Jaką grę prowadził? Gdzie był nieodzowny lokaj w liberii, żeby podbiec i otworzyć drzwi z eleganckim ukłonem? Havenowi, jakiego znała, nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby wykonywać pracę lokaja.

Nieprawda. Zrobił to już raz wcześniej.

Uniosła brwi pytająco, a on uniósł swoją, jakby pytając: Ośmielasz się kwestionować to, co robię?

Zmieniła zdanie. Ten człowiek nie różnił się zanadto od Havena, jakiego znała. Nie mogła się doczekać jego reakcji, kiedy drzwi się otworzą, a on stanie oko w oko z piątką Sióstr Smoluchów. Nie. Nigdy ich tak nie nazwał. Zawsze używał innego określenia. Gorszego. Niebezpieczne Córki.

– Sera? – odezwała się Sesily.

– Hm? – Nie oderwała od niego wzroku. Nie była w stanie. Na wsi zawsze zyskiwał jeszcze na urodzie, niech to diabli.

Nie lubiła dziwacznych sytuacji. Nie mogła oprzeć się przeczuciu, że wszystko pójdzie nie tak, jak powinno.

– Czy Haven lubi koty?

Sesily przesunęła się już na skraj ławki, z Brummellem w ramionach, jakby szykowała się do bitwy. Sesily często pierwsza rwała się do „bitki”, nawet kiedy była jeszcze nieopierzonym pisklakiem.

– Nie wiem. Ale wątpię.

– Doskonale.

Haven otworzył drzwi i Sesily wypadła z powozu, wciskając mu w ramiona przerażonego kota.

– Trzymaj!

Zdumiewające, ale posłuchał, opanowując zaskoczenie, choć nie zdołał opanować kota, który oszalał – syczał, drapał i miotał się, żeby się uwolnić.

A jednocześnie Sesily zwymiotowała na starannie wyczyszczone buty księcia.

Sera podniosłą gwałtownie rękę do ust, jakby chcąc powstrzymać zdumione westchnienie. Jakby mogła ukryć, jak bardzo ją to powitanie rozbawiło. Nie udało jej się.

Podniósł głowę i napotkał jej spojrzenie; był jednocześnie wściekły i wytrącony z równowagi. Sera opuściła rękę, ukazując szeroki uśmiech; zdała sobie sprawę, że w istocie wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno.

Dla niego.

10. Niebezpieczna Córka łowi księcia!

Trzy lata, cztery miesiące wcześniej.
Dwór Highley, kwiecień 1833

Malcolm nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Przyjechała; prosił, żeby przyjechała i zrobiła to.

Zbiegł po schodach do powozu, nie przejmując się chłodnym, kwietniowym powietrzem; spojrzał na woźnicę, otwierając drzwi i wyciągając schodki.

– Nikt was nie śledził?

Jeśliby ją śledzono, byłaby skompromitowana. A on nie chciał jej kompromitacji. Chciał tylko, żeby była jego. Prywatnie. A sezon w Londynie nie dawał żadnej prywatności.

– Nie, wasza wysokość – odparł woźnica tonem, w którym można by wyłowić urazę. – Postępowałem według pańskich wskazówek, niczego nie zmieniając.

Haven już zaglądał do powozu, tracąc dech na widok spódnic w kolorze głębokiej czerwieni, kolorze pożądania. I grzechu. I miłości. W kolorze miłości.

Sięgnął po jej ręce, w rękawiczkach tej samej, niepokojącej barwy, skrywających się pod świetnie skrojonym, szarym płaszczem podróżnym, zapiętym skromnie pod samą szyję. Nienawidził tego płaszcza i

poprzysiągł, że zdejmie go natychmiast, jak tylko wejdą do domu. Jak tylko kobieta stanie na ziemi – ziemi, która wkrótce będzie ich ziemią.

Jak tylko poprosi ją o rękę.

Uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, jak bardzo ci ufam, wasza wysokość. Można by powiedzieć, że wielogodzinna podróż, Bóg raczy wiedzieć dokąd, to bardzo zły pomysł.

Uniósł jej dłoń w rękawiczce do ust, żałując, że dzieli ich materiał. Pragnął poczuć ciepło jej skóry. Wkrótce.

– Niezmiernie cenię sobie twoje zaufanie, pani.

Zerknęła na dwór za jego plecami.

– Imponujący wiejski domek.

Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na potężną budowlę, zimne kamienne mury, liczące sobie setki lat, wśród których żyły przed nim całe pokolenia książąt. Zniżył głos do szeptu:

– Wolałbym, żeby to była wiejska chata.

Jej oczy rozbłysły rozbawieniem.

– I co wtedy? Byłbyś skromnym pasterzem? A ja dojarką o różowych policzkach?

Przełożył sobie jej rękę pod ramię i poprowadził po kamiennych schodach do ogromnej sieni bez żadnej służby. Służącym dał wolny dzień i w ten sposób zajął go dla siebie. Nie musiał grać księcia. Nie przy Seraphinie.

– Chciałabyś tego? – szepnął jej przy uchu.

Podniosła głowę.

– Pasterz, drwal, rzeźnik, szczurołap. Cokolwiek byś wybrał, podobałoby mi się.

Wierzył jej. Czy spotkał wcześniej kogoś, kto pragnąłby najpierw jego, a potem tytułu? Na pewno nie żadna z kobiet, które uganiały się za nim na

balach w Londynie… żaden z mężczyzn, którzy zabiegali o jego przyjaźń i pieniężne wsparcie… nawet nie jego matka.

W istocie matka zawsze pragnęła jedynie tytułu. Dziecko, które miało zapewnić jego ciągłość, stanowiło tylko mało ważny dodatek.

Ale Seraphina chciała jego. Nie tytułu.

Skierował ją do swojego gabinetu – jedynego pomieszczenia w domu, gdzie czuł się naprawdę swobodnie – z płonącym ogniem na kominku.

– Szczurołap? – Odwrócił ją twarzą do siebie, kiedy drzwi się za nimi zamknęły; jej bliskość go uspokajała, dawała ukojenie.

Uśmiechnęła się.

– Są ogromnie pożyteczni.

– A co z tobą? – Przyciągnął ją blisko.

Podniosła ręce, otaczając jego szyję i wsuwając palce we włosy; walczył z pokusą, żeby zamknąć oczy i napawać się tym dotykiem.

– Kim chciałbyś, żebym była? – Patrzyła na niego pięknymi, błękitnymi oczami, zaglądając w głąb jego duszy.

Nie chciał jakiejś wymyślonej, fantastycznej wersji Seraphiny. Nie potrzebował. Ona była fantazją. Pokręcił głową, z bijącym mocno sercem.

– Kimkolwiek sobie życzysz – szepnął. – Wszystko, co uczyniłoby cię szczęśliwą.

– A zatem krawcową – odparła cicho, przesuwając wzrok na jego ubranie, jedną ręką gładząc materiał. – Naprawiałabym ubrania przy świetle świec, śpiewając w oknie, czekając, aż wrócisz do domu.

Przyjąłby takie życie. Oddałby za nie wszystko. Za każde życie z nią. Ale nie musiał tego robić.

– Co byś śpiewała?

Uśmiechnęła się. A potem, Boże miej go w opiece, zaśpiewała. Jak anioł.

Tutaj jest serce i uśmiech, i miłość, tutaj jest wilk, anioł, gołębica. Porzuciła sen i zabawę, rodząc się tego dnia w chłopięcym sercu.

Przytulił ją mocno, nie będąc w stanie zrobić nic innego. Nie mógł patrzeć nigdzie indziej, jak tylko w jej piękne oczy, nie słyszał niczego poza jej głosem. Czuł tylko jej zapach. Jej dotyk.

– Nie wiedziałem, że potrafisz śpiewać.

Zaczerwieniła się.

– Tego się wymaga od wszystkich dobrze urodzonych panien.

Nie aż tak. Objął ją mocniej.

– Ale ty nie jesteś damą. Jesteś krawcową w oknie. O najpiękniejszym głosie, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Westchnęła.

– Tylko w moich marzeniach.

Pokręcił głową.

– Zmień marzenia.

Roześmiała się, a jej radość wypełniła go światłem, jak zawsze.

– Wydaje się, że nie potrafię w to grać.

– Nie – powiedział, ujmując ją za brodę i podnosząc jej twarz ku sobie. – Całkiem dobrze ci idzie. Ale ja namalowałbym lepszy obraz.

Uniosła brwi.

– Naprawdę?

– Jesteś księżną. – Jej oczy rozszerzyły się, dostrzegł w nich pragnienie. Ale nie pragnęła tytułu, tylko jego.

Chciała jego.

– Jesteś doskonała – ciągnął – i tak bardzo za dobra dla mnie, że nie śmiem nawet na ciebie patrzyć. – Patrzył na nią, oczywiście. – Nie śmiem nawet o tobie myśleć. – Rumieniec wrócił; przesunął kciukiem po jej zaróżowionych policzkach. – Z pewnością nie powinienem cię dotykać. – Rozchyliła wargi; pochylił się mimo woli, blisko, dziękując Bogu, że są sami. – A już z całą pewnością nie powinienem cię całować.

– Nonsens – powiedziała, podnosząc się na palcach. – Po co być księżną, skoro nie mogę się nawet domagać pocałunków? – Przylgnęła do niego,

jęknął zachwycony; była miękka, słodka, doskonała i smakowała miętą. Zawsze smakowała miętą, jakby w każdej chwili była gotowa się z nim całować.

Wsunął język między jej wargi, aż poddała się, pozwoliła ponieść chwili. A potem oddawała pieszczotę za pieszczotę; jego ręce rozpięły szybko jej płaszcz, zsuwając go z jej ramion. Nie wahała się, pomagając mu; uznał to za cud, kiedy odsunął się i stanęli naprzeciw siebie, dysząc.

Zamrugała.

– Malcolm?

Zamknął oczy, tak cudownie było słyszeć swoje imię z jej ust.

Pokręcił głową.

– Nie zamierzałem.

Uśmiechnęła się.

– Ja tak.

Śmiałe, bezwstydne słowa – tego już było za wiele. Kim była ta kobieta? Skąd miała tyle odwagi? Tyle pewności? Jak to się stało, że tak nad nim zapanowała? Jak to się stało, że on tak tego pragnął?

– Nie mamy zbyt dużo czasu – szepnęła.

Miała rację. Wkrótce musiała wracać do Londynu. Sprowadził ją tutaj, żeby pobyć z nią trochę na osobności, bez wścibskich oczu i plotek. Nie, żeby ją sobie wziąć, ale żeby o nią poprosić.

Powinien pójść do jej ojca. Poprosić we właściwy sposób. Był, do diabła, księciem. O rękę damy występuje się według określonych zasad.

Ale nie chciał pośrednictwa innych. Chciał jej, samej. Uczciwie. Dla siebie, nie z powodu tytułu, interesów, pieniędzy albo dlatego, że jej ojciec tak postanowił. Nie ma znaczenia, czego życzy sobie jej ojciec. Liczyło się tylko to, czego chciała ona. Co wybierze.

A ona wybierała jego. Była jedyną osobą, która, jak dotąd, naprawdę wybrała tylko jego.

Starczy czasu, żeby zapytać ojca. Nie odmówi. Nikt nie odrzuca księstwa.

A jeśli odrzuci?

Serce mu się tłukło, nawet kiedy się uśmiechnęła, zaciekawiona, i przesunęła dłonią w czerwonej rękawiczce wzdłuż jego ramienia, zostawiając ognisty ślad.

– Malcolm?

Chwycił jej rękę.

– Co powiedziałaś matce? Siostrom? Jak im uciekłaś?

Później jej wahanie miało go zadręczać. Ale w tamtej chwili ledwie zwrócił na nie uwagę.

– Powiedziałam, że jadę odwiedzić chorą przyjaciółkę. Że nie będzie mnie całe popołudnie.

Skinął głową. Wymówka nie była może doskonała, ale też nie najgorsza. Dzięki niej zyskali godzinę. Może dwie. Dość czasu, żeby zadać jej to pytanie. Dość, żeby przekonać ją do zgody.

A jeśli się nie zgodzi?

Przesunął ręką we włosach; nagle stracił całą pewność siebie. Rzadko zdarzało mu się wątpić w cokolwiek.

– Nigdy nie byłeś w moim domu – odezwała się, wyrywając go z zamyślenia.

– Ja… – Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć.

Pokręciła głową.

– To nie ma znaczenia.

Mal czuł bardzo wyraźnie, że miało. Ale nie pociągało go siedzenie na niewygodnej kanapie i znoszenie świdrujących spojrzeń i uśmieszków jej matki i sióstr, które widziały w nim tylko tytuł. Musiał to znosić, ilekroć pojawiał się publicznie – książę kawaler, niczym byk na targu. Spojrzał Serze w oczy i wyznał prawdę.

– Jestem zbyt chciwy – powiedział. – Chcę ciebie tylko dla siebie, samej. Chcę być tylko twój, sam.

Zamyśliła się na chwilę, przyglądając mu się z powagą. Miał wrażenie, że jest w stanie go przejrzeć. Wciągnęła głęboko powietrze, wypuściła je, jakby podjęła decyzję.

I tak było.

– Cóż – powiedziała cicho, poważnie. – Jestem tutaj. Bez przyzwoitki. Jak chciałeś.

Nie miał prawa się tego domagać. Nigdy nie powinna się na to zgodzić. Ale ona pragnęła go tak samo, jak on jej. Przekonywał się o tym za każdym razem, kiedy spoglądał jej w oczy, kiedy napotykał jej spojrzenie w sali balowej, gdy rozdzielały ich setki ludzi.

Wiedział o tym teraz, kiedy sięgnęła wolną ręką do jego twarzy; koźla skórka nie pozwalała w pełni cieszyć się jej dotykiem – pragnął gorąco, żeby nie nosiła rękawiczek.

– Jestem twoja – szepnęła. – Pasterz, książę, szczurołap… – Pokręciła głową z uśmiechem. – Kimkolwiek chciałbyś być.

Zbliżył czoło do jej czoła.

– Jestem twoja i uczynię, co zechcesz – szepnęła.

Westchnął uszczęśliwiony.

Zgodziłaby się.

Ale jeśli będzie się z nią kochać, będzie musiała powiedzieć: tak.

Potem ich wargi się zetknęły, była jego, w jego ramionach. Rozpinał jej suknię, robiąc miejsce dla dotyku, napawając się jej krótkimi westchnieniami – każde było jak prezent – tylko dla niego.

Boże, jakże kochał tę prywatność. Myśl, że nikt nie ma pojęcia, że ona należy do niego. Że nikt nie wyobrażał sobie tej chwili. Że nawet następny dzień, kiedy świat się dowie, że się pobiorą, nie zmieni tego, że to popołudnie należało tylko do nich. Nie dzielili go z nikim.

Przy rozpiętej sukni mógł wreszcie doznawać ciepła jej ciała, gładkości jej skóry; jego imię powtarzała jak modlitwę.

Tak miało być już zawsze.

Żadnych tytułów. Żądań. Tylko oni we dwoje.

Szczęśliwi. Pragnący siebie nawzajem.

Kochani.

Wsunął dłoń pod jej spódnicę, znajdując niemożliwie gładką skórę jej nóg. Nie miała pończoch. Była wspaniała. Przesunął zębami po jej piersi, wyczuwając, że to ją rozpali. Rozsunęła nogi bez wahania, jakby wiedziała, co planuje.

Jakby tego pragnęła, może bardziej od niego. Ofiarowała mu się, a on przyjął to bez poczucia winy czy wstydu.

Była przy nim, sama; to był ich czas. Żadnych rodziców, którzy natychmiast obwieściliby światu bliski ślub, ani plotkarzy, którzy wścibskimi oczami śledziliby każdy ich ruch.

Nikt nie wiedział, co działo się między nimi tego popołudnia, w tym gabinecie; za świadków mieli tylko ściany.

Nikt nie wiedział, czym go obdarowała.

Nikt nie słyszał cichego jęku bólu ani rozkosznych westchnień później, kiedy oboje zatracili się w swojej tajemnej, doskonałej miłości.

Tak jak on nie usłyszał skrzypnięcia otwieranych drzwi.

Jak nie słyszał szeptów zaszokowanych kobiet za drzwiami.

Tak jak nie uświadomił sobie, co się stało, póki Seraphina nie znieruchomiała w jego ramionach, a potem nie odepchnęła go, cofając się gwałtownie i usiłując bezskutecznie okryć nagość.

Póki hrabina Wight nie wyrzuciła z siebie przerażonym głosem:

– Seraphina!

A zaraz potem:

– Ty łajdaku! Zabierz od niej ręce natychmiast!

Zrobił to. W jednej chwili. Nie zdając sobie sprawy, że po raz ostatni dotykał jej z całkowitym zaufaniem. Nie pojmując jeszcze w całej pełni tego, co zaszło.

– Pani – odezwał się, ściągając błyskawicznie marynarkę i zakrywając Seraphinę, żeby ją chronić. Najpierw Sera. Zawsze. – Nie rozumiesz.

– Rozumiem, że jesteś draniem, Haven. Najgorszym rodzajem łajdaka.

– Nie najgorszym – odparł. – Zamierzam poślubić twoją córkę.

Nawet wobec katastrofy tego popołudnia, humor mu się poprawił, kiedy powiedział to głośno. Arogancka hrabina z pewnością się uspokoi. Okoliczności nie złożyły się najszczęśliwiej, a on i Sera zapewne nie zobaczą się więcej na osobności aż do dnia ślubu, ale będą się z tego śmiać przez lata, późno w nocy, kiedy gromada dzieciaków zaśnie w pokojach na górze w swoich łóżeczkach. Spojrzał na Serę.

– Pobierzemy się.

W jej oczach nie dostrzegł jednak szczęścia.

Dostrzegł coś innego. Coś, jakby…

Poczucie winy.

Zmieszał się i rozejrzał dokoła, ku swojemu zdumieniu zauważając jeszcze jedną kobietę przy drzwiach. Kolejną parę oczu, tym razem pełnych żalu i zawsze obecnej wzgardy.

Matka. Matka, która powinna bawić w tej chwili w Londynie.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiedziała, ale Haven tego nie potrzebował. Wiedział. Upewnił się co do tego, spoglądając na hrabinę Wight. W jej oczach nie było żalu. Ani poczucia winy. Ani gniewu.

Tylko siła.

Zrozumiał w jednej chwili – stara sztuczka. Hrabina zabrała jego matkę i obie razem wyruszyły za Serą do Highley. Hrabiną nie kierował macierzyński instynkt, wiedziała, co się zdarzy.

Ponieważ kobiety konspirowały, żeby go usidlić.

– Nie. – Spojrzał na Seraphinę. Na kobietę, którą kochał. Pragnął, żeby zaprzeczyła. – Nie.

Opierał się prawdzie, wiedząc, że to prawda.

Skinęła głową i świat się zawalił.

Nie był szczurołapem. Był szczurem.

11. Siostry Talbot górą; Haven przerażony!

Powinien przewidzieć, że sprowadzi posiłki.

Powinien nawet domyślić się, że przyjedzie z siostrami. Ale nie przyszło mu do głowy, że sprowadzi je wszystkie.

Zrobiła to jednak i były to siły bojowe najwyższej klasy, ponieważ na świecie nie znalazłoby się czworo ludzi, którzy nienawidzili go bardziej niż jego szwagierki.

W końcu, kiedy się opamięta, nie będzie mógł jej winić. Ostatecznie, to tutaj, jak jej obiecano, miało być jej schronienie. Tutaj miała znaleźć dom, gdzie jej rodzina nie tylko powinna być mile widziana, ale powinna się rozrastać. A wyniosła stąd tylko ból i gniew. To było miejsce, z którego uciekła.

Uznała, że posiłki są potrzebne.

Miał to za chwilę zrozumieć. Ale na razie Haven nie był zadowolony. I to jeszcze zanim najgroźniejsza z nich wpakowała mu w ramiona stworzenie, które musiało być kotem z piekła rodem, i zwymiotowała mu na buty.

Lubił o sobie myśleć, że jest inteligentnym człowiekiem, ale nie miał bladego pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji; spojrzał tylko zmrużonymi gniewnie oczami na cztery siedzące jeszcze w powozie kobiety, wyraźnie powstrzymujące chichot.

Nie tak. Trzy usiłowały nie parsknąć śmiechem.

Jego żona chichotała. Z ogromną przyjemnością, jak się wydawało, i niech go diabli, jeśli ten dźwięk – jeden z jego ulubionych – nie sprawił mu przyjemności. Nawet jeśli powód mu nie odpowiadał.

Haven chwycił pewniej dzikiego zwierzaka, przesuwając rękę na jego grzbiet i zmuszając do bezruchu.

– Dość, mała bestio – powiedział głośno, w duchu posyłając milczące: spokojnie, kocie, pozwól mi przynajmniej na to, do tej siły wyższej, która czuwała nad kotami.

Ku jego uldze ta siła raczyła wysłuchać jego prośby, dzięki czemu mógł się zwrócić do właścicielki kota:

– Czy mogę ci jakoś pomóc, lady Sesily?

Sesily wyprostowała się, posyłając mu chłodne spojrzenie.

– Prawdziwy dżentelmen już by mi podał chusteczkę.

Nigdy go nie lubiła. Podobnie jak pozostałe.

Nie zasłużył na ich sympatię.

– Nie chciałbym, żebyś uznała, że brak mi dobrych chęci, ale… – Niewiele mógł zrobić, trzymając w ramionach wściekłego drapieżcę.

– Nie martw się, Haven – odparła Sesily w wyraźnie lepszym nastroju. – Uważam, że wiele ci brakuje, i nie muszę się co do tego dodatkowo upewniać.

Zamrugał.

– Cieszę się, że wydajesz się już w lepszej kondycji.

– Świadomość, że zniszczyłam ci buty, bardzo mi pomaga.

– Czarująca, jak zawsze – zauważył suchym tonem, podnosząc zwierzę w ramionach. – I masz jeszcze więcej kotów.

Kot zaprotestował, miauknąwszy przeraźliwie.

To tyle, jeśli chodzi o życzliwość kocich bogów.

Sesily wyciągnęła ręce po zwierzątko.

– Tylko potwór mściłby się na kocie za postępek właściciela, niezależący w dodatku od jego woli.

– Och, na Boga – powiedział. – Nie mszczę się na przeklętym kocie. Jeśli go ode mnie zabierzesz, znajdę ci chusteczkę.

– Nie. Nikt nie weźmie kota. Kot wraca do koszyka, póki Sesily nie dostanie pokoju. – Sera wyszła z powozu, z koszem w ręku, kierując się w ich stronę. – I nie weźmie kąpieli.

Pozostałe siostry wydawały się blednąć i maleć przy Seraphinie, wysokiej i pięknej o jasnych oczach – pełnych spokoju, choć wiedział, że tutaj, w tym miejscu, na pewno myśli o tym samym co on. Była uosobieniem doskonałości, nawet z kroplami potu perlącymi się u nasady nosa i nieskromnym dekoltem.

Choć, oczywiście, nie zwracał uwagi na jej dekolt. Na wypukłość piersi.

Zauważył tylko, że w powozie musiało być gorąco, sądząc po tym, jak wznosiła się i opadała różowa skóra jej szyi i piersi. Napinając wrzosowoszary materiał sukni. Która była niemal na nią za ciasna. Może powinna ją zdjąć.

Dla własnej wygody.

Odchrząknął.

– Wasza wysokość.

Haven przełknął gwałtownie ślinę, natychmiast kierując na nią spojrzenie. Wydawała się czekać, żeby coś zrobił. Czy coś mówił? Otworzył usta, żeby wydobyć z siebie jakieś słowa, ale to, co wydobył, brzmiało jak:

– Er…

A to w ogóle nie było słowo.

Jedna doskonała czarna brew uniosła się w górę.

Odchrząknął znowu, ale się nie odezwał, nie chcąc znowu zrobić z siebie głupca. Milczenie nie podlega krytyce.

Najmłodsza z sióstr Talbot, Sophie, chichotała ze swego miejsca, parę stóp dalej. Zawsze uchodziła za tę spokojną. To znaczy do tej chwili przed trzema laty, kiedy wpakowała go po siedzenie do stawu rybnego, rujnując

jego najlepsze buty. Potem znalazła męża dla siebie i odzyskała głos, którego nie zawahała się teraz użyć:

– Może kot zdoła coś powiedzieć?

Kącik ust Sery drgnął.

– Zawsze można pomarzyć.

Ściągnął brwi.

– Czego chcesz?

Wygięła czerwone wargi.

– Kota, Haven. – Wyciągnęła w jego stronę otwarty koszyk. – Chcę kota.

Oczywiście, że chciała kota. Przecież to powiedziała.

Jakimś cudem zwierzę dało się uwięzić bez sprzeciwu, a Haven wyjął chusteczkę i podał Sesily, która wzięła ją bez wahania. Dopiero wówczas, kiedy na parę sekund zapadła cisza, Haven uświadomił sobie, że jego starannie obmyślony plan właśnie spalił na panewce.

Wyglądało na to, że Sera także to zauważyła.

– Gdzie one są?

Udał, że nie rozumie.

– Kto?

Zmarszczyła czoło.

– Dziewczęta, Haven. Moje następczynie.

Jakby można ją było zastąpić.

Stłumił tę myśl.

– Dobrze, że jeszcze ich nie ma, zważywszy, że musimy znaleźć cztery dodatkowe sypialnie dla niespodziewanych gości. Jak długo zostają?

– Gdzie twoja braterska miłość, Haven? – zapytała ta, która poślubiła hrabiego Clare.

Udał, że nie słyszy pytania.

– Jak długo, Seraphino?

Uśmiechnęła się z niezmąconym spokojem i poklepała go po policzku.

– W tym koszmarnym domu jest trzydzieści sypialni – zauważyła. – Przypuszczam, że znajdziesz dość miejsca dla rodziny.

– Koszmarnym?

– Po co komu takie ogromne domisko? – Powiedziała to z roztargnieniem, patrząc na wielkie, stare drzewo z letnią koroną liści. Samotna wrona siedziała na zwieszającej się nisko gałęzi; Sera wydawała się przyglądać czarnemu ptakowi.

– Był taki czas, kiedy ci się podobał – zauważył.

Spojrzała na niego przeciągle, a potem odezwała się cicho:

– Już nie.

Oczywiście, że nie. Jaki z niego głupiec, że ją tutaj ściągnął. Każąc jej wspominać to wszystko, co stracili.

Mówiła dalej, nieświadoma zamętu w jego myślach.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz miejsca?

– Naturalnie, że jest miejsce. – Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach, uświadamiając sobie nagle z całą ostrością, że ostatnim razem Sera tu była po to, żeby go porzucić. Zasłużył na to. Oparł się chęci, żeby się odwrócić i wziąć ją w ramiona. Żeby zapobiec temu, co się stało kiedyś.

– Gdzie one są, Haven? – Sera powtórzyła pytanie. Weszła za nim do głównej sieni z siostrami na obu flankach – jedną bardziej wściekłą i silniejszą od drugiej – i jego plany na wieczór nagle wzięły w łeb. Stały się nie do przyjęcia. Niemożliwe. – Dlaczego tak ci zależało, żebym tu przyjechała?

A gdyby powiedział jej prawdę?

– Czy w ogóle tutaj są?

A gdyby jej powiedział, że spodziewał się, że przyjedzie sama?

– Haven?

Gdyby jej powiedział, że pragnął ją odzyskać?

– I dlaczego nie ma żadnej służby? – Odwrócił się, gotów powiedzieć prawdę, ale kiedy spojrzał jej w oczy, zrozumiał, że ona już ją zna. – Gdzie

służba, Haven?

– Dałem im wolne popołudnie – odparł z książęcą wyniosłością, starając się tym tonem zapobiec dalszym pytaniom.

Zapomniał, że sióstr Talbot nigdy nie onieśmielała książęca wyniosłość. Pięć par błyszczących sprytem oczu wbiło się w niego, prześwietlając go na wskroś.

– Dlaczego? – zapytała lady Sesily, wciąż z chusteczką przy wargach.

Malcolm zignorował pytanie i spojrzał w stronę wrony na drzewie. Nie była już sama. Czarne ptaszyska wydawały się odwzajemniać jego spojrzenie. Wyprostował się, wspomniał, że jest potomkiem znakomitego, książęcego rodu i skupiwszy uwagę, ponownie spojrzał na Seraphinę.

Błąd.

Patrzyła na niego zmrużonymi, wszystkowiedzącymi oczami.

– Gdzie są dziewczęta? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu, niczym, o ironio, prawdziwa księżna.

– Zjawią się za trzy dni. Pokoje przygotowano, każde łóżko zaścielono, posiłki zaplanowano.

Skinęła głową; w jej oczach dostrzegł pytanie, którego nie zadała głośno: Dlaczego jesteśmy sami?

Zastanowił się, co by powiedziała, gdyby jej to uczciwie wyjaśnił. Gdyby wyjawił prawdę, którą i tak wydawały się podejrzewać. Gdyby oznajmił: Bo chciałem, żebyś była sama. Chciałem to wszystko odwrócić.

Żałosny plan.

Więc zamiast tego znalazł wymówkę, kłamstwo, które, wypowiedziane na głos, wydawało się, na szczęście, dość zasadne.

– Uzgodniliśmy, że będziesz odgrywać rolę gospodyni i swatki, czyż nie? Czy zatem nie powinnaś być tu wcześniej? Żeby robić to, co robią gospodynie i swatki?

Malcolm był dumny ze swojego obojętnego tonu, na który jakimś cudem się zdobył, a który wydawał się drażnić szwagierki, choć jego żona

pozostała niewzruszona.

– To szaleństwo, Haven, rozumiesz to, prawda? – odezwała się Sesily.

– Jej obecność tylko zdenerwuje dziewczęta – stwierdziła markiza Eversley.

– Nikt nigdy nie czuł się swobodnie przy siostrach Talbot, i to zanim jedna z nas poślubiła ich ewentualnego oblubieńca. – To, z kolei, padło z ust żony Marka Landry’ego. A może hrabiny Clare. Nigdy ich nie rozróżniał.

– Dobry Boże. Nawet mówienie tego głośno brzmi jak szaleństwo – wtrąciła swoje trzy grosze inna. Zapomniał, jakimi gadułami potrafiły być jego szwagierki. Ale którakolwiek to powiedziała, miała rację. Cały ten plan był szaleńczy.

Nie patrzył na kobiety, poza swoją żoną, która milczała dłuższą chwilę, zanim powiedziała:

– No, cóż. Sądzę, że jest wiele do zrobienia.

Seraphina ujęła spódnice jedną ręką, w drugiej niosąc koszyk – z takim wdziękiem, jakby dzierżyła berło; zaczęła wspinać się po schodach domu, którego była panią. Nie ruszał się, zafascynowany jej płynnymi, pełnymi gracji ruchami, nawet kiedy odwróciła się na chwilę, żeby spojrzeć na niego z góry.

– Dlaczego twoja matka nie pełni tej funkcji?

Nie wahał się.

– Księżna wdowa nie żyje.

Seraphina nie okazała wzruszenia.

– Przykro mi.

– Czy tak? – Nie mógł się powstrzymać.

– Nie naprawdę, nie.

Siostry sapnęły zbiorowo, słysząc tę szczerą odpowiedź, i po raz pierwszy, odkąd zobaczył powóz na podjeździe, Malcolm zrozumiał, że

nawet one czują się nieco zmieszane w towarzystwie nowej, silnej Seraphiny.

Ale on także się zmienił. Już nie bał się prawdy. Kiwnął krótko głową.

– Mnie także nie.

Nie wiedział, jakich słów się od niej spodziewał. W ogóle nie wiedział, czego od niej oczekiwał – co zrobi, co powie. Nie odezwała się. Wciągnęła, jak mu się wydawało, głęboko powietrze i wkroczyła do domu, odwracając się od niego.

A Malcolm zdał sobie sprawę, że pewnie już nigdy nie zachowa się zgodnie z jego oczekiwaniami.

Należało wybrać inną sypialnię.

W tej chwili, z siostrami szczebiocącymi jak sroki, wydawało się rzeczą najnaturalniejszą w świecie wdrapać się po szerokich schodach i skręcić w lewo, w skrzydło rodzinne, wyznaczając każdej po jednej z najbardziej luksusowych, jak pamiętała, sypialni we dworze.

Dopiero kiedy wykonała to zadanie, uświadomiła sobie, że jedynym pokojem, jaki został w bliskości sióstr, była sypialnia, jaką jej przeznaczono przed laty jako księżnej.

Kiedy była księżną. Sera zawsze umiejscawiała ten tytuł w przeszłości, podobnie jak wszystko, co się łączyło z Havenem. Ostatecznie, od czasu, kiedy się ostatnio widzieli, minęły dwa lata i siedem miesięcy, a ponad trzy, odkąd ostatnio rozmawiali ze sobą jak cywilizowani ludzie, więc przeszłość wydawała się odpowiednim dla nich miejscem.

Nawet teraz, kiedy stała w oknie apartamentów przeznaczonych dla księżnej Haven, patrząc, jak słońce wznosi się nad wschodnim krańcem posiadłości i zamienia kolor nieba z czarnego na szary, wpadający w lawendę, jeśli chciałoby się tak to widzieć.

Seraphina wolała bezpieczną szarość.

Pokój też był szary; wspomnienia zmieniły się i postarzały, jakby upłynęły całe dekady, a nie lata, grzebiąc po drodze wszelkie obietnice.

Popełniła błąd, wybierając tę sypialnie, która kiedyś do niej należała. Nie była już tamtą kobietą. W istocie, w ciągu paru miesięcy uwolni się całkiem od tamtej kobiety, a pokój przejmie ktoś inny.

Pokój. Dom. Męża. Łoże.

Trzy dobrze przespane noce nie przekonały jej jednak, że nie powinna wybrać innych pokoi.

– Nie śpisz.

Sera drgnęła, obracając się na pięcie; Haven stał w progu drzwi łączących jej pokoje z sypialnią księcia – czyżby ściągnęła go myślami? – nienagannie ubrany, jakby od świtu, który właśnie wstawał, minęło już parę godzin. Wydawał się plamą koloru w szarości.

Zmrużyła gniewnie oczy.

– Te drzwi były zamknięte, książę. Nie zostałeś zaproszony, żeby ich używać.

Uniósł brwi i starannie poprawił mankiet przy koszuli.

– Nie byłem świadom, że potrzebuję zaproszenia. To są moje drzwi.

– Jako że prowadzą do mojego pokoju, wolałabym, żebyś uważał je za moje.

Uniósł kącik ust. Nienawidziła tego, jak wyglądał: przystojny, młody, zdecydowanie zbyt niebezpieczny.

– Co powiesz na to, że są wspólne?

Kpina coś w niej obudziła. Jakieś wspomnienie. Echo czegoś, co działo się wieczność wcześniej, kiedy on był mężczyzną, a ona kobietą i tylko to miało znaczenie.

Jaką on grę prowadzi?

Wyprostowała się.

– Straciłeś rozum, jeśli sądzisz, że chciałabym dzielić z tobą cokolwiek. A zwłaszcza sypialnię.

– Ty wybrałaś pokój, Aniele – zauważył głosem nieco ochrypłym z niedostatku snu. – Zapomniałaś, że ma drzwi?

Zacisnęła usta w cienką linię, te słowa wywołały w niej uczucia, których nie chciała już doznawać i o których dawno zapomniała.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Kiedyś to lubiłaś.

Całe życie temu.

– Nigdy tego nie lubiłam. To głupie przezwisko.

– Serafiny to najwyższe anioły w hierarchii – przypomniał jej. – Od nich cię nazwano.

– Spędziłeś dość czasu z moją matką, żeby wiedzieć, że nigdy nie przyszła jej do głowy żadna myśl natury duchowej, i sądzisz, że nazwała mnie od anioła.

Oparł się o framugę drzwi, krzyżując ramiona na szerokiej piersi, jakby było dla nich rzeczą naturalną prowadzić takie dyskusje rano. Rozmawiać swobodnie. Jak mąż i żona. Po jego twarzy znowu przemknął lekki uśmieszek.

– Wiem.

Zaśmiała się i znowu spojrzała w okno.

– Zapewniam cię, że matka nie myślała o niczym anielskim, kiedy tak mnie nazwała. Sądziła, że brzmi arystokratycznie. To był jej cel. Zawsze. – Przerwała na chwilę. – Miałeś okazję poznać jej cele na własnej skórze.

Cisza, jaka zapadła między nimi, powinna być przykra, przywołując wspomnienia pewnego odległego dnia w tym domu, kiedy ona, razem z matką, złowiły księcia. Ale nie była przykra, nawet jeśli przypomniała jej przerażenie na jego twarzy, kiedy zrozumiał, że zastawiono na niego pułapkę.

Zastawiły pułapkę. Ona go w nią wciągnęła. Ponieważ nigdy nie pragnęła niczego bardziej niż jego i wierzyła, że inaczej jej się nie uda. Że on stoi zbyt wysoko, a ona zbyt nisko i nie mogą zaznać razem szczęścia.

I rzeczywiście, wydawało się, że szczęście nie było im pisane.

„Ożeniłbym się z tobą”.

„Kochałem cię”.

Jakże te słowa raniły, wypowiedziane z gniewem, wypominające jej zdradę. I ten czas przeszły. Wszystko, co ich dotyczyło – w czasie przeszłym. Efemerydy.

– Dlaczego nie śpisz?

Zmiana tematu nie wytrąciła jej z równowagi. To była cecha charakterystyczna ich krótkiego związku, szybkie zmiany, jedna myśl za drugą, nie zawsze jednak następujące po sobie z łatwością.

– Wcześnie się budzę. – Gdyby nie to, leżałaby w łóżku, zadręczana wspomnieniami. – Poza tym dzisiaj się zjawi twoja przyszła żona.

– Za parę godzin.

Barwa nieba przeszła z szarości w róż, wspaniałą, głęboką barwę, która wydawała się zbyt jaskrawa, żeby być naturalna.

– Będzie padać – powiedziała, żałując tych słów w momencie, kiedy poruszył się, żeby stanąć za nią i spojrzeć w niebo, podążając za jej wzrokiem.

– Za parę godzin – powtórzył.

Pachniał tak samo. Świeżą ziemią i mocną, korzenną przyprawą. Starała się nie oddychać zbyt głęboko, obawiając się tego, jak znajomy zapach na nią podziała.

– Wkrótce.

Pogoda. Rozmawiali o pogodzie.

– Wybierz się ze mną na przejażdżkę. – Nigdy nie jeździli razem konno. Rozmawiali o tym sto lat temu, obiecywali sobie, że będą spędzać lato tutaj, w Highley, na koniach, poznając razem okolicę. A potem wzięli ślub i nie mogli się znieść nawzajem.

Albo raczej on nie mógł jej znieść. Chyba nie mogła go za to winić. Tyle że go winiła. I to zanim zwrócił się do innej, którą znosił lepiej.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego?

Wzruszył ramieniem.

– Bo lubisz jeździć konno i jeszcze nie pada.

Pokręciła głową.

– Jaką ty grę prowadzisz?

– Żadnej gry – odparł. – Rano jeżdżę konno.

– Baw się dobrze. Ja zamierzam zjeść śniadanie z siostrami i przygotować się na przyjęcie kandydatek na twoją księżną. – Przerwała. – Kandydatek? Czy to dobre określenie na młode kobiety, walczące o względy księcia?

– Wistaria.

Uniosła brew; to było najmilsze z przezwisk, jakie przypisywano jej i jej siostrom. Ładne kwiaty, o pięknym zapachu, pnące się błyskawicznie.

– Nie tak szybko, książę. Jeszcze ich nawet nie widzieliśmy ani nie wąchaliśmy.

Uśmiechnął się na to, ciepło, ujmująco; rozgniewała ją widoczna przyjemność w wygięciu jego warg. Rozgniewało to, jak sama odczuła tę przyjemność – przez ulotną chwilę; nigdy nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie była tak otwarta na to, co się z nim dzieje. Dlaczego? Był przecież tylko murem, który odgradzał ją od wolności.

– No, wiesz, twoje siostry nie mogą chronić cię cały czas. W jakimś momencie będziemy musieli stanąć ze sobą twarzą w twarz.

Zamknęła się wcześniej z siostrami, usiłując nie pamiętać, że on jest w domu, nawet jeśli musiała się przygotować na to, co miało nastąpić.

– Nie musimy być sami, żeby ze sobą rozmawiać.

Uniósł brew.

– Boisz się być ze mną sam na sam?

– Kiedy byłam z tobą sam na sam, sprawy nigdy nie toczyły się tak, jak sobie wyobrażałam. – Wiedziała, że zadaje cios.

Nie odebrał go tak, jak się spodziewała.

– Wydaje mi się, że poszło nam nieźle raz czy dwa.

Kim był ten człowiek?

Próbowała ponownie.

– Och tak, wasza wysokość, małżeństwo z tobą to największe szczęście, jakie mnie w życiu spotkało.

Spojrzał w okno.

– Czy muszę ci przypominać, że cztery kobiety tak bardzo pragną życia ze mną, że przybędą tutaj, żeby o nie walczyć?

Parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że tego chcą? Nie chcą. Uważają tylko, że nie mają innego wyjścia, jak próbować zwrócić twoją uwagę. – Zawahała się. – W jaki sposób wybrałeś te nieszczęśnice?

– To nic trudnego znaleźć panny zainteresowane poślubieniem księcia.

– Nawet księcia, z którego nazwiskiem od lat wiąże się skandal?

– Zdumiewające, ale tak.

Wcale nie zdumiewające. Przystojny, młody, bogaty, utytułowany – jaka kobieta przy zdrowych zmysłach by go nie chciała?

Nie ona.

– I gotowe są czekać, póki nie ogłosisz, że nie żyję? Łowienie męża wymaga więcej cierpliwości, niż mi się wydawało.

– Byłaś znakomitym myśliwym.

Nie chciał wyrazić tego w ten sposób, wiedziała o tym. Ale i tak zabolało, przypominając pułapkę, jaką na niego zastawiła. Błąd, jaki popełniła.

Odwróciła wzrok, śledząc znowu, jak słońce wznosi się nad polami.

– Nie mają pojęcia, że w ciągu paru tygodni twoja uwaga skieruje się w inne strony.

Nienawidziła siebie za gorycz, z jaką to powiedziała. Po tym wszystkim, co się stało, jak to możliwe, że najważniejsze wydawało się to, że zastała go

z inną kobietą?

Znienawidziła go jeszcze bardziej, kiedy powiedział:

– Opuściłaś mnie…

– Odesłałeś mnie! – zawołała, mimo woli podnosząc głos. – W domu, w którym mogliśmy stworzyć rodzinę, ledwie skończyło się nasze śniadanie weselne, nakazałeś mi wyjechać. – Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale ona jeszcze nie skończyła. – A wiesz, na czym polega ironia? Cały świat myśli, że skompromitowałeś mnie przed ślubem, podczas gdy w istocie zniszczyłeś mi życie dopiero potem. Zniszczyłeś moje nadzieje. Marzenia. Przyszłość. Zniszczyłeś mi życie. I miałam tego dość. Jestem tutaj tylko z jednego powodu, wasza wysokość. Chcę odzyskać swoje życie. To, które mi ukradłeś.

Oddychała ciężko, pełna gniewu, który rzadko pozwalała sobie okazywać.

I niech to diabli, jeśli nie czuła się z tym dobrze.

Nawet kiedy spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich ból. I gniew. Dobrze. Wolała widzieć jego gniew. Widzieć w nim wroga. Byli przecież wrogami, czyż nie?

– Jeśli ja ukradłem ci życie, co ty zrobiłaś z moim? Zniknęłaś, każąc całemu światu się zastanawiać, co się z tobą stało. Wyobrażając sobie, że cię wygnałem.

Odwróciła się znowu.

– Wygnałeś mnie. – Kłamstwo, ale użyła go tak czy inaczej, chcąc go zranić.

Zapadła cisza, którą zignorowała, nie patrząc na niego nawet, kiedy się odezwał:

– Bałem się, że umarłaś. Doktorzy mówili, że możesz umrzeć. Czy masz pojęcie, jak się czułem, myśląc, że może nie żyjesz?

Nie zawahała się.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, że ta możliwość dała ci nadzieję, skoro wiedziałeś już doskonale, jak mnie zastąpić.

Spodziewała się, że odpowie – gniewnie, ironicznie, lekceważąco. Odpowiedział szczerze, bez żadnej pozy:

– Nigdy nie chciałem, żebyś umarła.

Ogarnęło ją zmieszanie, zanim zdołała się przeciwko niemu uzbroić. Choć nie chciała dopuścić, żeby wprawił ją w zmieszanie.

– Nie – powiedziała. – Tylko, żebym odeszła. Więc niech się zjawią. Dam ci, czego chcesz. Z przyjemnością.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że gdzieś w głębi serca chciała, żeby się do tego przyznał; że odetchnął z ulgą, kiedy wyjechała. Nie zrobił tego.

– Kiedy wyjechałaś, ja… – Urwał, podjął na nowo: – Ostatniego dnia, kiedy… – Zamilkł, kiedy Sera zamknęła oczy, zamykając się na słowa i wspomnienia. Poczucie straty. Dziecko, którego nie mogła zapomnieć. Zaprzepaszczoną przyszłość. Miłość. Powinna mu podziękować, że nie dokończył, ale nie dał jej czasu. Powtórzył: – Nigdy nie chciałem, żebyś umarła.

Wiedziała o tym, oczywiście.

– Rozgniewałeś mnie. – Tylko w taki sposób mogła wyrazić, że przykro jej, że go zaatakowała.

Malcolm roześmiał się; głos miał niski, czarujący, jak zapamiętała.

– W tym zawsze mi się raczej wiodło.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– To akurat prawda.

– Przejedź się ze mną. Zanim tamte przybędą.

Powiedział „tamte” takim tonem, jakby nie było w tym nic dziwnego, że gromadka kobiet przyjedzie, żeby ubiegać się o rolę księżnej – rolę, która, jak na razie, należała do niej. Znowu pokręciła głową. Zbyt był pociągający, mimo wspomnień, które właśnie ożyły.

– Mógłbym nalegać. Postawić to jako warunek rozwodu.

– Mógłbyś, ale nie zrobisz tego.

– Skąd wiesz?

– Bo ja nie chcę, a ty mnie nie zmusisz.

– Zmusiłem cię, żebyś przyjechała i znalazła następczynię.

– Z korzyścią dla nas obojga. Ale spędzanie czasu z tobą do niczego nie prowadzi. Zawsze lubiliśmy się, chwilami nadmiernie, Malcolm. I nigdy nie było tych chwil dosyć, żeby zadośćuczynić temu, jak się raniliśmy.

Popatrzył przez okno, a ona w duchu błagała go, żeby ją zostawił. Nie odszedł jednak. Zamiast tego powiedział spokojnie:

– I tak nie możemy się nigdzie wybrać.

Poszła za jego spojrzeniem; w oddali ukazał się powóz, masywny i czarny jak letni żuczek; ciągnęły go cztery jednakowe konie, z boków towarzyszyło mu dwóch jeźdźców. Serce zaczęło jej bić gwałtownie.

– Przybywają pierwsze.

Ledwie te słowa przebrzmiały, kiedy na długim podjeździe pojawił się drugi powóz.

– I kolejne.

Jeszcze siedem powozów potoczyło się podjazdem, czarnych i poważnych jak żałobnicy na cmentarzu i Sera zwróciła się do męża:

– Czy znają się nawzajem? Czy są wyjątkowo punktualne?

Zerknął na nią z ukosa.

– Zapewniam cię, że nie miałem zamiaru zaczynać dnia o siódmej rano.

– Zatem porozumiały się co do godziny przyjazdu.

Odchrząknął głośno. Kiedy uniosła pytająco brew, dodał:

– Raczej matki zdają sobie sprawę, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Sera uśmiechnęła się mimo woli.

– Cóż, wasza wysokość, musisz przyznać, że jesteś wyjątkowo łakomym kąskiem.

Nie zwrócił na to uwagi.

– Ale skąd osiem powozów? Zaprosiłem cztery. – Jego zaskoczenie niemal natychmiast ustąpiło miejsca przerażeniu. – Dobry Boże, nie sądzisz, że także przywiozły ze sobą siostry, prawda?

– Nie ośmieliłyby się. Siostry to moja broń. Te dziewczęta muszą znaleźć własną.

– Czy tak to wygląda? Na bitwę?

– To małżeństwo, książę. Oczywiście, że będzie bitwa.

Uniósł kącik ust do góry.

– Z nami zawsze tak było.

Odwróciła się, nie patrząc na niego.

– Od samego początku. – Przyglądała się szeregowi zbliżających się powozów. – Powozy na końcu wiozą bagaże. Nasze rzeczy także powinny dzisiaj przyjechać.

Ściągnął brwi.

– To największy i najlepiej wyposażony dom w Brytanii. Boją się, że nie będę ich karmić?

– Nie. Boją się, że nie masz pokojówek, które są także znakomitymi fryzjerkami. I że nie masz dziesiątków świetnie skrojonych wieczorowych sukien. I butów. I bielizny.

– Mają co do tego rację.

– Oczywiście, że tak. Jesteś kawalerem. Ten dom wymaga… kobiecej ręki. To jedna z moich prób dla… pozostańmy na razie przy kandydatkach.

– Z pewnością nie wymaga. – Nigdy nie słyszała, żeby był taki oburzony. – Przygotowałaś próby?

– Prosiłeś, żebym ci znalazła drugą żonę, książę. Biorąc pod uwagę, jak ci się powiodło z pierwszą, uznałam, że powinieneś być wdzięczny, jeśli poddam je próbom.

– Jakim? Zawody w bieganiu? Ujeżdżanie koni?

– Niewiele się pomyliłeś, w gruncie rzeczy. – Uniósł brwi; zaspokoiła jego ciekawość. – Gra w bule na trawie z pewnością.

Prawie zachichotał, a Serze sprawiło to niemal przyjemność. Niemal sobie przypomniała, jaki jest przystojny. Niemal sobie przypomniała, jakie to cudownie być źródłem jego przyjemności.

Niemal.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi, a potem głos Sesily:

– Sera! Przybył harem Havena!

Wargi jej zadrżały, ale była dumna z poważnego spojrzenia, jakie posłała mężowi. Księciu. Powinno być dużo łatwiej, jeśli przestanie o nim myśleć jako swoim mężu. Nie był nim, ostatecznie. Nie naprawdę. Nie od czasu ślubu. Ani przedtem.

Tak czy inaczej, to nie było dla niej trudne.

Myślała tylko o tamtych kobietach. O następczyni.

Odchrząknęła i zawołała:

– Tak! Widzę je!

– Cóż, powinniśmy zejść i przyjrzeć się im, nie sądzisz?

– Tak, raczej tak – odparła Sera, ciesząc się zmieszaniem Malcolma.

– Świetnie! – zawołała wesoło Sesily. – Powiem tylko Sophie, żeby wbiła się w jakąś sukienkę, która jeszcze na nią wchodzi z jej rosnącym ciągle brzuchem.

– Aj! Stoję obok ciebie! W sukience, która całkiem dobrze leży, dzięki wielkie! I ty to mówisz, cała w kocim futrze. Chyba go nie zabierzesz, co?

– Oczywiście, że zabiorę. To będzie pierwsza próba! Poza tym Brummell odznacza się wyrafinowanym gustem.

– Skoro temu zwierzakowi tak odpowiada twoje towarzystwo, trudno mi w to uwierzyć. – Seline pojawiła się na korytarzu. – Chodź, Sera!

– Dobry Boże, jest ich cała gromada. A ty uważasz, że dom nie jest dostatecznie „kobiecy”? – odezwał się Haven.

Uśmiechnęła się.

– Ani trochę, nie.

Jęknął, kierując się do drzwi swoich pokoi.

– Nie odstrasz ich.

– Moich sióstr? – zapytała niewinnie. – Niełatwo je przestraszyć.

– Wiesz doskonale, co mam na myśli. Jeśli ktoś może wprawić w przerażenie grupę debiutantek, to właśnie wy.

– Nie nazywają nas Niebezpiecznymi Córkami bez powodu, wasza wysokość.

Nie roześmiał się, zrozumiała, że riposta nie była śmieszna. Nie dla niego. Ani nie dla niej. Nie, kiedy się odwrócił, a chwila ciszy zaczynała ciążyć nieznośnie.

– Nigdy niczego nie przywoziłaś.

Znieruchomiała. Niczego nie przywoziła. Wiana, służącej, niczego. Nic się nie liczyło, kiedy go poślubiła. Ale złość zbyt go zaślepiała, żeby to zauważył.

– Byłam inna. – Miała nadzieję, że zostawi jej słowa bez odpowiedzi.

Tak się nie stało.

– Przyjechałaś dla mnie.

Za każdym razem.

Mogła skłamać, ale nie miała ochoty. Nie chciała znowu udawać kogoś, kim nie była.

– Tak.

Kiwnął głową i przekroczył próg pokoju, a potem zamknął drzwi za sobą.

Dopiero wtedy Sera dokończyła:

– Przyjechałam dla ciebie, tak samo jak odeszłam dla ciebie.

Wygładziła spódnice i poszła na spotkanie z kobietami, które miały nadzieję poślubić jej męża.

12. Smakowity skandal! Seraphina ma wybrać następczynię!

*S*iostry Talbot spotkały kandydatki na przyszłą księżną na podjeździe, wraz żołnierzami z drugiej linii – czterema matkami, jednym ojcem i trzema miniaturowymi jamnikami, które nic sobie nie robiły z Brummella, syczącego gniewnie z bezpiecznego schronienia w ramionach Sesily.

Za plecami gości, na dziedzińcu, krzątała się gorączkowo służba, wyładowując kufry, pudła na kapelusze, siodła i – czy to była wanna? Po co im wanna? Kwartet dziewcząt wypchnięto naprzód, tak że Seraphina mogła im się przyjrzeć; żadna najwyraźniej nie miała pojęcia, jaki w tej niezwykłej sytuacji obowiązuje protokół.

Ten szczególny scenariusz nie był na tyle pospolity, żeby poświęcono mu uwagę w *Etykiecie dla dam* pani Coswell. W istocie, pomyślała Sera, pani Coswell dostałaby apopleksji, gdyby miała wgląd w to, co działo się w Highley.

Dlaczego jednak nie miałaby wykorzystać jak najlepiej tej dziwnej sytuacji? Jeśli ta czwórka stała między nią a wolnością, chętnie odegra swoją rolę. Z szerokim uśmiechem i szeroko rozpostartymi ramionami zawołała:

– Witam panie!

Dziewczęta zamarły, ich oczy zaokrągliły się; popatrzyły na siebie, a potem każda spojrzała na swoją matkę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Sera pozwoliła, żeby uśmiech objął także jej oczy.

– Jestem lady Seraphina. – Celowo użyła tytułu, jakim posługiwała się przed ślubem.

Najmniejsza z całej czwórki, drobniutka brunetka, wystąpiła naprzód; miała na sobie perłoworóżową suknię i rysy twarzy tak drobne i delikatne, że przypominała Serze mysz, choć nie w nieprzyjemny sposób.

– Czy mamy się zwracać do pani: wasza wysokość?

A więc postanowione. Spodobała jej się dziewczyna, której nie sprawiało kłopotu otwarte mówienie tego, co myśli.

– Wyznam, że wolałabym, żebyście tego nie robiły. Ostatecznie, jesteśmy tu po to, żebym nie dzierżyła tego tytułu dłużej niż to absolutnie konieczne.

Matki i córki zachichotały nerwowo.

– To wysoce niestosowne – stwierdziła wyniośle jedna z matek. – Gdzie jest książę? To wbrew wszelkim zasadom wysyłać waszą gromadę na nasze spotkanie.

– Proszę wybaczyć – powiedziała Sera. – Waszą gromadę?

Starsza kobieta uniosła brodę i wciągnęła nosem powietrze.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Obawiam się, że nie.

Jedna z pozostałych kobiet machnęła ręką w stronę jej sióstr.

– Ty i twoje siostry, ściśle biorąc, nie należycie obecnie do dobrego towarzystwa.

– Jestem hrabiną! – sprzeciwiła się Seleste, a potem wskazała na Sophie. – A to jest markiza Eversley i przyszła księżna Lane!

– Tak – zgodziła się kobieta tonem, jakby zwracała się do dziecka. – Ale żadna z was nie nabyła tytułu…

Sesily ściągnęła gwałtownie brwi.

– Powiedz: uczciwie, i ładuj się z powrotem do powozu, wiedźmo.

Tym słowom towarzyszyło wściekłe miauknięcie Brummella; Sera z trudem powstrzymała uśmiech na ten dowód niezawodnej lojalności sióstr,

która, choć bezcenna, w tej akurat sytuacji nie okazała się zbyt pomocna. Spojrzała na starszą kobietę, której brwi wystrzeliły w górę, a usta ułożyły się w doskonałe „o”. Zanim wściekła matka zdążyła się odezwać, Sera ustawiła się między dwiema kobietami.

– Ich tytuły nas jednak nie interesują, nieprawdaż, moja pani? Interesuje nas mój. Lepiej, żebyś pamiętała, o jaką nagrodę się tutaj ubiegacie.

Kobieta zawahała się, a potem kiwnęła głową na zgodę.

Sera zwróciła się ponownie do młodych kobiet.

– Cóż, jak wiecie, nie było mnie w mieście przez parę sezonów. Czy zaczniemy od przedstawiania się?

Inna matka zachichotała.

– Tak się po prostu nie robi.

Sera zniżyła głos i pochyliła konspiracyjnie w stronę dziewcząt.

– Przekonacie się, że mało mnie interesuje, co wypada robić, moje panie. Zamiast tego wolę po prostu robić.

Zwróciły się ku niej cztery pary oczu; zaskoczenie w ich spojrzeniach ustępowało tysiącu innych uczuć – takich, jak szok, zmieszanie, rozbawienie, wreszcie – podziw.

Sera zapamiętała, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Podziwie – na pierwszy rzut oka najpospolitsza z całej gromadki, a najwidoczniej wcale niepospolita.

Malcolmowi mogłaby się spodobać.

Ta myśl nie sprawiła jej satysfakcji, jakiej mogłaby pragnąć.

Rozbawienie – maleńka myszka – odezwała się pierwsza, występując zdecydowanie o krok naprzód.

– Jestem lady Lilith Ballard, najmłodsza córka hrabiego Shropshire. – Wskazała na kobietę o odętych wargach, która odzywała się wcześniej. – To moja matka, hrabina. – Zniżyła głos. – Dobrze sobie z nią poradziłaś, tak przy okazji.

Sera uśmiechnęła się. Tak. Polubiła tę dziewczynę. Skinęła głową.

– Tak. Cała przyjemność po mojej stronie. – Spojrzała na Podziw, która spoglądała bystrymi oczami, ale nie paliła się, żeby się przedstawić.

Dobrze się złożyło, ponieważ w tej akurat chwili pojawił się książę.

– Witajcie w Highley, miłe panie. – Głęboki, piękny głos zabrzmiał niezwykle arystokratycznie.

Sera znieruchomiała, kiedy uwaga wszystkich zgromadzonych skierowała się ku niemu; jedyny ojciec w całym zgromadzeniu uznał to za najlepszy moment, żeby się pokazać i postąpił parę kroków naprzód, odchrząkując teatralnie.

– Haven. Trochę to wszystko dziwne, nie sądzisz?

Malcolm uścisnął mu rękę.

– Brunswick. – Baron Brunswick, jak przypomniała sobie Sera, biedny jak mysz kościelna, ale z dobrym, szacownym tytułem. – Czy w mojej niedawnej przeszłości było coś, co nie należałoby nazwać dziwnym? – Machnął ręką w stronę Sery. – Poznałeś moją przyszłą-już-nie-żonę, jak widzę, i z pewnością znasz jej siostry.

Baron mruknął twierdząco i wskazał na Zmieszanie, rudowłosą pannę o ogromnych zielonych oczach.

– To moja dziewczyna.

Nie umknęło uwagi Seraphiny, że dziewczę, o którym mówiono, pozostało bez imienia. Jakby jedna dziewczyna była warta drugiej, więc po co zawracać sobie głowę nadawaniem im osobnych imion? Malcolm znalazł się odpowiednio w tej sytuacji.

– Lady Emily, miło cię poznać.

Lady Emily, ze swej strony, nie wydawała się odwzajemniać tego uczucia. W istocie sprawiała wrażenie, jakby miała zalać się za chwilę łzami.

Z zakłopotania wybawiło ją jednak głośne, natarczywe: „Mary” – ze strony jednej z pozostałych matek. Szok wydawała się wówczas ożywić; niemal rozpychając się łokciami, stanęła przed Havenem. Jasnowłosa,

śliczna, przypominała porcelanową lalkę. Wydawało się, że na imię miała właśnie Mary.

Malcolm zachował się jak prawdziwy dżentelmen, nie tracąc również przytomności umysłu.

– Musisz być panną Mary Mayhew.

Sera, zaskoczona, przechyliła głowę. Niewiarygodne, że książę brał pod uwagę kobietę, w której żyłach nie płynęła błękitna krew, zwłaszcza że oboje z jego matką mieli tak lekceważący stosunek do jej ojca, który dorobił się majątku na kopalniach węgla.

– Jej ojciec należy do najpotężniejszych ludzi w Izbie Gmin – szepnęła jej Sophie do ucha.

Polityk. To nawet gorzej.

– Wasza wysokość – odezwała się piękność cichym, ujmującym, niezwykle kobiecym głosem, dygając głęboko.

Sera nie mogła się powstrzymać. Spojrzała na twarz Havena; spoglądał na Szok z uprzejmym zainteresowaniem. Nic nie wskazywało na coś więcej niż zwykłą kurtuazję, ale cóż to mogło Serę obchodzić.

Nie. Nie obchodziło jej nic a nic i tyle.

Niech sobie ogląda tę kobietę. Nie ma żadnego powodu, żeby Sera przejęła się tym, że uzna ją za piękną. Nawet nie ma powodu, żeby to zauważyła.

W istocie, w ogóle nie zauważyła.

Oderwała wzrok od tej sceny, jej uwagę przyciągnął turkot kolejnego czarnego powozu, wtaczającego się na podjazd. Widocznie któraś z dziewcząt nie zdołała pomieścić swoich rzeczy w dwóch powozach i trzeci okazał się niezbędny. To wydawało się pewną przesadą, ale Sera może lepiej od innych wiedziała, że zdobycie księcia wymaga wysiłku.

Nie to, żeby ona sama musiała się uciekać do jakichś nadzwyczajnych sztuczek.

Odchrząknęła i spojrzała na Podziw, natychmiast żałując ostrego tonu.

– A ty jesteś?

Dziewczyna ani drgnęła.

– Felicity Faircloth.

Sera zamrugała.

– Słucham?

Podziw uśmiechnęła się.

– Zabawne, prawda?

– Trochę.

Uśmiech stał się lekko kpiący.

– Czy zabrzmi lepiej, jeśli powiem, że jestem lady Felicity Faircloth?

Sera zachichotała. Podziw była jej faworytką.

– Nie bardzo.

– Jaka szkoda. – Felicity nie okazała cienia rozczarowania. – A jeśli dodam, że mój ojciec to markiz Bumble?

Sera przechyliła głowę.

– Jest ktoś taki, jak markiz Bumble?

– W rzeczy samej. Stary i czcigodny tytuł.

– Cóż, skoro Haven sprowadził cię tutaj, nie jestem zdziwiona.

Felicity zwróciła się do Sesily:

– Śliczny kotek.

Brummell zawył, a Sesily napuszyła się dumnie.

– Dziękuję.

– Czy jest dziki?

Sesily zamrugała.

– Nie.

– Szkoda. Miałam nadzieję, że zajmie się psami mojej matki. – Trzy jamniki kręciły się pod żywopłotem, jeden kopał dół w ziemi, drugi załatwiał naturalne potrzebny, a trzeci gryzł gałązkę. Felicity poszła za spojrzeniem Sery. – Są okropne.

– Wnoszę zatem, że nie przywiozłaś psów?

– Dobry Boże, nie. Tylko moja matka.

– Ale przyjechałaś z nią.

Felicity puściła do niej oko.

– Jest tak zdesperowana, żebym została księżną, że nie da się z nią rozmawiać.

Sera parsknęła śmiechem. Ta dziewczyna zdecydowanie zapewniła sobie pierwsze miejsce, a nie weszły jeszcze w mury Highley. Sera uzyska rozwód w mgnieniu oka. Starała się nie przejmować tym, jak ta myśl na nią podziałała, skupiając się zamiast tego na Wróbelku i przyszłości.

Rozwód oznaczał wolność.

Jeśli Havenowi przypadnie do gustu lady Felicity Faircloth, albo jakaś inna dama, będzie wolna.

Ta myśl mniej już zabolała.

Spojrzała na Havena, który przyglądał jej się uważnie.

– Książę. Poznaj lady Felicity Faircloth.

W chwilę potem podjechał czarny powóz, zatrzymując się tuż za grupką gości; Sera, rozkładając szeroko ręce, próbowała skierować przybyłych w stronę wejścia do dworu, tak żeby zeszli z drogi powozu.

– Wasza lordowska mość, jaśnie panie, pani i panno Mayhew. Witajcie. Rozmieścimy was teraz wygodnie, a potem spotkamy się na długim lunchu, podczas którego będziemy mieli okazję poznać się lepiej. Będą rozrywki oraz, oczywiście, dobre trunki. – Lord Brunswick wyraźnie się ożywił.

Gromadka ruszyła do wejścia, a jedna z kobiet szepnęła głośno:

– Co za śmiałość, żeby spakować trzy powozy, nie sądzisz?

Ta uwaga, która miała onieśmielić pozostałych, zdenerwowała Serę, przypominając jej z całą ostrością, że nienawidzi tych ludzi i tego życia, i nie może się doczekać, żeby się od niego uwolnić, także od mężczyzny, który ją z tym życiem wiązał.

Nie zniesie obgadywania za plecami. To stado podstępnych łowczyń tytułu będzie walczyć otwarcie i zachowywać jak cywilizowani ludzie.

Seraphina wciąż była panią domu i posiadaczką tytułu, więc to ona ustali reguły.

– W gruncie rzeczy sądzę, że dodatkowy powóz oznacza, że właścicielka przemyślała wszystko i przygotowała się, nie szczędząc trudu; rzecz godna podziwu u kogoś, kto miałby prowadzić tak niezwykły dom. – Spojrzała na Malcolma. – Zgodzisz się ze mną, wasza wysokość?

Skłamał bez wahania; zdumiewające, biorąc pod uwagę, że parę minut wcześniej wyrażał dokładnie przeciwne odczucia na widok powozów na podjeździe.

– Rzeczywiście.

Policzki pani Mayhew spłonęły purpurą, kiedy książę zwrócił się do młodych kobiet:

– Która z was jest tak zapobiegliwa?

Dziewczęta, z kolei, popatrzyły na siebie nawzajem z mieszaniną zaskoczenia i żalu. W końcu odezwała się lady Lilith:

– Wydaje się, że żadna z nas nie przeszła tej szczególnej próby, wasze wysokości.

Jakby na dowód, drzwi do dziewiątego powozu otworzyły się gwałtownie, odbijając od powozu tak, że o mało znowu się nie zatrzasnęły, zanim zatrzymała je potężna i długa, odziana w nogawkę z koźlej skóry, noga.

– O Boże.

– Co to znaczy? – Malcolm wyrzucił z siebie to pytanie ochrypłym głosem.

Sera nie zdążyła odpowiedzieć. Nad drzwiczkami powozu pojawiła się ciemna głowa, za nią szerokie ramiona i tors w ciemnogranatowym kubraku od najlepszego krawca.

Mały tłumek wydawał się wstrzymywać oddech na widok śmiałego intruza.

Co on tu robi?

– Bim-bam – powiedziała Sesily, a Sera była niemal pewna, że Haven warknął w tym momencie.

Nie taki mieli plan.

Coś poszło nie tak.

– Lepiej, żeby to nie był… – Haven nie dokończył, kiedy mężczyzna odwrócił się, ukazując twarz w sińcach, pokaleczoną przez, jak wyobraziła sobie Sera, wprawnego w swym rzemiośle złoczyńcę. Caleb Calhoun uśmiechnął się; zęby, cudownym sposobem, okazały się nienaruszone. Zamknął drzwi gładkim ruchem. Podszedł do nich, jakby nic się nie stało.

– Co ty tutaj robisz? – zaputała.

– Dzień dobry. – Zdjąwszy wysoki kapelusz, dodał: – Powiadam wam, w tym miejscu panuje większy ruch niż na targu rybnym Faneuil o wpół do siódmej.

Kobiety sapnęły ze zdumienia.

Cóż, większość kobiet.

Sesily pisnęła radośnie.

– Przybywa Amerykanin!

Sera zerknęła ostrożnie na Havena; patrzył na nią z gniewem, nie próbując nawet tego ukryć.

– Obawiam się, że nie na długo, złotko. – Caleb ściągnął kapelusz z głowy i ukłonił się zamaszyście. – Cóż za gromada pięknych dam. Nie wiem, czy zdołałbym uznać którąś za najpiękniejszą. – Spojrzał na Serę błyszczącymi oczami, nawet jeśli jedno, podbite i spuchnięte, niemal się nie otwierało. – Cóż, oprócz księżnej, oczywiście.

Uniosła brew.

Nie ułatwiał jej zadania.

13. Wróbelek wyfruwa z klatki!

Zechciejcie nam na moment wybaczyć – powiedziała Sera nieco zbyt ożywionym tonem, otwierając najbliższe drzwi i wpychając Caleba do jednego z licznych salonów Havena.

Pomruki: „To wysoce niewłaściwe” i „Kim jest ten mężczyzna?”, mieszały się z uprzejmymi wskazówkami sióstr, usiłującymi rozmieścić gości w przeznaczonych im pokojach.

Głos Sophie przebił się ponad pozostałe.

– Z pewnością chcielibyście się odświeżyć po wczesnej podróży.

– Nie chcę się odświeżyć! – zawołała z oburzeniem jedna z matek. – Wasza wysokość! Nie chcę narażać córki na zły wpływ pańskiej… żony!

– Uff – odezwała się Sesily z bliższej odległości, niż Sera mogła się spodziewać. – Czy możemy jak najszybciej wykluczyć dziewczynę Mayhew z konkursu? Jej matka wprowadza zamęt.

Sera odwróciła się gwałtownie do siostry.

– Sesily!

– Co takiego? – Sesily przybrała niewinną minkę. – Sądziłam, że możesz potrzebować przyzwoitki. – W pełni gotowa na flirt, zwróciła się teraz do Caleba: – Z tymi Amerykanami nigdy nic nie wiadomo.

Caleb rzucił jej pełne uznania spojrzenie.

– Jeśli ma się szczęście.

Sera prychnęła z niezadowoleniem.

– Oboje jesteście nieznośni.

Odwróciła się do przyjaciela.

– Co ty tu, do diabła, robisz? I co się, do diabła, stało z twoją twarzą?

– Szkoda, że nie widziałaś tych drugich. – Caleb uśmiechnął się i skrzywił, poczuwszy ból w rozciągniętej wardze. – Auć.

– Dobrze ci tak, skoro myślałeś, że wykręcisz się swoim czarem – powiedziała Sera bez złośliwości. – Co się stało? – powtórzyła, podnosząc rękę i delikatnie dotykając spuchniętego policzka Caleba w okolicy oka.

Wciągnął gwałtownie powietrze pod wpływem bólu.

– Nie możesz wrócić. Nie teraz.

Sesily sapnęła ze zdumienia.

– Zamierzałaś wymknąć się do Londynu? Jakie to podniecające!

Sera poniosła wzrok do sufitu, błagając Stwórcę o cierpliwość. Zamierzała w tajemnicy opuścić Highley na jedną noc czy dwie, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają we Wróbelku.

– To nie jest podniecające, Sesily. To interesy.

– Mówisz tak, jakby nie było w tym nic niezwykłego. A tak nie jest – odparła Sesily. – Niecodziennie się zdarza, żeby kobieta była właścicielką…

– Dość. – Oboje, Caleb i Sera, powstrzymali Sesily, zanim powiedziała: tawerny. Sera spojrzała w stronę drzwi, chcąc się upewnić, że nikt nie stoi dość blisko, żeby podsłuchiwać. Malcolm stał dalej, w sieni, i ich spojrzenia się spotkały, ale wściekłość w jego oczach wiązała się raczej z jazgoczącym, pełnym pretensji stadkiem matek, a nie czym innym. Nie z Serą.

Nie słyszał, a tylko to się liczyło. Gdyby wiedział – miałby nad nią zbyt dużą władzę.

Jakby nie miał jej dość, będąc jej mężem.

– Rzecz w tym – podjął na nowo Caleb – że musisz zostać tutaj.

Zamrugała.

– Dlaczego?

Sesily wiedziała, kiedy jej obecność była zbędna.

– Pójdę i przyniosę coś na oko Amerykanina.

– Wiesz, jak mam na imię.

Sesily puściła do niego oko.

– Ale „Amerykanin” brzmi o wiele bardziej złowieszczo, nie sądzisz?

– Idź – powiedziała Sera.

Odeszła, a wtedy Caleb zauważył:

– Ta dziewczyna to same kłopoty.

– Ja ci przysporzę znacznie większych kłopotów, jeśli mi nie powiesz, co się dzieje.

– Nie martw się.

– Gdyby tak mężczyźni rozumieli, jaki strach te trzy słowa budzą w sercach kobiet. – Trzepnęła go w ramię. – Mów.

– Uff – jęknął, chwytając się za ramię i blednąc z bólu.

– A teraz go uderzyła! – zawołał z udawanym przejęciem kobiecy głos z sieni. – Musisz ją odesłać, wasza wysokość. To nie miejsce dla dobrze wychowanej, młodej damy!

Sera nie zwróciła na to uwagi, zaniepokojona stanem przyjaciela.

– Caleb. Co się stało?

– Wszystko w porządku. Było trochę zwichnięte, ale znalazłem dobrego rzeźnika, który je nastawił. Tylko trochę ćmi.

Uniosła brwi.

– Kto zwichnął ci ramię?

– Bękarci.

Bękarci Pięściarze, dwaj bracia, którzy kierowali podziemiem Covent Garden. Aż dotąd zostawiali Caleba i Serę w spokoju, ale Wróbelek istniał od niedawna i Caleb wraz z Serą spodziewali się, że ich sukces wkrótce przyciągnie uwagę – i nie spodoba się Bękartom.

– Czy coś się stało z Wróbelkiem?

– Nic, czego nie dałoby się naprawić w jeden dzień czy dwa. – To ją zaniepokoiło. – Chcieli ubić interes. Pieniądze za ochronę. Powiedziałem im, że nie potrzebuję ochrony ze strony bandy starych żołdaków.

– A oni postanowili udowodnić ci, że się mylisz.

Znowu próbował się uśmiechnąć.

– Zarobiłem parę niezłych kuksańców.

Pokręciła głową.

– Jesteś dziecinny.

– Nie będziemy im płacić ze strachu.

Zmrużyła oczy.

– Oczywiście, że nie.

– Doskonale. Uznajmy zatem to spotkanie w interesach za przełożone. Zostajesz tutaj, żeby uzyskać rozwód, a ja zajmę się resztą.

Ogarnęło ją przygnębienie. Gdyby nie zmuszono jej do wyjazdu na wieś, mogłaby pomóc Calebowi w Londynie. Mogłaby chronić Wróbelka. Przewrotność losu przejawiła się w tym, że nie mogła bronić tawerny przed wrogami w Londynie, ponieważ musiała bronić jej tutaj. Przed zupełnie innym wrogiem.

Gdyby ją straciła, zniknąłby jedyny powód, dla którego wróciła do Wielkiej Brytanii. Wszystko, o co walczyła. Zjawiła się tutaj, bo Wróbelek dawał jej obietnicę wolności. Dla jego przyszłości. I swojej. Ale nie miało sensu bronić tawerny w teorii, jeśli nie mogła bronić jej w praktyce.

– A niech to. Jadę z tobą.

– Nie.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Powiedz mi, co właściwie sprawia, że wydaje ci się, że możesz mi mówić, co mam robić?

Westchnął.

– Z pewnością nie historia.

– Nie – zgodziła się. – Z pewnością nie.

– A jeśli wrócisz, to co?

– Coś! – upierała się, zgnębiona. – Wróbelek jest niczym bez swojej imienniczki.

– Bzdura – stwierdził Caleb. – Zostajesz tutaj. Ja się zajmę Bękartami. Wynajmę ochronę, niech się przekonają, że nie pozwolę, żeby wchodzili nam w drogę. Nie zawracaj sobie ślicznej główki głupstwami.

Zmrużyła gniewnie oczy.

– Przyłożę ci pałką w twoją głowę, jeśli nie przestaniesz mnie traktować jak słodką laleczkę. Wracam.

– Dlaczego?

– Bo tawerna należy do mnie – szepnęła. – Powierzyłam ją tylko twojej opiece.

– Póki nie dostaniesz rozwodu i po to tu jesteś.

– A to nic nie będzie znaczyło bez tawerny.

Spojrzał na sufit i wypuścił ze świstem powietrze.

– Nie chcesz, żeby cię odsunięto od interesów.

Skinęła głową.

– Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Świetnie, no to ja tu trochę posiedzę.

To był tak okropny pomysł, że parsknęła śmiechem.

– Nie, w żadnym razie.

– Raz się przynajmniej zgadzamy, żono. – Haven wszedł do pokoju, jakby był tam panem. No i niewątpliwie miał prawo. Co za irytujący człowiek.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś nie podsłuchiwał moich rozmów.

– Ponieważ łączą nas śluby małżeńskie, twoje rozmowy z nieżonatymi kawalerami to również moja sprawa, kochanie.

Mężczyźni są nie do zniesienia.

– Nazwij mnie jeszcze raz „kochanie”, a zobaczysz, co się stanie.

Ani drgnął.

– A co? Zrobisz mi to samo, co ten amerykański łapserdak sobie zrobił? – Spojrzał na Caleba. – Co za pech. Żałuję, że sam tego nie zrobiłem.

– Gdybyś to był ty, książę, na ciebie strach by było patrzeć, nie na mnie.

Haven uśmiechnął się. Jakby usłyszał coś zabawnego.

– Historia uczy czegoś innego, Jankesie.

Sera zdziwiła się. A co to miało znaczyć?

Nieważne.

– Haven, muszę wrócić do Londynu.

– Nie. – Wyobrażała sobie, że żadnemu z mężczyzn nie przypadło szczególnie do gustu, że się ze sobą zgadzają.

Jęknęła gniewnie.

– Żaden z was nie ma tu nic do gadania.

– Zawarliśmy układ – oświadczył Haven. – I ten układ nie obejmuje wycieczki do Londynu z jakimś Amerykaninem.

– Będę robiła wycieczki, kiedy i z kim mi się podoba – odparowała, nagle zirytowana w najwyższym stopniu. – Nie jestem twoją własnością.

– Ależ jesteś – powiedział Caleb.

Zamrugała.

– Słucham?

Haven także był zdumiony.

– Słucham?

Caleb popatrzył jej w oczy; nie podobał jej się ich wyraz.

– Jest twoim właścicielem, księżno. Jesteś jego żoną. Ma ciebie i wszystko, co do ciebie należy. Panuje nad twoją przyszłością.

Przesłanie nie pozostawiało wątpliwości. Żeby zapewnić bezpieczeństwo Wróbelkowi i sobie, musi zostać tutaj. Musi dostać rozwód i wywalczyć sobie przyszłość.

Skrzywiła się.

– Jesteś przeklętym zdrajcą.

– Robimy to, co musimy robić. Nie martw się, książę. Ona nie wróci do Londynu. – Sera zapanowała nad sobą, żeby dodatkowo nie uszkodzić twarzy Caleba. – Wydaje się, że ja będę tu spędzał więcej czasu – dodał Caleb. – Z pewnością wszyscy się zaprzyjaźnimy.

Co za niedorzeczność. Mieli plan, ona i Caleb. Nie miał tu zostać. Otworzyła usta, żeby mu to przypomnieć, kiedy wtrącił się Haven; wyglądał, jakby był o krok od zamordowania Caleba.

– Zapewniam cię, że to niemożliwe. I nie jesteś tu mile widziany.

Była pewna – aż do tej chwili – że stopa Caleba więcej nie postanie w Highley. Ale teraz to był punkt honoru. Tak jak zawsze wszystko, co dotyczyło jej i Malcolma.

– Zostanie, jeśli ja będę sobie tego życzyć.

– Dość już miałaś życzeń, Seraphino. Nie zamierzam dłużej obchodzić się z tobą jak z dzieckiem. Nie ma tu dla niego miejsca.

– Jak z dzieckiem? – Do kogo mu się wydawało, że się zwraca?

– Och, teraz ci się udało, książę – stwierdził Caleb.

Sera odwróciła się do niego, unosząc palec.

– Stąpasz po cienkim lodzie, Calhoun. – Caleb rozłożył ręce, a ona znowu spojrzała na Malcolma. – Znajdzie się dla niego z tuzin pokoi.

– Są w trakcie przebudowy.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Może zatem dzielić mój pokój.

Havenowi drgnęła szczęka, był wściekły; Sera mogłaby to uznać za zwycięstwo w tej potyczce, ale nie mogła się nim cieszyć ze względu na zbiorowe sapnięcie, jakie dobiegło z sieni. Odwróciwszy się, stanęła wobec kilku par szeroko otwartych oczu wlepionych w nią z odległości paru stóp.

– Cóż, to już jest najlepsze przyjęcie na wsi, na jakim byłam w życiu – stwierdziła Sesily; trzymała w dłoni kawał wołowiny. Podała mięso Calebowi, szepnąwszy: – Na twoje oko – po czym zwróciła się do pozostałych kobiet: – Zgodzicie się ze mną?

– Ja się z pewnością nie zgadzam – oznajmiła pani Mayhew. Wydawało się, że takie uwagi robiła zawsze pani Mayhew. – To absolutnie niestosowne.

– Och, błagam – powiedziała Sera, zrozpaczona napuszonym tonem. – Więc może pani wyjechać, pani Mayhew. Ale nie zrobi pani tego, prawda? Ponieważ pragnie pani książęcego tytułu jak każda inna matka w Londynie. A tylko w ten sposób może go pani zdobyć.

Pani Mayhew zamknęła usta.

– A zatem, skoro pozostaję panią Highley, póki jedna z waszych córek nie zajmie tej pozycji, nalegam, żebyście udali się do swoich pokoi i rozgościli się w nich jak najwygodniej. Z przyjemnością zobaczę was na lunchu. Seline, moja droga?

Siostra natychmiast przystąpiła do działania.

– Oczywiście.

Zgromadzeni przeszli w głąb budynku, a Sera odwróciła się do męża, mierząc go nieustępliwym spojrzeniem.

– On tu zostaje.

– Nie jest mile widziany.

– On stoi tutaj – oznajmił Caleb.

– Bardziej ci teraz odpowiada „Amerykanin”? – zapytała Sera.

Caleb uśmiechnął się.

– No, wiesz. Niewykluczone. Jestem szczęśliwy, zostając, księżno. Ale kto poskromi twojego mężczyznę? Nie to, że ja nie dałbym rady – dodał pośpiesznie. – Jestem w dobrej formie.

Haven nie zwracał jednak uwagi na nikogo, poza Serą. Podszedł na tyle blisko, żeby odebrać jej pewność siebie.

Nie straciła jej jednak. Poczuła zupełnie co innego.

Serce jej zabiło mocniej, spojrzała dumnie Malcolmowi w oczy, zanim odpowiedziała przyjacielowi.

– Dam sobie z nim radę.

Haven przyglądał jej się dłuższą chwilę; miała wrażenie, że jest jedyną kobietą na ziemi. W końcu się odezwał:

– To cię będzie drogo kosztowało.

– Oczywiście, że tak – odparła. – Taką prowadzimy grę.

Zaskoczyła go, ale natychmiast się otrząsnął. Nie oderwał od niej wzroku, zwracając się do Sesily i Caleba:

– Zostawcie nas.

Serę ogarnęła panika.

A może to był dreszcz podniecenia.

– Uhm. – Sesily wydawała się nie wiedzieć, co robić.

– Księżno? – Caleb też stał niezdecydowany.

Sera nie zamierzała ustąpić. Nie patrząc na nich, powiedziała:

– Sesily, zaprowadź, proszę, Caleba do pokoju w skrzydle rodzinnym.

– Nie – wtrącił się Haven, silny i stanowczy, uosobienie książęcego dostojeństwa. – Czwarte piętro. Skrzydło zachodnie. Na końcu.

Tak daleko od jej pokoi, jak tylko się dało. Uśmiechnęła się kpiąco.

– Potrafię wchodzić po schodach i przemierzać korytarze, mężu.

Nie zwrócił na to uwagi, powtórzył tylko:

– Zostawcie nas. – Sesily i Caleb skierowali spojrzenia na Serę, a Haven wydał wściekły pomruk. – Odwołaj swoje psy, żono.

Kiwnęła głową i oboje posłuchali; Sesily zamknęła za nimi drzwi z cichym stuknięciem. Sera wciągnęła głęboko powietrze, zmuszając się do spokoju – zbierając siły przed tym, co miało nastąpić.

– Teraz jesteśmy sami. Uważaj, mężu, albo wprawisz złe języki w ruch. Matka twojej przyszłej żony nie będzie zachwycona, jeśli odniesie wrażenie, że nadal się… rozumiemy.

– Nie obchodzi mnie, co myślą.

Przez chwilę mu wierzyła. Ale była przecież mądra. To było ładne kłamstwo, ale jednak kłamstwo. Zmierzyła się z nim z całą mocą, jaką zdołała przywołać.

– Nonsens. Zawsze dbałeś o to, co myślą inni.

Podniósł rękę, a jej zabrakło tchu w oczekiwaniu na jego dotyk. A potem jej dotknął, kładąc palce na policzku, jakby tam było ich miejsce.

Odetchnęła, czując jego ciepło. Siłę.

On także odetchnął, wypuszczając powietrze długo, z drżeniem, jakby także zmagał się z silnymi emocjami jak ona.

Jakby uczucia dręczyły go bardziej.

Zamknęła oczy, opierając się chęci wtulenia twarzy w ciepło jego dłoni. Proszę, błagała w duchu, ktokolwiek mógł jej wysłuchać. Błagam, niech on cierpi bardziej.

Ponieważ nawet teraz, po latach, po tym co zaszło i czego nie sposób cofnąć, nie potrafiła oprzeć się temu mężczyźnie, którego kiedyś tak kochała.

– Kiedyś mnie to obchodziło – powiedział głosem chropawym jak skrzypienie kół na żwirze. – Kiedyś tak bardzo mnie obchodziło, co myślą inni. A teraz chyba obchodzi mnie za mało. Wydaje się, że dbam tylko o to, co ty myślisz.

Nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć, i jak zawsze natychmiast znalazła się w jego mocy. Pokręciła głową. Ledwie dostrzegalnie, ale i tak zauważył.

– Mal – szepnęła.

– O co chodzi, Aniele? – Jego szept kusił ją bardziej niż cokolwiek, czego dotąd doświadczyła, gdy pochylił się bliżej. – Dam ci wszystko, czego zażądasz. Nigdy nie byłem w stanie ci odmówić.

To nieprawda. Był taki czas, kiedy błagała go o wybaczenie. Kiedy pragnęła nade wszystko, żeby jej uwierzył. A on odmówił.

Ale nie była już tamtą dziewczyną, a on nie był tamtym młodzieńcem. Teraz obiecywał, że jej nie odmówi, a ona stwierdziła, że też nie potrafi mu odmówić. Teraz ona podniosła rękę. Dotknęła jego policzka. Budząc zamęt w jego sercu.

Czuła się silniejsza niż kiedykolwiek, gdy wypuścił powietrze, a jego oddech musnął jej usta jak wspomnienie. Jakby go oparzyła. I mogło tak być. Zawsze byli jak nafta i płomień. Dlaczego na to nie pozwolić? Tylko raz? Przez chwilę? Tylko żeby sprawdzić, czy płomień nadal parzy.

Pochyliła się ku niemu. Albo on ku niej. To nie miało znaczenia.

Szeptał przy jej wargach i nie wiedziała, czy zwraca się do niej, czy do siły wyższej.

– Wybacz mi. – Kogo prosił? O co?

Odkryła, że nic jej to nie obchodzi.

Pocałunek ją otworzył, rozdarł, wpuszczając światło i powietrze w ciemne, zatęchłe miejsca w jej duszy. Pozbawił ją ochrony, którą budowała przez miesiące i lata; została z niczym.

I tak jej to nie obchodziło.

Byle nie przestawał. Nie była gotowa na to, żeby przestał. Nie dotykał jej od lat, a jeszcze dłużej nie dotykał jej w ten sposób – z pożądaniem i namiętnością, pragnąc jedynie przyjemności.

Westchnęła; jego silna, ciepła dłoń zsunęła się w jej włosy, przyciągając ją bliżej, gdy przyciskał usta do jej ust, cofając w jakiś sposób zegar do tamtego czasu, kiedy wszystko między nimi było tym właśnie – niczym.

Smakował tak samo jak tajemnicza, kusząca przyprawa i wbrew sobie otoczyła jego szyję ramionami, wtulając się mocniej. Objął ją w pasie, podniósł, przycisnął do zamkniętych drzwi – dzięki Bogu, zamkniętych; była jego.

Jakby nie minęły lata i znowu byli tutaj – zakochani.

Dobry Boże, jakże to uwielbiała. Wierzyła, że złamały ją ból i strata. I może tak było. Ale już nie. W jego ramionach wszystko się zmieniło.

Nic dziwnego. Zawsze odnajdywała siebie w jego ramionach.

Oderwała od niego usta, potrzebując powietrza, a on odsunął się, żeby jej się przyjrzeć; przesuwał wzrokiem po jej twarzy, nie pomijając żadnego szczegółu.

– Mój Boże – szepnął. – Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek. – A potem odchylił jej brodę, odsłaniając szyję i kładąc na niej usta, zanim zdążyła się zaczerwienić albo odwrócić.

Jęknęła; doznanie było cudowne i znajome. Nagrodził ją kolejnym, zwierzęcym pomrukiem, jakby nie był w stanie zapanować nad pożądaniem. Wsunęła mu palce we włosy, gładząc loki na karku – tak jak lubił.

Rozpinał jej pelerynę, szepcząc cudowne, nieprzystojne słowa tuż przy uchu.

Nie zaczerwieniła się ani nie zawahała. Rozluźniła suknię i przyciągnęła go. Chciała, żeby wziął to, co miała do zaofiarowania.

– Sera – szepnął niedowierzająco, pełen pożądania.

Musnęła palcami jego policzek.

– Czy mam ci tym razem powiedzieć, czego chcę?

Zaklął cicho, uznała to za potwierdzenie.

– Chcę twojego dotyku. – Posłuchał, przesuwając wolno kciukiem po jej twarzy. – Chcę pocałunku.

Nie zawahał się. Ujął ustami jej pierś. Pod wpływem rozkoszy wiła się niespokojnie, obejmując go jedną nogą.

Kiedy zsunął dłoń na jej kostkę, a potem kolano, wiedziała, że powinna go zatrzymać, ale minęło tyle czasu – tyle czasu, odkąd jej w ten sposób dotykano. A potem, przy uniesionych spódnicach, jej noga znalazła się na jego ramieniu, jej palce w jego włosach, a jego usta na jej ustach.

Krzyknęła – nie tylko pod wpływem przyjemności i obietnicy zawartej w tej chwili, ale także we wszystkich chwilach, jakie miały nadejść. Jej krzykowi towarzyszył jego jęk. Pieszczota jego języka… Ile razy myślała o niej, leżąc w ciemnościach? Zacisnęła palce w jego włosach.

– Malcolm – szepnęła. – Dobry Boże. Tak. Tam.

– Wiem, Aniele. – Wiedział. Zawsze wiedział.

Pod tym względem nic się nie zmieniło. Wrócił mężczyzna, którego tak kochała, który jej przyjemność w akcie miłosnym przedkładał nad wszystko inne. Nawet na krótko zanim się rozstali.

Odsunął się, jakby usłyszał jej myśl; jego piękne oczy odnalazły jej spojrzenie.

Malcolm dawał jej rozkosz; nie była w stanie trzymać oczu otwartych.

Znieruchomiał.

– Nie.

Otworzyła oczy.

– Mal. – Niemal błagała.

– Dam ci wszystko, czego chcesz, kochana. Ale ty też mi dasz to, czego chcę.

– Tak.

– Nie zamykaj oczu. Chcę patrzeć. Chcę mieć nowe wspomnienia.

Da mu wszystko, czego zażąda, pod warunkiem że nie ustanie w tym, co robi.

Nie ustawał. Chciał ją zadręczyć pokusą. Ukarać przyjemnością czekania.

Ale czekała już dość długo.

Wsunęła mu palce we włosy. Świat dał mu władzę nad nią, wykraczającą poza ten pokój. Poza tę chwilę.

Ale w tym byli równi.

W tym ona także napawała się swoją władzą.

– Pragnę tego – powiedziała.

Dał jej rozkosz bez wahania, wiedział, jak sprawić, żeby się wiła i krzyczała, tracąc siły.

Minął wiek, zanim wróciła do chwili obecnej. Mgnienie oka.

Wyczuł to i przycisnął usta do miękkiej skóry wnętrza jej uda. Trwał tak, póki go nie odepchnęła, zdejmując nogę i wygładzając starannie spódnice, zmuszając serce, żeby biło spokojniej.

Zmusiła go, żeby wstał. Nienawidziła, jak klęczał. Jakby się kajał. Jakby jej pragnął.

Jakby była dla niego.

Jakby on był.

– Sera…

– Nie – przerwała mu. Nie była w stanie pozwolić mu dokończyć. Bojąc się tego, co mógłby powiedzieć. – Nie – powtórzyła. Głośniej. Wyraźniej. – Nie, Malcolm. To niczego nie zmienia.

14. Poznajmy księcia!

Rozbudziwszy w nim pożądanie, żona unikała go przez cały tydzień. Och, siedziała przy śniadaniu, lunchu i kolacji, piła sherry i grała w krykieta na trawniku. Wypełniała swoje obowiązki bez cienia wahania czy niechęci.

Dopilnowała nawet, żeby dostarczano mu regularnie dossier – gdzie odnotowywała z robiącą wrażenie starannością zalety dam i ich zainteresowania. Zaiste, po otrzymaniu rozwodu Sera mogłaby utrzymywać się jako profesjonalna swatka.

Rzecz jasna, rozwodu nie otrzyma.

Nigdy nie zamierzał jej go dać, ale teraz to już stało się niemożliwe. Nie po tym, jak przypomniał sobie jej dotyk. Jakże często próbował odtworzyć w pamięci dźwięki, jakie wydawała, doznając rozkoszy. Jej dokładny smak. Uczucie, kiedy jej usta dotykały jego, kiedy zanurzała mu palce we włosy, jej ciężar w ramionach.

To wszystko wydawało się takie samo, a jednak nie było. Stała się zupełnie inna.

„To niczego nie zmienia”, powiedziała.

Słusznie. To niczego nie zmieniło.

Nadal jej pragnął. Wciąż zamierzał ją zdobyć. Jedyną różnicę stanowiła siła jego pożądania. Był cierpliwy jak Hiob, niech to diabli. Dał jej tydzień, żeby go znowu znalazła. Żeby go zapragnęła. Siedział przy posiłkach jak prawdziwy książę, na swoim końcu ogromnego stołu. Pozdrawiał uprzejmie

kandydatki – muszą znaleźć jakieś lepsze określenie – kiedy mijał je w sieni.

A gdy parę razy sam próbował ją znaleźć, zastępowała mu drogę gromada mdłych matek; raz postanowił zapolować na łatwiejszą zwierzynę z lordem Brunswickiem, niezłym strzelcem, ale nieco zbyt chętnym, żeby strzelać do czegokolwiek.

Przez ostatnich siedem dni Haven robił, co mógł, żeby przypadkiem wpaść na swoją żonę. Albo raczej sprawić, żeby to ona się na niego natknęła.

Bez powodzenia.

Tak jakby miała oczy i uszy w całym domu i chyba tak było, zważywszy, że od jej zwariowanych sióstr nie można się było opędzić. Markiza Eversley usadowiła się w jego bibliotece, żona Landry'ego na okrągło zawracała głowę naczelnemu stajennemu, mówiąc mu, jak ma wykonywać swoją pracę, a tego ranka, kiedy Mal się ubrał, znalazł na sobie niewyobrażalne ilości białego futra przeklętego kota Sesily. Nie wspominając już o tym draniu, Calhounie, który włóczył się po jego majątku jak pirat, uchylając kapelusza przed wszystkim, co nosiło spódnicę.

Calhoun.

Nawet podczas posiłków Sera i Haven siedzieli daleko od siebie, w dwóch końcach oficjalnej jadalni – nie pamiętał, kiedy ostatnio był w tym pomieszczeniu – a zaraz po nich Sera znikała.

Mal wstydził się przyznać, że nie przespał trzech nocy, słuchając ciszy po drugiej stronie wspólnych drzwi; potem przesłuchał służbę, chcąc wiedzieć, co jego żona porabia wieczorami, czy aby rzeczywiście nie spędza ich z Calhounem, który także rozpływał się gdzieś o tej porze. Dopiero wtedy dowiedział się, że pan Calhoun wychodzi z domu po wieczornym posiłku i wraca następnego dnia o świcie, zanim reszta domowników zdąży zadzwonić po herbatę i tosty.

A to znaczyło, że Sera była w nocy sama.

Jej milczenie doprowadzało go do szaleństwa.

Dał jej odetchnąć, pewien, że do niego wróci. Pewien, że będzie go szukać – jeśli już po nic innego, to dla przyjemności. Straciła całkiem głowę w jego ramionach z taką intensywnością, że porwała go ze sobą. Że został na kolanach, podczas gdy ona uciekła, podwijając ogon.

Właśnie tak, z podwiniętym ogonem.

Uciekła, jakby sam Lucyfer dyszał jej ogniem w kark. Tchórz.

Nie ścigał jej, oczywiście.

Opierając się tej myśli, Haven podniósł się zza biurka w prywatnym gabinecie i udał się na poszukiwanie żony. Tym razem ją znajdzie. I tym razem nie zdoła go uniknąć.

Była w kuchni, w otoczeniu jego potencjalnych przyszłych małżonek i ich mam, jakby kobiety nie były tu gośćmi, ale raczej letniczkami w Bath.

– A zatem – mówiła właśnie – do obowiązków pani Highley i księżnej Haven będzie należało przygotowywanie posiłków dla księcia i jego gości.

Ponieważ Seraphina Bevingstoke ani razu nie odegrała roli księżnej, Malcolm nie mógł powtrzymać cichego okrzyku zdumienia; zrobił to jednak głośniej, niż myślał, zwracając uwagę całej gromadki.

Twarz Sery pozostała całkowicie spokojna, choć Mal odnotował błysk gniewu w jej oczach.

– Wasza wysokość? Czy czegoś potrzebujesz?

Tak. Ciebie.

– Nie – odparł. – Proszę, kontynuuj.

Nastąpiła cisza. Widział, że chciałaby się z nim pokłócić. Uniósł zachęcająco brew. Niech się kłóci. Jeśli tyle chociaż mógł od niej dostać, niech tak będzie. A on miał ochotę znowu ją pocałować. Prawdę mówiąc, zawsze miał ochotę ją całować, ale zwłaszcza wtedy, kiedy się złościła.

Podjęła przerwany wątek.

– Książę lubi dziczyznę, jagnięcinę i kaczkę.

Nie parsknął śmiechem. Co za żałosna sztuka, w której wszyscy występowali.

Irytacja Sery przerodziła się w gniew, obróciła się znowu w jego stronę. Przyjął to z zadowoleniem. Miał ochotę ją całować, zwłaszcza kiedy się gniewała. Była wtedy najpiękniejsza.

– Wasza wysokość – odezwała się, nie ukrywając dezaprobaty. – Pytam po raz drugi, czy możemy ci w czymś pomóc?

– Nie – odparł, krzyżując ramiona i opierając się o framugę drzwi. – W istocie to dla mnie niezwykle pouczające.

– Zaskakuje cię to, że lubisz kaczkę?

– Zaskakuje mnie, że jesteś świadoma, że lubię kaczkę.

Uniosła brwi.

– Czyżbym się myliła?

– Nie. Ale nigdy w życiu nie zaplanowałaś dla mnie posiłku.

Wiedział, że ją prowokuje. Ale jeśli choć tyle mógł od niej dostać, weźmie i to.

Uśmiechnęła się.

– Zważywszy, że jesteśmy w trakcie rozwodu, powinieneś być chyba szczęśliwy, że nie próbowałam cię otruć.

Zamrugał. Dziewczęta zachichotały. Rozbawienie? Zaskoczenie? Cóż go to obchodziło? Obchodziło go jedynie, że wytrącił Serę z równowagi. Na tyle, żeby rzucić mu wyzwanie. Znał to. I ucieszył się. Boże, cieszył się nią jak słońcem podczas angielskiej wiosny.

Kiedy podeszła bliżej, serca Mala zabiło mocniej; dłonie go swędziały, żeby ją unieść w powietrze i zabrać stamtąd. Znaleźć łóżko i trzymać ją tam, póki się nie zgodzi zacząć na nowo. Zmusił się jednak do bezruchu, nawet kiedy stanęła parę cali od niego i powiedziała głośno, tak żeby usłyszano ją w całym pokoju:

– Mam ci powiedzieć, jaką żywność chętnie zatrułabym arszenikiem?

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybym teraz padł trupem, to mamy całe pomieszczenie świadków?

– Jaka szkoda, mogłam wcześniej przedsięwziąć tego typu kroki. Wdowa dziedziczy trzecią część majątku, nieprawdaż?

Chryste, jak on kochał te ich słowne potyczki.

– Kaczka z wiśniami – ciągnęła. – Warzywa po portugalsku. Młode ziemniaki ze słonym sosem śmietankowym. Jagnięcina w galarecie z dodatkiem mięty rosnącej w Highley.

Aż do tej chwili nie przyszło mu do głowy, że jego ulubione potrawy mogą zostać użyte przeciwko niemu w bitwie.

– Kiełki pieczone z gruszką, figami i policzkami wieprzowymi. Karczochy w occie. Wołowina czy drób specjalnie nas nie interesują. Jego wysokość nie przepada za słodyczami, ale jakby miał wybrać deser, byłyby to maliny ze słodką śmietanką. – Uniosła brew. – Czy chciałbyś coś dodać, książę?

Postawiono mu kulinarne ultimatum.

Odchrząknął.

– Dość lubię szparagi.

Widziała kłamstwo. Nie znosił szparagów. Skłoniła jednak głowę, mówiąc:

– Jakież to pouczające. Dość lubi szparagi. Zapamiętajcie, moje panie. – Zauważyła, że niektóre matki notowały, jakby dawała lekcję, na przykład, anatomii, a nie udzielała rad, jak planować posiłek. – Wybacz, wasza wysokość, ale śpieszymy się nieco, a ty rozpraszasz naszą uwagę.

Odwróciła się do niego plecami, dając do zrozumienia, że może odejść.

Jakby nie był panem domu i lordem z krwi i kości.

Jakby jego obecność była czymś nieistotnym, mało ważnym, irytującym.

Niech to diabli. To one rozpraszały niepotrzebnie jego uwagę. Nie zamierzał poślubić żadnej z tych dziewcząt, więc Sera marnowała nie tylko ich czas, dyskutując o jedzeniu, nakrywaniu do stołu, dbaniu o obrusy, a

także o tym, jak w Highley przyrządza się zupę, ale marnowała również jego czas. Czas, który mógłby poświęcić na uwodzenie jej. Zgodnie z tym, co planował.

Choć plan wydawał się zawodzić na całej linii, a minął ledwie tydzień.

Był to, bez wątpienia, głupi plan.

Ukłonił się i życząc damom, najwdzięczniej, jak potrafił, dobrego dnia, wrócił do gabinetu, upokorzony przegraną, i to w dużym stopniu z własnej winy.

Nie zwracając uwagi na kota siostry swojej żony, który nabrał zwyczaju ucinać sobie drzemkę na jego biurku, Malcolm usiłował zagłębić się w sprawy majątku, co mu się niemal udało – póki nie rozległo się pukanie do drzwi; do gabinetu weszły szwagierki, niosąc obietnicę, że zły dzień stanie się jeszcze gorszy.

– Tu jest Brummell! – Sesily wbiegła do pokoju, podnosząc z biurka niezadowolone stworzonko i obsypując je gradem pieszczot. Po chwili postawiła kotem z powrotem na biurku, gdzie ułożył się na stosie sprawozdań gospodarczych i poddał czyszczeniu.

Malcolm łypnął gniewnie na zwierzaka, ale bez widocznego skutku.

– Och, wyglądasz, jakbyś się dąsał. – Nikt nigdy nie oskarżył Sesily Talbot, że przebiera w słowach.

Oparł się wygodnie na krześle.

– Wcale nie.

– Hm. A jednak takie sprawiasz wrażenie. Nie sądzisz, Sophie?

Sophie, jego nemezis, uśmiechnęła się szeroko.

– Nie umiałabym tego stwierdzić, jako że przy mnie zawsze wydaje się nadąsany.

Męczył się, szukając odpowiednich słów, ale w końcu zdobył się jedynie na:

– Sprzeciwiam się określeniu „nadąsany”, ponieważ tak opisuje się niegrzeczne dziecko. – Sophie posłała mu spojrzenie mówiące, że w istocie

za takowe go uważa. Skrzywił się. – Nie zwykłem się dąsać.

Rozłożyła ręce, machając w jednej kartką.

– Gdzieżbym śmiała twierdzić coś podobnego.

Skrzywił się jeszcze mocniej, wskazując papier.

– Co to jest?

Spojrzała na swoją rękę i twarz jej złagodniała.

– List od mojego męża. – Podała mu kartkę. – Do ciebie.

– Dlaczego?

Udała ignorancję.

– Kto to może wiedzieć?

Haven przyjął list z westchnieniem, sięgnął po nóż do papieru, rozerwał kopertę i zaczął czytać:

Haven…

Jestem mniej niż zachwycony, że moja żona postanowiła spędzić lato z Tobą i siostrami, zamiast ze mną, ale w żadnym razie nie kłóciłbym się z nią o to w jej stanie; dostaje to, czego sobie życzy.

Podniósł wzrok; Sophie stała z dłońmi na wypukłym brzuchu, uśmiechając się pogodnie. Wrócił do listu.

Przystałem zatem na to, wiedząc, że nie darzycie się zbytnim afektem. Naraź ją na przykrość, a odpowiesz przede mną. Sprawi mi to przyjemność.

A poniżej, w nawiasie:

(Spraw przykrość własnej żonie, a odpowiesz przed jej siostrami, które – wszystkie razem – są równie niebezpieczne, jak ja mógłbym być kiedykolwiek).

Eversley

– Znakomicie to ujął.

Malcolm podniósł głowę; Sesily stała obok, czytając list przez jego ramię. Szarpnął papier.

– Brak ci manier.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Och, a ty zawsze byłeś wzorem dobrego zachowania? – Zwróciła się ponownie do Sophie. – King kocha cię do szaleństwa.

Markiza Eversley uniosła ramię, jakby chciała powiedzieć: Wiem doskonale.

Sesily przewróciła oczami.

– Przysłano nas, żeby cię zawiadomić, że kolacja jest o ósmej.

Spojrzał na zegarek. Miał dość czasu, żeby się ogolić i ubrać. Kiwnął głową.

– Dziękuję. – Ruszył się, żeby wyjść zza biurka; miał nieprzyjemną świadomość, że śpieszy się aż za bardzo, żeby uwolnić się od tych kobiet. Nie w tym rzecz, że go przerażały. Oczywiście, że nie.

To były, na Boga, kobiety. Ledwie dotarł do rogu wielkiego, dębowego biurka, kiedy Sophie pokręciła głową.

– Nie możesz jednak jeszcze odejść. Najpierw musimy ci coś powiedzieć.

Musiał przyznać: były przerażające.

– Jasne jest, że powziąłeś jakiś pozbawiony sensu plan.

Mal pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, o czym…

Sophie machnęła ręką w powietrzu.

– Nie marnuj naszego czasu, Haven.

Uniósł brwi.

– Pomyśleć, że wszyscy uważali cię za tę spokojną.

Uśmiechnęła się.

– Cóż, masz gdzieś parę zniszczonych butów, które świadczą o czymś przeciwnym, prawda?

W istocie. Wciąż pamiętał straszliwe zakłopotanie, w jakie wprawiła go ta kobieta, przewracając go na siedzenie. Nie miał cienia zamiaru jej tego uświadamiać.

– W każdym razie – ciągnęła – wszystkie się zastanawiamy, co to za plan.

Nie zamierzał ich w to wtajemniczać.

– Założyłyśmy książkę zakładów – obwieściła Sesily, jakby rozmawiali o pogodzie. – Chciałbyś coś na ten temat usłyszeć?

Oparł się o bok biurka, udając brak zainteresowania.

– Ależ koniecznie.

– Seline uważa, że chodzi ci znowu o pieniądze ojca.

– Nie chodziło mi o nie za pierwszym razem.

– Nie – zgodziła się Sophie. – Chciałeś go zrujnować.

Nie był z tego dumny. Zaślepił go gniew, zawód, poczucie zdrady; myślał, że nigdy go nie kochała. Rozpaczliwie pragnął, żeby było inaczej. Zwrócił się przeciwko jej ojcu. Pozbawiłby go majątku, gdyby nie Eversley, który wkroczył i mu przeszkodził.

– Nie obchodzi mnie tym razem ani jedno, ani drugie.

Sophie wydawała się nieprzekonana, a Sesily mówiła dalej:

– Seleste myśli, że jesteś szpiegiem.

Tego się nie spodziewał.

– Jakim szpiegiem?

Sesily pomachała dłonią.

– To miałoby związek z panem Calhounem i ich tawerną. To nie ma żadnego sensu. – Później miał się zastanawiać nad tą wzmianką o tawernie. Nad tym „ich”. Ale Sesily nie zamilkła. – Ja z kolei… – Zawiesiła głos niepokojąco. – Uznaj mnie za romantyczkę, ale podejrzewam, że chcesz ją na nowo uwieść.

Serce niemal przestało mu bić. Zmusił się do zachowania kamiennego wyrazu twarzy, podczas gdy szwagierka brnęła dalej, na szczęście

nieświadoma wrażenia, jakie wywarły jej słowa.

– To okropny pomysł, wiem. To znaczy, nie potrzeba błyskotliwego umysłu, żeby wiedzieć, że ona nigdy by się na to nie zgodziła.

Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu, aż poczuł się urażony.

– Nawet gdybym się zmienił? – spytał.

– Nie zmieniłeś się – zauważyła Sophie.

– Ale mogłem. – Stwierdził, że broni się jak ostatni głupiec. – Minęły lata.

– Czas nie ma znaczenia – ciągnęła Sophie. – Tygrys nie pozbędzie się pasków na futrze.

Otworzył usta, żeby się dalej sprzeciwiać, nie mogąc przestać, choć wiedział, że to próżny wysiłek. Sesily mu przerwała.

– Warto wspomnieć w tym miejscu, że zdaniem Sophie szykujesz dalszą zemstę.

Sophie skinęła głową, wskazując list leżący na biurku.

– Stąd pismo od Kinga.

Malcolm oparł się chęci, żeby zauważyć, że groźby przysyłane pocztą nie przynoszą takich efektów, jak te wypowiadane w rozmowie twarzą w twarz.

– Nie chcę się mścić.

– Dokładnie to samo byś mówił, gdybyś chciał się zemścić – stwierdziła Sesily.

Nic dziwnego, że pozostała niezamężna. Wzięła się prosto z Bedlam. Haven zignorował ją, patrząc zdecydowanie w oczy Sophie.

– Nie chcę się mścić.

Zmrużyła oczy.

– Zapominasz, że byłam świadkiem twojego gniewu, Haven. Widziałam, co zrobiłeś. Słyszałam słowa, jakie wypowiadałeś.

Dałby teraz wszystko, żeby je cofnąć.

– Byłem…

– Byłeś skończonym głupcem.

Zamrugał. Sesily wykrzywiła szyderczo usta. A potem powiedział tylko:

– Tak.

Sophie przyglądała mu się długą chwilę.

– Sądzę, że powinnam ci powiedzieć, że cię nienawidzę. Bardziej niż one wszystkie.

Kiwnął głową. Wszystkie siostry Sery cechowała bezpośredniość, ale Sophie była najuczciwsza. Zawsze. Ją także musiał pozyskać na nowo.

– Czy wiesz, jak mnie teraz nazywają, Sophie? Od czasu naszego ostatniego spotkania?

– Podtopionym Księciem – odparła z kpiną w głosie. – Jestem z tego dosyć dumna.

Schylił głowę, nie mógł zapomnieć, jak posadziła go na siedzeniu w stawie rybnym. Nie mógł zapomnieć, że na to zasługiwał.

– Masz prawo. To dobre, kłopotliwe przezwisko.

Znowu to uważne spojrzenie.

– Rozumiem, co robisz. To się nie uda. – Może i nie. Ale warto spróbować. – Nie mną powinieneś się niepokoić. Nie nienawidzę cię bardziej niż Sera. Więc jeśli Sesily się nie myli i starasz się ją odzyskać, będziesz potrzebował wiele szczęścia.

Zastukał głośno do pokoju żony kwadrans przed ósmą tego wieczoru. Otworzyła natychmiast, jakby czekała na niego po drugiej stronie; cofnęła się, wpuszczając go do środka. Zachowała dystans nawet wtedy, gdy pozwoliła mu się sobie przyjrzeć.

Stwierdził, że przez chwilę nie był w stanie oddychać.

Wydawała się piękniejsza niż zwykle – w zachwycającej ametystowej sukni bez szerokich rękawów, falbanek i koronek, które zdobiły wszystkie kobiece stroje w obecnych czasach; w swojej prostocie suknia rzucała na

kolana, podkreślając kształt jej ciała od szyi po kibić, gdzie opadała wspaniałymi liniami bez jednej zbędnej fałdki.

Zawsze potrafiła pozbawić go tchu. Teraz nie było inaczej.

Wypełniła ciszę, którą ze sobą przyniósł.

– Widzę, że siostry przekazały ci moją wiadomość o kolacji.

Dlaczego sama mu nie powiedziała?

Znowu rozbrzmiały mu w głowie słowa jednej z sióstr. „Nie nienawidzę cię bardziej niż Sera”.

– Twoją i swoją.

Stała już w drugim końcu pokoju, przy toaletce, podnosząc mały haczyk do przeciągania guziczków. Wtedy zauważył, że jedna długa ametystowa rękawiczka jest niezapięta.

Wyciągnęła szczupłe ramię do światła, ukazując rządek guziczków i zaczęła je zapinać.

– Słyszałam, że przyszedł list od Kinga – powiedziała niemal nieobecnym tonem. King to był markiz Eversley, któremu nieznośne poczucie wyższości wszczepiono wraz z imieniem przy urodzeniu.

Rozdrażniło go, że bez wahania użyła poufałej formy imienia.

– Grozi mi wszystkim, co najgorsze, jeśli zranię twoją siostrę.

Uśmiechnęła się, nie odrywając oczu od rękawiczki.

– Bardzo ją kocha.

Ciche słowa przepełniało serdeczne zadowolenie. W tej chwili nienawidził szwagra. Nienawidził go, ponieważ to on pragnął tego zadowolenia. Chciał sprawić, żeby je odczuwała.

Zrobił krok w jej stronę. Znieruchomiała, więc się zatrzymał.

– Czy nie powinna tego robić służąca?

– Dzielę pokojówkę z Sesily. Nie sprowadziłam własnej.

Była księżną. Miała cały dom na zawołanie.

– Nie musisz dzielić; jest tuzin dziewcząt pod schodami, które…

– Nie potrzebuję tego – odparła, zapinając zręcznie rękawiczkę. – Całkiem dobrze sobie radzę z ubieraniem się.

– Na scenę.

Skinęła głową.

– Między innymi.

Nie podobało mu się odniesienie do przeszłości bez niego. Nie podobało mu się, że miałby ochotę zadać jej dziesiątki pytań, na które nie dostałby odpowiedzi. Spróbował czegoś bezpieczniejszego.

– Wiedziałaś, że twoje siostry zakładają się o to, po co cię tutaj sprowadziłem?

Nie podniosła głowy.

– Sądziłam, że jestem tu po to, żeby ci pomóc się ożenić?

– Seleste uważa, że jestem szpiegiem.

Zachichotała krótko, a on poczuł ciepło w sercu.

– Seleste czyta dużo powieści przygodowych.

– To najlepsza teoria ze wszystkich.

– Jakie są pozostałe?

Nagle uznał, że to nie jest temat najbardziej właściwy.

Sera wyczuła wahanie.

– Mam zgadywać?

Może się nie domyśli.

– Seline troszczy się bardzo o naszego ojca, więc spodziewałabym się, że podejrzewa cię o to, że zależy ci na jego pieniądzach. Ale to, oczywiście, nieprawda.

– Skąd wiesz?

– Nigdy ci na nich nie zależało; zawsze byłeś bogaty jak król. Chodziło ci o mnie – powiedziała lekkim tonem, jakby rozmawiali o wszystkim, tylko nie o tym, jak zrujnował jej rodzinę. – Sophie ma o tobie jak najgorsze zdanie, więc zapewne podejrzewa cię o chęć zemsty.

Nienawidził gorąca, jakie poczuł na policzkach. Był zmieszany i zawstydzony, ponieważ powiedziała to w taki sposób, jakby uważała za zupełnie naturalne, że Sophie myśli w ten sposób. Ale tak nie było. Jeśli mógłby to wszystko cofnąć, zrobiłby to.

Odchrząknął, ale zanim zdołał się odezwać, usłyszał, jak mówi:

– Oczywiście, ona także się myli.

– Czy tak? – powiedział głosem o oktawę wyższym, niżby sobie życzył.

– Nie próbujesz mnie ukarać. Wiesz, że to niemożliwe. – Podniosła wzrok, patrząc na niego błękitnymi oczami. – Nie możesz ukarać kogoś, kto nie ma nic do stracenia.

Te słowa zabolały. Bolały, kiedy je powiedziała w jego biurze w parlamencie i zabolały teraz. Tyle że teraz była bliżej. A on patrzył uważniej. I teraz to zobaczył. Prawdę. Kłamstwo. Miała coś do stracenia.

Ale co?

– Masz rację, nie zależy mi na zemście. – Odwróciła wzrok, jakby wiedziała, że ją przeniknie, i chciała się chronić. – Czy chciałabyś wiedzieć, co sądzi Sesily?

Nie udało jej się przeciągnąć guziczka, nad którym właśnie pracowała.

– Nie.

Widział, jak chwyta mocniej haczyk. Próbuje znowu. I znowu bez powodzenia. Podszedł bliżej i wyjął jej haczyk z ręki. Odwrócił ją w swoją stronę. Wyrwała rękę.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Oczywiście, że nie – przyznał. – Nigdy mnie nie potrzebowałaś.

To zawsze ja ciebie potrzebowałem.

Przemilczał to, wyciągnął tylko do niej rękę.

– Kolacja czeka. – Wcale go to nie obchodziło. Stałby tutaj, obok niej, wdychając to samo powietrze, do końca świata, gdyby mu na to pozwoliła.

Odetchnęła zbyt ostro i położyła gwałtownie dłoń na jego ręce.

– Dobrze.

Zapiął guziczek, nie zwracając uwagi na irytację w jej głosie.

– Sesily myśli, że chcę cię odzyskać.

Pokręciła głową.

– Sesily nie wie nic o małżeństwie.

Uważał, że wiedziała całkiem sporo. Zapiął wszystkie guziczki i przesunął kciukiem po miękkim jedwabiu.

– Skończyłem. – Nie puścił jej ręki, ale też jej nie trzymał. Napawał się jej dotykiem, kobiety, której szukał latami. Za którą latami tęsknił.

Pragnę cię odzyskać.

A gdyby powiedział to głośno? Co by zrobiła?

Podniosła ku niemu oczy, oczy o niezwykle długich, czarnych rzęsach. Przez chwilę myślał, że coś powie. Coś ważnego. Coś, co mogłoby wszystko zmienić. Nie zrobiła tego jednak. Cofnęła rękę i powiedziała coś najbardziej banalnego w tej sytuacji. Powtórzyła jego słowa.

– Kolacja czeka.

Nigdy nie mówili rzeczy, które miały znaczenie.

Schodzili po głównych schodach, kiedy znowu się odezwała:

– Pora, żebyś wziął udział w tym przedsięwzięciu, Mal. Musisz wybrać.

Ciebie, pomyślał, wybieram ciebie.

Przełknął te słowa.

– Zatem konkurs zaczyna się dziś wieczorem?

Skinęła głową.

– Tak jest.

– W jaki sposób? Szermierka? Walka na pięści? Zabójcze szarady? – Jej usta drgnęły w lekkim uśmiechu, a on był całkiem z siebie dumny.

– Nic z tego… dokładnie.

– Żadnych pojedynków? Jaka szkoda.

Zaśmiała się.

– Zaczynamy od posiłków. Musi być zdolna prowadzić dom.

Jedzenie go nie obchodziło, ale gotów był udawać.

– Ach. Stąd ta kaczka.

Ruszyli w stronę jadalni.

– Wiem, że lubisz kaczkę.

Zerknął na nią z ukosa.

– Nie mówiłem chyba, co lubię.

– Przez całe miesiące uczyłam się tego, co lubisz. Zanim wzięliśmy ślub i później, nawet kiedy nie byłam mile widziana w tym domu. – Nie mógł oderwać od niej wzroku, nawet gdy wpatrywała się wprost przed siebie, nie chcąc patrzeć mu w oczy. – Bardzo chciałam planować twoje posiłki. Prowadzić twój dom. Być twoją…

Głos jej zamarł, ale usłyszał to słowo. Żoną.

Usłyszał także czas przeszły.

Dlaczego zawsze był to czas przeszły?

– Wiem także, że nie znosisz szparagów – powiedziała tonem, w którym pobrzmiewała nutka triumfu.

– To prawda.

– Chciałeś po prostu udowodnić, że wszystkiego nie wiem.

– Unikałaś mnie. – To nie była wymówka, ale prawda.

– Nigdy nie mówiłeś, że mamy rozmawiać. – Westchnął, a ona błędnie odebrała to za wyraz irytacji. – Wiesz, sam to na siebie ściągnąłeś, Haven. To ty zdecydowałeś, że chcesz się znowu ożenić. Ty zdecydowałeś, że chcesz, żebym to ja wybrała następczynię. Tak to wygląda. Pomyśl tylko. Mógłbyś nawet polubić którąś z nich.

Ale żadnej by nie pokochał.

– Nie muszę lubić żadnej, żeby którąś poślubić. – Wiedział, jak paskudnie to zabrzmiało.

– To pomaga, nie sądzisz?

– Nie wiem – odparł. – My nigdy się nie lubiliśmy.

– Nonsens – powiedziała, kiedy zbliżali się do jadalni. – Może gdybyśmy się tak nie lubili, to wszystko nie wyszłoby tak bardzo źle. – Zanim zdążył

odpowiedzieć, dodała: – Posadziłam cię obok panny Mary. Bądź uprzejmy. – Skinęła lokajowi stojącemu przed jadalnią. Chłopiec otworzył drzwi, ukazując barwny tłumek gości, którzy odwrócili się, obserwując przybycie pary książęcej.

– Poczekaj – powiedział. Musiała się odwrócić, nie chcąc narazić na reprymendę, że go ignoruje. Ze statusem księcia wiązały się pewne korzyści. Zniżył głos. – Jak sądzisz, dlaczego cię tu sprowadziłem?

Rozmawiali już o tym, jakie teorie wysnuły jej siostry. Ale jego obchodziła tylko jej opinia.

Przyglądała mu się długo, zanim odpowiedziała – tak cicho, żeby tylko on mógł ją usłyszeć.

– Myślę, że jestem tutaj, żeby być twoją zabawką.

– A co to ma znaczyć?

– Nie chcesz mnie, ale nie chcesz także, żeby miał mnie ktokolwiek inny. Zawsze tak było. – To nie była prawda, ale słowa zabolały brutalną szczerością, ponieważ ona w to wierzyła. A potem powiedziała jeszcze: – Nie chcesz żadnego życia ze mną.

Te słowa go zmroziły, przywołując wspomnienie, o którym zapomniał. Wspomnienie, którego chciałby się pozbyć natychmiast. Do diabła z kolacją i gośćmi.

– Sera…

Pokręciła głową.

– Wasza wysokość. Miałam okazję już to wcześniej przeżywać.

Wchodziła już do pokoju, gdzie czekała gromadka kobiet o świeżych twarzach.

Przy stole zastawionym talerzami szparagów.

Spojrzał na żonę, która uśmiechała się kpiąco.

Myliła się. Pragnął jej. I pragnął życia z jej udziałem.

I tym razem nie zamierzał spocząć, póki tego nie osiągnie.

15. Talbot triumfuje!

Kwiecień 1833
Rezydencja Haven, Mayfair

Usłyszał ją w chwili, kiedy weszła do domu.

Gdyby Haven był uczciwy, przyznałby, że usłyszał, jak jej powóz zatrzymuje się przed domem, a ona wysiada z niego niczym jakaś królowa. Nie widział jej ze swojego gabinetu, ale czuł, jak zmienia się powietrze na placu przed rezydencją. Jak ona je kradnie.

Usłyszał, jak uderza gwałtownie kołatką o drzwi i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czyby nie polecić lokajowi, żeby nie otwierał.

Ale tutaj krył się wieczny problem jego stosunków z Seraphiną Talbot – zawsze odpowiadał na jej wezwanie. Jak jakiś przeklęty żeglarz na śpiew syreny. Minęły trzy dni, odkąd ich przyłapano, za tydzień mieli się połączyć na zawsze. A po ślubie miało być tylko gorzej.

– Gdzie ona jest? – Wyrzucił z siebie to pytanie jak grom, zawiedziony i gniewny. Pełen oczekiwania. Przejęty pożądaniem.

To ostatnie wywołało w nim wstyd. Nie powinien jej pożądać. Powinien chcieć się jej pozbyć. I nigdy jej nie widzieć. Powinien pragnąć ukarać ją za to, co zrobiła – zmusiła podstępnie do odegrania farsy małżeństwa, które w ogóle nie było farsą, bo cała arystokracja i wszystkie brukowce w Anglii wydawały się znać prawdę.

– Zostanę tutaj cały dzień, póki nie będzie przyjmować, więc równie dobrze możesz mnie do niego zaprowadzić. – Haven podniósł się, słysząc to; powiedział sobie, że idzie do drzwi gabinetu, ponieważ chce chronić lokaja przed jej gniewem, a nie dlatego, że przy niej jest jak pies na smyczy.

– Ja-jaśnie pani – jąkał się lokaj za drzwiami. – Sprawdzę, czy książę jest w domu.

– Nie potrzeba – oznajmiła.

– Jaśnie pani! Nie może pani po prostu…

Nikomu jednak nie udało się dotąd przekonać Seraphiny Talbot, że ma słuchać poleceń; z pewnością nie zamierzała teraz zacząć słuchać lokaja, skoro ignorowała życzenia jego pana.

– Och, ależ mogę! Nie czytasz gazet? Mamy się pobrać!

Malcolma ogarnął gniew, położył rękę na klamce gabinetu, zamierzając wyrzucić ją z domu.

Otworzył drzwi.

– Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem, lady Seraphino. Został jeszcze tydzień, zanim wykorzystam specjalne pozwolenie.

Jedna mahoniowa brew uniosła się do góry w doskonałym łuku.

– Zapewniam cię, że jestem w pełni świadoma, że jarzmo się zaciska, wasza wysokość.

Teraz z kolei on się zdziwił.

– A zatem to ja ograniczam twoją wolność?

– Tak jest z kobietami i mężczyznami, czyż nie? – Uderzyła go w pierś gazetą. – Możesz mnie ukarać, jak ci się podoba. To łóżko, które sobie posłałam. Ale zostaw w spokoju moje siostry, draniu.

Wziął gazetę.

– Oboje jesteśmy z pewnością nieco zasmuceni faktem, że w istocie nie jestem draniem. Inaczej nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji. – Milczała, więc wziął gazetę, wiedział od razu, co miała na myśli. Jednak nie powstrzymał się, żeby jej nie zirytować. – Król spędza wakacje w Bath.

– Chętnie utopiłabym cię w wannie[4] – powiedziała, dotykając gazety palcem. – Tutaj.

Czytał ten artykuł wcześniej.

„Haven złowiony przez łowczynię!” Znowu ogarnęła go irytacja. Irytacja i palący wstyd.

Nie czekała, aż dojdzie do siebie.

– Mam cytować z pamięci? „Panowie! – ostrzegają niezwykle zaniepokojeni redaktorzy »News«. – Uważajcie! Nisko urodzone damy grasują po Londynie, czyhając na okazję, żeby się wywyższyć!” – Mal skrzywił się na ten język. Zauważyła to. – Och, nie odpowiada ci styl? Dalej jest jeszcze gorzej!: „Miejcie na uwadze smutną historię księcia Haven! Nie padnijcie ofiarą rozwiązłych Wistarii… choćby pokusa była nie wiadomo jak silna! Wszystkie z nich to Niebezpieczne Córki!”

Spojrzał na Serę.

– Miałbym się z tym nie zgodzić?

Jej oczy miały taki wyraz, jakby życzyła mu śmierci.

– Nawet nie znasz moich sióstr. – Podniosła głos. – Nigdy nawet nie przyszedłeś do mojego domu, żeby je poznać.

– Nie znam ich – powiedział. – Ale ponieważ to moje nazwisko jest obrzucane błotem i to przez ciebie, nie miałbym ochoty pojawiać się u nich w stanie bezżennym.

– Och, tak. Biedni kawalerowie. O słabej woli, łagodni chłopcy, którzy nie potrafią nad sobą panować, pozbawieni inteligencji. Kobiety tak łatwo ich łowią i niszczą życie, nawet tym u władzy. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy wszystkie pochodziły od wiedźm.

Uniósł brew.

– Biedni, smutni mężczyźni, tacy dobrzy i niewinni, wędrujący ulicami tak bardzo bezbronni wobec własnych iluzji. Powinno się ich pilnie strzec przed kaprysami kobiet, które pragną jedynie ich zguby. – Przerwała. – To

nasza historia, nieprawdaż? Ty, tragicznie heroiczny Samson, i ja, kusicielka Dalila, kradnąca twoją moc?

Malcolm zmrużył gniewnie oczy.

– Ty to powiedziałaś. Dalila wzięła pieniądze i ziemię.

– Niczego ci nie zabrałam.

– Nie – odparł. – Zrobiłaś coś gorszego. W tym, co zrobiłaś, nie było niczego honorowego. Przehandlowałaś swoje wdzięki.

Sapnęła gniewnie.

– Twierdzisz, że jestem dziwką?

– To twoje słowa, Sero. Nie moje.

Nigdy nie powinien był tego powiedzieć. Przez chwilę myślał, że go uderzy. Przyjąłby to. Nawet uznałby, że na to zasługuje. Nie zrobiła tego jednak. Wyprostowała się, zaciskając palce w pięści. Wstał, przygotowując się na cios. Wiedział, że mu się należy, i z jakiegoś powodu nie był zdolny przeprosić. Był zbyt dumny i zbyt rozgniewany.

Tak samo jak ona.

– Pewnego dnia będziesz musiał słuchać, kiedy ja mówię, Malcolm.

– Ale nie dzisiaj.

– Przeprosiłam.

– Wybacz, jeśli trzy dni to dla mnie za mało, żeby dojść do siebie po tym, jak przyszła żona zastawiła na mnie pułapkę.

Nie odwróciła wzroku.

– Też tam byłeś, wasza wysokość.

– Tak, ale z innymi zamiarami. – Odwrócił się, nie chcąc wracać do tej rozmowy. Nie chcąc pamiętać. Wskazał drzwi. – Zechcesz wyjść.

– Nie musimy się pobierać. – Powtórzyła to dziesiątki razy po tym, jak ich nakryto. I następnego dnia także. Oczywiście, że musieli się pobrać. – Popełniłam błąd – dodała cicho. – Nigdy nie powinnam się zgodzić…

– Przestań. – Nie chciał tego słuchać, potwierdzenia, że zastawiła na niego pułapkę. Nie chciał na nowo przeżywać tej chwili, kiedy to sobie

uświadomił.

Nie przestała.

– A jeśli ci powiem, że to nie była pułapka? Nie od początku? Żadnego dnia? Ponieważ to nie była pułapka, Malcolm. – Chryste, jakże chciał jej wierzyć. – To wszystko było prawdziwe. Byłam sobą i ty byłeś sobą i wszyscy powiedzieli, że to nie mogło…

– Zamilcz. – Ledwie panował nad wściekłością. – Jeszcze śmiesz opowiadać swoją bajeczkę. Nie obchodzi mnie to. Złowiłaś księcia, tak jak moja matka złowiła mojego ojca przede mną. Myślałem, że chodzi ci o mnie, a tobie zależało od początku tylko na tytule i powinien był to przewidzieć, i na tym koniec.

Zapadła cisza, ciężka i nieprzyjemna; szukała odpowiednich słów, a on marzył, żeby to nie było kolejne kłamstwo. Nie sądził, żeby zdołał znieść kolejne kłamstwo. Nie z ust tej kobiety, która tak długo wydawała mu się taka prawdziwa.

Odezwała się w końcu, wydawało się, że w jej głosie pobrzmiewa panika.

– Myślałam o tym; jeśli wyjadę, jeśli zniknę, dam siostrom szansę na przyszłość nieobciążoną moim skandalem.

– Nie możesz ich uwolnić od skandalu – powiedział. – To ich skandal, tak jak to samo nazwisko. Na zawsze pozostaną Niebezpiecznym Córkami. Tak jak ja zawsze będę Havenem Wystrychniętym na Dudka.

Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

– Nigdy tego nie chciałam. Myślałam po prostu, że nas znajdą, a my weźmiemy ślub. I będziemy szczęśliwi.

Zaśmiał się gorzko mimo woli.

– Co za ironia, nieprawdaż? Że moglibyśmy być szczęśliwi.

Otworzyła szeroko oczy.

– A dlaczego nie możemy być szczęśliwi? Popełniłam błąd. Kocham…

– Nie. – Przerwał jej jednym zimnym, gniewnym słowem. Dzięki Bogu. Jak długo powtarzał sobie, że miłość jest tym, czego nie może mieć? Jak długo wierzył, że jest czymś nierealnym? A potem spotkał Serę i wszystko się zmieniło. Wszystko i nic. Przeszedł przez pokój i nalał sobie drinka przy kredensie. – Nie mów tego. Nie do mnie. Nie ma na to miejsca. Już nie.

– Malcolm – powiedziała cicho; nie chciał na nią spojrzeć, bojąc się tego, co mógłby zobaczyć. Nie musiał się odwracać. Słyszał smutek, mimo ciszy. Chryste, jakże chciał w to wierzyć. Chciał jej wierzyć.

Odetchnęła, leciutko pociągając nosem – jedyna oznaka, że jego słowa ją przygnębiły.

– Jeśli pozwolisz mi odejść, zyskasz… – Przerwała, zastanawiając się, jak dokończyć. Kiedy odezwała się znowu, usłyszał prawdę. – Chciałabym ci także dać przyszłość. Taką, w której mógłbyś być szczęśliwy. Z pewnością nie pragniesz małżeństwa, żeby móc nas oboje karać bez końca.

– Nie rozumiesz? – zapytał. – Ja jestem owocem takiego małżeństwa. Patrzyłem, jak rodzice karzą się nawzajem latami. Matka łowczyni i ojciec, złowiona zwierzyna. I ja, niepewna nagroda – dodał, ignorując ból, jaki niosły wspomnienia. – Tym jest dla mnie małżeństwo. I wygląda na to, że również będzie.

– Więc dlaczego się na to decydujesz? – zapytała przygnębiona i zmieszana. – Dlaczego nie postarasz się, żeby było inaczej?

Wybór nie istniał. Nie widziała tego? Taki był zawsze koniec, syn odpowiada za grzechy ojca.

– Wszystkie małżeństwa są nieszczęśliwe – powiedział. – Tego mnie nauczyłaś.

Jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

– Jak to?

Nie miał powodu kłamać.

– Kiedy cię spotkałem, Sero, miałem nadzieję na coś nowego, innego. Miałem nadzieję, że znajdziemy własną drogę w małżeństwie i

unicestwimy to, co złego zostawili po sobie moi rodzice. Ufałem, że mi w tym pomożesz. Bogu wiadomo, nie miałem pojęcia, jak uczynić małżeństwo szczęśliwym. Moi rodzice nie byli w stanie przebywać razem w jednym pokoju.

– Mal – powiedziała cicho; nienawidził współczucia, jaki słyszał w jej głosie. Litość. Nie chciał jej dobroci. Chciał pamiętać jej zdradę. Tak było łatwiej. A potem dorzuciła: – Nie życzę tego moim dzieciom. – I to już w ogóle nie było łatwe.

– Nie będzie dzieci.

Sapnęła zaskoczona.

– Co?

Dzieci nie miały się pojawić. Przesądziło o tym tamto popołudnie w Highley, kiedy wciągnęła go w pułapkę. Nie miał ochoty powoływać do istnienia dziecka, które byłoby skazane na takie życie jak jego.

– Mam kuzynów. Mogą przejąć tytuł.

– Nie pragniesz dziedzica?

Spojrzał w jej piękne, błękitne, uczciwe oczy. Ile razy w ciągu ostatnich miesięcy zagubił się w tych oczach? Ile razy uwierzył w to, co w nich zobaczył?

– Nie. Nie chcę dziecka, które nie będzie niczym innym niż pionkiem w szachowym turnieju rodziców.

Milczała długą chwilę.

– Czy to jest twój sposób, żeby mnie ukarać?

Uniósł brew.

– Pragniesz dzieci?

– Oczywiście. Są częścią życia.

Wyobraził je sobie, jej dzieci – całą gromadkę o ciemnych lokach i lśniących, niebieskich oczach, wysokich, uśmiechniętych. Miałaby piękne dzieci. Oni by mieli.

Ale dzieci nie będzie.

Odwrócił się, wyglądając przez okno.

– Nie chcę takiego życia. – Trzy miesiące wcześniej to było prawdą. Trzy dni wcześniej kłamstwem.

Nie wiedział, czym było dzisiaj.

– Ze mną – dodała. – Nie chcesz takiego życia ze mną.

– Nie. – Miał wrażenie, że kłamie. Pragnął tego kiedyś. Zamierzał poślubić tę żywiołową, bystrą, piękną kobietę, która wydawała się wiedzieć więcej o radości i miłości, niż on wiedział kiedykolwiek. A potem uświadomił sobie, że nie jest szczera, a to, co ich łączyło, nie było prawdziwe.

– Więc dlaczego nie pozwolisz mi odejść?

Ponieważ ciągle cię pragnę.

– Bo to jest łóżko, jakie sobie pościeliliśmy.

Milczała długo, na tyle długo, żeby zapragnął na nią spojrzeć, ale odmówił sobie tego daru. Bólu, jaki by go to kosztowało. Taką prowadzili bitwę.

– Czego chcesz? Chcesz, żebym padła na kolana? Błagała o wolność?

Odwrócił się.

– Zrobiłabyś to?

Błękitne, niezwykłe oczy wyrażały głębokie zdumienie. To była przecież przenośnia. A teraz, nagle, te słowa zawisły w powietrzu.

– Czy tego trzeba, żebym zyskała wolność? Żeby zdobyć ją dla moich sióstr?

– A jeśli tak? Błagałabyś? – Nienawidził siebie za to pytanie.

A potem znienawidził ją, kiedy odpowiedziała:

– Tak.

Zrobiłaby wszystko, żeby się od niego uwolnić. I nie mógł jej za to winić.

– Wyjdź – powiedział, odwracając się znowu do okna.

– Mogłabym odejść. Mogłabym pobiec. – Wypluła te słowa.

Pomachał ręką w stronę drzwi.

– Proszę bardzo.

Nie mogła jednak pobiec, nie narażając na szwank przyszłości sióstr, i wiedziała o tym. On także wiedział. Sera zawsze była szlachetna. Nawet w oszustwie.

Zaszeleściła spódnicami na dywanie i przez chwilę wyobraził sobie, że mogła to zrobić – opaść na kolana. Błagać, jak poddany króla. Jednak odezwała się od drzwi:

– Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co robisz. Jesteś jak pies ogrodnika. Nie chcesz mnie. Ale nie chcesz także, żeby miał mnie ktokolwiek inny. – Nie odpowiedział, nienawidząc poczucia winy, które nagle stało się wyraźne i palące. – Karzesz mnie. I udaje ci się to znakomicie.

Miała rację. Poczucie zdrady i gniew tak go zaślepiały, że sam nie był pewien, czego chce. Wiedział tylko, że nie pozwoli jej odejść.

Nawet jeśli to czyniło go gorszym człowiekiem.

Wydawała się to rozumieć; wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Silna jak stal, jak zawsze, dotknęła palcem jego piersi.

– Dobrze, Malcolm. Zrobisz to, co musisz. Winisz mnie za zdradę i za zniszczone obietnice, jakie dostaliśmy kiedyś od życia.

– Winię cię za to – powiedział, odwracając się od niej. – Nie miej wątpliwości.

Poszła za nim. Nie chciała, żeby się przed nią ukrył.

– Złóż więc winę na mnie. One nie mają z tym nic wspólnego. I spodziewam się, że to naprawisz.

Nie byłby w stanie spełnić tej prośby. Kiedy brukowce zwietrzyły jakąś plotkę, trzymały ją w zębach, póki nie wyzionęła ducha. Wiedziała o tym. Ją i jej siostry nazywano Siostrami Smoluchami, odkąd jej ojciec, baron węglowy, przybył z Newcastle wraz z pięcioma pięknościami.

– Może należało przedtem o tym pomyśleć, Sero.

Te słowa okazały się błędem.

Zobaczył wściekłość na jej twarzy.

– Przedtem? Przed czym? Zanim wszedłeś na balkon tamtej nocy? Zanim zacząłeś nalegać, żebym z tobą zatańczyła? Zanim mnie pocałowałeś? Zanim wysłałeś powóz, żeby zabrał mnie do twojej wiejskiej posiadłości? Ponieważ, o ile dobrze pamiętam, oboje znaleźliśmy się na podłodze w twoim gabinecie, książę. Nie sama Dalila ze zdradzieckim nożem.

Jego także ogarnął gniew, razem z poczuciem winy, frustracją i – niech to diabli – pożądaniem. Podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie.

– Byłaś Dalilą – warknął. – Dalilą, Salome i Dianą, boginią przeklętych łowów. – Przerwał. – A ja byłem ślepym, tłustym bykiem.

– Co za bzdury – parsknęła, nie okazując cienia strachu. – Myślisz, że nie pamiętam? Jak rozpiąłeś moją suknię? Jak uniosłeś spódnice? Kto wtedy błagał, książę? – Roześmiała się; ten dźwięk był jak żądło. – Gdybym tak mogła to wszystko cofnąć. Jakiż błąd popełniłam.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej, a ona odchyliła się do tyłu; muskał wargami jej skórę, upajając się jej ciepłem, zapachem i dotykiem, nawet jeśli nienawidził siebie za to, że go pociąga. Za to, że tak rozpaczliwie jej pragnie. Że nie jest w stanie z niej zrezygnować. Nawet jeśli nienawidził jej za to, że chce odejść.

– Powiadasz, że popełniłaś błąd.

Owionął jej szyję oddechem, mówiąc to; widział pulsowanie jej krwi.

– Najgorszy z możliwych.

– Powiedz mi dokładnie, co masz na myśli. Czy to pułapka była błędem? Czy to, że zostałaś złapana, kiedy ją zastawiałaś? Czy zrobiłabyś to znowu, gdybyś miała pewność, że nigdy się nie dowiem, co planujesz? Jak to zorganizowałaś? Jak mnie zwabiłaś?

Ich spojrzenia się spotkały; dostrzegł ból w jej oczach na chwilę, zanim odparła:

– Oczywiście, że tak.

Przez resztę życia miał się zastanawiać, dlaczego ją wtedy pocałował, rozgniatając jej wargi, aż obojgu zabrakło powietrza. Aż otoczyła jego szyję ramionami i oddawała mu każdy dotyk, jęk, pieszczotę. I dlaczego pocałowała go, zamiast odepchnąć i odejść na zawsze. Może dlatego, że w namiętności widzieli prawdę – doskonale do siebie pasowali. Może dlatego, że w takich chwilach budziła się nikła nadzieja, że zdołają się znowu odnaleźć, a kiedy gniew minie, przestrzeń między nimi wypełni się czymś innym.

A może dlatego, że ją kochał, a ona kochała jego.

16. Bule na trawie? Czy zaloty?

No, dalej, Emily, rzucaj wreszcie!

– Oj, nie poganiajcie jej! Nie spiesz się, lady E. Celuj dobrze.

– Och, na Boga, to bule na trawie, a nie operacja, Em.

– Dobrze! – Lady Emily odzyskała głos i Sera nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Strzelam.

– Rzucasz – poprawiła Seline, dodając szybko, kiedy wszystkie spojrzenia skierowały się na nią: – No, co? Tak to się nazywa. – Potem mruknęła jeszcze pod nosem: – Nie moja wina, że mam męża sportowca.

Sera powstrzymała się od uwagi, że bule na trawie, ściśle rzecz ujmując, nie są sportem, a już na pewno nie wtedy, kiedy gra w nie osiem kobiet w dworskich ogrodach Essex.

Rozległy się radosne owacje, kiedy piłeczka ciśnięta przez Emily przeleciała dziesięć jardów, zaczynając kolejną rundę, przy akompaniamencie wojowniczego jazgotu jamników markizy Bumble oraz entuzjastycznych okrzyków Sesily:

– Niech to! Ale masz oko, Emily!

Lady Emily zaczerwieniła się ślicznie i spuściła głowę, zmieszana pochwałami.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – To raczej dobry rzut, prawda?

– Nikt nie lubi dam zbyt pewnych siebie, Emily! – zawołała jej matka z miejsca, gdzie siedziały starsze kobiety pod kilkoma dużymi parasolami, wachlując się i przypatrując grze z niepokojącą uwagą. – Nigdy nie zwrócisz uwagi księcia, jeśli uzna, że jesteś pyszałkowata.

Twarz Emily posmutniała.

– Tak, matko.

– To znaczy, jeśli kiedyś w ogóle zobaczymy księcia – zauważyła pani Mayhew, zanim warknęła: – Ramiona do tyłu, Mary. Może się zjawić lada moment.

Sera nie podejrzewała, żeby Malcolm mógł się pokazać w pobliżu buli, nie powiedziała tego jednak głośno, odwracając się plecami do matek i posyłając lady Emily szeroki uśmiech.

– Myślę, że to był świetny strzał.

– Rzut – powiedziała znowu Seline, wywołując zniecierpliwione pomruki. – Zgadzam się. Poza tym nie słuchaj zawsze matki, Emily. Przyzwoity mężczyzna doceni kobietę, która zna swoją wartość. – Ucichła, po czym dodała: – Choć z pewnością nie mamy dowodów na to, że Haven jest przyzwoity.

Sera westchnęła.

– Jest przyzwoity.

– Domagałabym się dowodu, dziewczęta, zanim zdecydowałabym się go poślubić – odezwała się Sophie ze swojego miejsca przy stosie błękitnych kul.

Jej siostry były, w istocie, niebezpieczne. Jeśli nie skończą z tymi szyderstwami, Sera może zostać bez rozwodu i cały wysiłek pójdzie na marne.

I niech ją diabli, jeśli miałaby spędzać tygodnie w Highley, gdzie osaczały ją zewsząd wspomnienia, na próżno.

– To przyzwoity mężczyzna – oznajmiła, rzucając siostrom gniewne spojrzenie. – Musicie mi po prostu wierzyć na słowo.

– Nie chcę się pani sprzeciwiać – wtrąciła lady Lilith – ale czy go nie zostawiłaś?

– Lilith! – warknęła hrabina Shropshire. – Dość tego!

– Sama powiedziałaś, że mam się starać zrozumieć jak najlepiej tego człowieka – zauważyła Lilith.

– Ale nie w ten sposób! – ofuknęła ją matka. – Bądź bardziej subtelna!

Lilith posłała Serze uśmiech.

– Subtelność nigdy nie była moją mocną stroną.

– Nie martw się, lady Lilith, księżna sama nie jest zbyt subtelna. – Caleb właśnie się zjawił, wypoczęty, odświeżony. – Ostatecznie o mało nie obaliła parlamentu parę tygodni temu.

Sera łypnęła gniewnie w jego stronę.

– Panie Calhoun! – powiedziała, starając się zmienić temat. – Jak miło, że się do nas przyłączyłeś. Wiem, jak uwielbiasz gry na świeżym powietrzu.

– Wolę zajęcia, które niosą jakieś ryzyko.

– Nie grałeś w bule z Siostrami Smoluchami! – zawołała wesoło Sophie.

– Dość. – Spojrzał na pole. – Świetny rzut. – Posłał oko lady Emily, która natychmiast spłonęła rumieńcem.

– Emily! – warknęła ponownie hrabina Brunswick i jej córka o zaczerwienionych policzkach podeszła do reszty drużyny.

– Przestań. – Sera podeszła do przyjaciela. – Odstraszysz je wszystkie.

Uraziła męską dumę Caleba.

– Jeśli sądzisz, że dziewczęta ode mnie uciekną, to przestałaś rozumieć młode kobiety na stare lata.

– Och, wybacz – powiedziała. – Mam tylko dwadzieścia dziewięć lat.

– Praktycznie jedną nogą w grobie – stwierdził.

Parsknęła z irytacją.

– Jak się miewa moja tawerna?

Uniósł brew.

– Moja tawerna ma się doskonale. Wyremontowana. Zapewnia znośną rozrywkę. – Nocami bywał w Londynie, żeby nadzorować interes, upewnić się, że artystom nic nie grozi, a trunków nie brakuje.

Skinęła głową.

– Ale?

Przechylił głowę na bok.

– Ale bez Wróbelka to tylko zwykła knajpa.

Poczuła ukłucie żalu. Tęskniła za tamtym miejscem, za zapachem świeżego drzewa, alkoholu, świec i tabaki, a także muzyką – z pewnością najlepszą w Londynie.

Głównie jednak tęskniła za sobą samą w tawernie. Za tym, jak zatracając się w muzyce, stawała się sobą. Wróbelkiem. Wolnym ptakiem.

– Jak się miewa twój rozwód?

– Będzie lepiej, jeśli książę spędzi więcej czasu z dziewczętami.

– Może nie chce tych dziewcząt.

– Sam je wybrał.

– Może wybrał je tylko dlatego, że nie sądził, żebyś wróciła.

Skrzywiła się.

– Wyjadę, jak tylko wybierze sobie żonę.

Caleb mruknął; nie spodobał jej się ten dźwięk.

– Co znowu?

Zakołysał się na piętach, wsuwając palce za pasek spodni.

– Nic. Tylko że wcale nie jestem pewien, czy wrócisz, jeśli nie potrafisz stawić czoła swojemu księciu.

Zmrużyła oczy, szepcząc gniewnie:

– A co to ma znaczyć?

– Myślisz, że nie wiem, co się dzieje, kiedy tylko zostajecie sami? – zapytał przyjaciel swobodnym tonem, jakby rozmawiali o pogodzie.

– Myślę, że nie masz o tym bladego pojęcia.

– Wróbelku, książę cię usidlił, odkąd się spotkaliście. Tak samo jak ty jego. I lata osobnego życia czy rozwód nie zmienią tego, w jaki sposób on na ciebie patrzy. Ani tego, jak ty na niego patrzysz.

– Nie wiesz, o czym mówisz – stwierdziła, odwracając się i klaszcząc w ręce; podeszła do miejsca, gdzie biała piłeczka – cel, czyli „świnka”, leżała sobie spokojnie w bujnej trawie. – Która drużyna zaczyna?

Sposób, w jaki on na ciebie patrzy.

Nie. Bzdura. Caleb nic nie wie na ten temat.

Na szczęście zawsze można było liczyć na Sesily, że skieruje uwagę na inne tory.

– Jako że wygrałyśmy poprzednią rundę… – przerwała triumfalnie przy radosnych okrzykach sióstr i kpiącym chichocie czterech kandydatek na księżną oraz szczekaniu psów po bokach – …my zaczniemy! Przygotujcie się, że zmiażdżymy was z kretesem!

Śmiałe wystąpienie Sesily wywołało gniewne fuknięcie ze strony kilku matek, ale ponieważ zacne matrony nauczyły się już, że uskarżanie się na obecność sióstr Talbot skutkuje jedynie irytacją Sery i jeszcze większą bezczelnością sióstr, siedziały z zaciśniętymi wargami.

Gorzej, jak sądziły, że ich córki wydawały się lubić Siostry Smoluchy. A lady Lilith oraz lady Felicity Faircloth – nikt chyba nie był w stanie zwracać się do niej inaczej, niż używając pełnego imienia i nazwiska – wydawały się nawet bardziej niż tylko je lubić. Wydawały się być pod ich wpływem. Sesily schyliła się, żeby podnieść ciężką, niebieską bulę, jakich używano na dworze, a lady Lilith zawołała:

– Ja czuję się zupełnie zmiażdżona przez tę suknię, lady Sesily!

Sesily wyprostowała się dumnie w sukni, którą niektórzy mogliby uznać za zbyt obcisłą – starsze kobiety z pewnością ją za taką uważały.

– Chętnie polecę ci moją krawcową, lady Lilith.

– Może w związku z twoją wyprawą ślubną! – zażartowała Sophie.

– No, no – odezwała się Sesily, kiedy śmiech zamarł. – Wszyscy wiedzą, że Haven ma słabość do kobiet, które dobrze sobie radzą na polu gry w bule.

– Czy to prawda? – zapytała zaniepokojona panna Mary.

– Jak najbardziej – odparła Sesily. – Zapytaj Sery. Ona wie wszystko o jego zainteresowaniu… okrągłościami.

Cała siódemka kobiet parsknęła śmiechem, wydając dźwięki od stłumionego chichotu po głośny rechot. Caleb pogorszył jeszcze sytuację, kiedy uchylił kapelusza przed Sesily, mówiąc:

– Miałem rację. Jesteś jednym wielkim kłopotem.

Sesily puściła do niego oko.

– Najlepszego rodzaju, Amerykaninie.

Roześmiał się głośno i szczerze i Sera przyłączyła się do niego mimo woli, zapominając na chwilę, w jakim celu się tu spotkali.

Pani Mayhew przypomniała go im wszystkim, zamykając wachlarz z trzaskiem i uderzając nim o udo.

– Doprawdy! To nie do przyjęcia!

Sesily zatrzepotała niewinnie rzęsami.

– Nie wiem, co pani zdaniem mam na myśli, pani Mayhew. Haven lubi bule. – Spojrzała na Serę. – Nieprawdaż?

– W istocie bardzo – odparła Sera, dumna ze swojej umiejętności zachowania niewzruszonego wyrazu twarzy. Sesily Talbot nie tylko spełniała oczekiwania w stosunku do sióstr Talbot – ona je przekraczała. Sera zawsze ją za to uwielbiała.

Może mogłyby się razem zestarzeć jako partnerki w zabójczym siostrzanym związku.

– A co z tym, że flirtuje bezwstydnie? – pisnęła przenikliwym głosem pani Mayhew.

– Nie widzę powodu, dla którego to mogłoby przeszkodzić grze w bule na trawie – powiedziała Sera, wzruszając ramionami.

– Doskonale! – zawołała Sesily. – A zatem ustalone. Jeśli wygram, dostanę Amerykanina.

– A jeśli wygra ktoś inny? – Caleb się roześmiał. – Nie to, żebym się nie spodziewał, że je pokonasz, lady Sesily.

Sesily uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Oczywiście, że tak, przyszły mężu. No, nie wiem… jeśli wygra ktoś inny, może wziąć Havena. Czyż nie na tym im wszystkim zależy?

Siostry Sery parsknęły śmiechem, podobnie jak lady Lilith i lady Felicity Faircloth, podczas gdy pani Mayhew i jej nieszczęsna córka wyglądały, jakby robiło im się niedobrze. Lady Emily nie odpowiedziała w ogóle. Sera postanowiła właśnie wkroczyć i ukrócić występy Sesily, kiedy ta skupiła wzrok na jakimś punkcie ponad ramieniem Sery, uśmiechając się szeroko.

– Nie sądzisz, że to doskonały pomysł, wasza wysokość?

– To z pewnością ułatwiłoby wiele rzeczy. – Zatrzymał się za nią, wszystko, co czuła, to jego ciepło. – Witajcie, łaskawe damy. – Kandydatki dygnęły jak na komendę, a Haven dodał: – Czuję się w obowiązku przeprosić, że trzymałem się nieco na uboczu, odkąd przybyłyście. Majątek tych rozmiarów wymaga wiele uwagi, zwłaszcza po dłuższej nieobecności.

To było zręczne kłamstwo. Dla Havena pracował najlepszy zarządca w całej Anglii – starszy dżentelmen o znakomitych umiejętnościach, wyposażony w szerokie pełnomocnictwa do prowadzenia spraw gospodarczych. Haven nie zajmował się niczym poza architekturą. Sera nigdy nie widziała człowieka, który mówiłby z taką dumą o wyjątkowych komnatach w dworze, o małym domku w ogrodzie, o dekoracyjnej wieży na łąkach.

– W każdym razie chciałbym spędzić trochę czasu z wami. Bule na trawie, to brzmi pociągająco. – Był blisko niej, zbyt blisko, wziąwszy pod uwagę, że zwracał się do sporej gromadki. A potem odwrócił się do niej, pytanie, które zadał, odczuła na własnej skórze jak pieszczotę: – Czy księżna bierze udział w grze?

Oczy Sesily rozbłysły.

– A chciałbyś, żeby zagrała?

„Sesily myśli, że chcę cię odzyskać”.

Nic z tego. Odsunęła się od Havena, ustawiając za bulą, którą rzuciła lady Emily, starając się udawać jak najlepiej, że jej tam nie ma, wyglądając z całą pewnością godnie i dostojnie.

– Ależ skąd – oznajmiła. – Jestem sędzią.

Kiwnął głową i demonstracyjnie przyjrzał się polu.

– A drużyny? – zapytał na tyle głośno, żeby wszyscy go słyszeli, a ona nie mogła się powstrzymać, żeby się nie odwrócić i na niego nie spojrzeć. W jego głosie brzmiało zadowolenie. Jakby szukał jakiegoś sposobu, żeby wypełnić swój czas i bule na trawie stanowiły całkiem rozsądny wybór.

To jej się wydało podejrzane; przestraszyła się.

Co się dzieje?

– Niezamężne przeciwko zamężnym. I Sesily – pospieszyła z odpowiedzią Seline.

Sesily westchnęła dramatycznie.

– Wieczna druhna. – Zerknęła na Caleba. – Amerykańska narzeczona?

Caleb zaśmiał się bezczelnie, a pani Mayhew chrząknęła z oburzeniem. Haven nie zwrócił na to uwagi; zastanawiał się nad drużynami, których siły każdemu przypadkowemu przechodniowi musiały się wydawać skrajnie nierówne.

Po lewej stronie pola stały cztery młode kobiety w rozkwicie urody, w pastelowych sukniach; na ich twarzach nadzieja mieszała się z podnieceniem; w oczach miały strach; każda paliła się, żeby wywrzeć na księciu jak najlepsze wrażenie i stać się dla niego prawdziwie znakomitą, arystokratyczną partią.

Po prawej stały ich przeciwieństwa. Pod każdym względem.

Siostry Talbot nigdy w życiu nie nosiły pastelowych kolorów – nie tyle szły za modą, co ją tworzyły. Miały na sobie stroje w jaskrawych, pięknych

kolorach, jakby żywcem wziętych z letnich ogrodów; włosy miały kunsztownie upięte – przedkładały krzykliwą szczerość nad spokojną uprzejmość; wszystkie razem odznaczały się wdziękiem i taktem karety, nad którą woźnica stracił panowanie; to ostanie potwierdziła Sesily, wołając:

– Ej! Haven! Ruszyłabym się na twoim miejscu, zanim moja niecelna ręka pośle bulę w twoją goleń.

– Za szczęśliwe wypadki! – odezwała się Sophie od pobliskiego stołu, gdzie właśnie podano lemoniadę i lunch.

– Nienawidzi mnie – powiedział cicho Haven.

– Tak jest, w istocie – odparła Sera; zdziwiło ją, jak nieprzyjemnie poczuła się z tą myślą.

– Czy ktoś jeszcze pada z głodu? – zapytała Sophie.

– My nie jemy – jęknęła Sesily. – My gramy.

– Nie sądźcie, że ta obsesja na punkcie pożywienia wynika z odmiennego stanu – oznajmiła Seline na użytek kandydatek. – Sophie jest głodna w każdym momencie swojego życia.

– Prawda! – zgodziła się Sophie, pakując tartę do ust. – Nie macie nic przeciwko temu, żebym zaczęła, prawda?

Matki z boku nie były w stanie zdecydować, czy bardziej oburza je to, że Seleste tak otwarcie wspomniała o ciąży Sophie, czy też fakt, że Sophie zabrała się do jedzenia, nie czekając na pozwolenie księcia czy księżnej; Serze zaś to wszystko uświadomiło po raz kolejny, jak bardzo kocha swoje siostry.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby okazać się dżentelmenem i przyłączę się do was – wtrącił Caleb. – Jestem, ostatecznie, dużym chłopcem.

– Wspaniale! – odparła Sophie. – A ponieważ jest całkiem możliwe, że noszę w sobie małego chłopca, będziemy świetnie do siebie pasować.

Matki wymieniły szeptem uwagi, chowając twarze za wachlarzami, kiedy markiza Eversley po raz kolejny dała dowód niewyparzonego języka.

Haven posłał Sophie przeciągłe spojrzenie.

– Czy zdołam ją do siebie przekonać?

– Sophie? – Sera nie posiadała się ze zdumienia. – Dlaczego ci na tym zależy?

W jego oczach pojawił się błysk – niepokojąco szczery.

– Czy ciebie mogę do siebie przekonać?

Jej serce zaczęło mocniej bić.

Robił to znowu – próbował ją pozyskać, wcale jej nie pragnąc. Próbował ją zatrzymać, chociaż wcale nie chciał jej mieć. Kiedy ona nie chciała dać się zatrzymać. Kiedyś już była jego własnością. I to się dobrze nie skończyło dla żadnego z nich.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie.

To słowo sprawiło, że jego oczy przygasły; stłumiła własne rozczarowanie, mówiąc głośno:

– Nie martwiłabym się za bardzo, książę. Sesily jest raczej marnym graczem. Wątpię, żeby cię trafiła.

– W każdym razie nie specjalnie! – odezwała się Sesily ze swojego miejsca na trawniku.

Haven ściągnął brwi.

– Teraz nie jestem pewien, gdzie się udać.

Sesily powiedziała bez wahania:

– Zawsze mogę próbować cię trafić, Haven. Jeśli to poprawi ci humor.

Sera uśmiechnęła się kpiąco.

– Twoja decyzja, oczywiście, do której drużyny się przyłączysz. Jesteś panem trawnika. – Machnęła ręką w stronę bul.

– Po prostu rzuć bulę, Sesily – powiedział.

Sesily skinęła głową i zastosowała się do jego życzenia; bula pomknęła po polu, lądując z wdziękiem obok małej, białej „świnki”. Kandydatki do

tytułu księżnej zareagowały głośnymi brawami, ale siostry Talbot nie były aż tak uprzejme.

– Och! – jęknęła Seleste.

– Dobry Boże! Niewiele brakowało, a by trafiła! – dołączyła Seline.

– Ćwiczyłaś? – Sophie zerknęła na Sesily sceptycznie.

– Nie! – mruknęła Sesily. – Ale niech to diabli, jeśli nie mam do tej gry wrodzonego talentu! – Matki ożywiły się znowu, jeszcze bardziej, kiedy Sesily dodała: – Miałam rację, mówiąc, żebyśmy stawiały na siebie. Widzicie, moje panie, jestem sawantką.

– Och, rzeczywiście – odezwała się suchym tonem Sophie, a Sera wybuchła śmiechem.

– Proszę wybaczyć – wtrąciła wówczas pani Mayhew – czy użyłaś słowa „stawiać”? Chyba nie robisz zakładów co do wyników gry w bule niewinnych dziewcząt?

– Chyba nie wyobrażasz sobie, pani Mayhew, że nie uczyniłyśmy wszystkiego, żeby grę w bule niewinnych dziewcząt uczynić bardziej interesującą? Poza tym z pewnością będziesz szczęśliwa, jeśli twoja córka trafi najbliżej celu.

– Jaka ma być nagroda? – zapytał podejrzliwie Haven.

Sera wzruszyła lekko ramieniem.

– Nie – powiedział i nagle poczuła się tak, jakby byli sami w ogrodzie. – Żadnego wzruszania ramionami. Co się wygrywa?

– Cóż, jeśli wygrają siostry, ta z najlepszym wynikiem wyjeżdża do Londynu – oznajmiła Sera.

– Czy nie będzie się czuła samotna? Lepiej wszystkie odesłać do domu. – Skrzywiła się, a książę dodał: – A kandydatki?

– Wygrają prywatną wycieczkę.

– Z kim?

– Z tobą, oczywiście.

– Och. – Pani Mayhew wyraziła odczucia wszystkich matek, a sądząc po wyrazie twarzy, również Havena.

Sera sądziła, że jego zszokowana mina sprawi jej więcej przyjemności. Zniżyła głos.

– Pragniesz żony, wasza wysokość. W ten sposób ją zdobędziesz.

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, a potem powiedział:

– Masz na sobie lawendową suknię.

Zmiana tematu ją zaskoczyła.

– Owszem. – To zabrzmiało bardziej jak pytanie, jakby nie miała oczu i nie potrafiła rozróżnić kolorów.

– Wczoraj była ametystowa. A przedwczoraj szara jak wrzos zimą.

Zrobiło jej się zimno.

– Lubię fiolet.

Pokręcił głową, oczy błysnęły mu tajemniczo. Ale ona znała jego tajemnice.

– Nie, nie sądzę.

Nie chciała o tym rozmawiać. Nie teraz, kiedy miała wrażenie, że przygląda im się połowa kobiet z Londynu.

Nie miała ochoty o tym rozprawiać. Nigdy. I nienawidziła go za to, że wskazał na jej ubranie. Fiolety i szarości. Barwy żałoby.

Malcolm nie odezwał się już, odwracając do dziewcząt w drugim końcu pola, a Sera odniosła wyraźne wrażenie, że tak wyglądają mężczyźni, którzy mają za chwilę wziąć udział w bitwie.

– Sądzę zatem, że powinienem zostać tutaj i dopilnować, abyś była bezstronna.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Obawiasz się, że mogę nie być uczciwa, żeby zachować siostry przy sobie?

Zniżył głos.

– Boję się, że nagniesz wyniki, żeby się mnie pozbyć.

Znieruchomiała. O to przecież chodziło, nieprawdaż?

Zaniedbała dziewczęta i jego. Książę musi znaleźć żonę. Jedna z tych kobiet zajmie jej miejsce. A Sera odzyska wolność. Odzyska tawernę i przyszłość i odejdzie z tego domu i od tego człowieka i wszystkich wspomnień z nimi związanych.

– Haven, musisz zrozumieć…

Przerwał jej, odwracając się.

– Pani Mayhew, widzę, że coś cię musiało zirytować, skoro zdecydowałaś się wyjść na słońce.

– W rzeczy samej – odparła gniewnie kobieta. – Wasza wysokość! Muszę wyrazić sprzeciw! Te… – machnęła ręką w stronę sióstr Sery. – Kobiety, przypuszczam, że tak je musimy nazywać, mają jak najgorszy wpływ na dziewczęta. Nie pokazywałeś się praktycznie przez dwa tygodnie i, prawdę mówiąc, to wszystko wydaje się straszliwym marnowaniem czasu.

– Matko. – Mary stała w gromadce niezamężnych dziewcząt.

– Sądzę, że teraz moja kolej, żeby rzucić bulą – odezwała się lady Lilith.

Podniosła wysoko bulę, ale pani Mayhew jeszcze nie skończyła.

– Mój mąż jest potężnym człowiekiem i wielu kawalerów interesuje się Mary. Odrzuciliśmy liczne zaproszenia na przyjęcia z udziałem młodych nieżonatych dżentelmenów, którzy, musisz przyznać, są dużo bardziej interesującą partią, zważywszy okoliczności twojego małżeństwa.

Sera musiała się zgodzić, że pani Mayhew to doskonała matka. Wiedziała, jakiego byka pragnie dla córki, i nie zamierzała przepuścić okazji, żeby go chwytać za rogi.

Trudno było nie dostrzec podobieństwa do jej matki.

– Pani Mayhew – powiedział Haven. – Sądzę, że być może…

– Matko, proszę. – Mary maszerowała przez pole.

Pani Mayhew nie zamierzała złożyć broni.

– Skłaniam się, żeby sądzić, że nie byłoby nic niewłaściwego w tym, gdybyś znalazł czas na spacer z moją córką, żeby poznać ją lepiej, poza

tym, że ma ogromny posag!

Ta kobieta robiła wrażenie.

A Sera skłamałaby, twierdząc, że nie bawi jej spłoszony wyraz twarzy Havena.

– Czy ty rozum straciłaś? – Spokojna Mary nie była już spokojna. W gruncie rzeczy mogło się wydawać, że jabłko nie padło daleko od imponującego drzewa.

Sytuacja Havena była nie do pozazdroszczenia. Instynktownie starał się umniejszyć zakłopotanie, w jakie zachowanie starszej pani Mayhew mogło wprawić młodszą.

– Zapewniam cię, panno Mayhew, że twój posag nie ma znaczenia.

Mary nie zwróciła na Havena uwagi.

– Matko! Nie możesz robić księciu awantury i spodziewać się, że doprowadzisz do małżeństwa, jakiego sobie dla mnie życzysz!

– Nie tylko takiego, jakiego ja sobie dla ciebie życzę, ale także takiego, jakiego sama chciałabyś dla siebie!

Pozostałe matki przestały się wachlować, a także udawać, że nie śledzą tej sceny. Wszystkie trzy damy ze znakomitych, arystokratycznych rodów patrzyły, szeroko otwierając oczy i rozchylając ze zdumienia usta. Natomiast Caleb, ze swej strony, karmił psa kawałkiem pieczonej gęsi.

– Aj! Z drogi! Lilith strzela kulą! – obwieściła Sesily.

– Rzuca! – poprawiła Seline.

– Moje panie, czy mogę zaproponować, żebyśmy przeniosły tę rozmowę do wewnątrz? – zapytała Sera, usiłując zachować spokój. – Albo przynajmniej dalej od tu zebranych?

Sera usłyszała:

– Och, nie! – A także okrzyk Seline:

– Uwaga!

Odwróciła się w porę, żeby zobaczyć, jak bula mknie w ich stronę. Uskoczyła z drogi, ale pani Mayhew nie miała tyle szczęścia. Bula

trzepnęła ją w stopę i odbiła się w stronę celu; kobieta krzyknęła z bólu i niemal przewróciła się na Havena.

– Tak mi przykro! – zawołała Lilith z końca pola.

– Nonsens! Świetny rzut! Zobacz, jak blisko trafiłaś!

– Uderzyła kobietę, Seline – zauważyła Sophie.

– Och, nie jest tak, że nie zasłużyła. Chciałabym, żebyśmy mogły traktować w ten sposób każdą kobietę, która zachowuje się tak skandalicznie. Lady Lilith, czy można wynająć twoje usługi?

Haven zakrztusił się. Sera spojrzała na niego karcąco.

– Ty się śmiejesz?

Haven pokręcił głową i zakasłał. Zbyt ostentacyjnie. Śmiał się.

Sera wyciągnęła rękę do nieszczęsnej kobiety, która zgięła się z bólu i zmieszania.

– Och, mój Boże – powiedziała. Nie była w stanie powstrzymać śmiechu, choć chciała pomóc. – Pani Mayhew, jest pani…

Kobieta wyprostowała się gwałtownie.

– Och, zamilcz – warknęła. – Zachowujesz się skandalicznie. Powinniśmy wiedzieć, co sprowadzisz na nas wszystkich. Trzeba było zostać w Ameryce i nie zabierać przyszłości swojemu biednemu mężowi. Z przyzwoitą kobietą. Taką, która ma wdzięk, honor i potrafi dochować wierności.

Zapadła cisza po ostatnim słowie, ostrym, gniewnym ataku; Sera spojrzała odruchowo na Malcolma, ciekawa, czy on także czuje wstyd, tak jak ona. Nienawiść za to, na co ich wszystkich naraziła. Siostry, dziewczęta, jego – jego przede wszystkim.

W jego oczach jednak nie znalazła wstydu ani też śladu rozbawienia, jak przedtem. Tylko wściekłość. I lojalność.

Wobec niej.

I zanim zdołała się przeciwko temu uzbroić, zanim zdążyła stłumić własne uczucia, ogarnęło ją zadowolenie i duma, a także coś jeszcze

groźniejszego. Coś, co miało związek ze wspomnieniem, którego poprzysięgła sobie więcej nie przywoływać.

Wspomnienie Malcolma, którego kochała.

Zanim jednak dał ujście swojej wściekłości, odezwała się panna Mary, która nie mogła zapanować nad gniewem.

– Pozwól zauważyć, że wszystko zniszczyłaś, matko – powiedziała, podnosząc głos i celując jednym długim palcem w nos matki. – Byłam gotowa wziąć udział w twojej głupiej grze, przyjechać tutaj i starać się, bo zawsze robię to, co ty i ojciec uważacie za słuszne. Ale te kobiety są inne, interesujące i dzielne, i sądzę, że powinnam być taka sama. Nie poślubię księcia, nie mogę sobie wyobrazić, że się o to ubiegałam, tak jak nie mogę sobie wyobrazić, żeby człowiek taki jak on chciał się wiązać z teściową taką jak ty. Wracam do domu. Żeby poślubić Geralda.

Sera otworzyła szeroko oczy.

– Geralda?

– Kto to jest Gerald? – Pytanie padło z ust Felicity Faircloth.

– Felicity! Nie wtrącamy się w prywatne sprawy innych! – Markiza Bumble przemówiła głosem kochającej matki.

– Wiesz, nigdy nie rozumiałam tej zasady – zwróciła się lady Lilith do przyjaciółki. – To znaczy, te prywatne sprawy są niezwykle publiczne, nieprawdaż?

Mary nie zwracała uwagi na inne dziewczęta; odezwała się do Sery:

– Przepraszam. Nigdy nie powinnam była tutaj przyjeżdżać. Mam u siebie kogoś, kogo kocham. Geralda. Jest wspaniały.

Sera nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dziewczyna miała taki głos. Wyjątkowy.

– Wyobrażam sobie, że jest, skoro zdobył ciebie.

– On jest radcą prawnym! – krzyknęła pani Mayhew.

– Tak samo jak ojciec, zanim wszedł do parlamentu! – zauważyła Mary.

Twarz pani Mayhew pokryła się czerwonymi plamami.

– Ale teraz… mogłaś mieć księcia!

– Ale ja nie chcę księcia. – Uśmiechnęła się do Malcolma. – Proszę wybaczyć, wasza wysokość.

Mal pokręcił głową.

– Bez urazy.

– Z pewnością nie zrozumiesz, ale nie dbam o to, że jesteś księciem. I nie dbam o to, że on jest radcą prawnym. Chcę go, kimkolwiek jest.

Spojrzenie Malcolma powędrowała ponad ramieniem Mary do Sery.

– Szczurołap.

Sera straciła oddech.

Mary uśmiechnęła się.

– Rozumiesz.

– Raczej tak. – Wciąż patrzył na Serę, domyślając się zapewne, jak trudno jej zmierzyć się z echem ich przeszłości. W końcu wrócił spojrzeniem do Mary. – Żałuję, że nie mieliśmy więcej okazji, żeby porozmawiać.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

– Myślę, że i tak byś mnie nie polubił.

– Mylisz się co do tego, panno Mayhew. Będę śledził w gazetach zapowiedzi twojego ślubu. A w podzięce za uwolnienie mnie od twojej matki wyślę tobie i Geraldowi hojny prezent ślubny.

Skłoniwszy głowę, żeby ukryć uśmiech, Mary dygnęła.

– To wydaje się znakomitym rozwiązaniem. Proszę o wybaczenie, wasza wysokość.

Nie uszło uwagi Sery, że to ostatnie „wasza wysokość” było skierowane nie do Havena, ale do niej.

– Nie ma za co przepraszać – oznajmiła Sera, chcąc jak najszybciej zapomnieć tę odrobinę prawdy, jaka zabrzmiała w słowach pani Mayhew. Mieć to całe wydarzenie za sobą.

– Och, jest za co przepraszać – odezwał się Haven. Zimna furia sprawiła, że przemawiał tenorem, który Sera znała aż za dobrze. Na twarzy pani Mayhew pojawił się strach. – Nikt nie zwraca się do mojej żony w ten sposób, jak ty to zrobiłaś. Opuścisz ten dom i nigdy do niego nie wrócisz. I nie łudź się, nie będziesz w przyszłości mile widziana pod dachem Havenów. – Kobieta zbladła jak płótno. – Kiedyś może chciałbym cię doprowadzić do ruiny. Szukałbym zemsty. Wsiądź do powozu i dziękuj Bogu, że te czasy minęły i że raczej lubię towarzystwo twojej córki.

Starsza kobieta otworzyła usta, żeby przemówić, być może w swojej obronie, ale Malcolm powstrzymał ją, podnosząc dłoń.

– Nie. Okazałaś brak szacunku mojej księżnej. Odejdź z mojego domu.

A potem odwrócił się i odszedł bez słowa, zostawiając kobiety same. Sera znała doskonale chłód takich pożegnań i wiedziała, jak to boli.

Zwłaszcza kiedy rzucił jeszcze w stronę grupy kobiet:

– Lady Lilith, muszę przyznać, że twój rzut był pod każdym względem interesujący.

Lady Lilith odparła z uśmiechem:

– Chciałabym, żeby pochwała była zasłużona, wasza wysokość. Miałam po prostu szczęście. – Kłamała. Wszyscy widzieli, że walczyła za przyjaciółkę.

Lilith stanowiła dobrą partię. Miałaby szczęście, dostając Havena.

To jest, Haven miałby szczęście, dostając ją.

Wciąż jednak dźwięczało jej w uszach echo słów Havena: „moja księżna”.

Oczywiście, chodziło mu o „moja żona” w ogólnym sensie. Nie miał na myśli Sery. Ile razy dał jasno do zrozumienia, że jej nie chce? Ile razy ona sama powiedziała, że go nie chce?

I nie chciała. Nie, odkąd raz powiedziała sobie, że go nie chce.

Nie, odkąd go zostawiła.

Przeżyła niemal trzy lata, nie chcąc go. Dumna, że go nie chce. Dumnie planując przyszłość bez niego. A teraz… kilkoma słowami – „moja księżna” i „szczurołap” – przypomniał jej o dawnych marzeniach. O tak bardzo oderwanych od życia oczekiwaniach.

Kobiety nie zdobywają miłości i szczęścia.

W każdym razie nie Sera. Takie wspaniałości leżały poza jej zasięgiem. Na tyle daleko, że skupiła się na łatwiej osiągalnych celach. Jak wolność. Pieniądze. I przyszłość.

Niech inni cieszą się miłością.

Malcolm zareagował na jej słowa, jakby mówiła na głos.

– Lady Lilith, ma się wrażenie, że należy ci się nagroda, że zasłużyłaś na nią swoimi poczynaniami. Nie, żebym stanowił jakąś godną nagrodę, co markiza z pewnością potwierdzi.

Sophie uśmiechnęła się kpiąco.

– Z przyjemnością, książę.

Lilith dygnęła.

– To z pewnością nieprawda, wasza wysokość.

Sera nienawidziła w tej chwili młodej kobiety. Nienawidziła za pewność siebie i dumę, i za przeklętą zręczność w grze w bule. I nienawidziła Havena za to, że ją polubił, za sposób, w jaki się do niej uśmiechał z arystokratyczną uprzejmością, jakby niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż pochwalić otwarcie lady Lilith Ballard za to, że o mało nie złamała kostki w stopie wiedźmowatej starej kobiety, która na to zasłużyła. Nieważne, że Sera sama miała w tamtej chwili ochotę podrzucić triumfalnie dziewczynę do góry.

Głównie jednak Sera nienawidziła samej siebie za to, że obchodzi ją, czy Malcolmowi podoba się Lilith, czy nie.

Caleb odchrząknął przy stole, zwracając uwagę Sery. Patrzył na nią długą chwilę, zanim rzucił wyczekującym psom kolejny kawałek gęsiny; uniósł

lekceważąco brew, jakby w męskiej pysze chciał powiedzieć: Widzę, co się święci.

Mylił się, niech to diabli. Nic się nie działo. Sera przybyła po rozwód i dostanie go. Przyjechała, żeby wytrzeć przeszłość. I napisać przyszłość.

Życie, którego Malcolm nie mógł jej dać.

Które sama musiała dla siebie stworzyć.

17. Strzeżcie się kobiecych sztuczek, panowie!

*K*ochasz moją siostrę?

Caleb Calhoun odwrócił się; sprawdzał właśnie, czy czwórkę koni dobrze zaprzęgnięto do powozu, który za parę minut miał go zabrać do Covent Garden.

Sesily Talbot opierała się o powóz z rękoma skrzyżowanymi na piersiach – piersiach wspaniale podkreślonych przez zachwycającą złotą suknię, płonącą niczym ogień w świetle zachodu.

Tę suknię uważano pewnie za zbyt wyciętą i za zbyt obcisłą, ale Sesily Talbot nie wydawała się należeć do tego rodzaju kobiet, które obchodzi, co się powszechnie myśli. I to naprawdę nie miało znaczenia, bo to nie blask sukni czynił tę dziewczynę niebezpieczną, tylko ogień w jej oczach.

Nie, niebezpieczna nie wydawało się odpowiednim określeniem dla Sesily. Niebezpieczna wydawało się za łagodne. Miała w sobie niszczycielską moc. A to był problem, bo Calebowi zawsze podobała się myśl o zetknięciu z takim huraganem. Jednak poddanie się huraganowi w postaci siostry najdroższej przyjaciółki nie wchodziło w grę.

Tłumiąc przyjemność, jaką sprawiał mu jej widok, zwrócił uwagę na konia, sprawdzając drobiazgowo uprząż, która nie wymagała najmniejszych poprawek.

– Lady Sesily, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie odpowiadasz, bo myślisz, że będę cię osądzać? Wszyscy zawsze kochali Serę. Jest tak bardzo godna miłości. I z pewnością najpiękniejsza spośród Niebezpiecznych Córek. – Caleb, w gruncie rzeczy, wcale nie był tego pewien. – Pytam tylko dlatego, że jeśli ją kochasz, to masz problem.

Nie mógł odmówić jej racji. Rzucało się w oczy, że Haven pragnie Sery z intensywnością, jakiej Caleb dotąd nie widział. Kiedy byli blisko siebie, książę nie potrafił skupić uwagi na niczym innym, całą poświęcał żonie. A Sera – cóż, nigdy nie przestała kochać swojego księcia, niezależnie od tego, jaką złą mieli przeszłość i jak niemożliwą przyszłość.

A Caleb wiedział dużo o złej przeszłości i niemożliwej przyszłości.

Pierwsza należała do niego, a rozmawiał z drugą.

– Oczywiście, że ją kocham, ale nie w taki sposób, jak masz na myśli. Nie jestem zainteresowany, żeby ją uwieść.

– A więc masz inną?

Wydawało się, że nikt nie nauczył Sesily Talbot taktu.

– Nie rozumiem, co cię to może obchodzić.

– Ach, więc to oznacza „tak”.

– Miłość jest głupotą. Wystarczy spojrzeć na Serę i jej księcia.

Chyba go nie słyszała.

– Czy jest nieodwzajemniona?

Caleb, zirytowany, odwrócił się, napotykając jej spojrzenie, otwarte i szczere, i – Chryste, miała najpiękniejsze oczy, jakie zdarzyło mu się widzieć, błękitne, ze wspaniałymi czarnymi obwódkami. Na tyle piękne, żeby powiedział głośno to, co miał powiedzieć. Żeby sobie przypomnieć, komu należy się jego lojalność.

– Twoja siostra jest dla mnie najlepszym przyjacielem, jakiego mam. – Przerwał. – A to znaczy, że nie jestem także zainteresowany, żeby uwodzić ciebie.

Chciał, żeby te słowa zabolały, żeby ją zniechęciły, ale nie wydawały się podziałać w ten sposób.

– Nie sądzę, żebym prosiła, abyś mnie uwodził, panie Calhoun.

On był bykiem, a ona niezwykłą czerwoną płachtą. Za nic w świecie nie powstrzymałby się od tego, żeby się do niej zbliżyć.

– Oczywiście, że tak. Prosisz za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz.

– Mylisz flirt z pożądaniem, sir.

– Nie biorę twojego śmiałego flirtu za nic innego, niż jest w istocie, Sesily Talbot.

Podniosła brodę, ukazując nieco więcej skóry. Kusząc go.

– A czym jest? Rozrywką?

Pozwolił, by upłynęła chwila, podczas gdy przyglądał się dziewczynie, która nigdy w życiu nie stanęła wobec prawdziwego mężczyzny.

– Przebraniem.

Zaszokował ją. Opuściła ramiona, odsuwając się od powozu. Zmieszana tym, że potrafił ją przejrzeć.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Mam na myśli, że flirtujesz, Sesily, i umiesz to robić. Większość ludzi nie wie, kim jesteś, kiedy się nie popisujesz.

– A ty wiesz?

– Ja tak – odparł. – Ja to rozpoznaję.

Zamrugała. Zaśmiała się. Tak beztrosko, że inny mężczyzna nie dostrzegłby niepokoju.

– Co rozpoznajesz, Calebie Calhoun? Niechęć do kompromisów?

– Niechęć do ryzyka.

Zmrużyła oczy.

– Niewiele o mnie wiesz, jeśli myślisz, że nie ryzykuję. Nie robię nic innego, tylko ryzykuję, od pierwszego sezonu. Skandal goni za mną od lat.

– Tak jest tylko dlatego, że inni nie widzą, że masz najmniejsze skłonności do skandalu ze wszystkich.

Uniosła wysoko brwi.

– Nigdy nie mów siostrom Talbot, że unikają skandalu, sir. Ryzykujesz, że nas obrazisz.

Uśmiechnął się.

– Spędziłem z Seraphiną trzy lata, skarbie. Znam prawdę. Nosisz swoje piękne szmatki i buzię masz pełną mądrych słówek, ale w gruncie rzeczy chcesz tylko jednego. I nie jest to wcale to, co chciałabyś, żebym myślał, że jest.

Zacisnęła usta w prostą linię.

– Och, jakże uwielbiam, kiedy mężczyzna mówi mi, jaka jestem. To działa jak afrodyzjak.

– Jestem Amerykaninem, moja pani. Nie zasypuj mnie tymi wielkimi słowami.

Jej oczy błysnęły z rozbawienia.

– Mam ci zatem powiedzieć, co myślę o tobie, Calhoun? Nie bój się. Użyję małych słów, tak żebyś zrozumiał.

Nie.

Nie chciał nic od niej słyszeć. I tak już za daleko się posunęli. Sera wydrapie mu oczy, jeśli jej dotknie. Spali Wróbelka do gołej ziemi po to tylko, żeby nie dostał swojej części. A potem wynajmie statek, popłynie do Bostonu i zrobi tam to samo ze wszystkim, co do niego należy.

Rzecz w tym, że może warto.

Tak pochłonęła go myśl, jak bardzo warto by było stracić wszystko dla paru chwil z Sesily Talbot, że zapomniał kazać jej zamilknąć.

– Myślę, że jesteś tu z moją siostrą, na wsi, mogłabym dodać, nudnej jak sama ziemia, o czym wiesz, ponieważ uciekasz co noc do Londynu, żeby oddychać przygodą, ponieważ bycie z nią zapewnia ci bezpieczeństwo.

Serce zabiło mu gwałtownie.

– Przebywanie z twoją siostrą naraża mnie na stałe niebezpieczeństwo obicia pięściami przez twojego szwagra.

– To pewnie prawda – zgodziła się Sesily. – Ale lepiej narazić się na ciosy pięścią w nos niż na coś naprawdę niebezpiecznego.

Miał jej dość.

– A ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie?

– W unikaniu emocji? Raczej tak. – Nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. – A także od tego dnia, kiedy człowiek budzi się i stwierdza, że jego przyszłość została ustalona.

– Proszę – parsknął. – Jesteś dzieckiem.

– Mam dwadzieścia siedem lat. Nie nadaję się do małżeństwa z wielu powodów, z których skandal jest najmniej ważny, najgorszy zaś, tragiczny fakt, że się starzeję.

Angielskie bzdury, bez wątpienia, inaczej nie mógł tego nazwać. Sesily Talbot nie mogłaby przejść kroku bostońską ulicą, żeby z pół tuzina mężczyzn nie zaczęło pożerać jej wzrokiem. Sama myśl wprawiła Caleba we wściekłość.

Musiał to skończyć.

– Cóż, to było zabawne, Sesily, ale…

– Ty i Sera tworzycie doskonałą parę. Oboje przerażeni tym, co mogłoby się stać, gdybyście chcieli od siebie czegoś więcej.

Uniósł brew.

– Nic o mnie nie wiesz.

Uniosła brew.

– Wiem, że jesteś tchórzem, Amerykaninie.

Nęciła go. Wiedział o tym, ale i tak chciał zrobić na niej wrażenie. Chciał więcej. Chciał wrzucić ją do powozu i pokazać dokładnie, jak bardzo nie brakuje mu odwagi.

Otworzył jednak tylko drzwi powozu i wrzucił do środka swoją torbę.

I został zaatakowany białym pociskiem.

– Co do… – Skoczył w tył, futrzany potwór, wypadłszy z powozu, przywarł do jego kubraka, miaucząc przeraźliwie.

I wtedy zdał sobie sprawę, że Sesily się śmieje. I że jej śmiech to uosobienie grzechu. Aż do tej chwili Calebowi nie przyszłoby do głowy, że można jednocześnie ulec napaści ze strony kota i dostać ataku cielesnego pożądania.

Ale Sesily Talbot należała do kobiet, od których mężczyźni uczyli się różnych rzeczy, tyle wydawało się jasne. Włącznie z tym, w jak wielką wściekłość potrafi ich wprawić.

Złapał zwierzaka, który wspinał się po nim jak po pniu drzewa, a Sesily jęknęła:

– Nie! Nie rób mu krzywdy!

A potem znalazła się na tyle blisko, żeby go dotknąć. A potem go dotykała. Jeśli uznać wyciąganie kocich pazurków z ubrania za dotykanie. Caleb nie miał wyjścia, jako że jej łagodne ruchy i pieszczotliwe słówka, jakimi uspokajała kota, sprawiały, że sam miał ochotę się w coś wczepić.

Musiał od niej uciec.

Nie było to łatwe, ponieważ kot go nie puszczał.

W końcu wzięła kota w ramiona, a Caleb, zazdrosny o stworzenie, usłyszał śmiech w głosie Sesily, kiedy powiedziała:

– Lubi cię.

Spojrzał jej w oczy. Lubię cię.

Cóż. Z pewnością nie zamierzał tego powiedzieć głośno. Zadowolił się jedynie:

– Hm. Co on robi w moim powozie?

Wzruszyła ramionami, jej usta drgały z powstrzymywanego śmiechu.

– W moim podeszłym wieku czasami zapominam, gdzie co zostawiam.

Ta kobieta to same kłopoty. Takie, na które nie miał ani czasu, ani chęci.

– A więc taki miałaś plan? Napuścić na mnie kota i zobaczyć, co z tego wyniknie?

Zamrugała; wielkie niebieskie oczy sprawiały, że miał ochotę ją po prostu pocałować – bez konsekwencji. Był jednak jeden problem. Z

pewnością bez konsekwencji by się nie obyło.

– I co, wynikło coś?

– Nie. – Zbyt wiele konsekwencji. Włożył torbę do powozu i zamknął drzwi. – Stara panna, czy nie, lady Sesily, chcesz miłości. A ja mam dość rozsądku, żeby nie bawić się w coś takiego. Niezależnie od kocich ataków.

Myślał, że zaprzeczy, wydawało się jednak, że Sesily Talbot nigdy nie zachowuje się zgodnie z oczekiwaniami, a już na pewno nie wtedy, kiedy można było rozerwać mężczyznę na strzępy.

– Wiesz, Caleb – powiedziała cicho; jego imię w jej ustach działało jak szczególny rodzaj broni. – Jeśli zdecydujesz się mnie uwieść… – Odwrócił się, niezdolny do zachowania spokoju; jej słowa malowały obrazy, których wolałby sobie nie wyobrażać, a których uwodzicielskiej mocy nie mógł się oprzeć. Dokończyła zdanie ze śmiechem w głosie: – Cóż, rozumiesz to równie dobrze, jak ja.

Odwrócił się, jak pod wpływem diabelskich czarów; znowu, jak przedtem, opierała się leniwie o jego powóz. Zostawiając na nim na zawsze swój ślad. Ponieważ nigdy już nie będzie w stanie patrzeć na te drzwi, nie myśląc o chwili, kiedy Sesily Talbot, odziana w barwy zachodzącego słońca, kusiła go po mistrzowsku, nawet jeśli wydawała się zupełnie odprężona, jakby był dla niej jedynie zabawką.

– Rozumiem co?

Uśmiechnęła się i nie był to uśmiech flirtującej kobiety. Nie uśmiechała się w ten sposób przy kolacji czy grając w bule na trawie. To był intymny, osobisty uśmiech. Jakby uśmiechała się tylko dla niego. Jakby była jego osobistym słońcem. A kiedy się odezwała, to z największą prostotą.

– Rozumiesz, jakie to byłoby dobre.

Szczęka mu opadła i nie mógł powstrzymać zdumienia, nawet wtedy, gdy, nie wahając się mimo kota w ramionach, opadła w doskonałym, czystym dygnięciu, które wywołało u niego niedoskonałe, nieczyste myśli. Wyprostowała się znowu, mówiąc:

– Szczęśliwej podróży, panie Calhoun.

Skierowała się do domu, posuwając długimi, leniwymi krokami, jakby nie starła właśnie na proch mężczyzny na podjeździe.

Chryste, resztę nocy spędzi, wyobrażając sobie, jak dobrze mogłoby im być. I będzie cierpieć z pożądania, póki nie wróci i nie wyrwie jej ze swoich myśli.

Co nigdy nie nastąpi.

Haven tego wieczoru zastał Serę na ganku za biblioteką, kiedy reszta kobiet rozeszła się do swoich sypialni. Siedziała na szczycie kamiennych schodów prowadzących do ogrodów, gdzie za dnia grano w bule i poczyniono dramatyczne wyznania; siedziała z kieliszkiem w ręku; obok stała lampa i butelka whisky.

Kobieta, którą poznał przed laty, piła szampana i radośnie szokowała towarzystwo, opowiadając o szklanym odlewie piersi Marii Antoniny. Piła wino i nierzadko sherry, choć pamiętał, że nieraz marszczyła nos nad zbyt słodkim trunkiem.

Nigdy jednak whisky.

Whisky pojawiła się, kiedy się rozstali. I teraz, kiedy piła, mając mrok nocy za towarzystwo, widział w tym jakiś sens. Ona także stała się lepsza z latami. Bogatsza, mroczniejsza, pełniejsza. Bardziej uderzająca do głowy.

Minuty ciągnęły się godzinami, a Malcolm patrzył na nią, unikając pokusy, żeby podejść, woląc napawać się widokiem pięknej żony – najpiękniejszej kobiety, jaką spotkał w życiu – zapatrzonej w nocny krajobraz wsi, ubranej w ciemnofioletowy jedwab, który lśnił wcześniej przy kolacji w blasku świec, a teraz, w świetle księżyca, wydawał się czarny.

Serce mu się ściskało na jej widok – pięknej, nieruchomej, zagubionej w myślach.

Był czas, kiedy by do niej podszedł, a ona powitałaby go z radością. Czas, kiedy nie wahałby się wyrwać jej z tego zamyślenia. Poznać jej myśli. Teraz jednak się wahał.

Odezwała się, nie oglądając.

– Masz kieliszek?

Pytanie przywołało go do rzeczywistości. Podszedł i usiadł obok niej na kamiennym stopniu. Jakby nie był w wieczorowym stroju. Jakby ona nie była odziana w jedwabie.

– Nie mam. – Patrzył na jej oświetlony księżycem profil. – Musisz się podzielić.

Spojrzała na kieliszek, który trzymała niedbale w długich, zgrabnych palcach. Podała mu go.

– Trzymaj.

Pił, przejęty przyjemnością tej intymnej chwili.

– Nie sądziłem, że zastanę cię samą.

Spojrzała na niego, po czym znowu odwróciła wzrok, wpatrując się w ciemne ogrody.

– Nie sądziłam, że będziesz mnie szukać.

– Inaczej wezwałabyś swojego Amerykanina, żeby cię bronił?

Zaśmiała się gorzko.

– Mój Amerykanin jest w drodze do Londynu.

Z pewnością po to, żeby zająć się tawerną. Wiele można by o Calebie Calhounie powiedzieć, ale na pewno znał się na interesach.

– Powinien tam zostać.

Milczała tak długo, że nie sądził, żeby miała odpowiedzieć. Odpowiedziała jednak.

– Uważa, że nie dam sobie tutaj rady.

Uniósł brwi.

– Dać rady z czym?

– Z tobą, jak sądzę.

– Czy wymagam jakiegoś szczególnego traktowania?

Parsknęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc, nie przyszłoby mi do głowy próbować.

– Myślę, że mogłabyś bez szczególnego wysiłku.

Długo patrzyła w ciemność, a potem powiedziała:

– Caleb jest gotów odgrywać rolę kochanka na potrzeby rozwodu.

Później miał siebie znienawidzić za to, że powiedział:

– To dobry przyjaciel. – A chciał powiedzieć: Rozwodu nie będzie.

– Tak – zgodziła się. – Jest gotów wiele zrobić, żebym była szczęśliwa.

– Nie jest sam. – Spojrzała na niego przeciągle, pytająco. W końcu znowu odwróciła głowę.

– Czego ty chcesz, wasza wysokość?

Chciał tak wiele i tak bardzo, że zaszokował sam siebie własną odpowiedzią:

– Chcę, żebyś nie zwracała się do mnie: wasza wysokość.

Jej niebieskie oczy poszarzały w ciemności.

– Wciąż jesteś księciem, czyż nie?

– Nigdy nie traktowałaś mnie jak księcia.

Kącik jej ust uniósł się w lekkim uśmiechu.

– Niemądry Haven. Czy nie zostawiłeś mnie, bo znałam twój tytuł aż za dobrze?

Nienawidził tych słów. Nie mógł znieść tego, że nawet w tę cichą, spokojną noc nie mogą się uwolnić od przeszłości. Najbardziej jednak doskwierała mu prawda w nich zawarta. Opuścił ją, ponieważ sądził, że bardziej zależy jej na księstwie niż na nim.

Do chwili, kiedy odkrył, że jej motywy nie mają znaczenia, już jej nie było.

A wraz z nią jego przyszłości.

Odezwała się w końcu, jakby usłyszała jego myśli.

– Wiesz, wcale nie chciałam cię usidlić. Nie na początku. – Westchnęła głęboko, patrząc w niebo. – Taka jest prawda, jeśli to istotne.

Odstawił kieliszek, wziął lampę i wyciągnął do niej rękę.

– Chodź.

Jej odpowiedź była równie ostrożna, jak spojrzenie, jakie przesunęła po jego ręce.

– Dokąd?

– Na spacer.

– Jest środek nocy.

– Jest dziesiąta.

– Jesteśmy na wsi – odparła. – Jeśli to nie jest środek nocy, to i tak środek głuszy.

Roześmiał się.

– Myślałem, że lubisz wieś.

– Miasto ma dobre strony. Wolę widzieć to, co może mnie zabić w ciemności – stwierdziła z suchą pewnością siebie.

Pamiętał to uczucie, kiedy się z nią przekomarzał. Jakby nigdy nie było mężczyzny i kobiety, którzy pasowaliby do siebie lepiej.

– Czy boisz się, że coś nas może w nocy zaatakować?

– To może być cokolwiek.

– Na przykład?

– Niedźwiedzie.

Zmarszczył brwi.

– Spędziłaś za dużo czasu w Ameryce, jeśli myślisz, że niedźwiedzie mogą cię tu dosięgnąć.

– To się może zdarzyć.

Westchnął.

– Nie, w istocie to niemożliwe. Nie w Essex. Wymień jedną rzecz, która może cię zabić w nocy w Essex.

– Rozgniewany lis.

Odpowiedź padła tak szybko, że parsknął śmiechem mimo woli.

– Myślę, że jesteś bezpieczna. Od wielu lat nie polujemy na lisy.

– To nie znaczy, że lisy nie zechcą pomścić swoich przodków.

– Lisy są zanadto objedzone kuropatwami, żeby odczuwać gniew. A jeśli spróbują się do ciebie zbliżyć, Sero, przysięgam, że cię ochronię.

– Twoje przysięgi w przeszłości nie okazały się wiele warte. – Sądząc po jej tonie, nie chciała dokończyć zdania w ten sposób, tak jakby nie chciała tego powiedzieć, tak samo jak on nie chciał tego usłyszeć.

Oczywiście, zasługiwał, żeby to usłyszeć. Zignorował ukłucie i postanowił podjąć wyzwanie.

– Dzisiaj otwieram nową kartę. – Ponownie wyciągnął do niej rękę; zastanawiała się chwilę, po czym westchnęła, chwyciła butelkę i podniosła się na całą swoją wspaniałą wysokość.

Opuścił rękę, której nie przyjęła.

– Nie mam odpowiednich butów.

– Nie zamierzałem zabrać cię na wycieczkę po bagnach – oznajmił, schodząc po schodach. – Nie martw się, będę cię bronić przed nikczemnymi stworami.

– A kto obroni mnie przed tobą? – zapytała, dodając jeszcze: – A dokąd mnie zabierasz?

– Widzisz? Niepotrzebnie się śpieszyłaś z oczernianiem lisów. Może to twoi jedyni wybawiciele.

– A więc to tak? To ty chcesz się mnie pozbyć w środku nocy?

Nie zwrócił uwagi na te słowa, zwalniając kroku, żeby mogła go dogonić.

– Idziemy nad jezioro.

– Po ciemku?

Wyciągnął dłoń, żeby wziąć od niej butelkę. Oddała ją, a on wypił spory łyk, ocierając później ręką usta, zanim się odezwał:

– Chwytam byka za rogi.

Odebrała butelkę.

– Czy jedno z nas ma być bykiem w tym scenariuszu?

– Czy wiedziałaś, że lady Emily nie jada zupy?

Sera spojrzała na niego zaskoczona.

– Słucham?

Uśmiechnął się kpiąco. Miał ją. Sera nigdy nie interesowała się innymi ludźmi.

– Posadziłaś ją obok mnie przy kolacji. Podano zupę. To dało asumpt do ciekawej konwersacji.

Sera zamrugała.

– Nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób.

– Wierz mi, też byłem zaskoczony. Myślałem, że umrę, unikając tematu zniknięcia pani Mayhew. Na szczęście wydarzenia popołudnia w ogóle nie wypłynęły w rozmowie. Dzięki zupie.

– Malcolm, wybacz. Czy wszystko z tobą w porządku?

– W istocie, tak. To dama okazała się trochę… dziwna.

– Ponieważ nie jadła tej zupy?

– Nie tej zupy. Żadnej zupy.

Zatrzymała się. Miał ją.

– Nie je zupy?

– To właśnie usiłowałem wyjaśnić. Ta kobieta nie jada zup.

– Nie jada? Czy nie lubi? Czy jedno i drugie?

– To jest właśnie to, czego nie rozumiem. Nie wie, czy je lubi, Seraphino. Nigdy ich nie próbowała.

Zamrugała.

– Czy to jakiś żart? Zabierasz mi whisky, każesz spacerować po ciemku i opowiadasz dziwaczne historie o ludziach, którzy nigdy nie jedli zupy?

Podniósł rękę.

– Klnę się na swój honor, Sera, jakkolwiek bym niewiele go miał w oczach twoich i twoich sióstr, lady Emily nigdy w życiu nie próbowała

zupy.

Po chwili milczenia Sera zapytała:

– Jak to możliwe?

– No i właśnie na tym cała rzecz polega.

Chwila przerwy. A potem wybuch cudownego śmiechu. Jakby niebo zstąpiło na ziemię; śmiech rozbrzmiał między nimi, zanim przelał się w ciemność nocy. Malcolm spodziewał się niemal, że jej śmiech zmusi słońce do wstania.

Ponieważ Malcolm czuł się tak, jakby padało na niego światło słońca.

Wszystko, czego pragnął, to napawać się jej obecnością, jej głosem, nawet kiedy śmiech zamarł, przechodząc w cichy, stłumiony chichot.

Ruszyła znowu, a on wraz z nią, oboje milcząc swobodnie po raz pierwszy od – chyba od zawsze. I to było wspaniałe.

Może jednak jest nadzieja.

Wspięli się na małe wzgórze: Malcolm podał jej rękę, żeby pomóc jej poruszać się kamienistą ścieżką. Sera wzięła jego dłoń, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie; oblało go gorąco wraz z pożądaniem. Poczuł też nadzieję – niebezpieczną obietnicę.

Puściła go w chwili, kiedy wspięli się na sam szczyt; dotkliwie odczuł rozczarowanie. Po długiej chwili zwróciła się ku niemu, a on wstrzymał oddech, ciekaw, co powie.

– Sądzisz, że boi się płynnego pożywienia?

Na ponowną wzmiankę o dziwactwie lady Emily parsknął, mimo woli, śmiechem. Śmiał się głośno, inaczej niż zazwyczaj.

– Nie wiem.

– Nie zapytałeś? – Pokręciła głową, udając zawód.

– Nie.

– Przypuszczam, że uznałeś dopytywanie się za niegrzeczne.

– Wiem, że to byłoby niegrzeczne.

Skinęła głową.

– Masz, oczywiście, rację. Ale powinno się na to pozwalać w szczególnych okolicznościach.

Od lat nie czuł takiej swobody. Co najmniej od ostatniego razu, kiedy się śmiali we dwójkę. Zanim się zaręczyli. Poczuł się winny. Tyle od niej wziął – tyle życia. Nic dziwnego, że go opuściła. Nic dziwnego, że nie chciała wrócić. Powinien pozwolić jej odejść.

Oczywiście, nie zrobi tego.

Nieświadoma jego myśli, Sera dodała:

– Niezależnie od zupy i gry w bule, to nie był dobry dzień dla niezamężnych panien, książę.

– Masz rację – odparł, nie potrafiąc ukryć irytacji. – Odeślijmy je wszystkie do domu.

– Dlaczego w twoich ustach to brzmi tak, jakbym to ja była odpowiedzialna za te dziewczęta? To ty zaprosiłeś je w gości, żeby wybrać moją następczynię. Wezwałeś je niezależnie ode mnie. Byłbyś tutaj, tak czy inaczej, zajęty wyborem przyszłej żony. Ja jestem tylko uwięziona tu z nimi.

Nie mógł jej powiedzieć, że zaprosił te dziewczęta w ciągu gorączkowych dwudziestu czterech godzin od chwili, gdy podjął decyzję, żeby ją odzyskać. Nie przyjęłaby dobrze takiego wyznania – tyle wiedział.

– Mogłem się mylić.

Zachichotała.

– To są piękne kobiety, Malcolm. Dobre partie.

Spojrzał na nią.

– Jedna z nich nigdy nie jadła zupy.

Uśmiechnęła się.

– Pomyśl, jak mógłbyś zmienić jej spojrzenie na świat! Czy nie chciałeś zawsze, żebym była mniej ciekawa świata?

Nigdy. W żadnej chwili.

– Och, tak – powiedział, odsuwając tę myśl. – Jaką doskonałą podstawą małżeństwa mogłaby być zupa.

Roześmiała się.

– Ona i tak nie jest twoją faworytą. Nigdy nie była.

Oczywiście, że nie była. Podobnie jak pozostałe.

– Jestem pewien, że Felicity Faircloth wolałaby raczej twojego Amerykanina niż mnie.

Sera nie zawahała się.

– On nie jest moim Amerykaninem i wiesz o tym.

Wiedział. Sera nigdy nie pozwoliłaby mu się tknąć, gdyby związała się wcześniej z Calhounem. Ale to nie znaczyło, że…

Zanim zdążył się ugryźć w język, Malcolm zapytał:

– A czy kiedyś był?

– Czy to ważne? – odparła, obserwując ich stopy przesuwające się w trawie. – Czy to ważne, gdyby był ich tuzin? – Nie dała mu czasu na odpowiedź. – Oczywiście, że tak. Taki jest świat, w jakim żyjemy, gdzie ode mnie wymaga się, żebym była cnotliwa jak zakonnica, a ty… Przed tobą świat stoi otworem. – Zamilkła, odzyskując spokój. A potem dodała cicho: – Nigdy nie był mój. Nawet gdybym mogła go pokochać, on zasługuje na dzieci.

– Twoja miłość by wystarczyła – powiedział Mal bez wahania.

Milczała długo, a on szukał odpowiednich słów, bez powodzenia. Potem podniosła butelkę i napiła się.

– Nieważne.

To było ważne. Ważniejsze niż cokolwiek innego i jak to zwykle bywa z tym, co istotne, nie mógł znaleźć słów, żeby to odpowiednio wyrazić.

– A ty? – zapytała. – Ile miałeś Amerykanek?

Powiedział prawdę.

– Jedną. Tę, którą widziałaś.

Roześmiała się – gorzko i tak bardzo inaczej niż poprzednio, że odebrał to jak uderzenie.

– Mam w to uwierzyć?

– Nie spodziewam się tego – odparł. – Ale taka jest prawda.

– Na tym polega problem z prawdą: często wymaga wiary.

– A ty nie masz wiary we mnie. – Pożałował tych słów, ledwie padły, nie mógł ich jednak cofnąć. Nie chciał, żeby odpowiedziała. Cisza, która po nich zapadła, była jednak dostatecznie wymowna. Ani też w żaden sposób zaskakująca.

A potem powiedziała – tak cicho, że mogło się odnieść wrażenie, że zwraca się do kogoś innego:

– Bogu wiadomo, że chciałabym mieć.

– To było jeden raz, Sero. Jeden.

– To miała być kara dla mnie. – Jej głos brzmiał zwyczajnie, bezbarwnie; patrzyła w dół na jezioro, które rozciągało się przed nimi jak wielka kałuża atramentu.

Czuł żal i wstyd. Ile to razy doznawał tych uczuć? Ile razy dręczyły go w nocy, kiedy jej szukał obok siebie? Bez niej ból ćmił się ledwie, obecny, ale nie dość prawdziwy. Przy niej, wobec jej milczącego pogodzenia się z przeszłością, jego czynami i błędami, odczuwał go żywo jak parzący ogień.

Jakim straszliwym okazał się durniem.

– Nie mogę tego cofnąć. Gdybym tylko mógł cofnąć przeszłość…

Wypuściła gniewnie powietrze.

– Powiedz mi, czy to sam czyn tak cię upokarza? Czy jego konsekwencje?

Spojrzał na nią, niezdolny odpowiedzieć.

– Konsekwencje?

– Moja siostra wpakowała cię do stawu na oczach całego Londynu, Malcolm. Nie przejąłeś się tym. Ale potem ukarałeś całą rodzinę.

Znowu wstyd – palący, podszyty gniewem, wraz z silnym instynktem, żeby się bronić. Bronić swoich czynów. Nie było jednak usprawiedliwienia. Żadnego – równoważącego cios, jaki zadał. Żadnego, który uwolniłby go od wyrzutów sumienia.

Przepraszam. Te słowa były łatwym wykrętem.

– Przyjąłbym napaść Sophie sto razy. Tysiąc. Gdybym mógł cofnąć resztę tego popołudnia.

Sera milczała, a Mal oddałby wszystko, żeby wiedzieć, co się dzieje w jej głowie.

– Co za ironia, ja także – powiedziała w końcu.

Zamknął oczy w ciemności. Zranił ją straszliwie. Milczeli, podczas gdy on zastanawiał się nad tym, co powie. Zanim znalazł odpowiednie słowa, dodała:

– A co z latami, które nastąpiły później?

Spojrzał na nią; ciemność dawała mu większe poczucie swobody. Pozwalał na większą uczciwość.

– Je także chętnie bym cofnął.

Odwróciła się do niego powoli, jakby rozmawiali o czymś nieistotnym.

– Ja nie.

Ból wywołany tym wyznaniem był nie do zniesienia. Sera podniosła wzrok na rozgwieżdżone niebo.

– A więc taki był twój plan? Porozmawiać w ciemności o klęsce naszego małżeństwa?

Odetchnął głęboko, patrząc na czarną iskrzącą się w świetle księżyca wodę.

– Wcale nie, w gruncie rzeczy. – Zaczął schodzić w stronę jeziora, wołając: – Zamierzałem ci coś pokazać!

Ciekawość wzięła górę – jak zawsze.

– Co takiego?

Czy mógłby ją oderwać od przeszłości? Dać obietnicę czegoś lepszego? Warto było spróbować.

– Chodź i zobacz.

Przez długą chwilę jej nie słyszał i przygotował się na najgorsze. Na to, że nie ma żadnej nadziei.

A potem jej spódnice zaszeleściły w trawie.

18. Architektura pod wodą: kryjówka księcia

*T*o piękne. – Sera stała wewnątrz niewielkiego, kamiennego pomieszczenia z sześcioma witrażowymi oknami. Przedstawiały postaci kobiece wśród gwiazd, które wydawały się tańczyć na nocnym niebie.

Malcolm stał z boku, z lampą uniesioną do góry, ukazując pięknie oddane w kamieniu gwiazdy i całe niebo między oknami i na spodzie kamiennej kopuły nad ich głowami. Sera odchyliła głowę do tyłu, żeby objąć wzrokiem wyrzeźbione słońce i księżyc.

– Okna, oczywiście, wyglądają dużo ładniej za dnia – powiedział.

– W to wierzę.

Nie wiedziała, czego oczekiwać, kiedy poszła za nim z lampą w ręce, pokonując zbocze prowadzące ku jezioru. Nie powinna iść za nim, bo po co? Przebywając z nim, przywoływała tylko bolesną przeszłość, a tego wolałaby uniknąć.

Przypominała sobie, że chciała kiedyś spędzić z nim całe życie.

A jednak poszła za nim w ciemność, lecąc niczym ćma do ognia. I podobnie jak ćma mogła w tym ogniu spłonąć. Stara historia.

Nigdy nie zwiedzała otoczenia Highley. Dziesiątki razy opowiadał o jeziorze – odgrywało ważną rolę w historiach z dzieciństwa. Nigdy nie miała okazji go zobaczyć.

A teraz, kiedy przyglądała się kobiecym postaciom – tak pięknym, jakby uwięziono je w szkle – Sera zastanawiała się, dlaczego nie zabrał jej tu wcześniej, do tego pięknego pokoju, z którego rozciągał się widok na jezioro.

– Kim one są?

Zawahał się – króciutko, praktycznie niezauważalnie.

– To Plejady.

Siedem sióstr, cór Atlasa. Popatrzyła znowu na okna, licząc.

– Jest tylko sześć.

Skinął głową i zwrócił się ku środkowi pokoju, w stronę ogrodzenia w kształcie kręgu z lanego żelaza. Otworzył małą furtkę i machnął lampą w stronę ciemnego koła.

– Siódma jest pod jeziorem.

Sera podeszła, pewna, że się przesłyszała; jej wzrok przykuły ciemne, kręte schody. W dole nie było świateł, po paru stopniach zaczynała się kompletna ciemność. Spojrzała na Malcolma.

– Nie zejdę na dół.

– Dlaczego?

– Cóż, po pierwsze dlatego, że słowa „pod jeziorem” brzmią złowieszczo, a po drugie, tam jest ciemno jak w grobie, a ja nie straciłam jeszcze rozumu.

Usta mu drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Zamierzałem pójść przed tobą.

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Lepiej mi będzie tutaj.

Nie zwracając na to uwagi, odwrócił się do ściany, zdjął niezapaloną pochodnię i zręcznie zapalił ją od lampy. Sera cofnęła się o krok, kiedy podniósł ją nad głowę; część jego twarzy spowiło jaskrawe światło, część skryła się w głębokim cieniu.

– Jeśli sądzisz, że zapalony kij zachęci mnie do zejścia na dół, to się mylisz – powiedziała.

Zachichotał.

– Nie ufasz mi?

– W istocie, nie ufam.

Spoważniał. Może to tylko gra światła na jego twarzy – ale wydawało się, że nigdy w życiu nie był uczciwszy.

– Zapewnię ci bezpieczeństwo, Sero.

Zanim zdążyła odpowiedzieć – zanim zdołała spowolnić bicie przestraszonego serca – Malcolm schodził w dół, znikając w ciemności. Podeszła do krawędzi, patrząc, jak światło zatacza kręgi na wąskich stopniach.

– Jak głęboko prowadzą?

– Nie martw się, Aniele. Nie powiodę cię do piekła.

– Tak czy inaczej, wolę nie schodzić.

– Wyobraź sobie, że jesteś Persefoną.

– Jest lato – odparła. Na dole zapłonęło żywsze światło, wydobywając z mroku dół schodów. – Persefona wraca pod ziemię we wrześniu.

Podniósł głowę; jego piękne oczy w mroku wydawały się czarne; uśmiechał się szeroko.

– Zejdziesz na dół.

Parsknęła kpiąco.

– Nie wiem, skąd ci taka myśl przyszła do głowy.

– Ponieważ to właśnie robimy – powiedział. – Podążamy jedno za drugim w ciemność. – Potem przeszedł przez ciemne drzwi i zniknął.

I niech to diabli, jeśli nie miał racji.

Poszła za nim, unosząc spódnice, schodząc ostrożnie krętymi schodami, narzekając na błędne decyzje i irytujących książąt. Na dole spojrzała do góry, okrągły otwór u szczytu wydawał się straszliwie daleko, a rzeźby na

ścianie i witraże robiły teraz wrażenie malowidła na suficie, tak jakby nie było tam całego pomieszczenia.

To było wspaniałe artystyczne dzieło – takiego mistrzostwa perspektywy dotąd nie widziała.

Podmuch wiatru wzburzał jej spódnice – miła odmiana wobec duszącego upału na górze. To sprawiło przez chwilę Serze przyjemność – póki nie uświadomiła sobie powodu tego miłego ochłodzenia powietrza. Znajdowała się pod ziemią.

Spojrzała na przejście w kształcie łzy, za którym zniknął Haven, a gdzie stał teraz, nie dalej niż stopę od niej, z pochodnią w ręku, z uśmiechem na przystojnej twarzy.

– Mówiłem ci, że tu zejdziesz.

Skrzywiła się.

– Równie łatwo mogę sobie stąd pójść.

Pokręcił głową.

– Nie, jeśli chcesz to zobaczyć.

Podniósł lampę; za nim wydawał się ciągnąć długi korytarz o przekroju łzy, wymalowany po bokach w motywy takie same jak na górze, ciemne niebo i gwiazdy – konkurencję dla nocnego nieba na zewnątrz.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Jak daleko się ciągnie?

– Niedaleko – zapewnił. – Weź mnie za rękę.

Nie powinna.

– Nie.

Wyraźnie miał ochotę ją przekonywać, ale tylko skinął głową i ruszył przed siebie, zapalając kolejny koksownik, a potem kolejny – każdy wydobywał z mroku następnych parę jardów korytarza.

– Jesteśmy pod jeziorem?

Kolejny koksownik.

– Technicznie rzecz ujmując, jesteśmy w jeziorze, ale tak.

– Dlaczego?

Jeszcze jeden.

– Czy znasz historię Plejad?

Bywały chwile, kiedy potrafiła zapomnieć, że Haven jest księciem, i takie, kiedy jego przeszłość – arystokratyczne wychowanie, polegające na stałym zaspokajaniu wszelkich kaprysów – ukazywała się jasno jak na dłoni.

Nie ukrywała irytacji.

– Wiem, że były siostrami. Wiem, że były córkami Atlasa.

Rozbłysło kolejne światło.

– A kiedy Atlasa ukarano, skazano na dźwiganie niebios, siostry zostawiono własnemu losowi, bez żadnej ochrony przed bogami i ludźmi. Siedem sióstr. Miały tylko siebie.

Nie podobało jej się uczucie, które te słowa budziły. Podobieństwo historii – jej ojciec, niespodziewanie z arystokratycznym tytułem, ona i jej siostry w świecie arystokratycznego Londynu bez żadnej pomocy. Nigdy niezaakceptowane z powodu niskiego pochodzenia, nigdy niepodziwiane za swój awans.

Udała brawurę.

– Niebezpieczne córki muszą trzymać się razem.

– Jedna bardziej niż reszta. – Rozbłysk pomarańczowego światła ukazał częściowo jego poważną twarz. Ciągnął niskim, mrocznym głosem: – Najstarsze Plejady, szóstka, były piękne i każda skusiła boga. Każda przez małżeństwo trafiła do nieba. Ale najmłodsza, Merope, najpiękniejsza, najwdzięczniejsza, przyciągnęła wzrok niebezpiecznego zalotnika, takiego, który urodził się na ziemi.

– Czyż nie zawsze tak jest? Siostry spełniają marzenia, a ty dostajesz ledwie śmiertelnika. – Kolejny koksownik. Tunel chyba nigdy się nie kończył. – Czy przemierzamy całe jezioro pod wodą?

Mal ciągnął, jakby się nie odezwała.

– Nie byle jaki śmiertelnik. Orion był największym myśliwym, jakiego świat widział, i uganiał się za Merope niezmordowanie. A Merope odczuwała pokusę.

– Oczywiście, że tak. Założę się, że był przystojny jak sam diabeł.

– Był, w istocie. – Ach. Więc jednak słuchał. – Robiła wszystko, żeby się przed nim ukryć, wiedząc, że nie ma dla nich nadziei.

Ona także słuchała; słowa „nie ma nadziei” sprawiły jej fizyczny ból.

– Zwróciła się do sióstr, które połączyły siły, walcząc, jak tylko siostry to potrafią, w obronie najmłodszej, przed ziemskim łowcą, który nigdy nie byłby dość dobry. Zaczęły od oślepienia go…

– A ty myślałeś, że moje siostry są złe. – Zapalił ostatnie światło, ukazując jeszcze jedno przejście, za którym coś się musiało kryć.

Uniósł kącik ust do góry; stał w ciemności, przyglądając się jej. Wyglądał jak jakiś bóg – współczesny. Wysoki i piękny, o twarzy wyciosanej w marmurze; migotliwe światło pochodni nadawało mu jeszcze bardziej boski wygląd – jakby mógł wzbudzać płomienie siłą woli.

– Ślepota nie była dla niego przeszkodą. Był mistrzem łowieckim z woli samych bogów. Więc tropił Merope, jeszcze bardziej zdecydowany ją zdobyć. Dla wspólnej przyszłości.

– Można by pomyśleć, że powinien się zniechęcić wobec jej jawnego braku zainteresowania.

Jęknął w odpowiedzi.

– Ach, ale to nie był brak zainteresowania. To był strach. Strach przed tym, co mogłoby być. A także, ponieważ był śmiertelnikiem, strach przed tym, co by z pewnością straciła, gdyby mu uległa.

Jego serce. Jego.

Sera milczała, a on ciągnął dalej powoli, cichym głosem. Słowa były równie tajemnicze, jak to miejsce.

– Orion nie bał się ślepoty. Bał się tylko, że nigdy jej nie odnajdzie. Że nigdy nie będzie miał okazji przekonać jej, że są dla siebie stworzeni. Że

choć jest śmiertelny, może dać jej wszystko. Słońce, księżyc, gwiazdy.

– Ale przecież nie mógł – szepnęła.

Zawahał się na te słowa; musiał zacisnąć pięść na pochodni, bo światło zadrżało w mrocznym korytarzu, jakby jej słowa wpływały na płomień.

– Siostry udały się do Artemidy, bogini łowców, sądząc, że jeśli ta nakaże Orionowi, żeby dał spokój Merope, ten posłucha; przysięgły jej wierność. I bogini do niego poszła.

– Odmówił – powiedziała, nagle świadoma, jak potoczy się ta historia, choć nigdy jej nie słyszała. Podeszła do niego bliżej, chcąc poznać zakończenie. Wiedząc, że będzie tragiczne.

Pragnąc, żeby było szczęśliwe.

– Oczywiście, że odmówił – stwierdził Malcolm. – I to był błąd.

– Nigdy nie wywołuj gniewu bogini – szepnęła Sera.

Zaśmiał się; nagle odmłodnieli o parę lat; jego uśmiech ją oczarował jak dawniej, pragnęła patrzeć jego oczami, widzieć, to co on i w ten sam sposób.

– Jakbym nie nauczył się tego na własnej skórze.

Patrzyła, jak jego usta układają się w słowa, wspominając ich gładkość i siłę. A jeśliby go pocałowała? Nie tak, jak ostatnim razem, z gniewem i złością, ale z przyjemnością? A gdyby pocałowała jego uśmiech? Czy mogłaby go zachować? Zatrzymać dla siebie, na później, na te chwile, kiedy, w samotności, będzie chciała go sobie przypomnieć?

Nie.

– Opowiedz dalej.

Podniósł rękę; odczuła dreszcz podniecenia, kiedy spojrzał na miejsce na jej ciele, nad którym zatrzymały się w powietrzu jego palce – w niespełnionej obietnicy.

– Artemida udała się do Zeusa.

To się nie mogło dobrze skończyć.

Malcolm wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je. Sera poczuła ciepły powiew na skroni. Boleśnie tęskniła za jego dotykiem.

– Poszła do Zeusa i poprosiła, żeby ukrył Merope. I ukarał śmiertelnika.

Żeby ukarał ich oboje.

– W jaki sposób?

Nie odrywał wzroku od swoich palców, o cal od jej policzka.

– Najpierw zamienił ich w gołębie.

Wstrzymała oddech; spojrzał na nią, jakby wiedział, o czym myśli. Ona także została zamieniona w gołębicę. I nie wystarczyło się przed nim ukryć. Ale on nie wiedział, że tak się stało.

– Ale znalezienie gołębicy nie było dla Oriona trudnym zadaniem. Nawet kiedy był niewidomy. Nawet kiedy bolało go serce z miłości. Znał jej pieśń.

To nic nie znaczyło. To był tylko mit.

– Co więcej, jako gołębica Marope nie mogła pozbyć się niepokoju i tęsknoty. Widzisz, gołębie łączą się w pary na całe życie. Tak więc, chcąc uchronić ją przed życiem ze śmiertelnikiem, Artemida naraziła ją na najgorszy rodzaj bólu, ból tęsknoty za partnerem. Orion o tym wiedział i nie ustawał w poszukiwaniach. Wędrował na krańce ziemi, żeby ją znaleźć. Żeby ją kochać. – Patrzył na nią w milczeniu, upłynęła długa chwila, zanim się odezwał: – I zrobił to.

Oddychała płytko, boleśnie. Malcolm nigdy jej nie odnalazł. Nigdy jej nie szukał. To ona go odnalazła. W parlamencie nie była gołębicą, szukającą partnera, ale wróbelkiem, pragnącym odzyskać wolność.

– Co się stało? – zapytała.

– Prawie ją miał. Prawie się połączyli.

– Ale nie całkiem. – W jej głosie był smutek.

Jego palce w końcu, w końcu dotknęły jej policzka niczym pocałunek. Lekki, doskonały, przelotny.

– Nigdy nie narażaj się na gniew bogini. Artemida wróciła do Zeusa.

Sera westchnęła, zła na siebie za tęsknotę za tym ledwie wyczuwalnym, ledwie zauważalnym dotykiem.

– Przeklęty Zeus.

– Zeus spełnił życzenie Artemidy.

– Ale nie w taki sposób, jak wszyscy pragnęli.

Odwrócił się.

– Z pewnością nie w taki sposób, jak oni chcieli. – Wszedł do ciemnego pokoju za drzwiami, a Sera podążyła za nim jak uwiązana na sznurku, rozpaczliwie pragnąć poznać zakończenie tej historii. Przeszedł przez pokój z pochodnią w ręku, otoczony świetlną plamą, która chroniła go przed ciemnością wokół. Ciemnością, która ją pochłaniała. – Merope nie było przeznaczone poślubić boga, ale Zeus umieścił ją jednak w niebie, obok sióstr. – Słowa odbiły się głuchym echem od ścian, budząc w Serze niepokój. Obróciła się dookoła, patrząc w górę, zbita z tropu niezdolnością określenia swojego miejsca w przestrzeni. – Uwięzionych na firmamencie.

Spojrzała w jego stronę i zobaczyła dwóch Malcolmów – jednego zwróconego ku niej, a drugiego w odbiciu w lustrze na ścianie poza nim. To było ogromne lustro. Lustrzana kopuła. Podniosła głowę. Patrzyła na niego w lustrze; miał czarne oczy, kiedy podniósł płomień, żeby zapalić kolejną pochodnię w drugim końcu pomieszczenia.

– A Orion, pragnąc nade wszystko być obok niej, błagał, żeby tam go umieścić.

Zapalił kolejną pochodnię. Nie lustra. Szkło. I jeszcze jedną pochodnię. I jeszcze… aż w końcu umieścił swoją w pustym uchwycie obok drzwi. Światło odbijało się ze wszystkich stron, spowijając ich złotym blaskiem fragmentów hartowanego szkła, osadzonych w metalu kunsztownie wykutym przez kowala artystę – czegoś podobnego Sera dotąd nie widziała. Na podłodze, w postaci niezwykłej mozaiki, wiła się Merope, wielka, wspaniała – najmłodsza siostra, której brakowało w altanie na górze.

A za szkłem rozciągała się woda usiana złotymi refleksami ognia.

Głos Havena wyrwał ją z oszołomienia.

– Tak więc Orion ją ściga. Na wieki.

Sera miała świadomość mnóstwa rzeczy, których nie powinna była robić. Nie powinna zostać, ale jak mogła postąpić inaczej? W środku podwodnej sali balowej, jakby wyjętej z baśni, którą jej właśnie opowiedział?

Zostać to jedno. Ale podejść do niego to już całkiem co innego. Tego też nie powinna robić. Powinna stać w jednym końcu wspaniałego pomieszczenia, przywołać zdrowy rozsądek i oznajmić mu z całą stanowczością, że powinien zaprosić tutaj młode panny, spośród których miał wybrać jej następczynię – zaprosić po to, żeby podbić ich serca i umysły. Ponieważ to czarodziejskie miejsce musiało tak właśnie wpłynąć na każdego.

Pewnie dlatego Sera zbliżyła się do niego, zaczarowana przez to miejsce, którego nie byłaby w stanie sobie wyobrazić. Ledwie obejmowała wyobraźnią, że stoi w nim teraz, oszołomiona jego pięknem.

Oparła się myśli, żeby pokazać to miejsce innym, nie chciała, żeby ktoś obcy się z nim tym miejscem dzielił, żeby zobaczył jego inną twarz, to, jak panuje nad wodą i powietrzem z siłą i pewnością siebie podziemnego bóstwa. Siłą i pewnością, które kiedyś uderzyły jej do głowy. Które nadal ją oszałamiały.

Stanęła o parę cali od niego. Na tyle blisko, że gdyby chciał, mógłby wyciągnąć ręce i wziąć ją w ramiona. Ona także mogła to zrobić – gdyby chciała. Wziąć go sobie. Gdyby chciała, a tak przecież nie było.

Kłamczucha.

Pokręciła głową.

– To miejsce…

Nie miała słów na to, jak to miejsce na nią wpłynęło. To był mit przywołany do życia; umieścił ją na nieboskłonie jak za sprawą Zeusa. Jakby to Haven był Zeusem, ale, oczywiście, nie był.

– Zbudowałem go dla ciebie. – To wyznanie było tak ciche, że niemal niesłyszalne; za nim popłynęły dalsze słowa, których, jak się wydawało, nie mógł powstrzymać. – Zbudowałem go, żeby było coś dla ciebie, kiedy wrócisz. Coś… nowego.

Coś, na czym nie ciążyły wspomnienia przeszłości. Tego, co stracili. Dziecka. Wspólnej przyszłości. Smutek był jak uderzenie; zamknęła oczy, pozwalając, aby przepłynęła przez nią fala melancholii, po czym westchnęła głęboko i uniosła powieki, patrząc na wspaniałą kopułę, na swoje odbicie w setkach fragmentów czarnego szkła. Zamieniających ją w gwiazdę.

Jego obraz także powielał się w szkle; szeptane słowa odbijały się wokół echem.

– W dniu, kiedy skończono budowę, stałem tutaj, sam, myśląc o tobie. – Podniósł głowę ku doskonałemu, czarnemu lustru kopuły, natychmiast odnajdując jej wzrok. Przykuł jej uwagę, mówiąc: – Marzyłem o tobie. Kiedy śpiewasz.

Przeniosła na niego wzrok, rezygnując z bezpieczeństwa, jakie dawało lustro.

– Zbudowałeś mi scenę.

Wzruszył ramieniem.

– Kochałaś śpiewać – powiedział po prostu, jakby to wystarczyło. – A ja uwielbiałem cię słuchać.

Wiedziała, czego chciał. W głowie brzmiało jej echo piosenki, którą śpiewała dla niego wieki temu. Zanim pojawiły się ich matki, a on odkrył jej niemądry plan – który nie wziął się ze złych intencji, ale raczej nieporozumienia.

I niech to diabli, jeśli ona także za tym nie tęskniła.

– Brakuje mi tego.

– Śpiewu?

Śpiewania dla ciebie.

Ta myśl ją zaszokowała, usiłowała rozpaczliwie znaleźć inną odpowiedź.

– Występowanie staje się nałogiem. Tęskni się za poklaskiem jak za miłością. Śpiew jest jak powietrze.

Jej serce zaczęło się tłuc pośpiesznie, natychmiast pożałowała tych słów.

– I tak narodził się Wróbelek.

Skinęła głową.

– Śpiew to wolność.

– Czy czujesz się uwięziona w klatce? Jesteś tu zaledwie trzy tygodnie.

Jestem tutaj od trzech lat.

– Trzy tygodnie bez czyjejś zgody to wieczność, wasza wysokość – powiedziała, zachowując wcześniejszą myśl dla siebie.

Przez chwilę myślała, że będzie z nią walczyć, że potraktuje to poważnie. Zamiast tego cofnął się o krok, mówiąc:

– Zatem śpiewaj.

– A ty mi przyklaśniesz?

– Zobaczymy. – Był wspaniały w swojej arogancji, zawsze ją sobie w ten sposób zjednywał.

Uśmiechnęła się, unosząc spódnice i ukazując kostki stóp, kiedy puściła się w tany.

Niech żyją damy o długich nogach
Niech żyje księżna, Wróbelek i…

Zamknął oczy, zanim doszła do końca piosenki; kiedy przerwała, ostatnie słowo zawisło między nimi, najpierw żartobliwe, potem bolesne; pożałował, że je przywołał. Już przedtem wisiało między nimi setki razy.

Opuściła spódnice, a Malcolm otworzył oczy, gdy przebrzmiało echo.

– I co? Czy miejsce jest odpowiednie?

Twierdził, że zbudował to miejsce dla niej. Dla przyszłości i nie ze względu na przeszłość. I choć wiedziała, że nie jest rzeczą możliwą zapomnieć o przeszłości, stwierdziła, że nie jest w stanie nawet spróbować.

Kiwnęła głową.

– Jest doskonałe.

– Zaśpiewałabyś dla mnie?

Wiedziała, czego chciał.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– Pewnie nie – zgodził się. – Ale to nie zmienia faktu, że tego pragnę.

Nagle uświadomiła sobie, że ona też tego chce, jakby ta piosenka śpiewana dla niego przed laty mogła ją w jakiś sposób uwolnić. Uwolnić ich oboje. Robiąc miejsce dla czegoś nowego i świeżego. Nie śpiewała jej przez trzy lata. Odkąd zaśpiewała ją jemu.

Pamiętała jednak każdą nutę, każde słowo jak modlitwę. I może to była modlitwa. Może zdołałaby za jej pomocą egzorcyzmować przeszłość.

Zamknęła oczy i zaśpiewała, głośno i swobodnie; dźwięk rozbrzmiewał cudownie pod szklaną kopułą.

Tutaj jest serce, uśmiech i miłość.
Tutaj jest wilk, anioł i gołębica.
Przestała śnić i odłożyła zabawki,
Rodząc się tego dnia w sercu chłopca.

Kiedy otworzyła oczy, patrzył na nią z zachwytem, z rumieńcem na policzkach. Podszedł bliżej, gdy przebrzmiewały ostatnie nuty i odsunął jej kosmyk włosów z czoła, zatykając go za ucho. Powinna się odsunąć, ale nie mogła się od niego oderwać – był tak blisko. Taki rzeczywisty.

– Powiedz mi, Seraphino. Gdyby nie było nikogo, żadnych sióstr, boga, bogini, żeby cię chronić; żadnego Amerykanina, arystokracji, która obserwuje i osądza? Co byś zrobiła, gdybym tak uparcie za tobą podążał?

Oczy mu pociemniały, kiedy mówił, nie była w stanie odwrócić głowy. Ile razy zwracał się do niej w ten sposób? Jak poeta? Ile razy o tym marzyła?

– Gdybym ci obiecał słońce, księżyc, gwiazdy? Gdybym poprzysiągł, że wiecznie będę cię ścigać, czy będziesz uciekać? Czy pozwoliłabyś się schwytać?

Był tak blisko, że mogła ulec. Że mogła dotknąć jego ust swoimi. Że mogłaby odrzucić wszelką ostrożność i przyjąć to, co ofiarował. Dać się złapać.

Nie zrobiłby tego jednak bez jej zgody.

– A jeśli moglibyśmy to odzyskać, Sero? – Ten szept wytrącił ją z równowagi, ból zawarty w słowach równoważył ból w jej piersi. – Gdybyśmy mogli zacząć na nowo?

Pokręciła głową.

– Nie trzeba mnie było tu przyprowadzać.

Zrobił krok w jej stronę. Ignorując jej słowa.

– Zgodziłabyś się?

Przełknęła ślinę, wiedząc, że nie powinna.

Zauważył wahanie. Pochylił się, siłą woli powstrzymując się, żeby jej nie pocałować. Jak mógłby to zrobić? A ona nie marzyła o niczym innym.

– Przyjmij to, Aniele.

Raz. Ten jeden raz, a potem to zakończy. Odda go. Pozwoli mu znaleźć drugą żonę. Pozwoli sobie korzystać z wolności.

Ale raz, jeden jedyny raz, weźmie to, co chciał jej dać. Czego sama pragnęła.

Na zawsze wyrzuci go ze swego umysłu.

Jeden raz.

Stanęła na palcach, zamykając przestrzeń między nimi – podczas gdy on szepnął – ledwie słyszalnie – jedno słowo, które odbiło się echem w jej sercu.

– Proszę.

19. Haven w sidłach łowczyni

W sposobie, w jakim się do siebie zbliżyli, nie było nic miękkiego, łagodnego czy nieśmiałego. Rzucili się na siebie, jakby kopuła nad ich głowami mogła się zawalić i pogrzebać ich pod szkłem i wodą, a skoro to miały być ich ostatnie chwile, to dlaczego nie ulec namiętności i nie zapomnieć o żalu?

Dlaczego nie przeżyć jednej chwili, kiedy nic ich nie dzieliło – żadne intrygi, gniew, frustracja, jakieś inne dążenia i cele – nic, tylko palące pożądanie? Przeżyć rozkosz, jaką zawsze potrafili sobie dać?

Sera natychmiast wsunęła ręce we włosy Malcolma, przyciągając go do siebie; rozchyliła wargi, podczas gdy on wyciągał szpilki z jej włosów, rozpuszczając je wokół jej ramion; otoczył rękoma jej kibić.

Kiedyś, dawno temu, poszłaby tam, gdzie jej wskazał. Ale nie teraz, gdy tyle o nim marzyła i zmieniła się tak bardzo. Teraz byli sobie równi. Każde z nich prowadziło, każde z nich szło za drugim.

I to było cudowne.

Jego ręce znalazły się na sznurówkach jej gorsetu, rozwiązując je, podczas gdy ona rozpinała jego marynarkę, ściągając ją potem z niego. Zostawił na chwilę jej suknię i cisnął marynarkę przez salę, nie przestając całować dziewczyny. Błądziła dłońmi po jego koszuli, ciesząc się ciepłem ciała pod spodem; pociągnęła w końcu za jedwabne tasiemki, które ich rozdzielały.

Po długiej chwili odsunął od niej usta. Otworzyła oczy, oszołomiona pocałunkiem i złakniona na nowo jego dotyku. To była jej kolej, żeby prosić. Poczuć, jak Haven drży z pożądania, kiedy to zrobi.

Zakląwszy wściekle, chwycił materiał, gdzie sznurówki wydawały się zbijać go z tropu i pociągnął mocno, szybko; jedwabne tasiemki okazały się niepotrzebne – suknia rozdarła się na pół, odsłaniając ją dla niego.

Całowali się znowu, długo, gwałtownie, przeżywając to wszystko, czego sobie latami odmawiali.

A potem oderwał od niej usta, żeby dotknąć nimi jej szczęki, policzka, ucha, szyi, szepcząc słowa, o których tyle marzyła – nieprzyzwoite, cudowne.

– Tak boleśnie za tobą tęskniłem – wyznał jej ciału, dotykając ustami tajemnych miejsc, do których tylko on miał dostęp. – To zawsze byłaś ty. Każdej nocy, Aniele. Leżałem każdej nocy, nie mogąc zasnąć, widziałem tylko ciebie…

Przesunął usta do miejsca, gdzie jej piersi wypychały na górze gorset.

– Śniłem o twojej skórze, milach doskonałości, o twoich pięknych ustach. O twoich oczach jak grzech. O twoich piersiach. – Uwolnił je z gorsetu, pieszcząc wargami. – Lubiłaś kiedyś, gdy cię tu dotykałem, kochana.

Kochana.

Dał jej wszystko, za czym tęskniła w ciemne noce. Jego dotyk budził rozkosz. Kolana się pod nią ugięły, położył ją delikatnie na wyłożonej kafelkami podłodze.

Szybko pozbył się gorsetu, a ona wyciągnęła mu koszulę ze spodni, bała się, że się rozpłacze, kiedy poczuła znajomą, pokrytą szorstkimi włoskami skórę pod palcami.

Zapomniała. Minęły wieki, tęskniła za nim tak strasznie, tak rozpaczliwie, a jednak zapomniała dotyku jego skóry. Teraz wspomnienia

wróciły i nie mogła stłumić tego cudownego odczucia, rozkoszy i podniecenia.

Nie chciała.

On także nie.

– Jak często o tym marzyłem – szepnął, ściągając koszulę przez głowę i rzucając ją na podłogę, tam gdzie leżała już jego marynarka. Rozsunął jej gorset i zaczął całować miejsce między jej piersiami i miękką skórę na żebrach, przemawiając do jej ciała w taki sposób, w jaki nie odważyłby się mówić w jej twarz. – Ile nocy tęskniłem za tobą? Ile razy szukałem samotnie spełnienia, pełen wstydu, zrozpaczony?

– Tak samo jak ja – szepnęła, natychmiast żałując tego wyznania.

Podniósł gwałtownie głowę, znajdując jej oczy w ciemności.

– Marzyłaś o mnie?

Jedna noc. Jedna noc prawdy. Jedna noc, żeby egzorcyzmować przeszłość i utorować drogę przyszłości, wolnej od demonów. Położyła dłoń na jego twarzy, na ocienionej zarostem silnej szczęce.

– Codziennie.

Zamknął oczy, jakby to wyznanie okazało się jak cios.

– Sera – szepnął.

– Nawiedzasz mnie jak duch – powiedziała, nie panując nad sobą. – Nawiedzasz mnie każdego dnia, odkąd odeszłam.

– Żałuję, że tak nie było naprawdę. Chętnie zamieniłbym się w ducha, żeby móc nad tobą czuwać. Chryste, tęskniłem za tobą do bólu. Tęskniłem do bólu za tym.

Podniósł jej suknię ponad biodra; przypomniała sobie blizny w miejscu, które kiedyś było idealnie gładkie. Zakryła dłońmi miękką okrągłość brzucha.

Pocałował w milczeniu wierzch jej palców, przesuwając językiem w przerwie między jej palcami, dostając się do tego tajemnego miejsca.

– Jesteś tutaj taka piękna, piękniejsza niż kiedykolwiek – powiedział.

Znowu przestraszyła się łez – na wspomnienie tego, co się stało; tego, w jaki sposób przeszłość napiętnowała ją tymi białymi, wypukłymi liniami.

Przestał, podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy – pełne tych samych uczuć, których doznawała sama, zbyt wielu, żeby je nazwać; nad wszystkim dominowało wzajemne zrozumienie, którego nie spodziewała się znaleźć u innego człowieka. Ale u niego, rzecz jasna, znalazła. Zawsze u niego.

Podniósł się nad nią, pocałował długo i cudownie, aż zabrakło jej tchu.

Podniosła ręce do jego twarzy, ich miękki dotyk przerwał pocałunek; odsunął się, patrząc na nią ciemnymi oczyma.

– Jesteś doskonała.

Zamknęła oczy, te słowa zabolały.

– Mam skazę.

Nie poruszał się, milcząc, póki nie otworzyła ich ponownie.

– Twoje skazy są doskonałe. To mapa tego, gdzie byliśmy razem. – Wstrzymała oddech, słysząc to „byliśmy”. Tak bardzo chciała, żeby to była prawda. – Marzyłem tutaj o tobie. Spójrz w górę. Spójrz na nas. Spójrz, jaka jesteś piękna. Popatrz, jak oddaję ci cześć.

Zerknęła nad jego ramieniem na szklaną kopułę, gdzie odbijał się ich obraz. Leżała naga z rozrzuconymi włosami, on zaś zsuwał się w dół.

– Widzisz to, Sero? – zapytał chrapliwym szeptem. – Widzisz, jak jesteśmy razem?

Wciągnęła głęboko powietrze, z drżeniem. Zagryzła wargi. W tych słowa kryła się tak kusząca obietnica. Kusząca wiecznością. Ale nie czekała ich wieczność. Mieli tylko dzisiejszą noc.

Chwycił zębami miękką skórę jej brzucha, a potem dotknął językiem tego miejsca; sapnęła, zaskoczona.

– Widzisz? – powtórzył.

– Tak – szepnęła.

Zsunął się jeszcze niżej, mówiąc do ciemnych włosów pokrywających miejsce, które kiedyś należało tylko do niego.

– Co widzisz?

– Mal – szepnęła; wydawało się, że błaga. Może tak było. Tylko nie wiedziała, o co błaga.

On jednak musiał wiedzieć, rozsuwając jej nogi i sadowiąc się między nimi.

– Co widzisz, Aniele?

– Widzę… Mal – jęknęła.

– Powiedz mi.

Spojrzała na sufit.

– Widzę… widzę ciebie.

– Tak… I co jeszcze?

Wzbierało w niej gorące, rozpaczliwe pożądanie.

– I siebie.

Pod wpływem pieszczoty jego palców umierała z rozkoszy.

– Mal…

Cofnął rękę.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Już ci powiedziałam, do diabła.

Roześmiał się, drań. Ten dźwięk poruszał ją do głębi.

– Widzę ciebie – powiedziała ostro, z irytacją i pożądaniem w głosie. – Widzę, jak mnie dotykasz.

Jak za sprawą magii dotknął jej – sapnęła z rozkoszy. Wiła się, jak nimfa wyobrażona w barwnej mozaice.

– Merope… – szepnęła. – Wiem, o co ci chodziło. Zaplanowałeś to.

– Tak… Chciałem, żebyś tu była. Taka piękna jak ona.

– Chciałeś, żebym była naga przy niej.

– Zawsze pragnę cię widzieć nagą, kochana.

Oblało ją gorąco. Jej wzrok ześlizgnął się na mozaikową podłogę, gdzie nimfa o nagich piersiach wiła się spazmatycznie, jakby Malcolm kochał je obie. Jakby dając rozkosz Serze, robił to samo dla Merope.

Sera wierzyła, poddając się magii jego palców, że byłby zdolny zadowolić boginię.

– Mal – szepnęła. Nie mogła się powstrzymać od mówienia, od tego, żeby wziąć wszystko, co chciał jej dać. – Widzę, że na mnie patrzysz. – Znieruchomiał, cofając się i odnajdując jej wzrok. Czekał, co powie.

Nie mogła zapanować nad podnieceniem. Czuła swoją moc. Mogła go prosić o cokolwiek, dostałaby to.

– Widzę, że mnie pragniesz – szepnęła.

Ucałował ciemne loki.

– Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Rozumiała to, całe jej ciało przejmowało to samo pożądanie. Jednak czekał na jej znak, na jej rozkaz.

– Widzę, jak mnie całujesz. – Słowa zabrzmiały bardziej stanowczo, niż mogłaby sobie to wyobrazić.

Jęknął głucho, jakby dała mu tę jedną rzecz, której pragnął najbardziej.

– Powiedz to jeszcze raz. Chcę, żebyś była pewna.

Jej ciało napięło się jak łuk. Wobec obietnicy. Wobec ukrytego w niej znaczenia – że nigdy nie weźmie tego, czego ona mu nie da. Że będzie za nią podążał. Orion za Merope, ale tylko wtedy, gdy będzie tego chciała.

Nie znała dotąd takiej wolności.

Nie zawahała się.

– Pocałuj mnie.

Nagrodził ją swoimi cudownymi ustami; podniósł jej biodra i wziął ją w posiadanie pewnie i bez wahania. Mężczyzna, którego kiedyś tak kochała, wiedział, jak sprawić jej rozkosz. Mężczyzna, który dał jej siłę, jakiej by u siebie nie podejrzewała.

Trzymał ją w ramionach, gdy oprzytomniała, wracając do wspaniałego pomieszczenia, pięknej podwodnej kopuły, która górowała nad nimi jak niebo. Kiedy podniósł jej głowę – miał zaczerwienione policzki i błędny

wzrok – nieznośne pragnienie, które utrzymywała w ryzach, zagroziło, że ją pochłonie.

Nie. Nie będzie go pragnąć.

Nie może go mieć.

Miała na tyle rozsądku.

Odepchnęła go. Natychmiast się odsunął, jakby istniał tylko po to, żeby spełniać jej życzenia. Świadomość tego groziła jej załamaniem, tak samo jak przedtem jego dotyk.

Tak więc Seraphina zrobiła to, co była w stanie zrobić – sięgnęła po suknię i przyciskając ją do siebie, przebiegła przez pokój.

– Nie możemy posunąć się dalej.

Nie ruszył się z miejsca, gdzie siedział, nagi od pasa w górę, opierając się ramieniem o zgiętą nogę, odzianą w miękką koźlą skórkę.

– Nie prosiłem, żebyśmy posunęli się dalej.

– Ale chcesz tego.

– Jestem dorosłym mężczyzną, Sero, i czekałem na to, na ciebie, od lat. Oczywiście, że chcę tego. – Mówił szczerze, choć miał w oczach żar. – Ale poczekam na ciebie. Aż będziesz gotowa.

Nie podobały jej się te słowa. Nie podobało to, jaką stanowiły pokusę. Obietnicę, że ją zrozumie. Nie rozumiał, rzecz jasna.

– Nigdy nie będę gotowa.

– Być może. A może stanie się inaczej. A kiedy to nastąpi, będę tutaj. – Powiedział to tak, jakby nie chciał robić nic innego, jedynie tęsknić tu za nią, w podwodnej kryjówce, czekając, aż się zjawi i poprosi, żeby się z nią kochał.

Coś w jego głosie, pewność zawarta w tych słowach – jakby mógł czekać na nią przez wieki – wytrąciło ją zupełnie z równowagi.

– Ten szczególny akt nie przyniósł nam niczego dobrego – powiedziała cicho. – A może nie pamiętasz? – Nienawidziła tych słów, tego, że przywołała nimi, choćby w niewielkim stopniu, ich przeszłość. Dziecko,

którego nie planowali. Którego on nie chciał. I wszystkie inne, których nigdy nie będą mieli.

Stała niemal naga; odwróciła się od niego i włożyła suknię przez głowę, ściągając gors w próżnej nadziei zatarcia ostatniej godziny swojego życia.

– Weź to.

Niemal wyskoczyła ze skóry. Stał tuż za nią, tak blisko, że mógł jej dotknąć, podając jej swoją marynarkę, jakby to wszystko było zupełnie naturalne.

Wzięła ją i zmusiła się do spokoju, wkładając ją na siebie; w obszernym stroju wydawała się niknąć. Skrzyżowała materiał na piersi, a ramiona na nim, jakby tworząc zbroję. Odsunął się, rozkładając szeroko ramiona, jakby chcąc jej pokazać, że nie ma broni. Nieprawda, oczywiście.

Oni nigdy nie składali broni.

– Pamiętam, Sero – powiedział, jakby z trudem wydobywając z siebie słowa. Ciągle dźwięczała jej w uszach jego przysięga, że nigdy nie będzie mieć dzieci. Wciąż czuła tamto ukłucie bólu po latach i strach, kiedy odkryła, że dziecko się jednak pojawi.

Tak jak wciąż pamiętała uczucie spokojnego szczęścia na myśl, że nigdy nie będzie sama, nawet jeśli nie będzie mieć jego.

A także rozpacz, kiedy uświadomiła, że czeka ją tylko samotność.

– Pozwól mi odejść – szepnęła urywanym głosem, przerażona, że może się sprzeciwić. Że może próbować ją tu zatrzymać.

Że może ona zechce zostać.

Postąpił krok do tyłu. I jeszcze jeden; droga do wyjścia stała przed nią otworem.

– Jesteś wolna – powiedział.

– Żadne z nas nie jest wolne – stwierdziła. – Ale możemy być.

Kłamstwo.

Patrzył na nią, nie poruszając się, z piękną piersią skąpaną w złotym blasku świec, z twarzą, pokrytą plamami światła i cienia. A potem użył

broni.

– Nigdy nie prosiłem o wolność.

Cios był celny, na szczęście zamiast smutku poczuła gniew; przypomniała sobie o swoich planach. O Wróbelku. O swojej przyszłości. Bez niego. Bez przeszłości. Bez wspomnień, od których tutaj nie mogła uciec.

– Cóż to za kłamstwo. – Spojrzała na niego zmrużonymi oczami, nie hamując gniewu. – To ty zniszczyłeś nasz związek, książę. Nie ja.

Uciekła, zanim zdążył odpowiedzieć.

20. Zaskoczenie Wystrychniętego na Dudka Havena

Trzy lata wcześniej.
Londyn

Wyczuł ją, zanim ją zobaczył. Powinien się spodziewać, że hrabina Liverpool zaprosi ich oboje na swój osławiony letni wieczorek. Powinien przewidzieć, że Siostry Smoluchy pojawią się na szalonym garden party z chińskim wystrojem i gospodynią przebraną jak jedna z ryb, jakie pływały w jej stawie rybnym.

Lady Liverpool nigdy nie unikała dramatyzmu, a siostry Talbot to był po prostu sam dramat.

Nie Sera.

Nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, wiedząc, że cały świat patrzy i szepcze pod sztywnymi rondami i za poruszającymi się żywo wachlarzami. Powstrzymał odruch, żeby pociągnąć za krawat, zbyt ciasno zawiązany przy gorącej, wilgotnej letniej bryzie, wiedząc, że i tak za mocno ściąga na siebie uwagę.

Wystrychnięty na Dudka Haven złowiony przez Niebezpieczną Córkę, pośmiewisko plotkarzy, żałosny przykład dla innych dobrze urodzonych kawalerów. Nigdy nie dać się oślepić urodzie.

Bóg wie, że on na to pozwolił. Jak przeklęty Orion.

Skazany na wieczne cierpienie.

Minęły ponad dwa miesiące, odkąd ją ostatnio widział – porzuciwszy ją bez większych ceremonii po ich byle jakim, prawie żadnym weselu i poświęciwszy całą uwagę pracy – robił wszystko, żeby zapomnieć, że w ogóle ma żonę.

Żonę, której bliskość odebrała mu spokój; która z pewnością była dziś piękniejsza niż kiedykolwiek, tyle że nie mógł tego stwierdzić, nie spojrzawszy na nią.

Tchórz.

Ta myśl zmusiła go do działania; zapanował z trudem nad emocjami i odwrócił się, odnajdując ją natychmiast, jak zwykle, wzrokiem. Stała parę jardów dalej, w grupce kobiet w sukniach o barwie klejnotów – siostry zebrały się wokół niej jak ochronna tarcza. Sera miała na sobie czerwoną, przetykaną złotą nitką suknię. Oczywiście, że nosiła czerwień. Nie było na świecie niczego, co by wzbudzało większe pożądanie niż Seraphina Talbot – nie, Seraphina Bevingstoke, księżna Haven, jego żona, jego księżna – w czerwieni.

Nie miało znaczenia, że oddałby wszystko, żeby już jej więcej nie pragnąć.

Sprzedałby swoją przeklętą duszę, byle o niej zapomnieć.

A potem kokoszki, które kręciły się wokół niej, odeszły na bok i zobaczył suknię w pełnej krasie – podkreślającą zarys jej piersi i linię bioder, opadającą bujnymi falami na zieloną murawę. Karmił się jej widokiem, wdychał go jak chłodny wietrzyk w letni dzień. I wtedy nastąpił cios – podły i niespodziewany.

Spodziewała się dziecka.

Spodziewała się dziecka i nie powiedziała mu o tym.

Nie mógł dojść do ładu z własnymi uczuciami.

Niedowierzanie. Przyjemność. Nadzieja. I wściekłość. Dojmujący gniew, że znowu ukryła przed nim prawdę.

Miał zostać ojcem. Miał mieć dziecko.

A ona to przed nim ukryła jak karę za przeszłe grzechy.

Przybrał kamienny wyraz twarzy, nie chcąc jej pokazać, jak bardzo prawda nim wstrząsnęła. Jakim była ciosem. Straszliwą karą. Odwrócił się na pięcie i poszedł, żeby znaleźć jakiś sposób, żeby ją także ukarać.

Wrzesień 1836

Następnego ranka otrzymał od swojej zabawiającej się w swatkę żony wiadomość, że ma się udać na przejażdżkę z lady Lilith oraz lady Felicity Faircloth. Seraphina bez wątpienia uznała, że nadszedł czas, żeby poznał pozostałe dwie kandydatki na przyszłą księżnę Haven – jako że panna Mary wyjechała, aby wpaść w ciepłe objęcia Geralda, a awersja do zup lady Emily była zbyt niepokojącą cechą charakteru.

Nie miał zamiaru poślubić żadnej z tych kobiet. W istocie, liścik od żony – zdawkowy i bez cienia aluzji do minionej nocy – sprawił, że miał ochotę wpaść do jadalni i przegnać wszystkich gości, kończąc z tym głupim planem, żeby ściągnąć do siebie Seraphinę i uwieść ją raz jeszcze.

Miał dosyć spiskowania. Był gotów na powrót żony. Pragnął zdobyć ją na nowo jak najszybciej. A żeby to, do diabła, osiągnąć, musiał być z nią sam. Potrzebował czasu, przestrzeni i uczciwości, żeby ją przekonać. Żeby uwierzyła w niego. Uwierzyła w nich.

Te kobiety stały mu po prostu na drodze. Bez wątpienia, z oryginalnego kwartetu niezamężnych kobiet, które ściągnął, żeby ją upewnić, że jest zainteresowany ponownym ożenkiem, lady Lilith i lady Felicity najlepiej do niego pasowały. Lilith była inteligentna i zabawna, z pasją do podróżowania, a lady Felicity miała głowę na karku i stałaby się dobrą towarzyszką dla każdego arystokraty o bystrym umyśle. Ale Haven nie chciał dobrej towarzyszki. Chciał swojej żony. Kobiety, której pragnął zawsze, odkąd spotkał ją na tamtym balkonie życie temu. I tak po prostu było.

A jednak nie mógł się ich pozbyć – inaczej wydałoby się, że to wszystko to tylko podstęp, niesmaczny fortel, który przyprawiłby o wściekłość połowę londyńskiej arystokracji, narażając go także na gniew żony, gdyby uświadomiła sobie jego intencje albo ich brak, jako że nie zamierzał dać jej rozwodu, o który tak walczyła.

Wkrótce zrozumie, że wcale go nie chce, jeśli tylko zdoła ją przekonać, że przeszłość nie ma nic wspólnego z przyszłością.

Tak więc jedyne, co mógł uczynić, otrzymawszy liścik Seraphiny w sprawie towarzyszek na konną przejażdżkę, to odpisać, nalegając, żeby odegrała rolę przyzwoitki.

Ani przez chwilę nie myślał, że się zgodzi. Spodziewał się, że będzie musiał sam po nią pójść – ewentualność, która budziła w nim przyjemne podniecenie – i pewnie dlatego nie sprzeciwiła się jego prośbie.

Kiedy wyszła z dworu za pięć jedenasta, w pięknym stroju do konnej jazdy w kolorze oberżyny, z kapelusikiem tkwiącym pod zawadiackim kątem na głowie i – Boże dopomóż – biczem w ręku, stracił oddech na jej widok – silnej, pewnej siebie kobiety, jakby poprzednia noc w ogóle się nie zdarzyła, albo przeciwnie – jakby dodała jej sił w dążeniu do celu.

Widział zdecydowanie w jej pięknych, błękitnych oczach i natychmiast zrozumiał, jaki to cel. Chciała, żeby wybrał żonę. Szybko.

Stłumił śmiech – ten plan nie miał szans na powodzenie.

A potem odechciało mu się śmiać, ponieważ zjawiło się, nieproszone, trio jej towarzyszek. Seraphina, oczywiście, przybyła uzbrojona po zęby, z prywatnym batalionem kobiet wojowniczek. Z wyjątkiem jednej, ponieważ markiza Eversley, w zaawansowanej ciąży, nie jeździła konno.

Dzięki niech będą Bogu za drobne łaski.

Nie zamierzał okazać frustracji, odwrócił się tyłem do sióstr i podszedł, żeby pomóc dosiąść konia lady Lilith, a potem lady Felicity. Żadna nie wydawała się potrzebować jego pomocy, obie świetnie czuły się w siodle i

Havenowi przyszło do głowy, że przejażdżka w ich towarzystwie mogłaby być całkiem przyjemna.

Teraz jednak bał się tego, co miało nastąpić.

Udzieliwszy pomocy gościom, zwrócił się, żeby pomóc żonie, która, rzecz jasna, siedziała już w siodle. Nie uszło jego uwagi, że wybrała jedną z jego najcenniejszych klaczy – klacz, którą osiodłał specjalnie dla niej.

Spojrzał na nią, czuł mrowienie w palcach – tak bardzo chciał jej dotknąć, wsunąć dłoń pod skraj jej spódnicy i poczuć miękką, gładką skórę powyżej jej butów.

– Twój amerykański pies obronny nie przyłączy się dzisiaj do nas?

Uniosła brew, patrząc na niego z ukosa.

– Pan Calhoun wrócił do Londynu na dobre – powiedziała. – Mogę tylko przypuszczać, że zrobił to, ponieważ nalegałeś.

Zdziwił się, a potem ogarnęła go ulga – zniknął „ochroniarz” jego żony.

– W gruncie rzeczy nie mam z tym nic wspólnego, choć Bogu wiadomo, że jestem za to wdzięczny.

– Przeklęty tchórz – wtrąciła Sesily i wszystkie oczy skierowały się w jej stronę. – No co? Jest taki.

Haven zignorował zwariowaną szwagierkę, podszedł do własnego konia i wskoczył na siodło.

– Pojedziemy do wieży atrapy na wschodzie.

– Czy nie tak można by nazwać twoje małżeństwo, Sero? – odezwała się suchym tonem jedna z sióstr, wywołując szydercze chichoty.

Sera odparła podobnym tonem:

– Nie martwcie się, moje panie, Haven z pewnością będzie wolał małżeństwo z jedną z was od małżeństwa ze mną i sądzę, że okaże się zupełnie niezłym mężem.

Malcolm zacisnął zęby, słysząc, jak łatwo przyszły jej te słowa, podczas gdy zeszłej nocy odkrył się przed nią, a ona doznała ekstazy w jego ramionach. Pełen złości pognał konia naprzód, a cała grupka podążyła za

nim, na tyle daleko, że nie musiał ich słuchać. Zabierze dziewczęta na przejażdżkę, odprowadzi z powrotem, a potem znajdzie sposób, żeby się ich pozbyć.

Po półgodzinie jazdy zwolnił przy wielkiej kamiennej atrapie średniowiecznej wieży, zbudowanej parę pokoleń wcześniej na wschodnim krańcu posiadłości. Stanąwszy na ziemi, ruszył, żeby pomóc zsiąść damom z ich koni. Wszystkim z wyjątkiem Sery. Sera zsiadła pośpiesznie i odeszła na bok, pociągając za sobą siostry jak uwiązane na sznurku.

Zostawiała go samego z lady Lilith i lady Felicity, obiema pięknie zarumienionymi po konnej jeździe. Przyszło mu do głowy, że obie można by uznać za piękne, gdyby zechciał zwrócić na to uwagę. Ale to go nie interesowało. Był zbyt zajęty śledzeniem swojej żony.

Nie był jednak potworem i nie zamierzał również ruszać za oddziałem szwagierek; tak więc zaprowadził pozostałe damy do wieży i zaprosił je do środka. A potem pokazał kręte kamienne schody wewnątrz.

– Ze szczytu wieży rozciąga się piękny widok na cały majątek, jeśli miałybyście ochotę się wspinać.

Lady Lilith już wchodziła po schodach, lady Felicity za nią, a Haven na końcu. Kiedy dotarli na szczyt wieży i wyszli na słońce, obie panie natychmiast podeszły do kamiennych parapetów, oparły się na nich, przyglądając ziemiom, które rozciągały się na mile dookoła.

Haven stanął w drugim końcu wieży i spojrzał na dół; Sera i siostry stały, pogrążone w ożywionej konwersacji. Przyglądał się im, żałując, że nie słyszy, o czym mówią; w tym czasie jego towarzyszki dzieliły się – głównie między sobą – uwagami na temat krajobrazu.

– Ojej, to piękne – powiedziała Felicity, westchnąwszy najpierw przeciągle.

– To najlepsza część całego przyjęcia, nie sądzisz? – odparła Lilith podnieconym głosem.

– Powstała w 1750 roku – wtrącił Haven, mówiąc sobie, że jeśli włączy się do rozmowy dziewcząt, to nie będzie tęsknić za swoją żoną trzy piętra niżej niczym jakiś mazgaj. – To dar mojego prapradziadka dla kobiety, którą kochał.

Lilith odwróciła się.

– Domyślam się, że to nie była twoja praprababka, prawda?

Uśmiechnął się raczej melancholijnie.

– Nie.

Książęta Haven nie żenili się z miłości.

Aż dotąd.

A on i tak wszystko zepsuł.

Damy wróciły do podziwiania widoków.

– Tam jest mały domek? Wiedziałaś, że jest coś takiego?

– Nie. I spójrz na jezioro. Jakie piękne! – Po chwili milczenia: – Boże, czy na środku jest jakiś pomnik? Jakie to dziwne! Po prostu wyrasta z wody. Czy to Orion, wasza wysokość? – Felicity Faircloth spojrzała na niego pytająco.

Malcolm stłumił rozczarowanie, że te kobiety odkryły posąg na szczycie podwodnej sali balowej, zanim zrobiła to Sera. Jego wzrok powędrował do żony daleko na dole.

– W istocie.

„Gdybym poprzysiągł, że wiecznie będę cię ścigać, czy będziesz uciekać?”

Uciekła zeszłej nocy i nadal uciekała; miało się wrażenie, że w każdej chwili może zamienić się w gołębicę i ulecieć od niego na zawsze.

A jeśli go nie chciała? Jeśli nigdy nie będzie jego?

Nie podobały mu się pytania, które go nękały, kiedy wspominał ubiegłą noc; wiedział, że myślała o dziecku, które stracili. O życiu, które nigdy nie stało się ich udziałem.

Mogli jednak tworzyć przyszłość. Wierzył w to.

Musieli przecież mieć szansę?

Boże, niech to będzie prawdą, że taka szansa istnieje.

Spojrzała w górę, jakby usłyszała jego myśli. Ich spojrzenia się spotkały, to ona pierwsza odwróciła wzrok.

Lady Felicity wskazała na dwór w oddali.

– A co jest tam?

Haven oderwał wzrok od żony i poszedł za spojrzeniem Felicity.

– Siedziba księstwa Montcliff.

Felicity kiwnęła głową.

– Nigdy nie lubiłam tego człowieka.

Uniósł brwi; zaskoczyła go ta szczera ocena sąsiada, który cenił sobie odosobnienie.

– Tak, niewielu go lubi.

– Ciebie też niewielu ludzi lubi – stwierdziła Lilith.

Znowu go zaskoczyły, odwrócił się do dziewcząt – Lilith uśmiechała się znacząco, a Felicity z szeroko otwartymi oczami, w stanie – nie mógł znaleźć innego określenia – radosnego oszołomienia. Nie przerywał przez chwilę ciszy, po czym spuścił głowę.

– To także jest prawda.

– Dlaczego? – zapytała Felicity.

– Czy jesteście w zmowie? – Popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się szeroko, a Haven uznał, że je lubi. – Czy jestem teraz poddawany próbie?

– To uczciwe pytanie, nie sądzisz? – zauważyła Lilith. – Powinnyśmy wiedzieć dokładnie, jaką rybę kupujemy.

– Jeśli w ogóle chcemy ryby.

Nie przejmując się dziwaczną metaforą, Haven rozłożył szeroko ręce.

– Ależ naturalnie. Pytajcie.

Ależ sprawił im radość. Lady Lilith aż zacierała ręce.

Felicity usadowiła się na niskim kamiennym murku, w przerwie między parapetami; pochyliła się w przód, opierając łokcie na udach w pozie, jakby

znali się od lat.

– Powiadają, że jesteś okropnym mężem.

Podniósł brodę, był zaszokowany.

– Dobry Boże, Felicity – odezwała się Lilith cichym, pełnym podziwu głosem. – Twoja matka umarłaby na miejscu, gdyby cię słyszała.

– Moja matka nie musi go poślubiać – stwierdziła Felicity, nie odrywając wzroku od Malcolma.

– My za to, zdaje się, staramy się, jak możemy – powiedziała Lilith.

Nikt nie mógłby twierdzić, że Felicity Faircloth nie jest godnym przeciwnikiem. Oparł się o parapet i wyznał z szokującą swobodą:

– Nie byłem najlepszym z mężów.

– Mówią, że jesteś niewierny.

Zacisnął usta w wąską linię, nie odstraszył jednak dzielnej, młodej kobiety.

– I to właśnie dlatego lady Eversley – ciągnęła Felicity – wepchnęła cię do stawu rybnego.

– Mają rację. – Lilith zmarszczyła nos, nie mógł jej za to winić. – To było kiedyś. Właśnie odkryłem, że Sera… – Głos jego zamarł. To nie była ich sprawa. – Byłem zły. Nie zrobiłem już tego więcej.

Milczały dłuższą chwilę, po czym odezwała się Lilith:

– Wiesz, myślę, że mu wierzę.

Felicity kiwnęła głową.

– Dziwne, ale ja też.

Cud. Gdyby tylko zdołały przekonać Seraphinę do tego samego.

– Czy mam ci powiedzieć, co mi się podoba w twojej żonie? – ciągnęła Felicity.

Nie potrzebował listy przymiotów Sery. Znał je wszystkie. Niejeden raz je sobie przypominał. Ponad tysiąc razy. A jednak chciał to usłyszeć. Chciał o niej rozmawiać z kimś innym, tak jakby wspominanie o niej w tym miejscu mogło ją przywołać bliżej.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł cię powstrzymać, moja pani.

Uśmiechnęła się.

– To pewnie prawda. Nie potrafię siedzieć cicho. Pewnie dlatego matka była taka przejęta twoim zaproszeniem.

– Nie jestem zainteresowany tym, żeby mi schlebiano – powiedział. – Książęta, prawdę mówiąc, słyszą zbyt wiele pochlebstw.

– Doskonale. Więc ci powiem – ciągnęła Felicity. – Podoba mi się, że Seraphina wie, czego chce. I podoba mi się, że nie boi się do tego dążyć. Nawet jeśli jest to coś, czego nie wypada robić.

Tak jak rozwód. Skinął głową.

– Zawsze taka była.

– Kobiety nie zawsze są w stanie dostać to, czego chcą – oznajmiła i w jej głosie pobrzmiewała nutka smutku. – Zbyt często jesteśmy osądzane za to, do czego dążymy.

Przejął go chłód. Zrobił to. Ukarał ją za pragnienia. A potem, w końcu, ukarał ją za to, że nie pragnęła jego.

– Czy chciała cię zdobyć? – Tym razem to była Lilith.

– Tak. – Poczuł fizyczny ból w żołądku, mówiąc to.

– Podobno złapała cię podstępnie. Wystrychnięty na Dudka Haven i tak dalej.

Te kobiety nie znały strachu i Haven mógł je tylko za to podziwiać.

– Tak mówią.

– Ale nie mogło chodzić o tytuł – zauważyła Felicity. – Bo dlaczego miałaby potem uciekać? Zamiast się z nim obnosić?

Ile razy zadawał sobie to samo pytanie?

– Pomimo tych starań nie wydaje się, żeby cię nadal szczególnie lubiła, wasza wysokość – dodała Lilith.

– Nie, nie lubi – zgodził się. To się rzucało wszystkim w oczy.

– To mi się w niej podoba – szepnęła Felicity. – Podoba mi się, że kiedy stało się jasne, że jej nie chcesz, nie została.

Tyle że jej chciał.

Nadal jej pragnął.

Prawda, że nigdy jej tego nie powiedział. Prawda, że stawiała na swoim. Że nie zrażała się przeszkodami. Lekceważył jej dążenia. Ze szkodą dla niej. Ze szkodą dla nich.

– Podoba mi się, że zna samą siebie. Że w siebie wierzy – dodała Felicity. – Chciałabym być taka, jak ona.

– To może nie powinnaś poślubiać księcia Haven – stwierdziła sucho Lilith. – Historia poucza, że nie zwykł pomagać małżonce, kiedy ta ma własne cele, na których jej zależy.

Te słowa nie były przeznaczone dla niego, a jednak zapiekły. Jak pokrzywy.

– Hm – mruknęła zamyślona Felicity. – Myślę, że tak może być.

Chryste. Dlaczego potrzeba było dwóch niezamężnych kobiet, żeby uświadomiły mu coś, co powinien zrozumieć lata temu?

– A jest jeszcze drugi problem – ciągnęła Lilith, powodując, że Mal wrócił do rzeczywistości.

– Jaki drugi problem? – zapytał gwałtowniej, niżby sobie życzył.

Kobiety toczyły rozmowę, jakby go tam nie było. Jakby nadal wymieniały uwagi na temat majątku. Albo dyskutowały o pogodzie. A nie rozmawiały o jego przywarach.

– Och, oczywiście, to jasne jak kryształ.

– Co takiego? – zapytał.

Lilith odwróciła się w jego stronę, przyglądając mu się uważnie.

– Ponieważ ten cały scenariusz jest niezwykły pod każdym względem, wasza wysokość, ciekawa jestem, czy zechciałbyś odpowiedzieć na jedno, raczej niestosowne, pytanie?

Zaskoczyła go, choć mogło się wydawać, że to już niemożliwe.

– Bardziej niestosowne niż reszta tej rozmowy?

Obie damy parsknęły śmiechem.

– Pewnie nie, w istocie – stwierdziła Lilith, uśmiechając się. Czekał, aż znajdzie odpowiednie słowa. – Czy pragniesz ożenić się powtórnie?

I oto ukazało się wyjście z tej przedziwnej sytuacji.

– W gruncie rzeczy nie chcę tego.

Kiwnęła głową, zerkając na Felicity.

– Cóż, zatem to wszystko.

– W istocie. – Felicity zeskoczyła ze swojego miejsca na murku. – Dziękuję, wasza wysokość. To piękna wieża. Najpiękniejsza, jaką widziałam.

– I cały majątek – dodała uprzejmie Lilith. – Ten posąg Oriona w jeziorze jest szczególnie piękny.

Poczuł się zmieszany, ale wróciła mu nadzieja. Czy wszystkie kobiety mają zdolność takiego wytrącania innych z równowagi? Czy też było tak tylko w wypadku kobiet, z którymi on się stykał?

– Odchodzicie? – zapytał mocno przejęty.

– Tak – odparła Felicity, dygając krótko. – Z pewnością zrozumiesz.

– Prawdę mówiąc, nie rozumiem. Nigdy w życiu nie spotkałem kobiet, które mówiłyby tak otwarcie.

Lilith uśmiechnęła się kpiąco.

– Może powinieneś spotykać więcej kobiet. Nie jesteśmy taką rzadkością.

– Z pewnością nie tutaj. W majątku jest pięć innych kobiet, które nie wydają się mieć problemu z mówieniem ci prawdy, wasza wysokość – dodała Felicity. – I to nie biorąc pod uwagę panny Mary Mayhew, która okazała się tak prawdomówna, że w końcu wyjechała, żeby odnaleźć Geralda.

Lilith uśmiechnęła się.

– Ciekawa jestem, co to za mężczyzna z tego Geralda?

I w ten sposób porzuciły go, odchodząc, pogrążone w wesołej rozmowie, szurając cicho spódnicami po kamiennej posadzce.

– Poczekajcie! – zawołał; całe popołudnie wydawało się wymykać spod jego kontroli.

Odwróciły się.

– Proszę się nie martwić, wasza wysokość – powiedziała Lilith. – Trafimy do wyjścia. Zostań tutaj i rób to, co robią mężczyźni, kiedy nie wymaga się od nich, żeby odgrywali rolę chętnego zalotnika.

– Nie powiedziałyście mi, jaki jest ten drugi problem. – Odwróciły się znowu; uśmiechały się w bliźniaczy sposób, mając zupełnie różne twarze. – Ten, który jest jasny jak kryształ – sprecyzował.

– Ach – powiedziała Lilith.

– Hm – dodała Felicity.

– Miłe panie. – W tych słowach brzmiała niemal groźba. – Przypuszczam, że to coś podobnego do tego, że jestem okropnym mężem?

– Wiesz, nie jestem pewna, czy w ogóle byłbyś okropnym mężem – powiedziała Lilith w zamyśleniu.

– Och, nie, nie będzie – pospiesznie dodała Felicity. – To znaczy, jak tylko odkryje, jak bardzo ją kocha.

Powinien się zawstydzić. Przekonywać, że jest inaczej. Jednak słowa prawdy, jakie padły z ust Felicity, przyniosły mu ulgę. W końcu, pomyślał, w końcu ktoś to zauważył. Ktoś, kto w to uwierzył. Dwie niezależne osoby. Dwie osoby, które słuchały uważnie, kiedy powiedział:

– Wiem, jak bardzo ją kocham. Wiem to od lat.

Popatrzyły na siebie, potem na niego; widać było, co o tym sądzą. Uważały go za durnia.

– Zatem powinieneś jej to powiedzieć.

To go przygnębiło. Czy naprawdę nie wierzyły, że właśnie to chciałby zrobić? Myślały, że to takie proste?

Za nimi błysnęła plama koloru – głęboka, żywa barwa fioletu.

Sera.

Niech to diabli, zrobiłby to teraz, w tej chwili, gdyby wierzył, że to coś zmieni.

Znieruchomiał. Zmieniłoby?

Serce zabiło mu gwałtownie, kiedy przeszła przez drzwi, wyraźnie zaciekawiona tym, co zastanie.

– Piękna wieża – powiedziała.

Zrobi to teraz. W tym miejscu, które jego przodek zbudował dla kobiety – kochanej wbrew rozumowi, ponad wszystko. Zrobi to w obecności tych kobiet i zakończy tę głupią intrygę. Czy nie przyrzekł sobie dziś rano, że skończył z wszelkimi intrygami?

Podniecony i przejęty jak młokos, szepnął:

– Zrobię to teraz.

Nie zauważył zaskoczenia i powątpiewania w oczach Felicity i Lilith. Pochłonął go całkowicie widok żony.

Nie zauważył, jak Lilith kręci głową.

Nie widział, jak Felicity otwiera usta ani jak zmarszczyła brwi, kiedy Sera zapytała:

– Co takiego zrobisz?

Gdyby coś z tego zauważył, może nie powiedziałby tego, co powiedział wobec – jak się nagle zaczęło wydawać – całego świata.

Może nie spojrzałby jej w oczy i nie powiedział, nie myśląc, co z tego wyniknie, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie:

– Powiem ci, że cię kocham.

21. Stosowne konkury: prawdziwe damy udzielają lekcji miłości

Trzeba przyznać, że zorientował się natychmiast, że popełnił błąd.

Dziwne, ale nie nastąpiło to w chwili, gdy jego żona zakręciła się na pięcie i ruszyła w dół po schodach, skąd przyszła.

Ani wtedy, kiedy lady Lilith jęknęła cicho:

– Och, nie.

Ani też nie potrzebował szczerej uwagi lady Felicity.

– Cóż. To nie było dobre.

Uświadomił sobie błąd w chwili, gdy usłyszał, jak wypowiada te słowa – tak dla niego obce – i uświadomił sobie, że nigdy przedtem tego nie mówił. Oczywiście, powtarzał je tysiąc razy we własnej głowie. W ciemności, kiedy tęsknił za nią w nocy.

Ale nigdy nie powiedział jej tego w oczy.

A teraz, gdy pognał za nią na wschodnich pastwiskach Highley, szczerze żałował, że powiedział to przy Lilith i Felicity, a także Sesily, stojącej parę stóp dalej, której Sera o mało nie zrzuciła ze schodów, uciekając z wieży, jak również Seleste, która rozpłaszczyła się na ścianie, kiedy Haven wybiegał za żoną.

– Oj, Haven! Coś ty znowu głupiego zrobił? – Krzyk Seline zgrał się z momentem, kiedy Sera wskoczyła na siodło i z głośnym okrzykiem:

„Wioooo!” ruszyła z kopyta.

– Na Boga, Sero! – zawołał za nią Haven. – Zaczekaj!

Nie zrobiła tego, rzecz jasna, więc pobiegł do swojego konia, już prawie przy nim był, kiedy jakiś ciężki przedmiot ugodził go między łopatkami. Odwrócił się, stając twarzą w twarz ze szwagierką, która prostowała się, sprawdzając ciężar kolejnego pocisku.

– Co, do diabła? Rzuciłaś we mnie głazem?

Seline wydawała się szacować odległość między nimi.

– Nie wiem, czy nazwałabym to głazem.

– To raczej kamień! – zawołała Sesily Talbot ze szczytu wieży, gdzie trzy głowy w czepkach wychylały się zza parapetu.

– Ledwie kamyczek. – Seleste pojawiła się w drzwiach wieży, ze skrzyżowanymi ramionami, gotowa do walki niczym jakaś Amazonka.

Pokręcił głową w stronę uzbrojonej w kamień szwagierki.

– Zdajesz sobie sprawę, że rzucanie kamieniami nie jest bezpieczne?

Seline podrzuciła kamień w górę, chwytając go zręcznie.

– Dla mnie nie; mam dobre oko.

Pokręcił głową.

– Jesteś obłąkana.

– Nie. Jestem lojalna. Jaki ty nigdy nie byłeś.

Odruchowy sprzeciw utknął mu w gardle, kiedy rozległ się głos hrabiny Clare:

– Amen! Tym razem grzmotnij go w głowę!

Przez chwilę zastanawiał się, czy Seline rzeczywiście to zrobi. Rozłożył ramiona.

– Wszystkie jesteście obłąkane. Jadę za waszą siostrą.

– Nie, jeszcze nie. – Seleste stanęła obok uzbrojonej siostry. – Mam wrażenie, że uczyniłeś ją nieszczęśliwą. Na tyle nieszczęśliwą, że nie chce cię widzieć.

– Powiedział jej, że ją kocha! – zawołała Sesily ze swojego miejsca na górze takim tonem, jakby mówiła o znalezieniu zdechłego szczura w kanale irygacyjnym na terenie posiadłości.

Wszystkie pozostałe panie skrzywiły się.

– Zasługujesz na kolejny kamień – oznajmiła Seline. – I jeszcze cztery inne za te młode kobiety, wokół których tańczyłeś, usiłując jednocześnie uwieść naszą siostrę.

– To nie problem, książę! – krzyknęła z góry lady Lilith.

– Oczywiście, że jest! Korzystny czas na zamążpójście nie trwa aż tak długo! – powiedziała Sesily. – A teraz obie zostałyście odrzucone przez Havena.

– To akurat nie jest najgorsze nieszczęście na świecie – zauważyła Seleste. – On jest okropny.

– I zaraz dostanie kamieniem w głowę – dodała Seline.

Malcolm zazgrzytał zębami.

– Kocham twoją siostrę – powiedział. – Może nie powinienem był tego mówić, choć tylko Bogu wiadomo dlaczego, bo to prawda. I niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żebyście wy, wiedźmy, przeszkodziły mi w powiedzeniu jej tego we właściwy sposób.

– Ha! Zdajecie sobie sprawę z tego, że to znaczy, że ja wygrywam, czyż nie? – zaszczebiotała Sesily, przechylając się przez parapet wieży. Malowi przyszło do głowy, że być może wychyla się za mocno, stwierdził jednak, że brak mu siły i chęci, żeby ją ostrzec.

– Wiemy, Sesily.

– Każda płaci dziesięć funtów! – wrzasnęła. – Sophie będzie wściekła.

– Był jakiś zakład? – zapytała Felicity.

– Oczywiście! Zawsze się zakładamy. Powinnyście nas zobaczyć w sezonie. – Sesily przerwała, po czym zwróciła się do Felicity i Lilith. – Wkrótce spotkamy się podczas sezonu! Nasza księga zakładów to konkurencja dla White’a! I jest dużo bardziej interesująca.

– Cieszę się, że znalazłyście przyjaciółki i pieniądze, usiłując mnie zatrzymać i nie pozwolić spotkać się z żoną, ale mam tego dość. – Spojrzał na Seline. – Mam nadzieję, że nie pozbawisz mnie przytomności, bo próbuję znaleźć i przywieźć waszą siostrę.

– Nie – odparła uspokajająco Seline – ponieważ jeśli użyjesz przy niej słowa „przywieźć”, książę, to ona sama tak cię palnie, że zemdlejesz. Ona cię nie chce, niezależnie od tego, ile pieniędzy zgarnęła Sesily. – Seleste mówiła chłodno i bez emocji; prawda w nich zawarta wytrącała go z równowagi. – Zniszczyłeś wszystko przed laty, kiedy nie chciałeś uznać, że ona istnieje niezależnie od ciebie.

Znieruchomiał.

– Nigdy tak nie uważałem.

– Och? – odezwała się Sesily z góry. – To chyba nas nie było za każdym razem, gdy przychodziłeś na lunch i herbatę.

– A także, gdy złożyłeś nam wizytę, żeby prosić ojca o jej rękę – powiedziała Seleste.

– A także, kiedy okazywałeś jej publicznie zainteresowanie – dodała Sesily. – Myślałyśmy, że wstydzisz się swojej zabawki.

Krew zaszumiała mu w uszach.

– Nigdy nie była moją zabawką. – Jednak w uszach zadźwięczały mu słowa Sery: „Nie chcesz mnie, ale też nie chcesz, żeby miał mnie ktoś inny. Nigdy nie chciałeś”.

Chryste. Co on zrobił?

Objął wzrokiem siostry żony.

– Zawsze ją kochałem.

– Ale nie całą – stwierdziła Seleste.

– Nie dosyć – odezwała się Seline.

W innym życiu Malcolm wdałby się z nimi w kłótnię. Pozwoliłby, żeby gniew i zawód wzięły w nim górę. Jednak w tej chwili tylko popatrzył od jednej do drugiej, mówiąc zdecydowanie:

– Kocham ją. Całą. Księżnę czy gołębicę. Z wami albo bez was, wiedźmy.

Seline patrzyła na niego niepokojąco długo, po czym rzuciła kamień na ziemię.

– W takim razie jedź i przekonaj ją o tym.

Malcolmowi nie umknął sens tych słów; wyraźne powątpiewanie w to, że zdoła przekonać swoją żonę do czegokolwiek.

A jednak wskoczył na siodło i pognał na złamanie karku; serce tłukło mu się jak oszalałe, gdy uświadomił sobie, dokąd zmierza, zdecydowany znaleźć ją, zanim odkryje…

Szła w stronę kręgu drzew znaczącego północny skraj majątku; wykrzykiwał jej imię, gnając w jej stronę. Odwróciła się, prostując sztywno. Stanęła, czekając na niego, letni wiatr targał jej spódnicą, choć ona sama trwała nieruchomo w bujnej trawie.

Jego koń grzmocił kopytami w murawę; ani drgnęła, stała doskonale nieruchoma, jak posąg, jakby rozpędzony wierzchowiec nie pędził wprost na nią. Przestraszony pociągnął mocno lejce; koń zatrzymał się zaledwie parę stóp od niej, jakby kazała mu stanąć siłą woli.

Zeskoczył z siodła, zanim jeszcze koń się zatrzymał na dobre, nie dbając o to, że kapelusz spadł mu z głowy, zamknął odległość między nimi, chcąc jej dotknąć i – niech to diabli – kochać.

Był psem, który gonił lisa, i spodziewał się, że lis umknie.

Nie ruszyła się. Pozwoliła mu do siebie podejść. Może to on był lisem.

Ponieważ kiedy wyciągnął rękę, obejmując palcami tył jej głowy, uniosła ku niemu twarz, również wyciągając rękę. I, dobry Boże, ich usta zetknęły się w długim, cudownym pocałunku.

Nie mógł przerwać, choć wiedział, że powinien. Bo to nie był ani czas, ani miejsce, żeby ją całować – wtedy, gdy ona uciekła, a on do niej przybiegł i niczego nie potrzebowali bardziej niż rozmowy.

Nadszedł czas, żeby wreszcie wszystko sobie powiedzieli.

Odsunęła się, na tyle, żeby wyszeptać jego imię i to ciche „Mal” wystarczyło, żeby nim wstrząsnąć; znowu ją objął. Tylko na chwilę. Żeby jej posmakować, dotknąć jej. Tylko póki jej obecność nie przywróciła mu siły.

Tyle czasu upłynęło, odkąd czuł się silny.

Odepchnęła go, mocno zarumieniona, z wargami czerwonymi od jego pocałunku. Pokręciła głową, a on otworzył usta, żeby coś powiedzieć – jeden, jedyny raz tylko z nią samą. Tutaj.

Sera nie dała mu szansy na wypowiedzenie pierwszego słowa. Nie zamierzała mu też dawać ostatniego. Uniosła brodę.

– Więc co, miałam upaść na kolana i podziękować ci, że raczyłeś ofiarować mi swoją miłość?

Zamarł z otwartymi ustami, niezdolny wydusić słowa. Wydawało się, że przy niej nigdy nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów. Zbyt często były kłamstwami, a jeśli akurat mówił prawdę, to nigdy niewystarczającą.

– Albo co? – ciągnęła. – Wyznać własne uczucia?

– To by mnie ucieszyło. I mógłbym ci przypomnieć, że przed paroma sekundami twój pocałunek też był wyznaniem.

– Pocałunki nigdy nie były naszą słabą stroną.

– Co zatem? – nalegał. Wiedząc, że nie powinien. Wiedząc, że musi. – Co nam się nie udało?

– A co się udało? – Rozłożyła ramiona. – Uczciwość? Zaufanie? – Słowa piekły jak lód. – Kiedy je tutaj zaprosiłeś? – Jego wahanie zdradziło jej prawdę, ale nie przestała. – Kiedy, Malcolm?

– Tego dnia, gdy zjawiłaś się w parlamencie.

Odwróciła wzrok, patrząc w stronę dworu, który wznosił się w oddali, niczym kłamstwo.

– Nigdy nie zamierzałeś dać mi rozwodu, prawda?

Oczywiście, że nie. Gonił ją po całym świecie. Nigdy w życiu nie był tak podniecony jak wtedy, gdy wpadła do parlamentu, niemal go podpalając.

– Nie.

– Dlaczego kłamałeś? Okłamałeś mnie? Te kobiety? Ich rodziny? – Podjęła na nowo, zanim zdążył odpowiedzieć. – Czy to była kara?

– Nie.

– Oczywiście, że tak. Ty jesteś kotem, a ja myszką. A ty potrafisz jedynie się ze mną bawić.

– Nie – powiedział, idąc ku niej z wyciągniętą ręką, jakby chciał ją złapać.

Odsunęła się, unikając jego dotyku, obejmując się ramionami, jakby chciała się przed nim bronić – jakby musiała się bronić – a Mal opuścił rękę, jakby się oparzył; nie chciał – nigdy – dawać jej czegoś, czego nie chciała przyjąć. Szukał odpowiednich słów, takich, które zmieniłyby wszystko. Prosto. Doskonale.

Jednak między nimi nic nigdy nie było proste.

– Mam ci powiedzieć, jak się czuję, Malcolm? – Czekał, więc ciągnęła: – Czuję gniew. Czuję się zdradzona. Czuję się okłamana i oszukana. Pamiętasz te uczucia, prawda? Niewątpliwie nie ukrywałeś ich nigdy przede mną.

Zrobił krok w jej stronę.

– Już nie.

Podniosła rękę, nie pozwalając mu się bronić.

– Sądzę, że to ironia losu, nieprawdaż? Oto znaleźliśmy się dokładnie w takiej sytuacji, w jakiej zaczęliśmy, jedno z nas w pułapce małżeństwa, którego nie chce. – To nie była prawda. W istocie, nie. Nie mogła być. Jednak przeszłość, którą przywoływała, bolała dotkliwie. – Tyle że tym razem to nie ty podajesz w wątpliwość moją uczciwość, tylko odwrotnie.

– O ile uczciwszy mogę się jeszcze okazać? – zapytał przygnębiony. – Kocham cię.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

– Przypuszczam, że wtedy także mnie kochałeś.

– Tak – przyznał. – Kochałem cię od początku, a ty nigdy w to nie wierzyłaś.

– Kiedy to było? Kiedy kradłeś mi pocałunki o parę stóp od reszty Londynu, co groziło mi utratą reputacji?

– Tak – powiedział ze ściśniętym gardłem.

– I gdy się ze mną kochałeś tutaj? W Highley?

– Tak… Sero…

– I kiedy zmusiłam cię do ślubu?

Był wtedy wściekły. Ale to i tak niczego nie zmieniło. Nie naprawdę.

– Tak.

– Nie wierzyłeś mi wtedy. Że cię kocham. Że boję się o swoje siostry i o siebie. Wszystko robiliśmy w ukryciu. I uwielbiałam to. Ale co by się stało, gdyby to wyszło na jaw? – Pokręciła głową. – Żałowałam tego, co się stało, już w tamtej chwili. Powiedziałam ci kiedyś, że zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym miała szansę. To nieprawda. Gdybym mogła cofnąć jeden dzień życia, to byłby tamten dzień. W Highley. – Spojrzała w bok, na konie, łąkę, majątek w pełnym słońcu lata. – Żałuję tego.

Skinął głową.

– Wiem.

Spojrzała na niego znowu – to było szczere, otwarte spojrzenie.

– Powiedziałam sobie, że zrobiłam to dla sióstr. Tylko dzięki temu nie oszalałam. Ale zrobiłam to także dla siebie. Dla siebie, kropka. Kochałam cię i sądziłam, że inaczej nigdy nie będę cię miała.

– Byłaś… – zaczął. Wyciągnął rękę, przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, ujął jej dłonie w swoje. – Przerastałaś moje marzenia. Taki kawał życia wierzyłem, że miłość jest niemożliwa, że gdy miałem ją na wyciągnięcie ręki, chciałem ją całą dla siebie, sam. I ta chciwość była moją zgubą. – Pokręcił głową. – Kochałem cię. Nigdy nie przestałem cię kochać.

Znowu uciekła wzrokiem.

– Wydaje się zatem, że miłość nie wystarczy.

Nienawidził tych słów, bo wiedział, dokąd zmierza. Pędzący powóz, którego nie sposób zatrzymać.

– Wystarczy.

Zaśmiała się gorzko, patrząc na wznoszący się na horyzoncie dwór.

– Jednak nie, Mal. Nadal nie znasz mnie na tyle dobrze, żeby zrozumieć prawdę. Wciąż widzisz tę samą dziewczynę sprzed tysiąca lat. Tę, która myślała, że kocha cię na tyle, żeby cię zdobyć. Która sądziła, że zdoła cię przekonać, żebyś jej wybaczył.

– Wybaczyłem ci – powiedział.

– Nie, ukarałeś mnie – odparła. – Ukarałeś mnie za to, że wciągnęłam cię w pułapkę, i nigdy nie uwierzyłeś, że chodziło mi tylko o ciebie, a nie o przeklęty tytuł, który wisi mi na szyi jak chomąto. – Przekleństwo wstrząsnęło nim, było świadectwem jej życia bez niego. Jej lat wolności. – Nie chciałeś mnie uwolnić, nawet jak przyszłam do ciebie, także ofiarując ci wolność. Ofiarując przyszłość. Nawet gdy byłam gotowa paść na kolana i błagać.

Ze wszystkich złych rzeczy, które ją spotkały za jego sprawą, tej wstydził się najbardziej.

– I to wszystko zanim wymierzyłeś mi najsroższą karę.

Nigdy sobie tego nie wybaczy – tego, że wykorzystał inną kobietę, żeby wywrzeć zemstę na własnej żonie.

– Nie mogę tego cofnąć. Mogę tylko powiedzieć, że…

– Wiem – przerwała mu. – Byłeś rozgniewany.

– To było coś więcej niż gniew. – Wyciągnął do niej rękę, próbując wyjaśnić. Cofnęła się; znieruchomiał. Jeśli nie chciała, żeby jej dotykał, nie miał zamiaru jej się narzucać. – Byłem wstrząśnięty. Nie powiedziałaś mi… Chryste, Sera. Miałem zostać ojcem.

Pokręciła głową.

– Nie chciałeś jej.

Stracił na chwilę oddech.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Ależ tak! Powiedziałeś, że nie chcesz życia ze mną. Nie chciałeś rodziny. Nie chciałeś dzieci.

– Myliłem się. Czułem tylko gniew i myliłem się. – Dodał pośpiesznie, jakby chcąc wszystko naprawić: – Chciałem tego życia. Chciałem dziecka.

Boże, jakże nawzajem zniszczyli swoje życie.

Nie ustępował:

– Chciałem tego dziecka i chciałem ciebie. Ale byłem zbyt rozgniewany, zbyt tchórzliwy, żeby to widzieć. Nigdy nie chciałem nikogo tak bardzo zranić, jak tamtego dnia. Myślałem, że to kłamstwo, to wszystko między nami.

Kiwnęła głową.

– Nie było.

– Ona też nie była kłamstwem.

– Nie, nie była. – Przesunął palcami we włosach, jedyne, co mógł zrobić, żeby jej nie dotknąć. – Sera, gdybym mógł to wszystko cofnąć…

Pokręciła głową.

– Nie. Nie możesz tego cofnąć, a nawet gdybyś mógł… Gdybyśmy zostali razem, coś innego by nas rozdzieliło. Nie rozumiesz?

Nie. Do diabła, nie rozumiał.

– Rzecz w tym – ciągnęła. – Nigdy nie było tak, żebym nie chciała twoich pocałunków, Mal. Nigdy nie było tak, żebym nie miała ochoty błagać o twoją pieszczotę. I nigdy nie miałam tego dość.

Nie miał pojęcia, dlaczego wybrał akurat ten moment, żeby jej wszystko powiedzieć.

– Byłem w Bostonie.

Nie spodziewała się tego zupełnie; to wyznanie poruszyło ją fizycznie, cofnęła się w stronę drzew.

– Co?

– Pojechałem za tobą.

– Kiedy?

– Natychmiast. – Mówił szybko, urywanym głosem, jakby się wstydził. – W dniu, w którym wyjechałaś. Ale nie zostawiłaś śladu.

Nie zgodziła się, ale on wiedział, że tak było. Nie wróciła do Londynu. Nie pożegnała się nawet z siostrami.

– Pojechałam do Bristolu.

Kiwnął głową.

– A potem do Ameryki.

– Jeśli wiedziałeś. – W jej głosie brzmiało niedowierzanie i niepewność. – Jeśli przyjechałeś do Bostonu… dlaczego mnie nie odszukałeś?

– Zrobiłem to, do diabła. – Odwrócił wzrok, gardło ściskało mu się z gniewu i żalu. – Znalazłem cię. To mi zabrało rok. Zacząłem w Europie. Przez całe miesiące goniłem za najdziwniejszymi pogłoskami, wiele usłyszałem od twoich wiedźmowatych sióstr, rzekomo widziano cię w dziesiątkach miejsc. Przebyłem całą drogę do Konstantynopola, zanim zawróciłem i przyjechałem z powrotem. A gdy znalazłem się w Londynie, brudny i wyczerpany, usłyszałem historię o pięknej Angielce w Bostonie. Śpiewaczce. Gołębicy.

Rozchyliła usta, widział jej zaskoczenie – ostateczny dowód, że Amerykanin nie zawiadomił jej o jego przyjeździe.

– Zanim zarezerwowałem miejsce na tym przeklętym statku, wiedziałem, że to ty. I znalazłem cię zaraz po tym, jak przybiliśmy do brzegu; poszedłem do hałaśliwej tawerny Calhouna i zrobiłem z siebie durnia, szukając ciebie. Słyszałem cię, do wszystkich diabłów. Słyszałem, jak śpiewasz i wiedziałem, że to ty. A jednak nosiłem w sobie tyle żalu i rozczarowania, że uciekłaś ode mnie i naszego życia, że uwierzyłem, kiedy mnie zapewnili, że to nie ty. – Znowu spojrzał w bok. – To nie było rozczarowanie. To był strach. Strach, że możesz nie wrócić. Że możesz nie chcieć wrócić. Strach przed tym, gdzie się znaleźliśmy.

Przez chwilę nic nie przerywało ciszy.

– Caleb wiedział, kim jesteś?

– Wiedział, że cię szukam. Ukrył cię przede mną… Ale najpierw złamałem mu nos – dodał, wspominając tę jedną jasną chwilę w ciemności.

Otworzyła szeroko oczy.

– Byłeś paniczykiem.

– Nigdy ci tego nie powiedział.

– Nie. – Widział szok w jej oczach, gdy powiedziała cicho: – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ty. Miałam… wielbicieli. Ustaliśmy sygnał. Schodziłam ze sceny, kiedy mężczyźni stawali się zbyt gwałtownie zainteresowani.

Miał ochotę kogoś w tym momencie zamordować, ale przełknął wściekłość.

– Nie wiedziałaś, że to ja.

Pokręciła głową.

– Nigdy mi nie powiedział. Gdybym wiedziała, to…

Odszukał jej wzrok.

– Co byś zrobiła?

Jedyny ruch wokół nich powodował letni wietrzyk, targając jej spódnicami, przyklejając je do jej nóg. Jakby jej ubranie znało prawdę, której ona przeczyła.

– Nie wiem, co bym zrobiła. – Uczepił się tych słów, niepewnych, ale szczerych. Nie powiedziała, że by go zignorowała. Nie powiedziała, że odesłałaby go, skąd przyszedł. – Należałeś do przeszłości, a ja nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

– Zostawiłaś mnie. – Rozłożył ręce. – Zostawiłaś mnie tutaj, żebym żył w przeszłości, zamrożony w czasie, pełen żalu, a sama uleciałaś w przyszłość.

– Pełen żalu, bo nie mogłeś mnie zdobyć – szepnęła. – Zawsze byłam nagrodą, Mal. Nawet gdy byłam karą.

Nie myliła się. Zgodziłby się na życie w cierpieniu za chwilę przyjemności z nią.

– Nie znalazłaś jednak przyszłości, prawda?

– Bo nie jestem wolna!

Może właśnie wspomnienie przeszłości kazało mu to powiedzieć. Może wspomnienie bolesnej tęsknoty za nią. Rozpaczy. Pragnienia, żeby ją znaleźć. Zdobyć na nowo. To nie miało znaczenia.

– Każdej chwili, w której ja cię nie uwalniam, odpowiada chwila, kiedy ty sama się nie uwalniasz. Myślisz, że tego nie widzę? Zawsze cię widziałem, Sero. Dla mnie występowałaś zawsze w żywych barwach. Lśniący szafir pierwszej nocy, gdy mnie znalazłaś. Szmaragdy, złoto, srebro i czerwień, Chryste, ta czerwień. Mam obsesję na jej punkcie. Czerwień tamtego popołudnia, kiedy tu przyjechałaś. Czerwień podczas przyjęcia w ogrodzie w Liverpoolu, gdy patrzyłaś jak królowa na to, jak niszczę nasze życie jak ostatni głupiec. – Przerwał, klnąc z rozpaczą.

– Nic nie zostało wtedy zniszczone – powiedziała.

– Nie. To się stało dużo wcześniej.

– Jeszcze zanim się spotkaliśmy.

Zadrgał mu mięsień w szczęce; zastanawiał się, co powiedzieć.

– Nie myśl ani przez chwilę, że nie widziałem cię, odkąd wróciłaś, że nie widziałem cię w równie żywych kolorach. W ołowianoszarym, ametystowym, lawendowym i dzisiaj, oberżynowym.

Zabrakło jej tchu.

– Nie.

– Zeszłej nocy powiedziałaś mi, że cię pochłaniam, spalam. Czy sądzisz, że mnie to nie niszczy? Nasza przeszłość? Że nie widzę, jak cierpisz? Z powodu obietnic, jakie kiedyś otrzymaliśmy od losu? – Przerwał i spojrzał ku drzewom. Miękkim jak jedwab głosem dodał: – Myślisz, że ja też nie jestem w żałobie?

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę drzew, na polankę, gdzie na środku, w blasku słońca, ukryto mały ogródek.

Puścił ją, patrząc, jak podchodzi do małego pomniczka na środku polanki. Do kamiennego anioła na postumencie, na którym wyryto dwa słowa: „Ukochanej córce”.

Cisza przeciągała się, w końcu nie mógł jej już wytrzymać. Ukucnęła, dotykając palcami napisu.

– Ty to zrobiłeś.

– Przyszedłem do ciebie po tym, jak to się stało. Z rękoma wciąż sztywnymi od mrozu. Z butami uwalanymi błotem i śniegiem. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że chcę zacząć od nowa. Spałaś, ale już nic ci nie groziło. Mówiłem sobie, że jeszcze jest czas, żeby cię zdobyć. Żeby cię kochać.

Spojrzała przez ramię, zachęcając go do mówienia.

– Przespałaś resztę następnego dnia. A jeszcze następnego wyjechałaś.

Skinęła głową; gdy się odezwała, mówiła głosem stłumionym przez łzy.

– Musiałam wyjechać.

– Wiem – powiedział. – Myślę, że się na pół spodziewałem, że cię nie będzie, kiedy przyszedłem po raz kolejny. Ale gdy odkryłem, że moja matka dała ci pieniądze, żebyś mogła uciec, oszalałem. Wyrzuciłem ją z domu. Nigdy więcej jej nie widziałem. – Podszedł i uklęknął obok niej. – Może lepiej, że cię wtedy nie znalazłem. Nie wiem, czy zdołałbym cię odzyskać. Twoje siostry to widziały. Wysłały mnie na wschód, podczas gdy należało udać się na zachód. Calhoun także ukrył cię przede mną jak kość przed psem. Oni wszyscy mogli mieć rację. – Dotknął swoją dużą, ciepłą dłonią jej szczęki. – Pragnąłem ciebie. Rozpaczliwie. Pragnąłem tego.

Nie powstrzymywała łez. Zamknęła oczy, bolesne wspomnienia były jak wykute w kamieniu.

– Styczeń jest dla mnie straszny.

– Wiem. – Dla niego także.

– Musiałam wyjechać. – Cierpiała, ta piękna kobieta. Nie pragnął niczego więcej, jak ulżyć jej w tym bólu.

Przyciągnął ją do siebie.

– Wiem.

– Nigdy nie będę jej miała. Ani żadnej innej.

Te słowa przyprawiły go o rozpacz.

– Wiem.

Sera trwała sztywno w jego objęciach całe wieki, z policzkiem przyciśniętym do jego ramienia, z rękami po bokach. Jedyny ruch powodował u niej krótki, urywany oddech. Tak jak u niego.

A potem poddała się, przywierając do niego, przekazując mu swój ciężar, ból, siłę i smutek. Trzymał ją, pozwalając opłakiwać przeszłość – przeszłość, która jemu także sprawiała ból.

Przeszłość, którą w końcu oboje opłakiwali – wspólnie.

Jego łzy płynęły, tak jak u niej – z żalu i smutku, ze zrozumienia, że przeszłości nie da się zmienić. Że przyszłość jest możliwa tylko, jeśli sobie wybaczą.

Jeśli ona zdoła mu wybaczyć.

Jeśli on zdoła wybaczyć sobie.

Tak więc robił to, co był w stanie robić – trzymał ją w ramionach przez długie, wypełnione smutkiem minuty, aż się uspokoiła, a ich łzy zaczęły płynąć wolniej i nic nie zostało między nimi, tylko słońce, letni wietrzyk i wspomnienia. Odsunął się na tyle, żeby na nią spojrzeć, żeby objąć jej twarz – piękniejszą niż kiedykolwiek – mokrą od łez i naznaczoną bólem – i spojrzeć jej głęboko w oczy.

– Spóźniłem się, Aniele – powiedział niemal błagalnym tonem, nie wstydząc się tego. – Zawsze zjawiałem się za późno. Zawsze mi umykałaś, a ja za tobą tęskniłem. Nie zamierzałem spędzać lata w Highley, Sero. Miałem cię znowu szukać. Nigdy nie przestanę za tobą tęsknić. – Pocałował ją, długo, delikatnie; pocałunek był jak balsam.

Zawsze była jego balsamem.

Oderwał od niej usta i przywarł czołem do jej czoła, ciesząc się jej przeciągłym westchnieniem – jakby latami czekała na ten moment. A czy on na niego nie czekał?

– Nie każ mi dzisiaj za sobą tęsknić – szepnął.

Zamknęła oczy i przez chwilę poczuł niepokój. Że nie czuje tego, co on – że są dla siebie powietrzem, pożywieniem.

A potem otworzyła oczy. Zobaczył w nich tę samą potrzebę.

Potrzebowali siebie nawzajem.

Podniósł ją w ramionach, żeby zabrać do domu.

22. Da się uratować małżeństwo? Być może

Nie rozmawiali w drodze do domu i Sera była za to wdzięczna, wdzięczna za to, że może siedzieć na kolanach Malcolma; jego zapach – zapach świeżej ziemi i przypraw otaczał ją wraz z jego silnymi ramionami jak obietnica. Wiedziała, że nie ma sposobu, żeby spełnić tę obietnicę.

Ich obietnice nigdy się nie spełniały.

Nawet teraz, kiedy tulili się do siebie i tylko ruchy konia przypominały im, że istnieje jakiś świat dookoła.

Odwróciła twarz do jego piersi, uwielbiała jego ciepło i siłę, które czuła w tym miejscu; uwielbiała też to, jak przyciągnął ją mocno do siebie, przyciskając usta do jej skroni i szepcząc jakieś słowa w jej włosy, które unosił wiatr.

Nie martwiła się, że ulatywały – tak było lepiej – inaczej mogłaby je pokochać. I mogłaby pokochać jego. Ale nie było na to miejsca. Wszystko, co kiedyś kochała, uległo zniszczeniu. Miała więc dość rozsądku, żeby tym razem nie ulec emocjom. Kochali się na początku, a jednak to ich nie uchroniło przed walką. Zawsze by ze sobą walczyli. To zawsze była gra. I nigdy się nie kończyła.

Ale tego popołudnia, kiedy wrócili do przeszłości, wyznając swoje grzechy i żale, wydawało się nie mieć znaczenia, że miłość w przyszłości

nie jest dla nich możliwa. Liczyło się tylko to, że zdołali się nawzajem zrozumieć.

Właśnie to porozumienie kazało im wrócić do Highley; Malcolm skierował się do tylnego wejścia, pomógł jej zejść z konia i poszedł za nią bez słowa i bez wahania, a potem wziął ją za rękę i poprowadził przez kuchnie, nie zwracając uwagi na służbę, która udawała, że ich nie widzi, kiedy szli tylnymi schodami i dalej długim, ciemnym korytarzem do jego pokoi. Do ich pokoi.

Wciąż w milczeniu, jakby słowa uwolniły wszystko inne – wątpliwości, strach, walkę, świat na zewnątrz. Ale tutaj, w ciszy, gdy weszli do jego sypialni, a on zamknął za nimi drzwi, byli tylko oni dwoje. Wreszcie sami.

Wreszcie razem.

Tylko raz.

Stanęła na środku pokoju, serce biło jej gwałtownie; wiedziała, że powinna przemówić. Wiedziała, że powinna przypomnieć im obojgu, kim i gdzie są i co ich czekało w przyszłości.

Kiedy się jednak do niego odwróciła – stał oparty plecami o drzwi, patrząc jej prosto w oczy – nie miała już ochoty mówić. Chciała tylko dotykać. Tylko kochać.

Tylko raz.

Wyciągnęła do niego ręce.

Szedł już w jej stronę, ale nie zrobił tego, czego się spodziewała. Nie przejął inicjatywy, nie rozpalił jej pocałunkami, pozbawiając tchu namiętnością, która tak często pochłaniała ich oboje. Zamiast tego padł na kolana, schylając głowę ku ich złączonym dłoniom – rycerz składający hołd królowej.

I na kolanach obsypał pocałunkami ich splecione palce, szepcząc jej imię, aż nie mogła już tego wytrzymać; ujęła jego twarz w dłonie, podnosząc ją ku sobie i patrząc mu w oczy. Uklękła naprzeciwko niego.

Pocałował ją wówczas. Wsunął palce w jej włosy i rozsypał szpilki, obsypując pocałunkami jej policzek, szczękę, wargi. Oddawała pocałunek za pocałunek, pieszczotę za pieszczotę, wygłodniała, stęskniona.

Ich pocałunek był piękny i uczciwy – wcale nie gorączkowy czy gniewny. Wyszeptał jej imię. Ona westchnęła, szepcząc jego imię.

Odsunął się na chwilę, żeby szepnąć:

– Kocham cię.

I po raz pierwszy od jakże dawna pozwoliła się unieść chwili. Dzielili te same smutki i przyjemności, przeszłość i teraźniejszość; przyjmowała wszystko, co jej dawał, jakby nie istniało nic poza tym.

To było wspaniałe.

Zacisnął palce na jej kibici, przyciągając ją do siebie. A może to ona go przyciągnęła. Po dniach i tygodniach gonitwy, walki, udawania, że go nie chce, cudownie było spotkać się tutaj, na kolanach, na środku ich pokoju.

Tylko raz.

Uniósł jej brodę i przywarł ustami do jej policzka, muskając wargami jej ucho, szczękę, szyję… Wsunęła palce w jego miękkie włosy, przytrzymując go.

Podniósł głowę i znowu ją pocałował, przeciągle, z pasją, jakby całe życie całowali się i mieli drugie takie życie przed sobą. Nie ustępowała mu ani kroku.

– Mal – szepnęła; to było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała, odkąd posadził ją na koniu i przywiózł do domu. Znieruchomiał, a potem – dobry Boże – zadrżał, jakby jego imię na jej ustach sprawiło mu w tej chwili niewyobrażalną rozkosz.

To było całkiem możliwe, jako że ona czuła to samo.

– Powtórz to – powiedział.

Posłuchała, szepcząc jego imię przy jego ustach, póki nie ucichło w kolejnym szalonym pocałunku. Tym razem jego dłonie zajęły się rozpinaniem jej stroju do konnej jazdy, zrzucając go na podłogę. Podniósł

ją, wstając, obrócił, przyciskając usta do jej szyi i rozpinając guziczki na plecach.

Pozbywszy się sukni, zabrał się do gorsetu, pociągając za sznurówki. Została w końcu jedynie w pończochach.

Powinna poczuć zmieszanie, kiedy się do niego odwróciła, ale zachwyt na jego twarzy był czymś, czego wcześniej nie doświadczyła i chciała tylko się nim napawać. Napawać się nim.

Wyciągnął rękę, zatrzymując ją o cal od jej skóry, ze wzrokiem przykutym do jej nagiego ciała – jak się wydawało – przez wieczność. W końcu szepnęła jego imię, pełna dumy i satysfakcji.

Spojrzał jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

– Czy zamierzasz mnie dotknąć?

Zaklął i poruszając się płynnie i szybko, podniósł ją, zaniósł na łóżka i położył. Za chwilę zrzucił marynarkę, krawat, wyciągnął koszulę ze spodni, rozrzucił ubranie po pokoju.

Położył się na niej, wciskając ją w materac; czuła jego cudowną, ciepłą pierś, a szorstkie włoski na niej drażniły te wszystkie miejsca, które trwały w napięciu cały dzień. Całe życie.

Rozsunęła nogi. Tyle czasu minęło. Uniosła biodra. Jej ciało tęskniło za nim. Dopominało się o niego – jak o należną daninę.

Poruszali się we wspólnym rytmie.

– Proszę – szepnęła. – Mal.

– Wszystko, czego pragniesz. Mów.

Poprosiła o jedyną rzecz, jakiej chciała, odkąd się spotkali.

– Chcę nocy poślubnej.

Powiedziała to, zanim wyobraziła sobie, jakie to wywrze wrażenie na nich obojgu. Zamarł nad nią, szczerość jej słów, obietnica chwili, wspomnienie przeszłości – to wszystko, co było, zawisło teraz między nimi.

Ciągnęła, jakby nie mogąc się powstrzymać.

– Wzięliśmy ślub, ale nigdy nie byłam twoją panną młodą, Mal.

Oczywiście, na to było za późno. Nie była niewinną dziewicą, tamtej nocy także nie. Ale go pragnęła. Chciała tej nocy, z nadziejami i obietnicami, które nigdy nie miały się urzeczywistnić.

Pragnęła fantazji.

Otworzył usta, ale ona już się przeraziła tym, co mógłby powiedzieć. Więc, aby na to nie pozwolić, wsunęła mu rękę we włosy, pieszcząc potem jego kark, i poruszyła biodra, rozpalając jego pożądanie.

– Chcę tej nocy – szepnęła.

Może potem znajdzie w sobie odwagę, żeby odejść.

Odsunęła od siebie tę myśl, całując go znowu, naśladując jego długie, powolne pocałunki, które sprawiały, że miała ochotę poddać się jego woli. Cudowne, oszałamiające uczucie – świadomość, że on zrobi to samo dla niej… odsunął się od niej nagle i usiadł na brzegu łóżka, tyłem do niej. Żebra poruszały mu się z wysiłku.

Nie.

Nie zamierzał jej zostawić. Nie po tym popołudniu. Nie po swoich wyznaniach. Nie po tym, jak ją rozebrał i ułożył na łóżku, budząc w niej bolesne pożądanie.

Uklękła za nim.

– Mal?

Schylił głowę i ukrył twarz w dłoniach, oddychając ciężko.

– Mal…

– Czy to ma znaczenie?

Nie patrzył na nią, kiedy to mówił, i przez chwilę nie rozumiała, co ma na myśli.

– Ja nie…

Odwrócił się, jego piękne oczy stały się niemal czarne pod wpływem wzburzenia.

– Ja nie chcę cię tylko posiąść fizycznie, chcę cię kochać.

Rozchyliła wargi. Te słowa powinny ją zaszokować, nie podniecić. Sprawiły jednak, że zapragnęła go jeszcze mocniej.

– Czy nie mogę mieć jednego i drugiego? – zapytała.

– Boże dopomóż, nie sądzę, żebym zdołał się powstrzymać – powiedział; usłyszała w jego głosie gorycz. – Myślę, że mogłabyś mi powiedzieć, że to nie ma znaczenia. Mogłabyś powiedzieć, że to w ogóle nic nie znaczy, a ja i tak bym to zrobił. Nigdy nie byłem w stanie ci się oprzeć.

Pokręciła głową.

– Nie musisz.

Nie dokończyła. Ty się liczysz. To się liczy.

To nigdy nie ulegało wątpliwości.

Przez długą chwilę myślała, że jednak na tym poprzestanie. Potem poruszył się, schylając, żeby zdjąć buty, zanim wstał, po czym rozpiął i zsunął spodnie, stając przed nią nagi i piękny.

Odczuła rozkoszną przyjemność na ten widok.

– Jesteś piękny – powiedziała. – Zawsze byłeś. Od chwili, gdy cię zobaczyłam po raz pierwszy.

Zaczerwienił się, jakby nigdy przedtem nikt księciu Haven nie powiedział, że jest przystojny. Wyciągnął do niej ręce, ale pokręciła głową, chcąc patrzeć, dostrzec wszystkie szczegóły jego ciała.

– Poczekaj – szepnęła. Czekał napięty, mięśnie mu drgały.

Klęczał z rozsuniętymi nogami.

Niemal wyskoczył ze skóry, kiedy go dotknęła; przesuwała palcami po jego piersi, badała zagłębienia i wzniesienia jego ciała, cieszyła się jego urywanym oddechem.

Chwycił ją za rękę.

– Nie.

Spojrzała na niego, wysuwając dłoń z jego uścisku.

– Tak.

Podniosła się na kolanach, całując go długo i wolno.

– Mówiłeś, że dasz mi wszystko, o co poproszę.

Jęknął.

– Jesteś zbyt dobra w tej grze.

Teraz ona z kolei pokręciła głową.

– To nie gra, Mal. To jest coś, co nam się należy. – Zsunęła rękę niżej, oboje westchnęli, kiedy go dotknęła. – Pokaż mi – szepnęła.

Zrobił to – bez wstydu, owijając dłoń wokół jej dłoni i pokazując, jak lubi być dotykany. Pochyliła się, muskając wargami jego pierś, dłońmi ucząc się, jak dawać rozkosz. W końcu powstrzymał ją jękiem:

– Dosyć.

Nie przestała, patrząc mu w oczy, więżąc jego wzrok.

– Nie chcesz tego?

Roześmiał się.

– Pragnąłem tego przez trzy lata, kochana. Dłużej.

Głaskała go, zachwycona tym, jak reagował, i tym, jak nad nim panowała.

– Tak samo jak ja. Pragnęłam więcej niż tego.

Brała go w posiadanie dłońmi, ustami, oddechem, znaczyła, jako swojego, tak że w pewnej chwili szepnęła:

– Mój.

– Tak – odparł bez wahania. – Na zawsze.

Zignorowała to ostatnie, wiedząc, że to nieprawda, ale chcąc w to w tej chwili wierzyć. Smakowała go z zapałem językiem, czując sól i słodycz, które nagle uderzyły jej do głowy. Jęknął, ściskając ją mocniej za ramiona.

Uśmiechnęła się.

– Pokaż mi, co lubisz, mężu.

To słowo nim wstrząsnęło, podobnie jak nią samą; stracił panowanie nad słowami, klnąc i modląc się jednocześnie; ona zaś nie pragnęła niczego poza tym, żeby dać mu rozkosz i dostać ją od niego.

Czasami wyobrażała sobie, jak jest z nim, wyobrażała sobie, jakby to było doprowadzać go do szaleństwa, do kresu wytrzymałości. Wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby oboje zatracili się całkowicie w rozkoszy, żeby potem odszukać siebie nawzajem. Noc po nocy. Tak jak powiedział.

Nie było jednak „na zawsze". Miała tylko „teraz".

Zacisnął dłonie w jej włosach, jęknął – tym razem głośniej, rozpaczliwiej.

– Sera, Aniele… ja nie mogę… – Przerwał, oddychając ciężko. – Kochana. Czekałem zbyt długo. Chcę być z tobą, kiedy to się ziściło.

Słowa, uczciwe i piękne, kazały jej się zatrzymać; puściła go, obejmując wzrokiem jego ciało, chcąc zapamiętać.

– Ja też chcę być z tobą – szepnęła, podnosząc się na kolana i całując go. – Chcę ciebie całego. Bez wahania. Bez strachu. Bez smutku.

– Tak. – Przyciągnął ją do siebie – Boże, tak. Cokolwiek zechcesz.

Znowu te słowa. Takie inne od tego, co ofiarował jej dawno temu. Takie innego od tego, o co kiedyś prosiła.

– Chcę ciebie.

Podniósł ręce, obejmując jej twarz, trzymając ją nieruchomo, tak żeby mógł na nią patrzeć.

– Masz mnie. – Tak zwyczajnie. Tak uczciwie. Tak późno.

Łzy ją zakłuły pod powiekami na wspomnienie przeszłości. A gdyby ofiarował jej siebie lata wcześniej? Gdyby zyskali wtedy drugą szansę?

– Kocham cię – szepnął.

A jeśli mieli szansę teraz?

Ale nie mieli. Nie było sposobu, żeby uwolnić się od przeszłości. Zapomnieć o tym, jak walczyli ze sobą. I nie sposób było zapomnieć najprostszej prawdy: ich szansa na wspólne życie przepadła w styczniowym śniegu przed trzema laty.

Pocałowała go, ponieważ nie potrafiła znaleźć innej odpowiedzi.

Nie chciała o niej myśleć.

Cofnął się niemal natychmiast, wciąż przywierając do niej ustami, jakby wiedział, o czym myśli, i chciał o tym dyskutować.

– Sera – powiedział; usłyszała w głosie, co zamierza.

Pokręciła głową.

– Nie teraz, Mal. Nie tutaj. Nie teraz, gdy tak długo czekałam. I ty także.

Położyła się, zginając jedną nogę w kolanie, rozkładając ręce.

Oczy mu rozbłysły pożądaniem, zacisnął usta.

– Potem.

Skinęła głową.

– Potem.

Obiecałaby mu wtedy wszystko. Wszystko, byle zrobił to, co miał zrobić.

Ułożył się na niej, tak jak chciała. Całym ciałem na jej ciele.

Pragnęła go. Natychmiast.

Chciała każdą chwilę wyryć w pamięci.

Na zawsze.

– Mal – szepnęła. – Kocham cię.

Te słowa sprawiły, że oboje poddali się ostatecznie rozkoszy, tracąc resztki kontroli.

Po raz pierwszy, odkąd go zostawiła, Sera odnalazła spokój.

Opadli na siebie, dysząc ciężko; ich oddechy stapiały się ze sobą, zatarły się granice między nimi. To nie miało znaczenia. Sera chłonęła tę cudowną chwilę, kiedy nie wspominali bolesnej przeszłości ani nie łudzili się obietnicami na przyszłość, a trwali jedynie w tym, co teraz działo się między nimi.

Minęły długie minuty, zanim ich oddechy się uspokoiły, a Sera wróciła do rzeczywistości. Przypominając sobie obietnicę, którą sama sobie złożyła – że potem wyjedzie.

Ponieważ nic się nie zmieniło.

Była zbyt oszołomiona nim, dotykiem jego ciała, niewypowiedzianymi obietnicami. Nawet teraz, kiedy tulili się jak partnerzy, jak kochankowie,

jakby przyszłość do nich należała, męczyła się, żeby się w tym odnaleźć.

„Kocham cię”.

Zwolnił objęcia, pocałował ją mocno i długo, po czym ułożył na łóżku, w zagłębiu swojego ramienia, szepcząc w jej włosy:

– Chcę, żebyś była moja. Chcę ciebie na zawsze. I, niech to diabli, mam cię. Miałem cię cały czas. Nigdy nie powinienem był się wahać. Powinienem dać ci wszystko. Tytuł, małżeństwo, wszystko. Chcę tego. Dać ci to wszystko, na co zasługujesz.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że można tak bardzo kochać i jednocześnie nienawidzić, jak kochała te słowa i równie mocno ich nienawidziła. Chciała wziąć wszystko, co ofiarował, bez wahania. Łaknęła obietnicy czegoś nowego, świeżego, niezbrukanego przeszłością. A jednak nie mogła zaufać losowi. Piękno w jej życiu zawsze szybko traciło swój blask.

Nie mogli zacząć od nowa. Nie mogli zatrzeć przeszłości ani zmienić przyszłości. Nie mogli ulegać złudzeniom. Mogła po prostu zamknąć drzwi i dać im obojgu szansę na nowe życie.

Mogła mieć Wróbelka i wolność, jaką jej zapewniał. On zaś mógł założyć rodzinę i dostać miłość, na jaką zasługiwał. Poczuła łzy pod powiekami i nic nie mogła zrobić, jak tylko wtulić twarz w jego pierś, żeby je przed nim ukryć.

Ukrywała się przed nim jak zawsze.

Ponieważ zawsze był w stanie ją przejrzeć.

Westchnęła; w pokoju ściemniało się szybko i przyszło jej do głowy, że przegapili kolację. Że matki i córki, stanowiące część jego wymyślnego podstępu, znowu poczują się urażone.

Przywarła uchem do jego piersi, słuchając, jak jego oddech się uspokaja. Wyrównuje. Aż zasnął.

Leżała nadal, kołysana własną miłością do niego. Owładnęła nią tak samo jak przed laty. Pamiętała, co się wtedy stało. Bała się, co mogłoby się stać, gdyby znowu pozwoliła sobie go kochać.

Bała się pokusy.

Dopiero wtedy mu odpowiedziała, szepcząc tuż przy jego ciepłej skórze, do ramienia, które otaczało ją ciasno, nawet kiedy spał. Do łóżka, które powinno być ich łóżkiem, w ich domu, gdzie mieszkałaby rodzina, jakiej nigdy nie będą mieli.

– Nie kochaj mnie, Mal. Nie ma dla nas przyszłości.

Zrozumienie tej prawdy kazało jej przebyć ocean i wkroczyć do parlamentu. Straciła wszystko, co kiedyś kochała – dziecko, rodzinę, swoje życie. Jego.

Najpierw uganiając się za nim, a potem od niego uciekając. Może to było tchórzostwo – czekać, aż zaśnie, żeby powiedzieć prawdę. Nie, może. To było tchórzostwo. Powstałe z gniewu, nieznośne. Ale kim była, jeśli nie sumą swoich wad?

Przynajmniej, jeśli ucieknie, oboje zyskają szansę na wolność.

23. Déjà vu?
Księżna znika (część druga)

Mal obudził się na dźwięk głośnego pukania do drzwi sypialni. Usiadł, nieco zaniepokojony ciemnością panującą w pokoju – nie mając pojęcia, jaki to dzień i godzina, odurzony snem. Od wieków nie spał tak mocno. Trzy lata. Dłużej.

Może nigdy nie spał tak dobrze, bo nigdy nie spał przy niej.

Instynktownie wyciągnął rękę, rozczarował się odkryciem, że znowu jest sam i dotyka tylko chłodnej pościeli.

Mruknął cicho i spojrzał w okno – gęsta ciemność na dworze wskazywała, że przespał wiele godzin. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, chcąc wstać tylko z jednego powodu – znaleźć ją i wciągnąć z powrotem do łóżka. Kochać się z nią i tulić ją w ramionach we śnie aż do świtu. Świtu za tydzień od tej chwili, jeśliby to się okazało możliwe.

Pukanie rozległo się ponownie, gwałtowne i niecierpliwe.

Mal narzucił szlafrok i podszedł do drzwi. Zamknął je, kiedy weszli tam oboje, nie chcąc ryzykować, że ktoś im przeszkodzi, a Sera pewnie wymknęła się przez drzwi łączące ich pokoje. Był w połowie pokoju, gdy pukanie rozległo się znowu.

– Tak! Idę! – Niemal wrzasnął, choć próbował się powstrzymać, zdając sobie sprawę, że powód jego irytacji – to, że obudził się sam, nie wiedząc,

co się z nim dzieje – nie jest winą osoby, która stała po drugiej stronie drzwi.

Najwyraźniej była to jakaś pilna sprawa, niech to diabli.

Otworzył gwałtownie drzwi.

– Co jest? – Pytanie zamarło mu w gardle na nieco dziwny widok na korytarzu. Trzy pozostałe jeszcze kandydatki do jego nieosiągalnej ręki stały porozstawiane w mrocznym korytarzu, jedna zdawała się bardziej z tego powodu nieszczęśliwa od drugiej. Inaczej niż ich matki, widocznie przejęte jakimś tajemniczym planem, który właśnie wprowadzały w życie, a który obejmował udział lorda Brunswicka, dwa psy lady Bumble i – z jakiegoś powodu – kota Sesily.

Kiedy w drzwiach ukazał się niekompletnie ubrany Mal, towarzystwo zareagowało w sposób wieloraki: dwie spośród matek natychmiast ruszyły, żeby zasłonić córkom nieprzyzwoity widok, podczas gdy córki usiłowały zarazem zachować niewinny wyraz twarzy i dobrze się Malowi przyjrzeć, a ostatnia dziewczyna – lady Felicity Faircloth, naturalnie – przyglądała mu się z nieukrywanym rozbawieniem, pomimo matczynych słów:

– Dobry Boże, Felicity, nie patrz!

Felicity patrzyła; Mal zauważył, że trzyma kota, który zamrugał i wydał z siebie niski pomruk.

Cóż, nigdy się nie zaprzyjaźnili, on i kot.

Co do barona Brunswicka, to można się było domyślić, że wydelegowano go, żeby zapukał, natomiast reszta go nie interesowała. Mężczyzna zamrugał, cofnął się o krok, obrzucił Mala spojrzeniem od góry do dołu i powiedział:

– W porządku, Haven? Przeszkodziliśmy ci?

– Owszem, raczej tak.

Przyszło Malowi do głowy, że arystokracja dużo pracy wkłada w oszukiwanie innych co do tego, jak się czują, tak że teraz, kiedy odpowiedział szczerze, nikt z obecnych nie wiedział, jak się zachować.

Cóż, prawie nikt. Po krótkiej chwili milczenia lady Lilith i lady Felicity wybuchnęły śmiechem.

Mal zanotował w pamięci, żeby zrobić wszystko, żeby znaleźć dziewczętom dobre partie, jak tylko wrócą do miasta. Razem z Serą zaproszą je na kolację. Przedstawią je wszystkim bogatym arystokratom w mieście.

Przez chwilę pochłonęła go ta przyjemna myśl. Myśl o życiu w mieście i na wsi, wspaniałym, radosnym życiu, o kolacjach z przyjaciółmi, po których będą wracać do sypialni, żeby kochać się do rana.

Przypomniał sobie, że właśnie dlatego musi się pozbyć tych ludzi stojących na progu jego pokoju.

– Cóż – odezwał się baron, jakby wszystko było w doskonałym porządku. – Czy zechciałbyś, to jest, czy mógłbyś włożyć spodnie?

Mal nie poruszył się.

– Wyobrażam sobie, że sprawa, która sprowadza gości pod drzwi pana domu, musi być niezmiernej wagi – oznajmił przeciągle – nie śmiałbym kazać gościom czekać dłużej z jej wyłożeniem.

Przez chwilę wydawało się, że nikt mu nie odpowie. A potem matka Felicity wystąpiła naprzód, najwyraźniej gotowa poświęcić dla córki własną reputację.

– To zatem skończone? – zapytała.

Mal zamrugał.

– Mój sen? Tak.

Zebrani chrząkali przez chwilę, ale markiza Bumble okazała się nieustraszona. W istocie jasne było, po kim jej córka odziedziczyła ostry język.

– Konkurs. Wybrałeś żonę.

– Wybrałem, rzeczywiście. – Nie bardzo rozumiał, co w tej sytuacji takiego naglącego. Mógł się tylko domyślać, że Lilith i Felicity opowiedziały pozostałym, co zaszło między nim a Serą w wieży.

Lady Brunswick parsknęła niechętnie.

– Widzicie? Mówiłam wam, że to koniec – warknęła na córkę. – Mówiłam ci, że traktuje cię chłodniej. Trzeba było bardziej się starać.

Mal nie przejął się słowami baronowej, podobnie jak tym, że wydawała się obwiniać lady Emily o to, że wybrał miłość do własnej żony, rezygnując całkowicie z szukania następczyni. Dziwne, że dziewczyna nie jadała zup, ale nie był to powód, żeby odnosić się do niej okrutnie. Zaproszą ją na kolację wraz z Lilith i Felicity. Z pewnością znajdzie mężczyznę, który nie przywiązuje wagi do płynnych pokarmów.

– Zapewniam cię, lady Emily, przyjemnie było mi cię poznać.

Lady Brunswick ciągnęła, jakby się nie odezwał.

– Nic dziwnego, że Siostry Smoluchy wyniosły się tak szybko, ale można by się spodziewać, że zawiadomisz nas o tym, że wybrałeś następczynię, tak żebyśmy nie zostali sami przy wieczornym posiłku, czekając, aż ogłosisz swoją decyzję.

Znieruchomiał, podczas gdy ona mówiła dalej:

– Zamiast tego poszedłeś do łóżka w środku dnia! Krzyżyk na drogę tobie i Niebezpiecznym Córkom. Nasza rodzina zasługuje na coś lepszego. – Ujęła Emily pod rękę. – Chodź, Emily.

Emily miała minę, jakby chciała, żeby ziemia ją pochłonęła, ale Havena to nie obeszło.

Podniósł ręce, żeby uciszyć pozostałych.

– Co powiadacie? Wyjechały?

– Jak złodzieje! Wymknęły się w środku nocy! – parsknęła gniewnie baronowa.

Inne matki wtrąciły się do rozmowy.

– Przed godziną. Siostry Talbot wsiadły do powozu i odjechały.

– Sesily zostawiła kota – dodała lady Felicity, jakby to miało znaczenie.

Nie miało – przez chwilę. Po czym Lilith, cichym i poważnym tonem, jakby zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów, dodała:

– Śpieszyły się bardzo.

Wyjechały.

Ale z pewnością nie Sera. Nie po tym, czego doświadczyli tego popołudnia. Nie po tym, jak obiecali sobie porozmawiać. „Potem”, jak powiedziała Sera.

Pokręcił głową, spoglądając od Felicity do Lilith i w drugą stronę.

– Wszystkie?

– Oczywiście, że wszystkie! – zaskrzeczała baronowa. – Dostały, czego chciały, te wariatki! – Zwróciła się do córki: – Chodź, Emily, musimy się wyspać, bo jutro zaczynamy nasze starania na nowo. – Klepnęła męża po ramieniu. – Ty też, baronie.

Baron skrzywił się, ale posłuchał; Mal przynajmniej uznał, że posłuchał. Nie stał dalej w progu, tylko zakręcił się na pięcie i pobiegł do drzwi łączących jego sypialnię w pokojami Sery.

Wpadł do środka, na wpół spodziewając się, że znajdzie ją w łóżku, śpiącą. Albo przy toaletce, rozpinającą haftki przy sukni. W fotelu, przy pustym kominku, pogrążoną w lekturze. Śmiejącą się wraz z siostrami. Cokolwiek.

Nie znalazł jej jednak. Pokój był ciemny i pozbawiony jej obecności.

Zostawiła go.

Wszedł głębiej, żeby zbadać zawartość szafy; była pełna jej rzeczy – sukni w dziesiątkach odcieni fioletu, stosu pantofli. Na toaletce – puder i szczotki do włosów, szpilki i błyskotki, bransoletka, którą nosiła podczas gry w bule. Kolczyki, które pamiętał z jakiejś kolacji.

Zostawiła go, i to w pośpiechu.

Niech to diabli, powiedziała, że go kocha, i uciekła z domu, jakby sam Lucyfer deptał jej po piętach. Niczym Merope i Plejady, uciekające pod postacią gołębic. A Malcolm, jak ślepy i zrozpaczony Orion, znowu był zmuszony za nią gonić. Jak ostatni głupiec.

Stłumił krzyk wściekłości i podszedł do okna, otworzył je, wpuszczając letnią bryzę. Pokój wychodził na podjazd, długą drogę, która dochodziła do głównej drogi, a ta z kolei do pocztowej arterii wiodącej do Londynu.

Nie było śladu powozu, żadnego migającego światełka w oddali, niczego, co by wskazywało, że kiedyś tu w ogóle była.

Położył ręce na parapecie, ściskając mocno, aż kamień i drewno wbiły mu się w dłonie, i zaczął szeptać jej imię z wściekłością, rozpaczą i miłością, jakie go przepełniały.

Zostawiła go jak ostatni tchórz.

A potem zaświtała mu myśl, zimna, wyraźna i przerażająca. A jeśli znowu uciekła?

Wyprostował się gwałtownie. Nie uciekłaby znowu. Nie tak jak poprzednio. Tym razem wyjechała z siostrami. Nie dałyby jej wyjechać, prawda?

Zadźwięczały mu w uszach słowa, wspomnienie dnia, kiedy weszła do parlamentu i poprosiła o rozwód, którego nigdy nie zamierzał jej dawać. „Nie muszę tego nieszczęsnego związku ciągnąć. Nie mam nic do stracenia”.

Żadnego powodu, żeby nie uciekać. Nic do stracenia.

Rzeczywiście nie miała nic do stracenia. Dopilnowała tego. Wróciła do Londynu pod ramię z Amerykaninem, z którym łączyła ją przyjaźń, nic więcej. Śpiewała w tawernie. Podawała whisky jako kto? Dama barmanka? Miała pieniądze – swojego ojca i jego matki i nic jej nie wiązało z Londynem.

Ale miała jego, do wszystkich diabłów.

– Powiedziała, że mnie kocha! – Chrapliwy, urywany szept przeciął ciemność, zamknął oczy, zaciskając pięści po bokach. – Jak mogła mnie zostawić?

„Miłość nie wystarczy”.

– Wasza wysokość?

Odwrócił się, z sercem pod gardłem, żeby stanąć twarzą w twarz z lady Felicity Faircloth; stała w drzwiach z lampą w jednej i przeklętym kotem Sesily w drugiej ręce. Pokręcił głową, żeby się otrzeźwić. Nie miał czasu dla tych dziewcząt.

– To nie było naprawdę, lady Felicity – powiedział. – To był podstęp.

Skinęła głową.

– Wiem, każdy, kto ma oczy na właściwym miejscu, widział, że ty i księżna istniejecie tylko dla siebie i dla nikogo innego.

– Sądzę, że chcesz powiedzieć: każdy z wyjątkiem księżnej. – Nie zdołał stłumić przygnębienia w głosie.

– Myślę, prawdę mówiąc, że ona też to widzi – odparła. – Ale daleka jestem od tego, żeby się do tego mieszać.

– Stoisz w mojej sypialni, trzymając kota siostry mojej żony, więc raczej już się wmieszałaś – zauważył.

Kiwnęła głową z lekkimi uśmiechem na ustach.

– To może być prawda.

– W gruncie rzeczy nie przychodzi mi do głowy bardziej niestosowna sytuacja niż twoja obecność w mojej sypialni, z kotem siostry mojej żony na rękach.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Czy zamierzasz mnie zdeprawować w jakiś sposób?

– Nie.

– Cóż, sądzę zatem, że jestem zupełnie bezpieczna. Ponadto wydaje się, że kot cię nie lubi.

Mal spojrzał na białe stworzenie, sprawiało wrażenie doskonale zadowolonego w ramionach Felicity Faircloth.

– Prawdę mówiąc, przypuszczam, że osiągnęliśmy raczej stan zawieszenia broni.

Kot zamiauczał.

– Och, tak, można przyjąć, że tak jest w istocie. – Przerwała. – Rzecz w tym, że moja osoba jest przy tobie, jak sądzę, zupełnie bezpieczna.

– W innym czasie poczułbym się rozczarowany tym stwierdzeniem.

Felicity uśmiechnęła się figlarnie.

– Wyobrażam sobie, że byłeś wtedy młodszy. I mniej zadurzony w swojej żonie, to bardzo łagodzi niebezpieczne skłonności u mężczyzny.

– Zdecydowanie młodszy i pewnie nie mniej zadurzony w żonie.

– To wydaje się dla ciebie problemem.

– Wziąwszy pod uwagę, że regularnie ją tracę, muszę się zgodzić – odparł, nie mogąc się dopatrzyć szczypty humoru w tej sytuacji.

Felicity Faircloth zlitowała się nad nim.

– Obawiam się, że muszę ci coś powiedzieć, wasza wysokość, a nie sądzę, żebyś był z tego zadowolony.

Podszedł do niskiej półeczki przy oknie i wziął krzesiwo, zapalił lampę – pokój stał się dzięki temu przyjemniejszy dla młodej kobiety, a dla niego – bardziej przygnębiający. U stóp łóżka Sery stało pudło na kapelusze, otwarte i puste, jakby nie miała ani czasu, ani chęci, żeby je wypełnić i zabrać.

A obok niego kartka papieru. Złożona przypadkowo, ozdobiona jedynie literą M. Rozłożył ją z bijącym sercem.

Nie mogę zostać.
Czekam na wieści z parlamentu.
S

Zaklął paskudnie i zmiął kartkę w dłoni.

Spojrzał na Felicity.

– Czy to bardziej nieprzyjemne, niż usłyszeć, że żona mnie porzuciła… znowu?

Musiał przyznać, że młoda kobieta wydała się nieco zmieszana.

– Cóż – odezwała się w końcu – uczciwie mówiąc, mogę sobie wyobrazić, że to jest bardziej nieprzyjemne. Biorąc pod uwagę wydarzenia tego przedpołudnia. – Zamilkła, po czym pośpieszyła z wyjaśnieniem: – Te, których byłam świadkiem, oczywiście.

Malowi ścisnął się żołądek.

– Mów zatem, proszę.

Westchnęła, a potem ukucnęła, stawiając kota na podłodze. Zwierzątko bez wahania wskoczyło do pudła na kapelusze i ułożyło się wygodnie, patrząc na dwoje ludzi nieruchomymi oczami.

Mal starał się nie zwracać uwagi na stworzenie, zamiast tego zwracając się ku Felicity, która wyciągnęła skądś kartkę papieru i teraz ją rozwijała.

– Przygotowałaś przemówienie? – zapytał, zdając sobie sprawę, że nie ułatwia jej zadania.

Posłała mu spojrzenie z ukosa, ale nie zareagowała na zaczepkę.

– Dostałam to godzinę temu za pośrednictwem pokojówki.

To źle zabrzmiało w uszach Mala. Zerknął w stronę biureczka w rogu, gdzie porzucono bezładnie suszkę i pióro, jakby jego żona przed ucieczką pośpiesznie pisała list.

List, z jakiegoś powodu, do tej kobiety.

– Mów dalej.

Felicity skinęła głową i zaczęła czytać.

– „Droga lady Felicity. Na pewno wiesz, jak bardzo Cię lubię. Jesteś inteligentna i bezpośrednia, a przede wszystkim silna. Masz własne zdanie i nie wahasz się go wyrazić; to Ci się bardzo przyda”. – Przerwała i spojrzała na Mala; widział, że jest trochę speszona. Rozpoznał to uczucie. Sam bał się słów, które miały teraz paść. Nienawidził ich, zanim jeszcze dama je przeczytała. Chciał jej przeszkodzić. Wiedział jednak, że cokolwiek ma do powiedzenia, musi zostać powiedziane.

– „To także posłuży Malowi” – ciągnęła.

– Nie. – Słowo wybuchło z jego piersi, wbrew jego woli.

Felicity Faircloth spojrzała na niego z urazą.

– Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego…

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Wydaje się nie zważać na to, jak my się z tym czujemy, wasza wysokość.

Trudno jej było odmówić racji. Felicity czytała dalej:

– „To dobry człowiek, lady Felicity, taki, który zna życie i wie, co to miłość. Który potrafi być lojalny wobec żony”. – Felicity zamilkła. Potem poprawiła: – „Swoich żon”.

– Niech to diabli.

– Dokładnie tak samo myślę – stwierdziła Felicity. – „Będzie dla Ciebie dobrym mężem…”

Przygnębienie zamieniło się w niedowierzanie.

– Czy ona daruje ci mnie w prezencie?

Felicity uniosła brwi, przyglądając się listowi.

– To nie jest jasne, szczerze mówiąc, obawiam się raczej, że to ja jestem prezentem dla ciebie. – Wciągnęła głęboko powietrze, jakby ruszała do walki. – „Pewne rzeczy musisz wiedzieć: po pierwsze, on nienawidzi szparagów”. – Przerwała. – Wasza wysokość, z pewnością zrozumiesz, jeśli powiem, że nie mam zielonego pojęcia, dlaczego twoje upodobanie lub jego brak do szparagów ma jakiekolwiek znaczenie dla małżeństwa, a co dopiero dlaczego miałoby być na tyle znaczące, żeby stanowić punkt pierwszy na liście ważnych punktów.

– Nie ma – powiedział.

– Cóż, pozostałe są równie dziwne, więc… – Felicity wróciła do listu. – „Fascynują go mity greckie. Przeczytaj i naucz się ich. Ucieszy się, mogąc o nich z kimś podyskutować”.

Miał wrażenie, że nadużyto jego zaufania. Milczał.

Felicity podjęła lekturę:

– To jest najdziwniejsze. „Spraw sobie czerwoną suknię i dopilnuj, żebyście znaleźli się sami. Najlepiej w jego prywatnym gabinecie”.

Wtedy ogarnęła go wściekłość. Sięgnął po list, jakby mógł za jego pomocą cofnąć zegar i powstrzymać szaleństwo, które ją najwidoczniej opanowało.

– Co do diabła?

Felicity podniosła głowę i otworzyła szeroko oczy, zaskoczona jego bliskością.

– Zgadzam się – powiedziała. – Nie rozumiem, co księżna próbuje zrobić.

– Ja rozumiem. – Bardzo wyraźnie pamiętał ostatni raz, kiedy miała na sobie czerwoną suknię w tym domu – w jego gabinecie. Ileż razy odtwarzał tę chwilę w wyobraźni? Ile razy zdejmował gors jej sukni? Ile razy podnosił spódnice? Kochał się z nią? Ile razy wyobrażał sobie, że znowu to robi?

Wyrwał list z rąk lady Felicity Faircloth, złożył go i zaczął drzeć na drobne kawałki; to mu przyniosło ulgę, gniew złagodniał.

– Chce, żebyś mnie uwiodła.

Zatrzepotała rzęsami.

– Cóż, nie pragnę tego.

– Dobrze się składa, bo ja nie pragnę, aby uwodziła mnie inna kobieta, poza moją żoną. – Jak tylko przestanie doprowadzać go do szału.

Felicity kiwnęła głową.

– To brzmi niezwykle rozsądnie. Chociaż, jeśli mogę…

Skinął głową.

– Proszę.

– Wydaje się, że twoja żona nie jest zainteresowana byciem twoją żoną, wasza wysokość.

Te słowa nie powinny tak nim wstrząsnąć. Nie powinny tak na niego podziałać. A jednak tak się stało. Mal odwrócił się od Felicity Faircloth,

nienawidząc tego, że dziewczyna lepiej, być może, od niego rozumie jego zawiłe stosunki z żoną.

Nie, nie rozumiała ich lepiej. Była po prostu gotowa przyjąć pewne rzeczy do wiadomości. Ale Felicity Faircloth nie brała ślubu z Serą.

Podszedł, mimo woli, do łóżka, gdzie stał niespełna trzy lata wcześniej, modląc się, żeby jego żona żyła. Gdzie wyrwał ją śmierci. Gdzie przysięgał, że będzie o nią walczyć. Kochać ją. Gonić za nią, w niebie, jeśli będzie musiał…

A ona już zdążyła uciec.

To wówczas Malcolm uświadomił sobie, że ona zawsze będzie przed nim uciekać. Uciekać od miłości. Od obietnicy przyszłości. A on zawsze będzie ją ścigać.

Ślepy i złamany.

Kara za to, że nigdy nie był jej wart.

Niech go wszyscy diabli, jeśli da jej ten rozwód.

24

Siostry Talbot siedziały w ciasnym powozie ponad dwie godziny, podróż do Londynu nocą wymagała więcej czasu. Ale to nie ciasnota warta była odnotowania. Ostatecznie większość podróży upływała im w podobny sposób.

Niezwykłe było ich milczenie. Pięć sióstr nigdy nie wytrzymywało długo, żeby się nie odezwać. Nie potrafiły uszanować nawet mszy kościelnych.

W końcu Seleste przerwała milczenie:

– No, cóż.

Siostry milczały dłużej niż kiedykolwiek w życiu, a Seraphina była im za to wdzięczna, nawet kiedy cisza prysnęła.

– To było interesujące, nieprawdaż? – Ta uwaga padła z ust Sesily.

– Co do mnie, tego się nie spodziewałam – odezwała się Seleste. – Sądziłam, że Havenowi lepiej się powiedzie w przekonaniu jej, żeby została.

– Był gotów oberwać dla niej kamieniem w głowę – zauważyła Seline.

Gdyby nie pragnęła tak rozpaczliwie wysiąść z powozu, Sera znalazłaby może w sobie siłę, żeby w tym momencie podnieść głowę. Siedziała jednak, nie odrywając wzroku od własnych palców, ciasno splecionych na kolanach, bez rękawiczek, wciąż poplamionych atramentem – od listu, jaki napisała pośpiesznie dla lady Felicity.

Listu, który miał dodać odwagi następnej żonie Mala.

Gdyby tylko zrozumiał, że ich małżeństwo jest skazane na klęskę, znalazłby szczęście z inną kobietą. Przejął ją ból, serce się ścisnęło, z trudem oddychała. Zmusiła się do spokoju, wciągnęła głęboko powietrze i skupiła uwagę na siostrach.

– Dobrze się stało, że założyłyśmy się o intencje Havena, a nie o to, co zrobi Sera, inaczej byłabyś nam winna, Ses, niezłe pieniądze – zauważyła Seleste.

Sesily pokręciła głową.

– Och, nigdy bym się nie założyła, że Sera będzie chciała go odzyskać.

– Ja tak.

Sera podniosła gwałtownie głowę, odnajdując natychmiast wzrok Sophie. Sophie, która przyglądała jej się pilnie, odkąd wsiadły do powozu, z zainteresowaniem i troską na ślicznej twarzy.

– Co powiedziałaś?

– Nigdy bym się nie założyła, że nie chcesz Havena.

– Dlaczego nie? – zapytała Sera.

Sophie wzruszyła ramionami.

– Nie tak dawno temu udzieliłaś mi, siostro, lekcji na temat miłości.

To było odległe wspomnienie; spodziewająca się dziecka Sera siedzi z Sophie na szkockiej granicy; Sophie – przepełniona miłością, stęskniona za człowiekiem, który miał w końcu zostać jej mężem. Tamtej nocy jednak markiz Eversley wydawał się nieosiągalny – póki Sophie nie poszła do niego i nie wyznała mu prawdy. Na skutek nalegań Sery.

Sophie także to pamiętała.

– Powiedziałaś mu?

– Co miałaś mu powiedzieć? – wtrąciła Sesily, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

„Nigdy nie powiedziałam Havenowi, że go kocham – powiedziała Sera, próbując przekonać Sophie, żeby nie szła za jej przykładem – i zobacz, jaki bałagan z tego wyniknął”.

Wyjrzała za okno, w atramentową ciemność.

Sophie nie pozwoliła jej milczeć.

– Sera – ponagliła siostrę. – Powiedziałaś mu?

„Kocham cię”.

Skinęła głową, a najmłodsza siostra bez wahania wyciągnęła rękę, ściskając mocno jej dłoń.

– I?

Sera pokręciła głową. To nie miało znaczenia. Niczego nie zmieniło. Bałagan wciąż trwał. Cofnęła rękę. Zapanowała nad uczuciami.

– I miłość nie wystarczy.

Zapadła cisza, a potem rozległo się westchnienie Seleste.

– Może nie wystarczy – zaczęła – ale coś znaczy, skoro musiałyśmy zmykać do domu w środku nocy. – Machnęła ręką w powietrzu. – Przez połowę czasu w małżeństwie, spieram się z Clare’em. Dzięki temu życie staje się bardziej interesujące.

Seline przewróciła oczami.

– Wiesz, ty i Clare nie jesteście dobrym przykładem dla innych.

– A ty i twój kawalerzysta jesteście? – broniła Seleste swojego małżeństwa. – Żadna para na świecie nie powinna dzielić tych samych zainteresowań do tego stopnia jak wy. To koszmarnie nudne.

Seline wzruszyła lekko ramionami.

– Dla nas nie jest nudne. – Seline pochyliła się, żeby wyjrzeć przez okno. – Prawie w domu. – Serze nie umknęło podniecenie w głosie siostry. Była szczęśliwa, wracając do swojego nudnego małżeństwa i do swojego zbyt podobnego męża. – Mark będzie zaskoczony.

Seleste westchnęła z zadowoleniem i oparła się policzkiem o ławkę.

– Clare także – powiedziała. – Lepiej, żeby nie był w klubie. Mam dla niego zajęcie na noc.

Siostry jęknęły zgodnie. Sesily poczęstowała uśmiechniętą Seleste szybkim kuksańcem.

– Proszę. Nie wtedy, kiedy usiłuję zapanować nad mdłościami.

– Co? – Seleste roześmiała się. – Dziwi cię to, że nie mogę się doczekać nocy z mężem?

– Nie – odparła Sesily. – Ale mogłabyś być odrobinę bardziej dyskretna.

– Phi – parsknęła Seleste. – Kobiety biorą w tym udział, Sesily. To uczciwe, żebyśmy miały z tego przyjemność.

– Słusznie – dodała Seline.

– Wszyscy wiemy, że to lubisz, Seline. Pamiętam operę, z której musiałyśmy wyjść, ponieważ mama odkryła ciebie i Marka in flagranti za kotarą.

Seline uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Przynajmniej schowaliśmy się za kotarą. A poza tym przyganiał kocioł garnkowi, wszyscy wiedzą, co się dzieje w tej twojej księgarni, gdy zjawia się King, a ty zamykasz sklep na całe godziny z powodu lunchu.

Policzki Sophie spłonęły czerwienią, a Sera nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu, który, chcąc nie chcąc, pojawił się na jej ustach. To dlatego wróciła do Londynu. Nie dla Malcolma czy rodziny, którą jej kiedyś obiecano, ani też dla tytułu czy życia, które kiedyś wiodła. Ale dla tych kobiet – lojalnych, drogich jej sercu, śmiałych i lepszych niż wszyscy inni. I tak mocno z nią związanych.

Tak więc będzie się upierać przy rozwodzie. Uwolni się od przeszłości, a Mal będzie mógł poślubić Felicity – znakomitą kandydatkę. Będzie dobrą towarzyszką życia i urodzi mu śliczne dzieci.

Wcale nie czuła się źle, myśląc o tym.

Przyczyną nieprzyjemnego uczucia była długa jazda. Choroba Sesily okazała się zaraźliwa.

Rzeczywiście, nie wzięło się z tęsknoty za mężem. Nie tęskniła za nim. Miała plan i zamierzała się go trzymać. Będzie miała swoją tawernę. Będzie śpiewać. I to wystarczy.

Będzie musiało wystarczyć.

Coś w jej życiu musi okazać się wystarczające.

– Nie wydaje się w porządku, że wszystkie zostałyśmy zesłane na wieś na miesiąc, a Sera jest jedyną, która mogła… no, wiecie – powiedziała Seline.

Cztery pary oczu zwróciły się nagle ku Serze w ciemności, a ona ze wszystkich sił starała się skupić uwagę za oknem, wbijając rozpaczliwie wzrok w mijane budynki.

– Cóż, nie wiemy, czy to zrobiła – zauważyła Seleste.

– Nie? A co innego mogło się zdarzyć, żeby skłonić ją do ucieczki w środku nocy?

– Nigdy nie chciałam od tego uciekać, a ty? – zainteresowała się Seline.

– No, tak – odparła Seleste z kpiną w głosie. – Wracamy zatem do oryginalnej teorii na temat Havena.

– To znaczy? – Sera nie opanowała ciekawości.

– Że jest w tym okropny.

Kobiety parsknęły śmiechem. Wszystkie, z wyjątkiem Sery. Sera podniosła rękę i powolnym ruchem narysowała na oknie koło.

– Nie jest w tym okropny.

W powozie zapadła cisza, po czym Sophie westchnęła i zapytała:

– Sera, co my tutaj robimy?

Ogarnęła ją irytacja, gwałtowna i nieuzasadniona, ale Sera nie dbała o to.

– Ponieważ wbrew waszym przekonaniom to, że mój mąż jest doskonałym kochankiem, nie sprawia, że małżeństwo z nim jest doskonałe. – Cztery pary brwi uniosły się w górę, a to tylko wzmogło złość Sery. – Nie musicie być takie zaszokowane. Żadna z was nie ma pojęcia, jak to jest być w mojej sytuacji.

– Zechciałabyś nam o tym opowiedzieć? – Sophie zawsze była taka miła, taka opanowana.

I nigdy nie wprawiła Sery w większą wściekłość niż teraz.

– A co chciałabyś, żebym opowiedziała? Nie ma nic do opowiadania! – Jej głos wzniósł się do nerwowego pisku. – Wasze życie jest doskonałe. Małżeństwa? Doskonałe. Wasze dzieci… – Nie zdołała dokończyć. Serce jej się ścisnęło, przełknęła ślinę. Oparła się przygnębieniu. – Są doskonałe. A ja nigdy nie będę miała nic z tego.

– Sera… – Tak łagodnego tonu u Seline jeszcze nie słyszała.

– Nie. – Odwróciła się do sióstr, unosząc w górę palec. – Nie śmiejcie się nade mną litować. Dokonałam wyborów. Mogłam wtedy uciec, ale wróciłam, silniejsza niż przedtem. Nie potrzebuję waszej litości.

– Jesteś pewna? – mruknęła Sophie. Wszystkie popatrzyły na najmłodszą, najspokojniejszą siostrę Talbot – tę, którą uważano za najmniej interesującą. To znaczy, uważali tak ci, którzy jej nie znali.

Sera pochyliła się ku siostrze.

– Co to ma znaczyć?

– Tylko tyle, że wydajesz się potrzebować naszego wsparcia, naszej ochrony, kiedy to jest wygodne. Dostałaś je od nas. Niezawodnie wierne. Bo Siostry Smoluchy trzymają się razem. Ale ty nigdy nie odpłaciłaś nam uczciwością. Więc moje pytanie jest takie… – Powóz zaczął zwalniać, zbliżając się do rezydencji Eversley, gdzie Sophie miała wysiąść. Ale nie zanim powie, co miała do powiedzenia. – Czy po prostu nie chcesz być z nami uczciwa? Czy może to wynika z tego, że nie chcesz być uczciwa sama ze sobą?

Pewne rzeczy powiedzieć mogły tylko siostry.

– Nigdy nie byłam z wami nieuczciwa.

– Co za bzdura – parsknęła gniewnie Sophie. – Zostawiłaś nas. Bez słowa. Co w tym uczciwego? Zagubiłaś się, Sero. Byłaś w żałobie po mężczyźnie, którego kochałaś, i dziecku, które straciłaś. I odrzuciłaś wszystko. Włącznie z nami. Chciałam ci okazać zrozumienie. Ale teraz nadeszła pora, żebyś zrozumiała, że krzywdzisz samą siebie. Bogu wiadomo, że nigdy nie darzyłam Havena szczególnym afektem, ale ten

człowiek cię uwielbia i jest gotów dać ci wszystko, czego zapragniesz. Wszystko, czego zażądasz. Chociaż w tej chwili nie mogę sobie wyobrazić dlaczego. – Sera osunęła się na oparcie ławki.

– Ufff, to było trochę ostre – odezwała się cicho Seline.

– Cóż, być może musiała to usłyszeć – parsknęła Sophie.

– Nie musiałam, w istocie. Bo to nieprawda. – Sophie uniosła brew, podczas gdy Sera ciągnęła: – Poprosiłam go o jedno. Rozwód. Moją wolność. Jego także, można by dodać, a on mi tego odmówił.

– Może nie da ci go, ponieważ masz dość fantastyczne wyobrażenia o tym, czym jest wolność.

Sera spojrzała na siostrę zmrużonymi oczami.

– Przypuszczam, że ty wiesz, czym jest wolność?

– Owszem, w rzeczy samej – odparła Sophie. Powóz właśnie się zatrzymał. Wygładziła spódnice i poprawiła włosy, kiedy lokaj w liberii zbliżył się, żeby otworzyć drzwiczki. Spojrzała na Serę, zanim wzięła go za rękę i zeszła z kloca na ziemię.

Odwróciła się i dodała jeszcze:

– Wiesz, kocham cię. – Łzy, natychmiastowe i niepożądane, zakłuły ją pod powiekami i Sera odwróciła głowę; dobrze się stało, bo popłynęły, kiedy Sophie odezwała się ponownie: – Chciałabym tylko, żebyś ty także potrafiła siebie pokochać.

Przejęta gniewem i smutkiem, którym nie umiała dać wyrazu, Sera nie spojrzała na siostrę, póki drzwi powozu nie zamknęły się z cichym stuknięciem.

Przyciskając dłoń do pleców na dole, Sophie skierowała się powoli do rezydencji; zza otwartych drzwi wydobywał się ciepły pomarańczowy blask. Serę ogarnęło poczucie winy. Siostra była przy nadziei i na pewno lepiej by się w nocy czuła w łóżku, zamiast w ciasnym powozie.

Ale Sophie dotarła wreszcie do domu; na progu, w świetle bijącym z wewnątrz, ukazał się jej mąż; zatrzymał się na krótką chwilę, po czym

zszedł po żonę, podnosząc ją wysoko i całując gorąco. Służba, która kręciła się w pobliżu, była albo znakomicie wyszkolona, albo przywykła do takiego okazywania uczuć między markizem a jego żoną, że nie widziała już w tym niczego zdrożnego. Sera sądziła, że raczej to drugie.

A potem King przeniósł Sophie przez próg, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby kopnąć drzwi, tak że się za nimi zamknęły.

Powóz zatrząsnął się, ruszając w dalszą drogę, a Sera oparła głowę o ławkę ze stłumionym:

– Niech to diabli – mruknęła.

Siostry się nie odezwały, wiedziała dlaczego.

Zgadzały się z Sophie.

Sera otworzyła oczy i popatrzyła na nie.

– Przypuszczam, że wy także chcecie przeprosin.

Wiedziała, że to nie brzmi zachęcająco.

– Nie dbam o to, prawdę mówiąc – oznajmiła Seline. – Ale gdybym miała wybierać między twoją obecnością tutaj a jej brakiem, to wolałabym, żebyś była w Londynie. Więc jeśli zamierzasz zrobić to, co zrobiłaś w przeszłości, a moje zdanie ma jakieś znaczenie, proszę, żebyś tego nie robiła.

– Czy tak? Zamierzasz wyjechać? – zapytała Sesily ze swojego kąta.

Sera milczała długą chwilę. Pokręciła głową.

– Nie wiem. Chciałam ułożyć sobie życie. Myślałam o interesach. – Odwróciła głowę, mówiąc w stronę okna: – To wszystko, czego chcę.

Seleste i Seline nie odpowiedziały, więc Sera uznała ich milczenie za cichą aprobatę. Może to była tylko lojalność, ale przyjęła to z wdzięcznością. Milczenie było lepsze niż prawda. Kiedy jednak siostry odstawiono do ich domów i mężów, a Sera została w powozie sam na sam z Sesily, znowu ogarnął ją niepokój.

Sesily była najbardziej bezpośrednią z sióstr Talbot i wobec tego, co się dotąd działo podczas podróży powozem, Sera mogła się jeszcze wiele

spodziewać.

– Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżała – oznajmiła Sesily, kiedy ogarnęła je na nowo ciemność, a powóz zaturkotał po bruku Mayfair, zmierzając w stronę Covent Garden.

Sera wciągnęła głęboko powietrze.

– Nie miałam takiego zamiaru.

– A Haven?

Sera skinęła głową.

– On nie chce rozwodu.

– A ty?

Tak. Nie. Nie zwróciła uwagi na pytanie, zła na siebie za własne, mieszane uczucia, jakie wywołało.

– Czy mogę?

– Nie sądzę, żebym mogła cię powstrzymać.

– Nie, pewnie nie – odparła Sesily, niezrażona cierpką odpowiedzią. – Sophie się nie myli, Sero. Wolność przybiera różne postaci. I nawet wróbelki muszą odpoczywać.

Sera wyjrzała przez okno.

– Powóz zawiezie cię do domu, do matki i ojca, kiedy odstawi mnie na miejsce.

– Czy masz ochotę pobyć z nami? Matka się ucieszy.

Temat, pozornie, bezpieczny i łatwy. Wywołał jednak wspomnienie matki, która, niezależnie od swoich szalonych pomysłów, kochała córki bezrozumnie.

Pokręciła głową.

– Wiesz, dostała nauczkę – powiedziała Sesily. – Rzadko spogląda na mnie z rozczarowaniem i litością. Przypuszczam, że powinnam ci za to podziękować.

Sera zmusiła się do uśmiechu.

– Proszę bardzo. Odwiedzę ich któregoś dnia, ale dzisiaj muszę wrócić do domu.

Do siebie samej.

Do kobiety, którą była, kiedy zjawiła się w Londynie przed paroma tygodniami, zanim Malcolm wszystko zmienił. Zanim zaczął ją kusić inną wizją przyszłości niż ta, którą wcześniej dla siebie wybrała.

Tak więc pojedzie do tawerny, będzie podawać trunki i śpiewać piosenki, i mieć nadzieję, że noc zagłuszy niepokoje dnia.

– Pojadę z tobą – zaproponowała Sesily.

– Nie, nie pojedziesz.

W ciemności nie mogła dostrzec twarzy siostry, ale wiedziała, że nic nie przeszkodzi Sesily, żeby postawić na swoim.

– Dlaczego? Bo jednak zamierzasz wyjechać, mimo wszystko? Nie chcesz świadka? Czy też nie chcesz kogoś, z kim musiałabyś się pożegnać?

– Nie wyjeżdżam, Sesily. Nie dzisiejszego wieczoru.

– Nie jestem pewna, czy ci wierzę – odparła Sesily. – Uciekanie z Highley wydaje się zaraźliwym nałogiem.

Serę uderzyła irytacja w głosie siostry.

– Uciekanie z Highley?

– W tym tygodniu to był rodzaj sportu.

Sera otworzyła szeroko oczy w ciemności.

– Masz na myśli Caleba?

– Caleb. – Sesily parsknęła pogardliwie.

Dobry Boże. Czyżby coś przeoczyła?

– Ses… czy coś się stało?

– Nie – odparła Sesily. – Chcę tylko zobaczyć tę legendarną tawernę.

Kłamała, rzecz jasna.

– Wiesz, że właścicielem jest Caleb.

– Och. – Ton Sesily brzmiał obojętnie. – Czy to znaczy, że on tam będzie?

Sera zachichotała mimo woli – siostra była wyjątkowo marną aktorką.

– Nie pojedziesz ze mną.

– Dlaczego nie?

– Cóż, głównie dlatego, że jesteś niezamężną, rzucającą się w oczy damą.

Sera usłyszała, jak siostra się dąsa, kiedy powiedziała:

– Och, wiele osób w Londynie nie zgodziłoby się z tą twoją „damą". Jestem ostatnią z Niebezpiecznych Córek, Sero. Dawną kochanką cieszącego się złą sławą aktora z Drury Lane.

– A jednak nie pozwolę ci się skompromitować. Nawet przez Caleba.

– To nie ma nic wspólnego z Calebem.

– Mówisz do kobiety, która latami cierpiała z tęsknoty za mężczyzną.

Sesily zerknęła na nią z ukosa w bladym świetle mijanych pubów i teatrów.

– I co? Pozwoliłabyś mu się skompromitować bez pytania?

– W gruncie rzeczy, to jest dokładnie to, co zrobiłam. – I dzisiejszego popołudnia znowu. Tego ostatniego nie powiedziała głośno. – Nie mam zamiaru pozwolić się skompromitować.

– To doskonale, bo ja nie mam zamiaru na to pozwolić.

– Nie możesz po prostu wrócić do Londynu i wejść w rolę przyzwoitki opiekunki.

To wytrąciło Serę z równowagi.

– Na Boga, Sesily! Jedna z nas będzie miała udane, szczęśliwe życie!

– Tak i na razie zanosi się na to, że to będziesz ty, bo masz przynajmniej mężczyznę, dla którego jesteś ważna!

W słowach brzmiała pasja. Zaskoczona Sera, niewiele myśląc odparła:

– Wiesz, to nie zawsze jest klucz do szczęścia.

Zapadła cisza, a Sera nie posiadała się z ciekawości. Czekała, wiedząc, że Sesily tak tego nie zostawi. Miała rację. W końcu siostra odezwała się.

– Mam pewne plany – oznajmiła szczerze.

– Które obejmują Caleba?

– Tak.

– Czy wyznaczył coś w rodzaju schadzki? – Trudno było Serze uniknąć zdumienia w głosie.

– Nie. Gorzej.

Dobry Boże, Sera go zamorduje.

– Co on zrobił?

Sera poczuła nagle niechęć do mężczyzny, którego tak długo nazywała przyjacielem. To, że wtrącał się w jej życie, to jedno, ale uwiedzenie siostry to już zupełnie inna sprawa.

– Nic. – Westchnęła cicho. – I to jest problem. Uciekł z Highley, kiedy go poprosiłam, żeby coś zrobił.

Mój Boże.

– Sesily… On jest…

– Mówiłaś, że nigdy nie prowadziłaś z nim żadnej gry. Powiedziałaś, że cię to nie interesuje.

– I to wszystko prawda. Chciałam powiedzieć, że jest stary.

Sesily uśmiechnęła się szelmowsko.

– Nie taki stary.

– Nie cieleśnie. Stary duchem. I jest draniem. – Takim, który, jak się wydaje, zasługiwał na porządne lanie.

– Tak, domyśliłam się tego ostatniego.

– I co?

Sesily usiadła wygodnie, w mroku błysnęły jej białe zęby.

– I tak sobie myślę, że zasługuje na kogoś podobnego, nie sądzisz?

Niech przeklęci będą wszyscy mężczyźni za kobiece uczucia.

Sera doceniła możliwość prostej, idealnej zemsty… i karę za wtrącanie się Caleba w jej życie – za to, że ukrył przed nią przybycie Malcolma do Bostonu. Zasługiwał na szelmę, a Sesily nadawała się do tego lepiej, niż ktokolwiek inny. Ale siostra nie zasługiwała na kogoś, kto miał takie chłodne podejście do miłości.

– Caleb… Sesily, Caleb nie jest mężczyzną, który zostanie z tobą na zawsze.

Sesily wpatrywała się w ciemność za oknem wyjątkowo długo, tak długo, że Sera przestała się spodziewać, że się odezwie. W końcu to zrobiła.

– Nikt nie jest na zawsze, póki się nie okaże, że jest.

To proste zdanie wstrząsnęło Serą. Wisiało między nimi w powietrzu, burząc po cichu jej spokój, aż Sesily spojrzała na nią i zapytała:

– Czy ty jesteś na zawsze? A Haven?

Sera nie była w stanie odpowiedzieć.

Bała się odpowiedzi.

Popatrzyła na siostrę – kobietę, która zdobyła Londyn szturmem i trwała, dzielna, piękna i śmiała, gotowa przyjąć życie takim, jakie jest, pod warunkiem że byłby to jej wybór. Bohaterka wśród kobiet.

Sesily zasługiwała, żeby próbować w życiu, czego chciała, i do diabła ze skandalem.

Czyż one wszystkie nie zasługiwały?

Sera może nie będzie miała przyszłości, o jakiej kiedyś marzyła, ale mogła pomóc siostrom ją zdobyć. Jeśli taka rola jej przypadła – pomóc im stworzyć dla siebie wymarzoną przyszłość – to jej wystarczy.

Musi wystarczyć.

– A zatem Wróbelek.

Niech ktoś spełni tam swoje marzenia.

25. Najgorętsze tawerny w mieście!

Amerykaninie, przyszły pewne damy…

Caleb nie podniósł głowy znad whisky, którą właśnie rozlewał.

– Powiedz im, żeby znalazły sobie miejsce gdzie indziej, to nie burdel.

Strażnik, którego wynajął parę tygodni wcześniej, żeby pilnował drzwi Śpiewającego Wróbelka, spróbował ponownie:

– Nie wyglądają na dziwki, Amerykaninie.

Caleb zazgrzytał zębami, słysząc przezwisko, od którego, jak się wydawało, nie mógł się odczepić. W istocie miał wrażenie, że nie jest w stanie przekonać nikogo w tym kraju, żeby zwracał się do niego inaczej niż Amerykaninie – włącznie z tym człowiekiem, Samoańczykiem, którego wynajął w londyńskich dokach wraz z pół tuzinem innych mężczyzn – uczciwych i silnych.

– Cóż, no to je wpuść – powiedział. – Pieniądze kobiet są tyle samo warte, co pieniądze mężczyzn.

Fetu uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły w cieniu.

– Już są w środku. Nie myślałem, że mógłbym nie wpuścić samego Wróbelka.

To zwróciło jego uwagę. Caleb spojrzał w kierunku drzwi, nie widząc za wiele w tłumie ciał, upchanych ciasno bez względu na letni upał – upał nie miał znaczenia tam, gdzie obiecano rozrywkę i gdzie płynął trunek. Odstawił butelkę i pochylił się nad barem.

– Wróciła?

– Piękna, dumna i zła jak lisica, kiedy zapytałem ją, kto zacz.

W to nie wątpił. Co ona, do diabła, robiła w Londynie? Czy książę wybrał żonę? Wtedy dotarło do niego, co mężczyzna powiedział. „One”. Sera by tego nie zrobiła. Nie ryzykowałaby reputacji sióstr.

Reputacji siostry.

Palnął ręką w blat.

– Powiedziałeś: one.

Do diabła. Sera jej tutaj nie sprowadziła.

– Jest ich dwie.

– Jak wygląda ta druga? Zwyczajna, jakby siedziała w książkach? – Może to była Sophie. – Wysoka jak drzewo? – Może Seleste. – Obsypana klejnotami? – A może Seline.

– Kobieta.

– A co to ma znaczyć?

Fetu uśmiechnął się szeroko, tym razem kreśląc wielkimi rękami w powietrzu karykaturalny zarys kobiecych okrągłości.

– Kobieta.

Caleb złapał Fetu za koszulę i przyciągnął go na tyle blisko, żeby zobaczyć atrament w tatuażu, jaki zdobił łysą głowę mężczyzny.

– Nie masz prawa tego widzieć. Dla ciebie nie jest kobietą.

Brwi mężczyzny uniosły się wysoko do góry, ale zanim zdążył się odezwać, rozległ się głos:

– Czy dla ciebie jestem kobietą?

Caleb puścił Fetu i odwrócił się w stronę głosu. W stronę kobiety.

Niech to diabli, wolałby, żeby nie była kobietą.

– Nie, jesteś utrapieniem.

Roześmiała się. Ten dźwięk był jak sam grzech i pokusa; pociągający jak ciepło słońca.

Ale nie była tu mile widziana. Nie chciał jej tutaj.

Nawet jeśli była jak powiew chłodnego powietrza w dusznym, zadymionym pokoju; z upiętej szpilkami fryzury wymykały się długie, kręte loki, przywierając do jej szyi i ramienia, a jeden dotarł nawet do kraju sukni pod szyją. Policzki miała zaczerwienione i lekko zroszone potem, usta – różowe, pełne i doskonałe.

Uniosła brew.

– Nie możesz uciec. Chyba że chcesz wyskoczyć zza baru i przedzierać się przez tłum ludzi, którzy chcą znaleźć sobie jak najlepsze miejsce, żeby oglądać występ Wróbelka.

– Wracaj do drzwi – polecił Fetu.

Fetu skłonił się lekko w stronę Sesily.

– Miło cię poznać, siostro Wróbelka.

Uśmiechnęła się do niego, dygając uprzejmie.

– I ciebie, który ochraniasz Amerykanina.

Caleb miał ochotę coś stłuc.

– On mnie wcale nie ochrania – powiedział Caleb, wściekły, że w ogóle się odzywa. Nie obchodziło go, co ona myśli. To nie jego sprawa martwić się o to, co ona myśli. – Nie potrzebuję ochrony.

– Och? No, to dlaczego go zatrudniasz?

– Bo potrzebuje ochrony – stwierdził Fetu z kpiącym uśmiechem.

– Wracaj do drzwi – powtórzył Caleb, biorąc butelkę i udając, że nalewa trunek dla mężczyzn, którzy wcale na niego nie czekali. Kiedy Fetu wreszcie sobie poszedł, Caleb próbował zachować się obojętnie, spoglądając znowu na Sesily. Niełatwe zadanie, zważywszy, że była zbyt piękna, aby patrzenie na nią nie groziło przerażającymi konsekwencjami. – Nie powinnaś tu przychodzić.

– Nie przyszłabym, gdybyś nie okazał się takim tchórzem.

Zrobiło mu się gorąco ze złości.

– Mężczyzna za coś takiego poznałby smak moich pięści.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Cóż, jak już ustaliliśmy, nie jestem mężczyzną. Więc mogę zaryzykować.

Mruknął gniewnie, odstawił butelkę na niski stolik i wyszedł zza baru. Ująwszy dziewczynę za ramię, przeprowadził ją przez tłum ludzi do pokoju na tyłach tawerny, gdzie za świadków mieli tylko butelki whisky i dżinu. Puścił ją i zamknął drzwi.

Sesily, niezwykle pewna siebie, zrobiła krok w jego stronę, a Caleb musiał wytężyć wszystkie siły, żeby się nie cofnąć. Była niebezpieczna. I to zanim jeszcze odezwała się niskim, zmysłowym głosem, jakby próbowała granic jego wytrzymałości.

– Może jednak nie jesteś aż takim tchórzem. Co zamierzasz ze mną zrobić?

To pytanie wywołało tyle żywych, niezwykłych, nieprzystojnych obrazów, że potrzebował chwili, żeby się opamiętać. Oczywiście, nie zamierzał urzeczywistniać żadnej z tych fantazji, choćby nie wiadomo jak rozpaczliwie tego pragnął.

Był, ostatecznie, żywym mężczyzną.

Opanował się i spróbował bezpiecznego tematu.

– Gdzie jest twoja siostra?

Podeszła bliżej, jej modre spódnice musnęły jego nogi. Nie, żeby coś czuł. Nie, żeby wzbudzały w nim ogień pożądania.

– Zostawiła mnie, jak tylko przyszłyśmy. Rozmawiała z panem Fetu, weszła do sali, a potem udała się w stronę sceny, mówiąc coś o występie.

– Nie powinna cię ze sobą zabierać.

– Boisz się, że zostanę skompromitowana?

– Ktoś powinien.

Przechyliła głowę.

– Sera ci nie mówiła, że ja i moje siostry cieszyłyśmy się jak najgorszą reputacją, zanim zrobiłyśmy cokolwiek? Jesteśmy Niebezpiecznymi Córkami. Siostrami Smoluchami. Interesujące, że jesteśmy tak

skompromitowane, że nie jesteśmy w stanie zaszokować towarzystwa. Możemy porzucać naszych mężów. Wrzucać książęta do stawu rybnego. Ścigać się konno. Uciekać do Szkocji powozem z obcym mężczyzną. W ten sposób tylko potwierdzamy opinię świata. Jedna z moich sióstr jest księżną. Inna markizą. Trzecia hrabiną. A ostatnia bogatsza niż pozostałe trzy razem. Kompromitacja świetnie nam służy.

Zmrużył oczy.

– Jednak nie tobie.

Coś błysnęło w tych oczach, błękitnych jak połyskujący materiał jej sukni. Coś, co nazwałby smutkiem, gdyby chciał temu poświęcić trochę uwagi. Ale nie chciał.

– Nie, mnie nie. Ale może nie starałam się ze wszystkich sił.

A potem go dotknęła, kładąc dłoń na jego piersi, na zapinanej na guziki płóciennej kamizelce, którą wkładał na koszulę, kiedy pracował. Dotyk był jak ogień. Sięgnął po tę występną, cudowną dłoń, pewien, że chce ją oderwać od swojego ciała. Była uwodzicielką – najgorszego rodzaju – taką, która sprawia, że mężczyzna ma ochotę paść na kolana i błagać.

Nie poruszył jej dłoni. Przycisnął ją mocniej do swojej piersi.

Uwięziło go spojrzenie błękitnych oczu.

– Twoje serce bije jak młotem, Amerykaninie.

– Przypadek – odparł. – Wydawało mi się, że dałem ci jasno do zrozumienia, że nie będę niczyją zabawką.

– Podaj powód, a może pozwolę ci na to.

Zaśmiał się mimo woli na to „pozwolę”. Jakby cały świat słuchał jej kaprysów. Jakby ona i jej podobne rządziły nim jak królowe. I może tak było.

– Ponieważ poprzysiągłem trzymać się od takich kobiet z daleka.

– Takich kobiet? – Jej głos brzmiał łagodnie i słodko.

– Niebezpiecznych. – Czyżby się ku niej pochylał?

– Czy nie wszystkie takie jesteśmy? – Chyba wyciągała ku niemu twarz.

– Bóg mi świadkiem, większość z was taka jest. – Była tuż obok, z ustami rozchylonymi jak obietnica. Jak tajemnica.

– Wydajesz się mężczyzną, który lubi niebezpieczeństwo. – To było jak westchnienie tuż przy jego skórze; jej dłoń przesunęła się na jego ramię, szyję. Zacisnął pięści po bokach.

– Nie taki, który da się zaprowadzić do ołtarza.

Patrzyła na niego z wyzwaniem w pięknych oczach.

– Nigdy nie mówiłam, że chcę cię poślubić.

Zasłużył na jakiś przeklęty medal za to, że jej wtedy nie pocałował. Za to, że nie przyjął milczącego daru, jaki ofiarowała – pocałunku. Dotyku. I czegokolwiek jeszcze Sesily Talbot, najbardziej niebezpieczna z Niebezpiecznych Córek, by sobie życzyła.

Zasłużył na to, żeby prezydent Jackson wkroczył do pokoju i zaproponował mu stanowisko w radzie ministrów. Żeby król pasował go na rycerza. Na bogactwa i władzę przekraczające jego wyobraźnię. Na wszystko. Ponieważ to, że się od niej odsunął, było z pewnością najszlachetniejszym, najbardziej heroicznym czynem w dziejach świata. Był jak rycerz Okrągłego Stołu króla Artura.

To, co powiedział, uczyniło go jeszcze bardziej heroicznym:

– Wracaj do domu, do swojego kota, kotku.

Usta Sesily ułożyły się w wyraz rozczarowania, westchnęła.

– Mój kot jest nadal w Highley.

– Dlaczego? Uznałaś, że nie potrzebujesz piekielnego pomocnika?

Odparła tonem suchym jak pieprz:

– Brummell ukrył się po tym, jak uciekłeś.

– Nie uciekłem.

Nie zwróciła na niego uwagi.

– Tęsknił za swoim amerykańskim słupkiem do drapania.

Skrzywił się.

– Może powinnaś w takim razie po niego jechać. Nie dbam o to, co robisz, doprawdy, pod warunkiem że znajdziesz sobie inne drzewo, pod którym będziesz tańczyć.

– Twoja zdolność mieszania metafor jest doprawdy niezrównana.

– To może być dobry powód dla ciebie, żebyś znalazła sobie innego mężczyznę do zabawy, Sesily – powiedział, nadając głosowi chłód stali. – Jestem zbyt doświadczony, żeby dać się wciągnąć w tę grę.

Rozgniewał ją, sądząc po rumieńcu, jaki oblał jej policzki. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, coś się zmieniło w atmosferze tawerny. W sali, która wydawała się tak odległa, zapadła nagle pełna oczekiwania cisza.

Sesily, zaskoczona ciszą, spojrzała na drzwi.

– Co się dzieje?

– Twoja siostra zaraz będzie śpiewać.

Spojrzała na niego.

– Nie odejdę, póki jej nie usłyszę.

– Zostań, jeśli chcesz – powiedział, udając obojętność. Mając nadzieję, że zostanie. – Nie spodziewaj się jednak, że będę z tobą.

Uniosła brew, prostując się.

– Miałam zatem rację.

– Myliłaś się. Nie jestem kolejnym mężczyzną, którego uda ci się złapać w sidła swoich czarów. – Może, jeśli powiedział to głośno, ona w to uwierzy. Może on sam w to uwierzy.

Nie uwierzyła. W istocie miał wrażenie, że jego słowa w ogóle jej nie obeszły. Nie przejęła się obelgą w nich zawartą. Zamiast się obrócić na pięcie i uciec, uśmiechnęła się, śmiała jak zawsze.

– Nie, Caleb, miałam rację. Jesteś tchórzem i nie chcesz widzieć prawdy.

Powiedziała to już wcześniej. Na wsi. Nie musiał prosić o wyjaśnienia, bo wryły mu się w pamięć.

Jakie to by było dobre.

Pokręcił głową.

– Wracaj do domu, mała dziewczynko, zanim wpadniesz w tarapaty.

Patrzyła na niego na tyle długo, żeby go wprawić w zakłopotanie, zanim uśmiechnęła się kpiąco.

– Nie sądzę, żeby groziło mi niebezpieczeństwo, że wpadnę w tarapaty, Amerykaninie.

– Świat uzna, że cię skompromitowałem, jeśli nie będziesz ostrożna.

– Nikt tak nie pomyśli, jeśli ty będziesz ostrożny.

Nie podobało mu się, jak reaguje na jej śmiałość. Na jej słowa – szokujące i tak miłe. Od lat nie czuł się w ten sposób – taki świadomy, taki pełen ognia, taki pobudzony. Usiłując stłumić to wszystko, powiedział chłodno:

– Czego chcesz, Sesily? Muszę wrócić do tawerny.

– Chcę, żebyś mnie pocałował.

Pokręcił głową.

– Nie.

Podeszła bliżej.

– Dlaczego nie?

– Nie całuję dziewczynek.

– Już ci mówiłam, nie jestem dziewczynką.

Uczepił się tego, mając nadzieję, że ją od siebie odepchnie na tyle mocno, żeby nigdy nie wróciła.

– Ale jesteś młoda i zepsuta, nieprawdaż? Zawsze taka byłaś.

– Zatem powinnam dostać to, czego chcę.

– Nie jestem zainteresowany.

– Psuciem mnie?

– Całowaniem.

To zabolało. Dostrzegł to w jej pięknych oczach, zanim stłumiła to uczucie i kiwnęła głową.

– A więc znajdę kogoś innego.

– Żeby cię psuł? Znakomity plan. – Nie obchodziło go to. To nie był jego problem.

Odwróciła się bez słowa i skierowała do drzwi; otworzyła je i spojrzała jeszcze raz na niego.

– Nie. Żeby mnie pocałował. – Wmieszała się w tłum za drzwiami, zanim mógł ją złapać.

Patrzył za nią długą chwilę, po tym, jak zniknęła. Była bezpieczna i nie musiał się o nią martwić.

Nie odejdzie bez Sery. Pewnie poszła już na tyły sceny, żeby do niej dołączyć. Była bezpieczna i nie musiał się o nią niepokoić.

W tawernie było pół tuzina mężczyzn wynajętych, żeby pilnowali spokoju. Nic jej nie groziło. Mógł o niej zapomnieć.

Zdołał się do tego przekonać, kiedy wybuchła bójka.

Mal pojechał do Covent Garden, nadrabiając w jakimś stopniu czasową przewagę Sery; przed wejściem do Śpiewającego Wróbelka paliły się lampy, tłum blokował ulicę, ludzie klęli i krzyczeli – podpici i zadowoleni.

Przywiązał konia na ulicy i rzucił chłopakowi monetę, żeby się nim zaopiekował, a potem ruszył do drzwi, pewien, że znajdzie Serę w środku. Przepchnął się obok wielkiego stróża – wdzięczny Amerykaninowi za jego zdrowy rozsądek, że wynajął przynajmniej kogoś dla bezpieczeństwa, niewielu ryzykowałoby ściągnięcie na siebie gniewu osiłka. Wszedł do środka – ciemnej, zadymionej sali, pełnej zapachów Londynu latem. W pomieszczeniu panowała dziwna cisza, nastrój oczekiwania i podniecenia. Jego wzrok powędrował od razu ku scenie, pustej, ale doskonale oświetlonej; płomienie długich świec drżały – jakby także udzielało im się podniecenie.

– Słyszałem, że wróciła – oznajmił jakiś mężczyzna w grupie ludzi siedzących przy stoliku po lewej stronie.

– A tam – parsknął ktoś. – Powtarzają to każdej nocy, odkąd wyjechała. Słyszałem, że jest znowu w Ameryce. Wróbelkowi nie odpowiadały tutejsze zarobki.

– Ej – wtrącił inny – powiadają, że chciała zostać kochanką jakiegoś bogacza, ale żaden jej nie chciał.

– A ty byś chciał? Damą to ona nie jest.

Haven zazgrzytał zębami, nienawidząc tych mężczyzn, tego miejsca i wszystkiego, co reprezentowało – życia, które ona przedłożyła nad niego. Jakże musiała go nienawidzić, żeby wybrać takie życie. Musi do niej dotrzeć.

Zanim zdołał to zrobić, pierwszy mężczyzna odezwał się znowu, dodając do słów ordynarny gest.

– Jeszcze jeden powód, żeby ją mieć. Dziewczyna wie, co robić.

Mężczyźni zarechotali; Haven odwrócił się do nich, zauważył ciężkie kufle ale na stole.

– Powtórz to. – Pochylił się, chwytając mężczyznę za ramię.

Mówił niskim, złowieszczym głosem, ale podchmieleni mężczyźni nie zorientowali się w niebezpieczeństwie.

– Cooo, że Wróbelek to dobra dupcia?

Godzinami pędził za nią konno, rozpaczliwie pragnąc ją odnaleźć. Tygodniami tęsknił za nią, nawet jeśli stała parę kroków dalej – niedosięgła. Zadręczał się latami, wiedząc, że popełnił wszelkie możliwe błędy. Przerażony, że może jej nigdy nie odnaleźć.

Gdyby nie to wszystko, może nie przewróciłby stołu, posyłając na ziemię całą czwórkę.

Może nie złapałby kufla – dosłownie w powietrzu i nie grzmotnął najbardziej gadatliwego z czwórki mężczyzn w głowę, ciesząc się głuchym odgłosem bardziej, niż powinien.

Mężczyzna wylądował na podłodze, klnąc wściekle; tłum, jak się wydawało, wypełniający każdą szczelinę, rozstąpił się nagle, zostawiając

wolną przestrzeń; ktoś krzyknął:

– Bójka!

Zapanowało ożywienie, pełne podniecenia oczekiwanie na występ Sery ustąpiło ciekawości – zainteresowaniu bójką, która właśnie wybuchła. Kobiety krzyczały, szarpiąc spódnice, żeby ustąpić z drogi, mężczyźni zaczęli robić zakłady.

Mal nie słuchał. Bił się, młócąc wściekle pięściami pozostałą trójkę mężczyzn, którzy obrazili Serę.

– Nie będziecie o niej mówić w ten sposób! – wrzasnął, rozbijając nos przeciwnikowi, a potem odwracając się, żeby zablokować krzesło, którym wymachiwał drugi.

Krzesło rozprysło się na jego ramieniu; w deszczu drewnianych szczątków odwrócił się, wymierzając cios w szczękę napastnika.

– Nie będziecie tak mówić o kobietach! – ryknął.

– Idź do diabła! – krzyknął pierwszy powalony mężczyzna, który teraz gramolił się na nogi; na policzku miał krew. – Będę mówił, co mi się podoba i gdzie mi się podoba!

Mal rzucił się na niego znowu, chwycił za koszulę i cisnął w ramiona ogromnego strażnika, który wydawał się nie interesować leżącymi na ziemi nieszczęśnikami, tylko Malem, chcąc do niego dotrzeć po to, bez wątpienia, żeby powstrzymać jego napad furii.

Mal podniósł ręce w geście poddania. Nie miał nic do mężczyzn, których zadaniem było chronić Serę.

– Nie jestem tu po to…

Nie zdołał jednak dokończyć, ponieważ za jego plecami rozległ się kobiecy krzyk. Odwrócił się, nie mając pojęcia, czego się spodziewać.

Z pewnością nie spodziewał się ostatniego z przeciwników, który, stojąc tuż za nim, szykował się, żeby zadać mu cios potężną pięścią – zanim nie został zaatakowany od tyłu. Przez Sesily, która, patrząc na Mala, zawołała:

– No, dalej, uderzaj!

Zrobił to. Zadał jeden potężny cios, który jego nauczyciela boksu w Eton napełniłby zasłużoną dumą. Mężczyzna padł jak podcięte drzewo, Sesily przewróciła się na niego.

Usiadła szybko i z wdziękiem, jakby walka wręcz w powłóczystej sukni stanowiła szczególny rodzaj konkurencji. Uśmiechnęła się do Mala.

– Chyba mamy drobne kłopoty.

Sesily, jak zwykle, okazała się mistrzynią niedomówień.

W pomieszczeniu panował piekielny rwetes, ludzie krzyczeli, gwizdali, pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a jeden samozwańczy, acz przedsiębiorczy bukmacher zawołał:

– Nikt nie obstawiał, że dziewczyna włączy się do bójki, więc nikt nie wygrywa!

Dość powiedzieć, że ci, którzy mieli nadzieję na pieniądze, poczuli się rozczarowani.

W tłumie jedni z drugimi toczyli wojnę, podczas gdy paru osiłków, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, zabrało się do wynoszenia czterech pokonanych uczestników bójki. Mal wyciągnął rękę do szwagierki, pomagając jej stanąć.

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Wiedziałam, że przyjdziesz, ale, prawdę mówiąc, nie spodziewałam się tak imponującego entrée.

Skrzywił się.

– Nie wiem, czy ona odbierze to w taki sam sposób.

Pokręciła głową.

– Nie bądź niemądry. Kobiety lubią dramatyczne gesty.

Mal nie był pewien, czy zdemolowanie tawerny i zmasakrowanie czterech mężczyzn równa się obsypaniu ukochanej naręczami cieplarnianych róż, ale strażnik podszedł, zanim zdążył się wypowiedzieć na ten temat; potężne ręce chwyciły Mala za ramiona, przestawiając go bliżej drzwi.

– Pora się zbierać, paniczyku.

– Poczekaj! – zawołała Sesily. – On jest…

– Coś ty sobie, do wszystkich diabłów, myślała? – Mal w jakiś sposób zapomniał o Amerykaninie, co było zdumiewające, doprawdy, zważywszy, ile ten robił hałasu, odwracając Sesily twarzą do siebie. – Czy właśnie wpakowałaś się w pijacką burdę?

Sesily nie wydawała się nawet lekko wystraszona. W istocie można było odnieść wrażenie, że szwagierkę Mala wściekłość Caleba Calhouna wprawia w głęboki zachwyt. Zaczął to rozumieć, kiedy odezwała się z niezmąconym spokojem:

– A co ci do tego?

Wydawało się, że siostry Talbot znowu zaatakowały i po raz pierwszy, odkąd obudził się parę godzin wcześniej, stwierdzając, że Sera zniknęła, Mal pomyślał o czymś innym niż o swojej nieszczęsnej miłości.

Calhoun odwrócił się teraz do niego.

– Co cię tak śmieszy, rudzielcu?

Mal uśmiechnął się szerzej.

– Nic, tylko miło widzieć, że ciebie też złowiła jedna z nich.

– Wyjdź. – Caleb wycelował palcem w Mala, a potem pomachał nim przed nosem Sesily. – I zabierz tę tutaj ze sobą!

Sesily otworzyła szeroko oczy.

– Tę tutaj?

– Zniszczyłaś moją tawernę, wiedźmo!

– Nic takiego się nie stało! Ledwie trochę bałaganu. – Mal zerknął na zniszczenia, jakich dokonali. – Poza tym – ciągnęła Sesily – to nie twoja tawerna, tylko Sery.

Mal znieruchomiał.

– Co powiedziałaś?

Caleb zaklął, a Sesily drgnęła, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co powiedziała. I co z tego wynika. Wycofała się natychmiast.

– Eee… to znaczy…

– Nie jest Sery – powiedział Caleb.

– Nie jest – powtórzyła kłamstwo Sesily. Zbyt szybko.

Mal usiłował pojąć znaczenie tej chwili – biorąc pod uwagę wydarzenia z ostatnich dziesięciu minut, ostatnich dwunastu godzin, ostatnich czterech tygodni. Biorąc pod uwagę ból ramienia, w które oberwał krzesłem, ból w szczęce, gdzie dostał pięścią, i ból w sercu, które ścisnęło się, poznawszy prawdę.

A potem w tawernie zapadła cisza, niesamowita, bo przecież przed chwilą bito się na pięści, w głowach szumiał alkohol, panowały gorąco i ścisk; wszystkie oczy skierowały się na kobietę stojącą pośrodku jasno oświetlonej sceny – piękną kobietę w masce na twarzy. Bójka poszła w niepamięć.

Stała doskonale nieruchoma, jakby pojawiła się znikąd, niczym bogini, w złotym blasku świec.

– To ona – szepnął ktoś głosem pełnym uwielbienia.

Mal rozumiał uwielbienie, ponieważ tam, na scenie, stała kobieta, którą kochał.

Poznałby ją – w masce czy bez, nawet gdyby pomalowała twarz farbą. Rozpoznałby długie linie i krzywizny jej ciała, jej oddech. Jak światło i powietrze, jak grzech i miłość.

Miała na sobie zachwycającą suknię w barwie głębokiego fioletu, wibrującą czerwienią i błękitem, połyskującą jak metalowa maska – kunsztownie powyginane, delikatne cacko przypominające ptasie piórka; maska schodziła nisko na nos, tak że między jej brzegiem a pełnymi, doskonałymi wargami śpiewaczki zostawało niewiele miejsca.

Suknia opinała jej stan zbyt ciasno, dekolt wycięto zbyt nisko – jednym słowem, strój był doskonały.

A potem podniosła ręce w milczeniu, zwracając dłonie ku publiczności, wdzięcznym, zapraszającym gestem, jakby chciała podzielić się z nią

swoimi najbardziej intymnymi tajemnicami, kochać tak, jak na to zasługiwała.

Żeby publiczność mogła jej odpłacić taką samą miłością.

Cała sala wydawała się ku niej pochylać, a Mal wraz z innymi, jak na sznurku. Nic nie mogło go wyrwać w tej chwili z tego miejsca. Nie zostawiłby tej kobiety.

Była wspaniała.

– Witajcie, kochani – powiedziała niskim, zmysłowym głosem. Znajomym, a jednak zupełnie obcym. – Cudownie jest cieszyć się tego wieczoru wolnością w waszym towarzystwie.

I wtedy właśnie Mal zrozumiał prawdę.

To mogła być część roli, jaką odgrywała, owszem. Coś, czego nie widział dotąd, czego nie znał, ale to była – ona. Część niej. To nie było wymuszone. Cieszyła się tym. To ją uszlachetniało. A kiedy otworzyła usta i zaczęła śpiewać, zrozumiał, że uszlachetniało ich wszystkich.

Nie zaskoczyło go, co śpiewa. Nawet tam, w ciemności, gdzie nie mogła go widzieć, wiedział, że śpiewa dla niego piosenkę, która przez lata dźwięczała mu w uszach.

Tutaj jest serce, uśmiech i miłość.
Tutaj jest wilk, anioł i gołębica.
Przestała śnić i odłożyła zabawki,
Rodząc się tego dnia w sercu chłopca.

Nie wiedział jednak, że to nie cała piosenka, że istnieją kolejne wersy, melancholijne i piękne, wywołujące ból.

Zwiądł kwiat, odleciał ptak.
Nie ma przyszłości, którą obiecano.
Żegnaj przeszłości, żegnaj chwilo, która trwa.
Żegnaj statku i kotwico.

A potem odnalazła go w ciemnym pokoju, zwracając się ku niemu, świadoma łączącej ich więzi. Tak jak pierwszej nocy, jak sto lat wcześniej, tysiąc, na balkonie w ciemności, kiedy odkryli, że są sobie przeznaczeni. Na zawsze.

Składamy więc głowy na poduszkach,
Leżąc w chłodzie własnych łóżek.
Odkładamy marzenia i zabawki,
Wspominamy dni w sercu chłopca.

W tawernie nikt się nie poruszył, panowała cisza, jakby spadł śnieg i wszystko przykrył, muzyka wypełniała wszystkie zakamarki, wszystkich oczarował jej cudowny głos. Ale tylko Malem ta piosenka wstrząsnęła do głębi.

Bo w końcu zrozumiał.

Wróbelek nie był wróbelkiem. Był feniksem. Odrodzonym z popiołów przeszłości. Ich przeszłości. Nie było tu niczego, co zniszczyli, co stracili. Ile razy mówiła o wolności? Tutaj, w tawernie, była wolna.

W końcu zrozumiał.

Kiedy muzyka ucichła, a ona skłoniła się nisko, sala wybuchła oklaskami i tupaniem, od których zatrzęsły się ściany. Nie napawała się jednak zachwytem tłumu. Odwróciła się i zeszła ze sceny, znikając za małą kurtyną z boku, której można było nie zauważyć, jeśli ktoś nie był zainteresowany.

Oczywiście wszyscy mężczyźni – i wiele kobiet – było zainteresowanych. Ruszył, żeby ją przed nimi chronić, kiedy powstrzymała go czyjaś ręką.

– Tam są strażnicy – powiedział Calhoun. – Jest bezpieczna.

Dwaj potężni mężczyźni stanęli po bokach kurtyny. Gotowi walczyć za Wróbelka, za swoją królową.

Nie dbał o to. Chciał ją chronić.

– Może powinieneś poczekać – dodała Sesily.

Mal zrozumiał znaczenie tych słów. Ona cię nie chce.

Odwrócił się do nich.

– Tawerna jeszcze do niej nie należy. To mieliście na myśli.

– Niczego nie miałem na myśli. – Amerykanin skrzywił się, zerkając na Sesily.

Sesily wzruszyła ramionami.

– Rozgniewałeś mnie. A poza tym pora, żeby ktoś ich ponaglił.

– Ponaglił do czego? – burknął Caleb.

– On się z nią nie rozwiedzie, Amerykaninie – oznajmiła Sesily. – Za bardzo ją kocha.

Nie myliła się, ale ta rozmowa mu nie pomagała. Mal stłumił chęć, żeby kazać obojgu się zamknąć.

– Mam rację, prawda? – powiedział. – Tawerna ma do niej należeć.

– Będzie jej, kiedy będzie mogła ją przejąć – odparł niechętnie Amerykanin.

Mal pokręcił głową. Kobiety zamężne nie mogły posiadać własności. Nie mogły prowadzić interesów.

– A to się nigdy nie stanie. Dopóki jest moją żoną.

Amerykanin nie musiał odpowiadać.

Żeby zyskać przyszłość, musiała zapomnieć o przeszłości. A to nie było możliwe, jeśli z nim zostanie. Spojrzał na Sesily, jedyną siostrę, skłonną być może do tego, żeby mu wybaczyć.

– Dlaczego mi nie powiedziała? – Na to także Calhoun nie musiał odpowiadać. Mal odpowiedział za niego. – Nie ufała mi na tyle, żeby nie podejrzewać, że wciągnę ją w jakieś gierki. – Nie ufała mu, koniec kropka. A on tylko udowodnił, że miała co do tego rację, bo zamiast powiedzieć jej prawdę – ryzykując wszystko – wymyślił intrygę, żeby ją do siebie zwabić.

I wszystko stracił, tak czy inaczej.

Nigdy nie dał jej powodu, żeby mu ufała.

Słowa, które powiedziała tego ranka – czy to było ledwie tego ranka? Chryste, miał wrażenie, że minął wiek – rozbrzmiały mu znowu w uszach, tak jak jej piosenka, słodka, uczciwa, melancholijna.

„Miłość nie wystarczy”.

Były czasy, kiedy by wystarczyła. Kiedy był wszystkim, czego pragnęła. Wszystkim, czego potrzebowała. Ale był ślepy i nie widział, że wszystko, co zrobiła, zrobiła dla niego. Dla rodziny. Dla przyszłości. A kiedy wreszcie zrozumiał, ona już tkwiła uwięziona na firmamencie.

Skinął głową, świadom tego, co się stanie. Świadom, że jeśli to się nie powiedzie, straci ją na zawsze. Wiedział jednak, że nie ma wyboru.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Sesily go zatrzymała.

– Poczekaj! Haven! Co mamy jej powiedzieć?

Odparł, nie patrząc na nią:

– Powiedzcie, że nie poślubię Felicity Faircloth.

Przeszedł przez ulicę na zewnątrz tawerny; musiał odetchnąć i zastanowić się chwilę. Tyłem do wyłożonej kamieniami ściany zamknął oczy i wciągnął parę razy głęboko powietrze; bał się, że ból rozsadzi mu pierś.

Otworzył oczy, przed nim stało dwóch mężczyzn, niesprawiających wrażenia niewiniątek; jeden wysoki i szczuły, z paskudną szramą na policzku, laska, którą trzymał, służyła mu zapewne nie tylko do podpierania się, ale także do walki; drugi, niższy, o szerszych ramionach, z twarzą, która przypominałaby rzymską rzeźbę, gdyby nie wyraz okrucieństwa.

Nie wyglądali na kieszonkowców ani zwykłych zawadiaków, ale to było Covent Garden, więc powiedział:

– Jeśli jesteście chętni do bitki, panowie, to ostrzegam, że chętnie służę. Idźcie drażnić innego niedźwiedzia.

Wysoki mężczyzna odparł bez wahania:

– Nie jesteśmy tu dla ciebie, książę. – Mala nie zdziwiło, że wiedzą, kim jest. Tacy jak oni zwykle wiedzieli całkiem sporo. – W każdym razie nie

przyszliśmy dla ciebie. Teraz jednak, kiedy zobaczyliśmy, jak walczysz… – Mężczyzna z blizną cmoknął z uznaniem. – Nie przypuszczam, żebyś był zainteresowany, żeby walczyć dla nas. Za dobre pieniądze.

– Nie.

Drugi z mężczyzn – ten z przystojną okrutną twarzą – odezwał się wówczas niskim, chropawym, jakby z rzadka używanym głosem:

– Pewnie. Nie dałbyś rady.

– A to czemu?

– Mój brat ma na myśli – przemówił znowu wysoki – że są dwa rodzaje mężczyzn, którzy się biją; jedni robią to znakomicie bez względu na wszystko, inni sprawdzają się tylko wtedy, kiedy w grę wchodzi coś, co kochają. Należysz do tych drugich.

Domyślił się, z kim ma do czynienia.

– To wy daliście wycisk Calhounowi.

Wyższy uchylił czapki, uśmiechając się szeroko.

– To tylko takie powitanie sąsiada. Calhoun się stawiał i dobrze mu szło. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Mal kiwnął głową, choć wątpił w każde słowo. Przyglądał się chwilę mężczyznom, rozważając różne sposoby, na jakie mógłby się z nimi rozprawić, gdyby choć spojrzeli na jego żonę. W końcu mruknął cicho:

– Macie rację. Myślę tylko o jednym, kiedy czemuś, co kocham, grozi niebezpieczeństwo. Przypuszczam, że rozumiecie, bo jesteście ulepieni z podobnej gliny.

Mężczyźni patrzyli na niego uważnie, ale milczeli.

Mal pochylił się, trzymając wściekłość na wodzy.

– Słuchajcie. Wszystko, co kocham, jest tam w środku. Jeśli coś złego się stanie, przyjdę po was.

Po chwili ciszy niższy mężczyzna wydał pomruk, a wyższy zawołał:

– Chryste, chciałbym, żeby dla nas walczył! Pomyśl, ile byśmy na nim zarobili!

– Jemu co innego chodzi po głowie.
Bóg świadkiem, że miał rację. Aż do tej chwili Mal walczył dla siebie. Nadszedł czas, żeby zaczął walczyć dla niej.

26. Książęcy rozwód – decyzja zapadła!

12 października, 1836
Parament, Izba Lordów

Nie widzę go.

Sesily pochyliła się nad poręczą galerii dla publiczności i patrzyła w dół, na pochód parlamentarzystów napływających do Izby Lordów. Sera zignorowała ból rozczarowania.

– Nie, chyba go tam nie ma.

– Cóż, wszyscy widzą ciebie, i to się liczy – zauważyła oschle Seline, kiedy Sesily wyprostowała się i odwróciła plecami do sali.

– Nie mam zamiaru okazywać szacunku grupie czcigodnych zgrzybiałych staruszków, chyba że dadzą Serze to, czego chce.

– A nie dadzą – odparła Seleste, opierając się swym idealnym tyłeczkiem o balustradę i krzyżując ręce na piersi. – Clare mówi, że wie z pewnego źródła, że nie masz głosów, Sera, o czym sama zresztą wiesz. Choć, oczywiście, masz głos Clare'a.

– I Kinga – wtrąciła Sophie.

Sera wiedziała, że nie dostanie rozwodu. Prawdę mówiąc, ciągle była zaskoczona, że w ogóle miało się odbyć głosowanie w tej sprawie.

Mal od trzech tygodni trzymał się z dala; nie kontaktował się i nie przysyłał wiadomości, pomijając to, co powiedział Sesily we Wróblu po tym, jak niemal zdemolował tawernę. Że nie ożeni się z Felicity Faircloth.

Wyglądało na to, że z lady Lilith także się nie ożeni, biorąc pod uwagę, że obie kobiety wróciły do Londynu i na małżeński rynek wraz z lady Emily. „Wiadomości Londyńskie” już zdążyły ogłosić wszystkie trzy „najjaśniejszymi klejnotami sezonu”.

Tak więc Mal, najwyraźniej, nie ożeni się z inną, a zatem nie ma zamiaru rozwieść się z nią.

Trzy dni po tym, jak Mal bez słowa opuścił Wróbla Sera otrzymała list od Lorda Kanclerza, w którym poinformował ją, że „kwestia rozwiązania jej małżeństwa z księciem Haven przez rozwód” zostanie podjęta przez Izbę Lordów. Jej samej nie poproszono o złożenie oświadczenia w sprawie swojej prośby, nie zezwolono jej też na zatrudnienie prawnika. Żony nie miały osobowości prawnej, podano jej zatem tylko datę i godzinę.

Siódmy października1836 roku, dziesiąta trzydzieści.

– Cóż – powiedziała Seline, kiedy Sera przekazała jej wieści. – Przynajmniej nie ominie nas poranna przejażdżka.

Mężczyźni krążyli po sali na dole, zupełnie nieświadomi przyszłych losów kobiety, na których miała zaważyć ich decyzja. Wchodzili i wychodzili z dwojga drzwi, znajdujących się po dwóch stronach sali. Drzwi po lewej prowadziły do salki, w której głosowali ci, którzy zgadzali się na rozwód; za drzwiami po prawej głosowali ci, którzy byli mu przeciwni.

– Masz przynajmniej dwa głosy za rozwodem – zauważyła Seleste. – King i Clare są po twojej stronie. Problem w tym, że żaden z tych utytułowanych dziadków nie jest zainteresowany tym, żeby nieszczęśliwe żony mogły się tak po prostu wyślizgać z małżeństwa. Jednak nasi mężowie są lojalni do znudzenia.

– Nigdy nie uważałam, żeby to było nudne. – Sophie uśmiechnęła się, wychylając za balustradę. – Zresztą ja nie mam zamiaru wyślizgiwać się z małżeństwa. – Urwała, a potem dodała bez tchu: – Nigdy jeszcze nie widziałam Kinga w peruce. To takie…

– Poruszające? – podrzuciła Sesily.

– Miałam zamiar powiedzieć „ciekawe”. Ale „poruszające” to też interesujące słowo. – Przekrywiła głowę. – Czy jestem poruszona? To możliwe.

– To sprawka tych peruk – stwierdziła Seline sucho. – Pudrowane końskie włosie, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wspaniałe. I pachnące.

Siostry wybuchnęły śmiechem. Wszystkie poza Serą, która nie była w stanie zapomnieć o najważniejszej sprawie tego dnia. W czym nie było nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że sprawa ta miała bezpośrednio wpłynąć na jej przyszłość i wolność.

– Jesteś pewna, że go tam nie ma? – zapytała.

Sesily odwróciła się i jeszcze raz przesunęła wzrokiem po tłumie mężczyzn na dole.

– Trudno powiedzieć, przy tych perukach i togach, ale nie wydaje mi się. – Obejrzała się na Serę. – Myślisz, że mógłby się tu pokazać? Albo jeszcze lepiej, przyjechać i porwać cię stąd? Cała ta procedura jest tak pomyślana, żeby wystawić cię na widok publiczny. On nie da ci rozwodu, więc jaki ma to sens?

– Obiecał mi głos.

– Obiecał ci też miłość i szacunek, ale jakoś nie bardzo mu to wyszło.

– Seline – rzuciła Sophie ostro. – Ona nie potrzebuje teraz wspomnień o ich wspólnej przeszłości.

– Ja obiecałam mu to samo – zauważyła Sera.

– Ech. – Seleste machnęła ręką. – Obiecywałyśmy też posłuszeństwo, a czy któraś z nas się do tego zastosowała? Rzecz w tym, że to upokarzające. Jeśli się upiera, żebyś nadal była jego żoną, to powinien odwołać to głosowanie, zamiast kazać ci je przegrać na oczach wszystkich.

Sera nie mogła się z tym nie zgodzić, ale nie było zbyt istotne, czy zamierzał spędzić ten dzień, rozkoszując się swoją wygraną, skoro nie pojawił się tutaj, żeby rozkoszować się swoją wygraną.

– Cóż, tak czy inaczej, można by pomyśleć, że jednak tu będzie – odparła Seleste, przyłączając się do Sesily, która ciągle obserwowała salę. – Zdumiewające, Sero, ale chyba dostałaś więcej głosów niż tylko od naszych drogich szwagrów… O! Ojciec głosował za tobą! Dobra robota, tatku! – zawołała, machając ręką i przyciągając uwagę lwiej części parlamentarzystów, którzy spojrzeli na nią z wyraźną dezaprobatą. – Tatko głosował za tobą, Sero.

Sesily włączyła się w przedstawienie, wołając głośno:

– Głosujcie za Serą! – Potem odwróciła się do sióstr. – Powinnyśmy były zrobić kapelusze. Zorganizować marsz z transparentami.

Sera powstrzymała pragnienie, by ukryć twarz w dłoniach, kiedy Seline dodała:

– Wątpię, by marsze pomogły.

– Nigdy nie wiadomo – powiedziała z nadzieją Sophie.

– Wiadomo – odparła Seline głosem suchym jak piasek. – Nikt nie lubi kobiet, które się nie boją.

– Cóż, w takim razie możemy wyrzucić naszą reputację przez okno i do Tamizy – oznajmiła równie oschle Sesily, siadając obok Sery. – Cokolwiek będziemy robiły.

Wszystkie uśmiechnęły się pod nosem, a potem wybuchnęły głośnym śmiechem, który odbił się echem od ścian. Sera odkryła, że nie dba o to. Skoro Malcolm nie raczył nawet pokazać się na głosowaniu, ona może przynajmniej spędzić ranek, dobrze się bawiąc. W końcu i tak to on wygra, prawda?

Ty też możesz wygrać.

Przełknęła ślinę, nagle zaniepokojona.

– Lordzie Kanclerzu!

– Och, patrzcie! Heiferbetter ma coś do powiedzenia! – zawołała Sesily, zniżając głos. – Cóż za odpychający człowiek.

Sera nie zaprzeczyła.

– Kanclerz udziela głosu lordowi Heiferbetterowi – oznajmił przewodniczący obrad.

– Proszę pokornie o przypomnienie osobom przebywającym na galerii dla publiczności, że znajdujemy się w miejscu wymagającym większej powagi, bo decydujemy o sprawie, która poważnie wpłynie na jednego z naszych członków, a może też wpłynąć na resztę z nas w sposób, który można opisać tylko jako bardzo…

– Poważny? – spytała Seline. Jej głos zabrzmiał w ciszy, która zapadła w sali, wyjątkowo wyraźnie.

Lord Heiferbetter spojrzał na nią, zirytowany.

– Znaczący – dokończył.

– Proszę o spokój na galerii – powiedział Lord Kanclerz, nie kryjąc znudzenia.

Cztery siostry zrobiły, co im kazano, i usiadły, dziwnie milczące, tworząc kolorowy kobiecy rządek.

Do kilku długich minutach, spędzonych na obserwacji głosowania, Sesily odezwała się cicho:

– Sera, znacznie więcej z nich głosuje za rozwodem, niż się spodziewałam.

Seleste pochyliła się i szepnęła:

– Liczyłam ich i… cóż, nie chcę ci robić fałszywej nadziei, ale myślę, że masz spore szanse, Sero.

Sera skinęła głową, niezdolna oderwać wzroku od drzwi w dole, z których wychodzili lordowie – w większości dość młodzi, by mogła ich pamiętać ze swoich wczesnych sezonów – i wracali do głównej sali po zagłosowaniu za jej rozwodem.

Serce zabiło jej mocniej.

– Może tak być – odparła cicho, bardziej do siebie niż do innych, ale siostry Talbot zawsze były w takich chwilach połączone jakąś nierozerwalną więzią. Sophie chwyciła ją za rękę i ścisnęła ją lekko.

– Sera.

I wtedy właśnie zauważyła markiza Mayweather. Wróciły wspomnienia – tak mgliste, jakby to wszystko zdarzyło się wiele dekad temu, a nie zaledwie trzy lata wcześniej. Tamtego wieczoru, kiedy poznała Mala, na balkonie Worthington House, był z Mayweatherem. Narzekał na myślące tylko o zamążpójściu panny i strofował markiza za to, że się zakochał.

Spojrzała na siostry.

– Czy markiz Mayweather jest żonaty?

Wyglądały na zakłopotane, aż w końcu Sesily powiedziała, tak delikatnie, jak była w stanie:

– Może powinnaś zaczekać, aż rzeczywiście dostaniesz ten rozwód, zanim – machnęła ręką – zaczniesz się rozglądać za kimś innym?

Sera pokręciła głową.

– Nie chcę za niego wyjść, Sesily. Po prostu jestem ciekawa.

– Och, w takim razie w porządku.

– Jest żonaty – odezwała się Sophie. – Markiza często odwiedza księgarnię.

– Helen – powiedziała Sera. – Ma na imię Helen.

– Cóż, ja zawsze nazywam ją tylko lady Mayweather, ale tak, chyba tak ma na imię. Znałaś ją? Wcześniej?

Pokręciła głową i wyszeptała, wyraźnie zaprzątnięta mężczyzną w sali na dole:

– Słyszałam o niej. Wiem, że był oczarowany. – Była wytrącona z równowagi faktem, że markiz głosował za przyznaniem jej rozwodu. Dlaczego? Czy nie powinien wziąć strony swojego przyjaciela? – Lubi koty – mruknęła. Nie bardzo wiedziała, co mówi.

Gdyby Malcolm chciał rozwodu, czy nie poprosiłby swoich przyjaciół, by głosowali tak jak on?

– Ja też lubię koty – powiedziała Sesily. – Czy ktoś widział lady Felicity, odkąd wróciła do miasta? Ktoś powinien zaprosić ją na kolację.

– Ty mogłabyś to zrobić – zauważyła Seleste.

Sesily pokręciła głową.

– Nikt nie pozwoli swojej niezamężnej córce zaprzyjaźnić się ze mną. – Po wydarzeniach we Wróblu o Sesily pisały wszystkie gazety, a rodzice grozili, że wyślą ją gdzieś daleko od Londynu, żeby podreperowała reputację. Jakby to w ogóle było możliwe.

– Sophie powinna ją zaprosić. Jest najbardziej szanowaną z was wszystkich.

– Och, tak. – Seleste uśmiechnęła się pod nosem. – Nigdy nie wywołała żadnego skandalu.

– Cóż, w wyniku swojego skandalu została markizą.

Podczas gdy Sera obserwowała salę, kolejny mężczyzna zagłosował za rozwodem i zatrzymał się, by porozmawiać z kilkoma innymi, którzy stali w ciasno zbitej grupce. Wydali jej się znajomi, choć nie mogła sobie uzmysłowić, skąd ich zna.

– Sera? – powiedziała cicho Sophie, jakby wyczuła, o czym myśli jej siostra. – Kim jest ten człowiek?

Sophie odwróciła się, żeby spojrzeć.

– Ten potężny to książę Lamont. Ten wysoki to earl Arsley. A ten przystojny to markiz Bourne. Mają klub.

Nie jakiś tam klub. Klub Havena.

I głosowali za rozwodem.

Coś się tu działo. Gdzie jest Mal? Czy sam nie odda głosu?

Minęły trzy tygodnie, odkąd go opuściła. Potem widziała go we Wróblu. Nie mogła go nie zobaczyć, nie tylko dlatego, że wraz z jej siostrą zdemolował kilka mebli w tawernie i powalił paru mężczyzn na ziemię.

Zobaczyła go, kiedy tylko tam wszedł.

Ale potem Mal znikł, jakby tamten wieczór nigdy się nie wydarzył. Zrobił więc to, czego – jak sądziła – pragnęła. Tyle tylko, że kiedy się to

stało, nie była wcale pewna, czy istotnie tego chciała. Znikł, a ona myślała tylko o tym, żeby go znowu zobaczyć.

Dlaczego go tu nie ma?

– Sera – powtórzyła Sophie po raz trzeci. Sera spojrzała na nią i zobaczyła, że młodsza siostra uważnie jej się przygląda. – Czy ty ciągle tego chcesz?

To pytanie było niemal nie do zniesienia. Oczywiście, że tego chciała, prawda? Chciała tego od lat. Lat, w czasie których nie miała nic. Kiedy straciła wszystko: małżeństwo, o którym wcześniej marzyła, męża, którego kochała, dziecko, które urodziła, przyszłość, którą sobie wyobrażała. A kiedy uciekła, straciła te kobiety, swoje siostry.

Rozwód oznaczał zamknięcie za sobą drzwi przeszłości i szansę na nowy początek.

– Wszystko, co kochałam, obróciło się w ruinę. Wszystko, poza Wróbelkiem.

Od prawie trzech lat Sera była szczęśliwa tylko na scenie, najpierw w Bostonie, jako Gołębica, a potem tu, jako Wróbelek. Śpiewając, zawsze potrafiła odnaleźć siebie.

I nawet jeśli nie miała już nic, to zawsze z nią pozostawało.

– Nie mogę być Wróbelkiem i księżną. Nigdy nie chciałam. Ale teraz… – Urwała.

– Ale teraz…? – Sophie zawsze umiała dostrzec prawdę szybciej niż reszta z nich.

Sera spojrzała na salę w dole, salę, w której nie było Mala.

Kochał ją.

Nawet wtedy, kiedy sądziła, że utraciła wszystko, on ją kochał.

A teraz go nie było.

A ona czuła się tak, jakby kolejny raz miała wszystko stracić i tym razem nie miała nawet pewności, czy ocali ją Wróbelek.

– Panowie, głosy zostały właśnie zliczone – oznajmił Lord Kanclerz. – Jestem zaskoczony i zdumiony, że mamy remis. Osiemdziesięciu z was, panowie, głosowało za, i osiemdziesięciu przeciw.

Serca wstrzymała oddech. Na dole wybuchła wrzawa, niektórzy z zebranych tam arystokratów głośno dawali wyraz swemu niezadowoleniu z wyniku głosowania.

– Jak to możliwe? – powiedziała Sera, oszołomiona wynikiem. – Remis? Przecież zapewniono nas, że nie dostaniemy głosów! – Jej wzrok padł na markiza Mayweather, który wydawał się doskonale spokojny. Podobnie jak właściciele klubu Mala i kilku innych lordów, którzy głosowali za rozwodem.

Sesily Talbot nie wydawała się jednak spokojna. Wstała, chwyciła balustradę, żeby nie spaść na dół, i krzyknęła do zebranych w dole lordów.

– Och, na litość boską, kanclerzu! Co teraz będzie?

Będzie to, że pojawi się Mal, pomyślała Sera.

Jakby za sprawą mocy jej myśli wielkie drzwi po drugiej stronie sali otworzyły się z trzaskiem, który odbił się echem od ścian holu. Zapadła cisza. Malcolm, nieporuszony, jakby był to dzień jak co dzień, jakby na galerii nie siedziała jego żona, czekając na wyrok w sprawie swojej przyszłości.

– Jeśli mi wolno, Lordzie Kanclerzu?

Sera wpiła się w niego wzrokiem, zdumiona, że mogła nie widzieć go przez całe lata, a potem wystarczyły trzy tygodnie, by nie mogła się doczekać jego widoku.

– Spóźnił się pan, książę Haven! – zawołał przewodniczący obrad. – Co jest dość zdumiewające, biorąc pod uwagę sprawę, jaką dziś rozpatrujemy. Ponadto pański niestosowny strój obraża Izbę Lordów.

Nie miał na sobie togi. Ani peruki.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Zbierałem głosy.

Serze w pierwszej chwili zrobiło się zimno, a zaraz potem gorąco.

– Cóż, kiepsko to panu poszło, bo mamy remis.

Czy Mal się uśmiechnął? Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy – ani zadowolonej, ani smutnej. Co się tu działo?

– No, cóż. Może, skoro już tu jestem, mógłbym zagłosować ustnie?

Przewodniczący zawahał się.

– To niezgodne z przepisami.

W sali znowu wybuchła wrzawa.

– Niech zagłosuje! – zawołał ktoś z boku.

Wtedy przemówił Mayweather.

– Ma prawo zagłosować w sprawie własnego małżeństwa, czyż nie?

– Ma – powiedziała cicho Sera.

Siostry ją usłyszały. Sophie odwróciła się, by na nią spojrzeć.

– Chcesz, żeby zagłosował.

Jeśli zagłosuje, to za tym, by pozostali małżeństwem.

Tak.

Wstrząśnięta, skinęła głową, tak lekko, że nikt nie powinien był tego zauważyć. Siostry jednak dostrzegły to, oczywiście, i zaczęły hałasować, uderzając rękami w balustradę, by przyciągnąć uwagę Mala. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy bez wahania, a ona zobaczyła w nich wszystko. Miłość. Namiętność. Pewność.

Pragnął jej i był zdecydowany zrobić wszystko, by ją mieć.

A ona w tym momencie uświadomiła sobie, że czuje dokładnie to samo.

– Chyba jednak nie dostaniesz tego rozwodu – mruknęła Sophie, ściskając ją za rękę.

– Ale chyba możesz się spodziewać wielkiego gestu – powiedziała z uśmiechem Sesily. – Powiedziałam mu, że to lubimy.

– A więc dobrze, Haven, głosuj – powiedział kanclerz głosem wyraźnie poirytowanym.

Haven wyszedł na środek, cały czas ze wzrokiem utkwionym w Serze, a ona miała wrażenie, że nagle cały parlament znikł i zostali tylko oni dwoje,

w jakimś cudownym odosobnieniu. Z dala od oczu całego świata.

Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego słowa.

– Kocham cię.

Odezwał się chór zdegustowanych pochrząkiwań, jakby zebrana tu arystokracja zrozumiała, czego się może spodziewać, ale Sera nie dbała o to ani trochę. Wstała, ściskając rękami balustradę galerii, jakby chciała być jak najbliżej niego, bez względu na to, co miało się zaraz stać.

– Wiedziałem, że chcę cię poślubić, od chwili, gdy cię poznałem, kiedy skarciłaś mnie za to, co mówiłem o motywach, które prowadzą kobiety do małżeństwa. Byłaś wspaniała. Był tam też Mayweather. Byłby wtedy podobnego zdania, ale wtedy kochał już Helen. Czy pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

– Powiedziałeś, że miłość to wielka słabość.

Kilku z zebranych w dole mężczyzn zdawało się z tym zgadzać.

Mal skinął głową.

– Tak. Ale już kilka minut później byłem zakochany po uszy.

Serce zabiło jej mocniej. Ona też się wtedy zakochała. Planowała go poznać, tego legendarnego księcia, a kiedy w końcu na niego wpadła, okazał się ideałem. I była niemal rozczarowana, że to ten sam mężczyzna, którego chciała usidlić.

– Pamiętasz pierwszą pieśń, którą dla mnie zaśpiewałaś?

Oczywiście, że ją pamiętała. Znała ją na pamięć. Zaśpiewała ją też tego ostatniego wieczory we Wróblu.

– Tak.

Mal doszedł do pierwszego z kilku rzędów zajętych przez lordów w togach i perukach.

– Uważaj, Haven – warknął jeden z nich.

Mal jakby tego nie słyszał.

– Zawsze myślałem, że to o tobie. Że to ty odnalazłaś siebie we mnie. Ale potem zdałem sobie sprawę, że to była głupia myśl. Bo co z nim? Z

chłopcem, który narodził się tego samego dnia, w sercu dziewczyny?

Jego słowa były pełne uczucia, a palce Sery, zaciśnięte na balustradzie, zbielały. Czuła łzy pod powiekami. I tak bardzo chciała, by był bliżej niej.

On musiał chcieć tego samego, bo znowu ruszył przed siebie, wspinając się na ciężkie ławy, i nie dbając przy tym zupełnie ani o te czcigodne sprzęty, ani o czcigodnych arystokratów, którzy odsuwali się na boki, by nie podeptał ich książę Haven. On zdawał się zainteresowany tylko tym, by zbliżyć się do niej.

– Idzie tu – szepnęła Sesily.

Sera pochyliła się do przodu i patrzyła, jak bez chwili wahania zaczął wspinać się na ścianę.

Cała sala zamarła; kilkunastu mężczyzn wybuchnęło po chwili gniewem, a dwóch z nich – ci, którzy znajdowali się najbliżej – sięgnęło, by chwycić go za ubranie. Jakby mogli go powstrzymać.

Nie mogli.

Był zbyt silny, zbyt szybki, zbyt wspaniały. Przerzucił jedną nogę przez balustradę. Seleste i Sophie cofnęły się, by zrobić mu miejsce; Sesily, stojąca trochę dalej, pisnęła z podniecenia.

Przynajmniej Serze wydawało się, że to Sesily. Bo ani na chwilę nie oderwała wzroku od Mala. A on stanął przed nią, dysząc ciężko – dobry Boże, wspiął się na ścianę.

Wyciągnął rękę i drżącymi palcami założył jej kosmyk włosów za ucho. Kiedy przemówił, jego głos był ściśnięty ze wzruszenia.

– Więc co z tym chłopcem, który nie mógł pozwolić jej odejść?

Popłynęły łzy, gorące i niepodziewane.

– To zawsze był problem – odparła. – Nie chciałeś pozwolić mi odejść.

A może chodziło o to, że nie mógł zatrzymać jej przy sobie. Teraz już nic nie miało sensu. Poza tym. Poza nim, tutaj, tuż przy niej.

Pokręcił głową.

– Byłem draniem. Nie zdawałem sobie sprawy, że im mocniej będę cię trzymał, tym dalej odlecisz. Nie zdawałem sobie sprawy, że możesz to zrobić. Byłem młody i głupi i Bóg jeden wie, że robiłem rzeczy właściwe młodości i głupocie, z których najgłupszą chyba było złożenie przysięgi, że nigdy nie pozwolę ci odejść.

Urwał, a ona zatęskniła do tych ludzi, którymi kiedyś byli, do tych młodych, pięknych, niespokojnych ludzi, którzy wszystko robili nie tak.

– Nawet gdy wróciłaś, przysiągłem, że nigdy nie pozwolę ci odejść, Sero, bo nigdy nie przestałem żałować, że nie zostałaś ze mną.

Ale ona musiała wtedy odejść. Tak wiele zepsuła.

Teraz on jakby słyszał jej myśli.

– Wiem, myślałaś, że przegraliśmy, ale to nieprawda, moja najdroższa. To ja przegrałem. Przegrałem ciebie.

Pokręciła głową, po jej twarzy płynęły łzy.

– Nie.

To nie była prawda, oczywiście. Oboje przegrali i oboje wygrali. Porażki, jakie ponieśli, ryzyko, świat, który zostawili za sobą – to wszystko uczyniło ich lepszymi, dla tego świata, który dopiero zbudują.

Nie przegrali.

Kochali.

Nadal kochają.

Podniósł rękę, położył dłoń na jej policzku i mówił tak, jakby nie patrzył na nich cały świat.

– Myślałem, że jeśli będę cię ścigał dość długo i dość daleko i schwytam cię dość mocno, zdołam cię przekonać, że się zmieniłem. Że możemy zacząć od nowa. Ale nie mogę tego robić i jednocześnie dać ci wolności, tej jedynej rzeczy, a jaką mnie kiedykolwiek prosiłaś, jedyną, jakiej ci odmówiłem. Bo od początku byłem draniem. Nigdy na ciebie nie zasługiwałem.

– Nie, Mal.

– Tak, najdroższa. Skończyłem już z tym pościgiem. Będę szczęśliwy, jeśli odnajdę cię nocą, wśród gwiazd. – Urwał, a Sera otworzyła usta, bo zdała sobie sprawę, co zamierzał zrobić. – Nigdy nie będzie dla mnie żadnej innej. Ale nie mój wybór ma tu znaczenie, lecz twój. Jeśli tego nie chcesz, wolę, byś była raczej wolna, tak jak od początku chciałaś. Byś zaczęła od nowa. Zaznała szczęścia gdzie indziej. Z kimś… – Urwał i znowu podjął: – Z kimś innym. Kimś, komu będziesz mogła ufać. Wierzyć.

Zabrakło jej tchu w piersi; łzy płynęły teraz jak rzeka, spływały po policzkach, nie była w stanie ich powstrzymać, tak jak nie mogła powstrzymać się od wypowiedzenia jego imienia.

Wierzę ci.

To mi wystarcza. Ty mi wystarczasz.

– Jesteśmy małżeństwem – wyszeptała, a on ją pocałował, na oczach jej sióstr i całego parlamentu, wśród okrzyków oburzenia i zachwytu, które rozpłynęły się w tej długiej, czułej pieszczocie. I w smutku. Bo ten pocałunek miał smak pożegnania.

Jakby miał być ostatni.

Potem Mal przytknął czoło do jej czoła.

– Chcę tylko, żebyś była wolna, najdroższa. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Chcę tylko, żebyś wybrała własną drogę i wiedziała, że będę cię za to kochał jeszcze bardziej – powiedział cicho, jakby miał ją wypuścić z rąk jak ptaka, który zaraz wzbije się w niebo. – Będę cię kochał.

Co on robi?

I wtedy wypuścił ją z objęć. Odwrócił się bez wahania i powiedział głośno:

– Lordzie Kanclerzu, głosuję za rozwodem.

I nagle byli już rozwiedzeni.

27. Każda księżna ma swój dzień

Dwie godziny później Mal wszedł do swojego parlamentarnego gabinetu i zastał tam byłą żonę.

Zatrzymał się tuż za otwartymi drzwiami, z ręką na klamce, i patrzył na nią, przycupniętą na wbudowanym we wnękę okienną siedzeniu. Nieruchoma, na tle okna wychodzącego na katedrę św. Pawła, z kolanami podciągniętymi pod brodę, w świetle tego wspaniałego październikowego dnia, wyglądała pięknie.

Tutaj.

Dzięki Bogu, była tutaj.

Przemówiła, nie odwracając głowy; ciągle widział jej idealny, złociście opromieniony profil.

– Wyobrażam sobie, że członkowie Izby Lordów nie są dzisiaj z ciebie zadowoleni, książę.

Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami w obawie, że jeśli podejdzie bliżej, ona zniknie, a on znowu zostanie sam. W końcu nie była z nim już związana w żaden sposób. Mogła wyjechać i nigdy nie wrócić.

– Wielu z nich, na pewno. – Mal spędził ostatnie dwie godziny wystawiony na gniew i dezaprobatę osiemdziesięciu arystokratów, którzy głosowali przeciw rozwiązaniu jego małżeństwa. – Uważają, że obraziliśmy instytucję.

– Instytucję małżeństwa czy parlamentu?

– Po trochu obie.

Wypuściła powietrze, co mogło być śmiechem.

– Tylko po trochu? Byłeś zupełnie nieodpowiednio ubrany, wasza wysokość.

– Co ciekawe, tym akurat nikt się specjalnie nie interesował.

– Na pewno zwrócili większą uwagę na fakt, że wspiąłeś się po ścianie i pocałowałeś mnie.

– Tak – odparł. – Ale wtedy byłaś jeszcze moją żoną, więc pewnie najbardziej przeraziło ich to, że teraz małżonki mogą zażądać czegoś takiego od każdego z nich.

– Nie zalecałabym tego – stwierdziła. – Takie wielkie gesty zbyt często kończą się rozwodem.

– Zbyt często? – Oddałby wszystko, by na niego spojrzała, odwróciła się do niego i powiedziała mu, co myśli.

I w końcu spojrzała na niego, spojrzała mu prosto w oczy. Jak zawsze.

– Zawsze.

Musiał użyć całej swojej siły, by do niej nie podejść. Przysiągł, że przestanie ją ścigać. Że pozwoli jej podejmować własne decyzje.

– Straszna statystyka.

Uśmiechnęła się wtedy.

– Jesteś szalony.

– Nie ty pierwsza doszłaś dziś do takiego wniosku.

Odwróciła się do okna.

– Marynarze na statku, którym płynęłam do Bostonu, nazwali mnie Gołębicą. – Uśmiechnęła się z żalem. – Lubili mnie.

– Nie wątpię – odparł.

Pokręciła głową.

– Nie w ten sposób. Byłam… – Urwała, jakby szukała odpowiednich słów. – Byłam smutna.

Musiał do niej podejść, nie byłby w stanie się powstrzymać, nawet gdyby miał siłę dziesięciu mężczyzn. Ale, o dziwo, kiedy już zbliżył się do okna,

potrafił oprzeć się pokusie, by jej dotknąć. Zamiast tego usiadł na krześle obok niej.

Nie oderwała wzroku od miasta za oknem.

– Byłam smutna, prawie nie spałam, więc spacerowałam po pokładzie. Powiedzieli mi, że nie mogę tego robić, że to zbyt niebezpieczne.

– Płynęliście w lutym przez Atlantyk. – Sam dźwięk tych słów wywołał w nim niepokój. Mogła się rozchorować. Albo jeszcze coś gorszego. Nie mógł znieść myśli o niej, w tej strasznej podróży, miotanej przez fale, zagrożonej przez żywioły. Samotnej.

Powinien był być tam z nią.

A przede wszystkim ona nie powinna się tam znaleźć.

Gdyby tylko nie był takim głupcem.

– Mówisz jak oni. – Uśmiechnęła się. – Nie jestem aż tak delikatna.

– Nie – zgodził się. – Jesteś cudem ze stali.

– Przede wszystkim nie chcieli mnie na pokładzie – podjęła – bo jestem kobietą, a kobiety blisko żagli przynoszą pecha.

– Domyślam się, że niewiele sobie robiłaś z tych przesądów.

Zaśmiała się.

– Rzeczywiście. Chciałam być na powietrzu. Lubiłam też odrętwienie, które wywoływało zimno. Więc robiłam to, co chciałam.

Patrzył na nią z zachwytem. Oczywiście, że robiła, co chciała. Odważna i silna, jak zawsze.

– W to również nie wątpię.

– I śpiewałam.

– Gołębica. – Imię, nadane jej przez marynarzy.

– Mówili, że śpiewam zawsze tak, jakbym coś opłakiwała.

Zamknął oczy. Powinien być tam z nią, płakać razem z nią. Kochać i i pomóc jej przez to przejść.

Powinni byli się kochać i pomagać sobie w tym nawzajem.

– Kiedy dotarłam do Bostonu – ciągnęła – gdy znalazłam Caleba, kilku marynarzy, którzy go znali, uważało, że moglibyśmy nawiązać współpracę. – Otworzył oczy i napotkał jej wzrok. – Chcesz wiedzieć, dlaczego zachowałam to imię?

– Tak.

– Dlatego że gołębie dobierają się w pary na całe życie, a ja wiedziałam, że dla mnie już nikogo innego będzie.

Chciał rzucić się ku niej, desperacko pragnąc znaleźć się bliżej, a jednak ciągle też bał się jej dotknąć. Zacisnął pięści. Może zaczekać. Będzie czekał do końca życia, jeśli będzie musiał.

Nie odwróciła wzroku, jakby czerpała siłę z prawdy.

– Kiedy wracałam do Londynu, czułam się szczęśliwsza. Pewniejsza. Silniejsza. Gdy wchodziłam na pokład, znowu nie przejmując się przesądami, i śpiewałam, nie było w tym aż tyle melancholii. Marynarze nauczyli mnie swoich szant, czasem dość sprośnych.

– Bardzo chciałbym posłuchać.

– Znam jedną o chłopcu z Glasgow, która wywołałaby rumieniec na twojej twarzy. – Uśmiechnęła się ze smutkiem i spojrzała w okno. – Na statku powrotnym też nadali mi imię.

– Wróbelek.

– Mówili, że przeze mnie śnią o dziewczętach, które zostały w domu. Ale wróble nie symbolizują tylko domu. Młodzi marynarze często tatuują sobie wróble na ramionach. Oznaczają wolność. Wolność wyboru tego, dokąd idziesz; bycia tym, czym chcesz. – Urwała na moment. – Wolność, jaką daje zapomnienie.

Czekał, gryząc się w język. Milczał i czekał na ciąg dalszy.

– Dobry Boże, Mal – powiedziała w końcu. – Nie rozumiesz? Nie wybrałam Wróbla zamiast ciebie. Ani Ameryki, ani Caleba czy czegokolwiek innego. Wybrałam to wszystko, bo nie miałam ciebie. Bo sądziłam, że już nigdy nie będę cię miała. – Słyszał w jej głosie łzy, gdy

dodała: – Bo sądziłam, że nigdy mi nie wybaczysz. Więc chciałam zapomnieć. – Westchnęła. – Chciałam zapomnieć, ale nie potrafiłam. Powiedziałam sobie, że Gołębica to symbol mojej przeszłości. A Wróbelek jest obietnicą mojej przyszłości.

Spojrzała na niego oczami błyszczącymi od niewylanych łez.

– A przecież przez cały czas byłam i jednym, i drugim. – Nie był w stanie powstrzymywać się już ani chwili dłużej. Wyciągnął ręce, objął ją i przyciągnął ją do siebie. – Mal – wyszeptała w jego pierś, kiedy przycisnął usta do jej głowy. – Przepraszam cię. Za wiele rzeczy.

Płakała, a on nie mógł tego znieść.

– Nie, mój aniele. To ja cię przepraszam. Nigdy nie powiedziałem ci, jak bardzo cię kocham. Nie pokazałem, jak bardzo chciałem cię poznać. Nigdy nawet nie przełamałem się chlebem z twoimi siostrami, które chyba lubię bardziej, niż powinienem, tak przy okazji.

Zaśmiała się przez łzy.

– Często tak bywa.

Odsunął się trochę i poważnie spojrzał jej w oczy.

– Tylu rzeczy nigdy ci nie powiedziałem. Tyle rzeczy chciałbym powiedzieć ci teraz.

I powiedział jej, jaka jest piękna, jaka wspaniała i idealna, i jak bardzo ją kocha.

– Zostań – poprosił, obsypując ją pocałunkami, które stawały się coraz gorętsze i bardziej namiętne.

Sera powstrzymała go, dysząc ciężko, i odsunęła się – na tyle, na ile jej pozwolił.

– Rozwiodłeś się ze mną.

Skinął głową.

– Chciałem…

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Wiem, czego chciałeś. Chciałeś dać mi wolność. Wybór.

– A teraz chcę upaść przed tobą na kolana i błagać, byś wybrała mnie.

Zajrzała głęboko w jego oczy i uśmiechnęła się.

– To piękna, kusząca propozycja. Ale ja chyba nie chcę wybierać. Chcę mieć wszystko.

– Możesz mieć Wróbla, Sero. Należy teraz do ciebie. Calhoun ma papiery. Wystarczy, byś je podpisała.

Pokręciła głową.

– A ty?

– Nie potrzebujesz papierów, żebym należał do ciebie. Już należę. – Pocałował ją znowu. – Masz mnie. Tutaj. Teraz. Na zawsze. Jak tylko chcesz.

– Bardzo trudno jest dziewczynie uganiać się za tobą.

Te słowa – ich znaczenie – wstrząsnęły nim.

– Chciałabyś się za mną uganiać?

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, książę.

– Nic a nic, księżno.

Natychmiast się odsunęła, udając dezaprobatę.

– Była księżno. Teraz jestem po prostu lady. A nawet to nie jest pewne. – Zniżyła głos do szeptu. – Rozumiesz, jestem teraz rozwódką. I prowadzę tawernę. I wywołałam dziś skandal w Izbie Lordów.

– Cóż za zbieg okoliczności, ja też!

Uśmiechnęła się szeroko.

– Później omówimy to wszystko dokładniej. Ale teraz powiem ci, czego się dowiedziałam.

– Słucham – odparł, nie wypuszczając jej z ramion.

– Męczyłam się strasznie, czytając o Plejadach. Rozumiesz, Merope jest jedyną z Siedmiu Sióstr, której nie można zobaczyć bez teleskopu. Wiedziałeś o tym?

Serce zabiło mu mocniej.

– Tak.

– Oczywiście, że tak. Więc postanowiłam zdobyć teleskop, żeby się jej przyjrzeć. – Jeszcze dziś kupi jej teleskop. Wybuduje dla niej całe obserwatorium. – Mówią, że ukrywa swą twarz ze wstydu, bo wszystkie jej siostry wyszły za mąż za bogów, a ona kochała śmiertelnika.

Skinął głową.

– Tak.

– Myślę, że się mylą. Myślę, że ona odwróciła twarz, bo szuka swojego szczęścia nie tam, gdzie powinna. W niebie. I czeka, aż szczęście ją znajdzie. Ale… – Głos jej się załamał. – Ale gdyby tylko odwróciła twarz, zobaczyłaby Oriona, który cały czas czeka, by ją uszczęśliwić.

Skinął głową.

– On chce tylko jej szczęścia.

Spojrzała mu w oczy.

– I jej miłości, mam nadzieję.

– Chryste, tak. Jej miłości.

W oczach Sery błysnęły łzy.

– Powinnam ci powiedzieć, że jestem tu, bo chcę czegoś jeszcze.

Czego tylko chce. Dałby jej wszystko.

Zsunęła się z jego kolan, czego natychmiast pożałował. Ale kiedy stanęła przed nim, uświadomił sobie, co miała na sobie. Jego togę. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył? I jak to możliwe, że teraz był pewny, że jeszcze nigdy w życiu żaden widok aż tak go nie zachwycił?

– Nie chciałam jechać do domu po coś do ubrania.

– Pamiętam, że wcześniej miałaś na sobie całkiem przyzwoitą suknię – odparł, przekrzywiając głowę. Do czego ona zmierzała? Uśmiechnęła się trochę nieśmiało, sięgając palcami do zapięcia togi.

– Tak, ale pomyślałam sobie, że czerwony będzie bardziej odpowiedni.

Mal chwycił ją wpół i przyciągnął do siebie, między swoje nogi.

– Chcę być z tobą już zawsze – powiedziała.

– Na zawsze jako kto? – zapytał.

– Na zawsze jako partnerka. Równa tobie. – Urwała na moment. – Na zawsze w miłości. Jako twoja żona.

Nie mógł się powstrzymać.

– Jesteś tego pewna?

– Tak – odparła ze śmiechem. – Byłam tego pewna już dzisiaj rano, ale zanim zdążyłam ci to powiedzieć, rozwiodłeś się ze mną. Ale… to wszystko bardzo dobrze się składa. Jeśli mnie chcesz.

On też się roześmiał. Myśl, że mógłby jej nie chcieć, wydała mu się absurdalna.

– Myślę, że chcę. – Ujął jej twarz w dłonie. – Pragnę cię. Będę cię kochał. I zestarzeję się w twoich ramionach.

Musiała mu uwierzyć, bo cofnęła się i sięgnęła do zapięcia czerwonej aksamitnej togi. Rozluźniła kołnierz i aksamit spłynął na podłogę wokół jej stóp, a Malowi oddech uwiązł w gardle.

Pod spodem była zupełnie naga.

I natychmiast znalazła się w jego ramionach.

Pociągnął ją na kolana, bez wahania, zachwycony, kiedy usiadła na nim śmiało, zachwycony dotykiem jej skóry i westchnieniem przyjemności, które wyrwało jej się z ust. Zachwycony nią całą.

– Lady Seraphino, to skandaliczne zachowanie, w takim miejscu…

– Co mi powiedziałeś, kiedy ostatnio się tu spotkaliśmy? Że to miejsce dla ludzi czynu?

Całował jej szyję, zataczając językiem małe kręgi w miejscu, gdzie przechodziła w bark, tak wrażliwa, że Sera wzdychała przy najlżejszym muśnięciu.

– Chyba pamiętam – mruknął z uśmiechem i ujął w dłoń jej pierś, a potem przesunął po niej ustami. – Wydaje mi się, że właśnie przeszedłem do czynów, nie uważasz?

Wybuchnęła śmiechem, który popłynął dalej, na korytarze czcigodnego parlamentu, dźwięczny i doskonały. Aż w końcu przestała się śmiać, i

zaczęła wydawać zupełnie inne odgłosy. I on też.

Kiedy wrócili na ziemię, na podłogę jego gabinetu, otuleni ciężkim aksamitem togi – teraz już zawsze będzie wzywał żonę, żeby pomogła mu ją zdjąć – pocałował Serę w skroń i powiedział cicho:

– Chyba będę musiał rozesłać wieści.

Podniosła głowę i zmarszczyła brwi.

– Jakie wieści?

Uśmiechnął się do swojej byłej – i przyszłej – żony.

– Powinniśmy ogłosić nasze zaręczyny, prawda? Księcia Haven i Śpiewającego Wróbla?

Znowu ten śmiech, piękny i doskonały, i należący do niego.

– Zdecydowanie tak. Nie chcemy przecież, żeby ludzie gadali.

Epilog
Książęce dziecię:
Haven nie może się doczekać!

Pięć lat później

Wasza wysokość, tego się po prostu nie robi! – Mal nie spojrzał nawet drugi raz na położną i wpadł do pokoju, rzucając na podłogę rękawice i płaszcz. Nie odrywając ani na chwilę oczu od żony, przysiadł na brzegu łóżka.

Jego żona, która wydawała się zdecydowanie zbyt spokojna, jak na kobietę, która właśnie miała urodzić dziecko.

– Położna dostanie przez ciebie waporów.

– Nic jej nie będzie – odparł, ujął jej dłoń i podniósł do ust. – Nigdy więcej cię nie dotknę.

Zaśmiała się, jakby byli właśnie na spacerze.

– Za każdym razem tak mówiłeś.

– Tym razem nie żartuję.

– Ostatnio powiedziałeś dokładnie to samo.

Nie pamiętał, ale pewnie tak właśnie było. Trzy miesiące po ich drugim ślubie – wspaniałym wydarzeniu, na które przybyło pół Londynu – Sera i Mal odkryli, że Sera przybiera na wadze, co wywołało jednocześnie radość, zaskoczenie i przerażenie.

Zakrawało to na cud, ale zdrowy syn przyszedł na świat szybko i łatwo. Teraz Oliver miał pięć lat i uwielbiał konie i farby. Dwa lata później powitali Amelię, równie bystrą jak jej matka, i pewną siebie. Właśnie tego ranka przy śniadaniu spojrzała ojcu prosto w oczy i oznajmiła:

– Skoro ty i mama możecie dostać niemowlaka, to będzie sprawiedliwie, jeśli ja i Oliver dostaniemy kota.

Mal przez cały poranek był w stajniach i wybierał idealną parę kociąt, które miały zamieszkać w posiadłości. W końcu, jak zauważyła Amelia, dziecko też powinno dostać jakiś prezent na powitanie. To zwykła uprzejmość.

Nie trzeba zatem dodawać, że lekarze, którzy uznali Serę za bezpłodną po narodzinach ich pierwszego dziecka, byli w błędzie. I szczęśliwe życie, które prowadzili Sera i Mal, zmieniło się w równie szczęśliwy chaos.

– Jakieś wieści z Wróbla? – spytała Sera, jakby zabawiała go rozmową w ogrodzie, a nie szykowała się do urodzenia dziecka.

– Wczoraj przyjechał Caleb – odparł Mal. – Twoja tawerna jest w dobrych rękach, kiedy ty masz inne sprawy na głowie.

Rodzina przez większą część roku mieszkała w Londynie, dość blisko Śpiewającego Wróbla, by Sera mogła zajmować się bieżącymi sprawami, a czasami także śpiewać, zawsze w obecności księcia Haven.

Ale wszystkie ich dzieci przychodziły na świat w Highley – i tym razem miało być tak samo.

Przez ciało Sery przetoczyła się fala bólu. Wstrzymała oddech.

– Już czas.

Mal podwinął rękawy i stanął za żoną. Choć oczarowany dziećmi, za które dziękował Bogu każdego dnia, nie przepadał za procedurą ich narodzin.

– Właśnie sobie przypomniałem, że jednak tego nie lubię.

– Wydaje mi się, że lubisz niektóre fazy sprowadzania dzieci na świat, mężu – powiedziała Sera oschle. – Tak jak i ja.

Położna cmoknęła z dezaprobatą, a Mal uniósł jedną brew.

– Mówią, że to ja jestem skandalistą, a tymczasem to ty wywołujesz konsternację, opowiadając o jakichś intymnych szczegółach.

Uśmiechnęła się.

– Biorąc pod uwagę, w jakim jestem teraz stanie, szalony Malcolmie, wszyscy w tym pokoju dobrze wiedzą, jakie szczegóły mam na myśli.

Ale znowu zaczął się skurcz i Mal zrobił wszystko, co w jego mocy, by nad sobą zapanować, podczas gdy położna obejrzała Serę.

– Dziecko już idzie, wasza wysokość. – Spojrzała na Mala. – Na pewno chce pan tu zostać?

Sera klasnęła w dłonie.

– Na pewno.

Jakby mógł być w takiej chwili gdziekolwiek indziej.

Podał żonie ręce, wspierając ją całą swoją siłą, kiedy wydawała na świat ich dziecko. Nie żeby go potrzebowała.

Istotnie, to raczej Malcolm potrzebował siły Sery, gdy kilka chwil później zdrowe krzyki ich kolejnego syna – i córki – wypełniły pokój i serce Malcolma.

Kilka godzin później, kiedy słońce zachodziło w oddali, wypełniając świat złocistym blaskiem, Mal wszedł do książęcych pokoi i zastał żonę w łóżku, wyglądającą jak anioł, z rozpuszczonymi włosami, w otoczeniu dzieci.

Trzymała na rękach jedno z bliźniąt; drugie spało u jej boku; obydwoje rozkosznie nieświadomi dokładnych oględzin, jakim poddawało ich właśnie starsze rodzeństwo.

Amelia stała na czworakach i przyglądała się dziecku leżącemu na łóżku.

– Ja wolę to.

Oliver z powagą pokręcił głową.

– Ja nie. Siostry potrafią być bardzo dokuczliwe.

– To akurat prawda – zgodziła się Sera, mówiąc z własnego doświadczenia. – Ale potrafią też być bardzo lojalne.

– I sprawdzać się z walce – dorzucił Mal, mrugając do żony.

– Tak czy inaczej – powiedział Oliver – ja bym wolał, żebyśmy zostawili sobie chłopca.

Mal uniósł brwi.

– Słucham?

Sera uśmiechnęła się szeroko.

– Zdaje się, że wybrali tylko jedno imię, więc musimy zdecydować, które z dzieci zatrzymamy.

Teraz Mal się uśmiechnął.

– Czy imię pomoże podjąć decyzję?

Pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie.

Spojrzał na starsze dzieci.

– Więc jakie wybraliście imię?

– Kurczak – odparła Amelia z prostotą.

Mal wybuchnął śmiechem, a potem przysiadł u wezgłowia, po drugiej stronie swojej nowo narodzonej córki.

– Cóż, myślę, że zatrzymamy oboje, jeśli nie macie nic przeciw temu.

Oliver westchnął.

– Jeśli to konieczne.

Mal pochylił się i pocałował żonę.

– Jesteś wspaniała.

– Chyba tak, prawda? – odparła z zadowoleniem.

Zaśmiał się i pocałował w czoło dziecko, które trzymała na rękach, a potem to drugie, które leżało na łóżku.

– Jeszcze ja! – zawołała Amelia, wpychając się w jego ramiona.

Rodzina siedziała razem do wieczora, który przywołał na niebo księżyc i gwiazdy. Potem Mal zaniósł dzieci do ich pokoi – najmłodszą dwójkę do

pokoju za ścianą. Pokój zarezerwowany wcześniej dla księżnej Haven został zamieniony na pokój dziecinny, bo ani książę, ani księżna nie mieli zamiaru sypiać oddzielnie.

Mal wrócił do żony i zastał ją stojącą w otwartym oknie sypialni. Objął ją od tyłu i pocałował w szyję.

– Przeziębisz się w tym oknie, żono.

– Widzisz? – Wyciągnęła przed siebie rękę. – Jest tu.

Spojrzał we wskazanym kierunku.

– Orion. Biedak, skazany na pościg.

– To chyba ona jest biedna, skoro nie może jej złapać. – Sera odwróciła się i przyciągnęła go do siebie. – Powinna wziąć sprawy w swoje ręce.

Malcolm wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

– Gdyby to ona go goniła, zrobiłby wszystko, żeby dać się schwytać. I dobrze.

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego.

– A co się stanie, kiedy go schwyta?

Pocałował ją delikatnie, ciągle nie mogąc wyjść ze zdumienia nad tym cudownym, wspólnym życiem,

– Będą żyli długo i szczęśliwie, oczywiście.

Sera uśmiechnęła się i zamknęła oczy, bo szybko ogarniała ją senność.

– Nareszcie. Zasłużyli na to.

Od Autorki

Historia Havena i Sery nie dawała mi spokoju od bardzo dawna – zaczęło się to, zanim jeszcze moi bohaterowie dostali imiona i zajęli główne miejsca w *Uwodzicielu bez szans*, stając się katalizatorem romansu Sophie i Kinga. *Dzień księżnej* to opowieść o odnajdywaniu nadziei w smutku – w małżeństwie, które mogło zupełnie się nie udać, i stracie, której można nigdy nie przeboleć – i kiedy usiadłam, żeby ją spisać, nie miałam pojęcia, że stanie się ona historią tak wielu znanych mi kobiet; kobiet, które zadziwiały mnie swoją siłą i zdolnością patrzenia w twarz niepewnej przyszłości. Nie mogłam przewidzieć, że w trakcie pisania tej powieści zainspiruje mnie ich tak wiele – przyjaciółek, krewnych, czytelniczek i zupełnie obcych kobiet – wszystkich tych stalowych piękności. Sera jest dla Was wszystkich.

Choć może się wydawać, że do rozwodu Sery i Havena doszło zbyt łatwo, wydarzenia te dość wiernie odzwierciedlają procedury rozwodowe w Izbie Lordów na początku dziewiętnastego wieku. Aż do 1857 roku kobietom tylko w bardzo rzadkich wypadkach zezwalano na wnoszenie pozwów rozwodowych, gdyż status żony odbierał im osobowość prawną. Co więcej, nie wolno było im też zeznawać we własnej sprawie w parlamencie, co bardzo utrudniało uzyskanie rozwodu z powodu innego niż własna zdrada. Pod koniec osiemnastego wieku zaszły jednak pewne zmiany w postrzeganiu instytucji małżeństwa przez parlament i społeczeństwo – powoli stawała się ona mniej okazją do pomnożenia

majątku, a bardziej szansą na osobiste szczęście – a więc i liczba pozwów rozwodowych zaczęła wzrastać… wraz z liczbą zmów między małżonkami. Mężczyźni i kobiety, schwytani w pułapkę nieszczęśliwych związków małżeńskich, współpracowali dla osiągnięcia wspólnego celu – zwykle z jakąś niepodejrzewają niczego osobą trzecią, wciągniętą w całą sprawę w charakterze świadka aktu małżeńskiej niewierności ze strony żony. Krótkie (acz kosztowne) głosowanie w parlamencie skutkowało rozwiązaniem małżeństwa; wszyscy zainteresowani byli więc wolni i mogli poślubić swoich kochanków. Dzielę się tym z Wami, bo byłam bardzo zaskoczona tym, z jaką łatwością ludzie bogaci i wpływowi mogli otrzymać rozwód, i zafascynowana faktem, że rozwodzący się małżonkowie współpracowali zgodnie dla osiągnięcia swojego celu. Żywą, bogatą historię rozwodów w Anglii prezentuje *Droga do rozwodu* Lawrence'a Stone'a, książka, która towarzyszyła mi stale podczas pisania – ku przerażeniu mojego męża. Parlamentarne zbiory zgromadzone w British Library również odegrały znaczącą rolę w części tej historii.

Krótka nota dotycząca muzyki wykonywanej przez Serę: *The Spanish Ladies* jest starą szantą pochodzącą sprzed osiemnastego wieku, kiedy to wreszcie została spisana; wykorzystałam też *Oft in The Still Night* i *The Last Rose Of Summer* Thomasa Moore'a. *She Was Born That Day in the Heart of a Boy* jest mojego autorstwa – jestem winna podziękowanie ścianie w pewnej francuskiej kawiarence, która dostarczyła mi inspiracji.

Czasem jakiś szczegół histryczny chwyta nas za serce i nie chce puścić. Przez kilka lat (i książek) szukałam sposobu, by umieścić w którejś ze swoich opowieści podwodną salę balową. Taka sala istnieje naprawdę! Niemal identyczna podwodna sala znajduje się w Witley Park, wielkiej rezydencji zbudowanej przez Whitakera Wrighta, awanturnika i milionera, w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia – uznałam jednak, że nie ma żadnego powodu, by nie mogła istnieć sześćdziesiąt lat wcześniej jako pomnik miłości zdesperowanego mężczyzny, jako że łodzie podwodne

ze szkła i metalu istniały już od ponad stu lat. Zmieniłam Neptuna Witleya na Oriona Highleya i z dużą dowolnością korzystałam ze zdjęć i opisów sali balowej Witleya, która – o dziwo – pozostała do dziś w niezmienionym kształcie. Jestem głęboko wdzięczna Atlas Obscura i licznym użytkownikom Reddit, którzy pomogli mi zrozumieć kwestie związane z fizyką i inżynierią tej sali balowej.

Jak zawsze jestem też nieskończenie wdzięczna Carrie Feron, Carolyn Coons i wspaniałemu zespołowi wydawnictwa Avon Books – muszę wymienić w tym miejscu Liate Stehlik, Shawn Nicholls, Pam Jaffee, Libby Collins, Tobly McSmith, Carlę Parker, Briana Grogana, Franka Albanese, Eileen DeWald i Eleanor Mikucki. Dziękuję również Steve'owi Arnoldowi, który zna wszystkie najlepsze historie.

Szczęśliwie się składa, że mój mąż nigdy nie kazał mi szturmować parlamentu i że mam najlepsze na świecie przyjaciółki. Dziękuję Ci, Ericu, za Twój niewruszony spokój; Wam, Lily Everett, Carrie Ryan i Sophie Jordan, za Waszą niezmienną przyjaźń; a Bobowi, Tomowi i Felicity z Krupa Grocery za to, że zawsze mieli dla mnie wolny stolik.

A Wam, wspaniali Czytelnicy, dziękuję za to, że obdarzyliście mnie zaufaniem i że dzielicie się ze mną tak szczodrze samymi sobą. Bez Was te książki byłyby niczym. Mam nadzieję, że przyłączycie się do mnie w 2018 roku i zapoznacie z moją następną serią, w której wystąpią Bękarci Pięściarze i kilka młodych kobiet, które wydadzą się Wam znajome.

Och, a jeśli chodzi o historię Sesily i jej Amerykanina, czekajcie na ciąg dalszy.

Przypisy

[1] Mary Wollstonecraft – XVIII-wieczna angielska pisarka, propagująca równouprawnienie kobiet, prekursorka feminizmu (przyp. tłum.).

[2] *Heaven* (ang.) – niebo, bóg, raj. Wymowa *heaven* jest taka sama jak wymowa nazwiska księcia – Haven (przyp. tłum.).

[3] Thomas Moore *Ostatnia róża lata*, przeł. Jan Kasprowicz (przyp. tłum.).

[4] *bath* (ang.) – wanna (przyp. tłum.).